

Eoin  
COLFER



# ARTEMIS FOWL

FORTEL WRÓŻKI



Książka  
magiczna.

—The Washington  
Post—

Eoin  
COLFER



# ARTEMIS FOWL

FORTEL WRÓŻKI



Książka  
magiczna.

„The Washington  
Post”

# ARTEMIS FOWL FORTEL WRÓŻKI

przełożył  
**TOMASZ PIWOWARCZYK**



Wydano z pomocą finansową Ireland Literature Exchange (Translation Fund), Dublin, Ireland

[www.irelandliterature.com](http://www.irelandliterature.com)

[info@irelandliterature.com](mailto:info@irelandliterature.com)

Tytuł oryginału: Artemis Fowl. The Opal Deception Copyright © Eoin Colfer, 2005

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W. A. B., 2006

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W. A. B., 2006

Wydanie I

Warszawa 2006

Dla Sarah

Pióro jest potężniejsze niż edytor tekstu.

# PROLOG

Poniższy artykuł opublikowano w sieci wrózek na stronie internetowej [www.konskizmysl.gnom](http://www.konskizmysl.gnom). Panuje nieoficjalna opinia, że autorem strony jest centaur Ogierek, konsultant techniczny Sił Krasnoludzkiego Reagowania, choć nikt nie był tego w stanie dotychczas potwierdzić. Tekst odbiega niemal w każdym szczególe od oficjalnego raportu podanego do publicznej wiadomości przez Biuro Prasowe SKR.

Wszyscy znamy oficjalne wyjaśnienie tragicznych wydarzeń, które zaszły w trakcie dochodzenia w sprawie Sondi Zita. W oświadczeniu SKR znalazło się bardzo niewiele konkretów, przeważała natomiast tendencja do rozmydlania faktów i podawania w wątpliwość decyzji pewnej funkcjonariuszki.

Jestem niezbitnie przekonany, iż wspomniana funkcjonariuszka, kapitan Holly Nieduża, w obliczu wspomnianych wydarzeń zachowała się wzorowo, gdyby zaś nie jej

talent operacyjny, straciłoby życie znacznie więcej osób.

Zamiast prowadzić nagonkę na kapitan Niedużą, Siły Krasnoludzkiego Reagowania powinny ją raczej uhonorować odznaczeniem.

W centrum tej sprawy znajdują się pewni ludzie. Większość przedstawicieli tej rasy nie jest wystarczająco bystra, by trafić nogami w nogawki portek, istnieją wszelako pewni Błotniacy, których spryt bardzo mnie niepokoi.

Gdyby istoty tego pokroju odkryły istnienie podziemnego miasta wrózek, zrobiłyby z całą pewnością wszystko, co w ich mocy, żeby odnieść korzyść kosztem jego mieszkań-

ców. Oczywiście większość ludzi nie może się mierzyć z potężniejszą od ludzkiej technologią wrózek. Jest jednak paru tak inteligentnych, że mogliby uchodzić nieomal za wróżki. A zwłaszcza jeden. Myślę, że wszyscy wiemy, o kim mowa.

Annały historii wrózek znają tylko jednego człowieka, któ-

ry nas przechytrył. I naprawdę doskwiera mi fakt, że człowiek ów jest właściwie chłopcem. Mowa o Artemisie Fowlu, irlandzkim arcyministrze zbrodni. Mały Arty wodził

SKR za nos po całym świecie, póki z pomocą technologii nie wymazano mu z pamięci naszego istnienia. Lecz nawet niezwykle utalentowany centaur Ogierek, który nadzorował wymazywanie pamięci, nie był do końca pewien, czy aby Lud wrózek nie został znowu okpiony. Może młody Irlandczyk pozostawił dla siebie coś, co przywróci mu pamięć? Oczywiście tak właśnie się okazało, jak wszyscy mieliśmy się później dowiedzieć. Artemis Fowl odegrał

kluczową rolę w późniejszych zdarzeniach, mimo że od 8

pewnego czasu nie próbował okradać Ludu wrózek, gdyż całkowicie zapomniał o jego istnieniu. Bo

arcyprzestępca, który kryje się za tym epizodem, jest wróżką.

Któż więc jest zamieszany w tę tragiczną opowieść o dwóch światach? Kim są pierwszoligowi gracze wśród wróżek? Niewątpliwie Ogierek jest prawdziwym bohaterem. Gdyby nie jego innowacje, ludzie zaczęliby wkrótce dobijać się do drzwi wróżek bez względu na wysiłki SKR.

To ten nieznaną bohater rozwiązuje zagadki stuleci, podczas gdy funkcjonariusze Rozpoznania i Odzysku szybują w pełnej chwale ponad powierzchnią ziemi. Jest również kapitan Holly Nieduża, funkcjonariuszka, której reputacja znajduje się pod ostrzałem. Holly to jeden z najlepszych i najbystrzejszych członków SKR. Jest urodzonym pilotem i posiada dar improwizacji w trudnych warunkach polowych. Ma co prawda kłopoty z dyscypliną, co przysporzyło jej kłopotów przy niejednej okazji. Elficzka Holly znajdowała się w centrum wszystkich wydarzeń związanych z Artemisem Fowlem. Byli już niemal przyjaciółmi, kiedy Rada poleciła SKR wymazać Artemisowi pamięć - właśnie wtedy, kiedy zaczynał być całkiem miłym Błotniaczkiem.

Wszyscy dobrze wiemy o roli komendanta Juliusza Bulwy w omawianych wydarzeniach. Najmłodszy w historii SKR

samodzielny komendant. Elf, który przeprowadził Lud przez niejedną kryzys. Niełatwy w obejściu, lecz urodzeni przywódcy nieczęsto mają liczne grono przyjaciół.

Zdaje się, że również Mierzwa Grzebaczek zasłużył na wzmiankę. Ów był więzien jak zwykle znalazł sposób, by się wyrwać na wolność. Bezczelny krasnal kleptoman nierzadko wbrew własnej woli brał udział w przygodach 9

Fowla. W trakcie tej misji jednakże Holly bardzo przydała się jego pomoc. Gdyby nie Mierzwa i właściwości jego organizmu, sprawy przybrałyby znacznie gorszy obrót. Choć i tak poszło wystarczająco źle. W samym sercu afery znajduje się Opal Koboi, chochliczka, która dostarczała gan-gom goblinów środków finansowych podczas próby przejęcia władzy w Oazie. Opal odsiadywała wyrok dożywocia za laserowymi kratami. A w zasadzie miała trafić za kratki, gdyby kiedykolwiek ocknęła się ze śpiączki, w którą zapadła, gdy Holly Nieduża udaremniała jej plan. Przez ponad rok Opal Koboi tkwiła w izolatce, w jednym ze skrzydeł

Kliniki Z. Argona, w najmniejszym stopniu nie reagując na wysiłki czarowników medycznych, którzy usiłowali przywrócić ją do życia. Przez cały ten czas nie wypowiedziała ani jednego słowa, nie zjadła ani kęsa, żadne bodźce nie robiły na niej wrażenia. Zrazu władze były podejrzliwe. To sztuczka, zadeklarowały. Koboi udaje katatonię, aby uniknąć wyroku. Lecz z upływem miesięcy nawet najwięksi sceptycy nabrali pewności, że jest inaczej. Nikt nie jest w stanie udawać śpiączki przez niemal rok. Ktoś taki musiałby być całkowicie opętany...

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### KTOŚ CAŁKOWICIE OPĘTANY

Klinika Z. Argona, Oaza City

Niższa Kraina, trzy miesiące wcześniej

Klinika Ż. Argona nie była szpitalem państwowym.

Nikt nie korzystał tutaj z darmowej kuracji. Pacjentami Argona oraz jego sztabu psychologów były jedynie wróż-

ki, które mogły sobie na to pozwolić. Spośród wszystkich zamożnych klientów kliniki Opal Koboi była najbardziej niezwykła. Przeszło rok wcześniej założyła fundusz zdro-wotny, po prostu na w s z e l k i w y p a d e k , gdyby któ-

regoś dnia oszalała i potrzebowała środków na opłacenie kuracji. Sprytne posunięcie. Gdyby Opal nie założyła funduszu, rodzina bez wątpienia umieściłaby ją w tańszym szpitalu. Co nie znaczy, że ten czy inny szpital robił obecnie szczególną różnicę Koboi, która przez ostatni rok tylko się śliniła, jeśli akurat nie badano jej odruchów nerwo-wych. Doktor Argon wątpił, czy Opal zauważyłaby 11

trolla bijącego się w pierś o krok od niej.

Niezwykłość Koboi nie ograniczała się jedynie do wspomnianego funduszu. Była najbardziej uhonorowaną pacjentką kliniki Argona. Po próbie odzyskania wpływów przez goblińską triadę B'wa Kell nazwisko Opal Koboi stało się najczęściej powtarzanymi pięcioma sylabami pod powierzchnią ziemi.

Była

przecież

chochliczką-

miliarderką, która zawarła sojusz z rozgoryczonym oficerem SKR, Wrzoścem Pałką, i rozpętała wojnę mafii w Oazie. Koboi zdradziła swą rasę, a teraz jej własny umysł

zdradzał właścicielkę.

Przez pierwsze sześć miesięcy od przyjęcia Koboi do szpitala klinikę nieustannie oblegały ekipy telewizyjne, filmujące każdy ruch chochliczki. Przy drzwiach do sali, w której ją umieszczono, pełnili wartę strażnicy SKR, a przeszłość każdego członka personelu szpitalnego poddano gruntownym i surowym badaniom. Nie robiono wyjątków.

Nawet sam doktor Argon musiał się poddać niezapowie-dzianym testom DNA, aby władze miały pewność, że jest tym, za kogo się podaje. SKR nie mogły sobie pozwolić w przypadku Koboi na żadną pomyłkę. Gdyby uciekła z kliniki Argona, Siły Krasnoludzkiego Reagowania stałyby się pośmiewiskiem świata wróżek, a na ulice Oazy powró-

ciłby skrajnie niebezpieczny przestępca.

Jednakże z biegiem czasu coraz mniej ekip filmowych pojawiało się rankiem u bram kliniki. W końcu przez ile godzin widzowie chcieliby oglądać śliniace się warzywo?

Stopniowo zmniejszano też liczbę funkcjonariuszy SKR, 12

którzy pełnili wartę przy jej sali. Zrazu było ich dwunastu, potem o połowę mniej, aż w końcu chochliczki pilnował

tylko jeden policjant. Bo czy Opal Koboï ma możliwość ucieczki? - rozumowały władze. Obiektywne tuzina kamer przemysłowych śledziły każdy jej ruch przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. A i tak niewiele było do śledzenia.

W ramię wszczepiono jej ponadto podskórny naprowadzacz-usypiacz i cztery razy dziennie poddawano chochliczkę testom DNA. Gdyby komuś udało się wydostać Opal z kliniki, cóż by z nią począł? Wróżka nie mogła nawet stać o własnych siłach, a wykres fal mózgowych, który czujniki przekazywały na ekran komputera, był niemal całkiem płaski.

Trzeba przyznać, że doktor Argon był niezwykle dumny ze swej słynnej pacjentki i często wymieniał jej nazwisko podczas wieczornych przyjęć. Od kiedy Opal Koboï trafiła do jego kliniki, zapanowała nieomal moda, by mieć u niego krewnego na terapii. Prawie każda bogata rodzina przetrzymywała cichaczem na strychu jakiegoś stuknięte-go wujka. Teraz wujka można było wypuścić, zapewnić mu fachową pomoc medyczną i luksusowe warunki kuracji.

Gdyby tylko wszyscy pensjonariusze sprawiali tak ma-

ło problemów, jak Opal Koboï. Kilka kroplówek oraz monitor zaspokajały jej niewygórowane potrzeby, a na to składki wpłacane przez chochliczkę w ciągu pierwszych sześciu miesięcy wystarczały z nawiązką. Doktor Argon życzył sobie w duchu, by już nie wyszła ze śpiączki, bo 13

wtedy, zamiast w jego szpitalu, znalazłaby się w sądzie. A gdyby udowodniono chochliczce winę, jej aktywa zostały-by zamrożone, włączając w to fundusz na rzecz kliniki. O

nie, im dłużej trwała katatonia Opal, tym lepiej dla wszystkich - także i dla niej. Mózg znacznych rozmiarów i cienkie czaszki chochlików czyniły tę rasę niezwykle podatną na dolegliwości w rodzaju katatonii, amnezji czy narkolepsji. Śpiączka pacjentki mogła spokojnie trwać jeszcze kilka lat. A zresztą, gdyby nawet się zbudziła, mogłoby się okazać, że wszystkie wspomnienia utknęły gdzieś w ciemnych zakamarkach jej psychiki.

Doktor Z. Argon każdego wieczora wyruszał na obchód. Osobiście terapii już nie prowadził, uważał wszelako, że personel powinien odczuwać jego obecność. Byleby pozostali lekarze mieli świadomość, że Żywisław Argon trzyma rękę na pulsie, a nie przyjdzie im do głowy, by własną dłubać w nosie.

Argon zostawiał sobie zawsze Opal na koniec obchodu.

Widok chochliczki śpiącej w uprząży jak dziecko był nieomal kojący. Bywało, że pod koniec wyjątkowo uciążliwego dnia niemal zazdrościł Koboï jej nieskomplikowanej egzystencji. Kiedy



przerosły ją problemy, jej mózg po prostu się wyłączył, pozostawiając jedynie najbardziej podstawowe funkcje życiowe. Wciąż oddychała, a sensory wychwytywały niekiedy fazę snu REM w jej falach mó-

zgowych. Prócz tego wszystko wyglądało tak, jakby Opal Koboï już nie istniała.

Owego pamiętnego wieczoru Żywisław Argon był

jeszcze bardziej zdenerwowany niż zazwyczaj. Żona 14

wystąpiła o rozwód, zarzucając mu, że przez ostatnie dwa lata odezwał się do niej w co najwyżej sześciu rozsądnych słowach, Rada odgrażała się, że cofnie grant rządowy, argumentując, że Argon i tak za dużo zarabia na składkach od plejady sławnych kuracjuszy. I jeszcze doskwierał mu ból w biodrze, którego nie potrafiła usunąć żadna magia.

Czarodzieje twierdzili, że prawdopodobnie tylko go sobie uroił.

Argon zanurkował w lewe skrzydło budynku kliniki, zerkając po drodze na wyświetlacze plazmowe przy mijanych salach. Krzywił się przy każdym stąpieniu lewą nogą.

Dwaj sanitariusze z nocnej zmiany, Mervall i Descant Sielawa, odkurzali podłogę przed salą Opal. Znakomici pracownicy. Metodyczni, cierpliwi i niezmordowani. Wystarczyło powiedzieć, co jest do zrobienia, a potem można było z ulgą zapaść się w fotel i zapomnieć o wydanym poleceniu, które z pewnością będzie sumiennie wykonane.

W dodatku wyglądali niezwykle ujmująco ze swymi dziecięcymi buziami i nieproporcjonalnie dużymi uszami.

Samo spojrzenie na chochlika wywoływało uśmiech na twarzach większości pacjentów. Byli chodzącą terapią.

- Dobry wieczór, chłopaki - powiedział Argon. - Jak się miewa nasza ulubiona pacjentka?

Merv, starszy z bliźniaków, podniósł wzrok znad odkurzacza.

- Jak zwykle, Żywku, jak zwykle - powiedział. - Wydawało mi się, że jakiś czas temu ruszyła palcem u nogi, ale pewnie to było złudzenie optyczne.

15

Argon roześmiał się, jednakże był to śmiech wymuszony. Nie lubił, kiedy nazywano go Żywkiem. Ostatecznie była to j e g o klinika i należał mu się jakiś szacunek. Lecz dobrych sanitariuszy trudno było znaleźć, bracia Sielawa zaś utrzymywali budynek w nieskazitelnej czystości i po-rządku. Sami byli zresztą dość sławni. Bliźnięta nie rodzą się zbyt często wśród Ludu. Mervall i Descant byli jedyną parą w Oazie. Wystąpili w kilku programach telewizyjnych, włączając Canto, talk-show w telewizji PPTV, który w sezonie bił rekordy popularności.

Przy sali pełnił wartę kapral Pędrak Wodorost z SKR.

Gdy Argon dotarł na miejsce, zastał go całkowicie pochłoniętego oglądaniem filmu w okularach wideo. Nie mógł go za to winić. Pilnowanie Opal Koboï było mniej więcej tak samo interesujące, jak obserwowanie kolejnych faz wzrostu paznokcia u nogi.

- Dobry film? - zapytał doktor łagodnie.

Wodorost podniósł soczewki.

- Nienajgorszy. To ludzki western. Mnóstwo strzelania i spojrzeń spode łba.

- Może byś mi pożyczył, kiedy skończysz?

- Nie ma sprawy, doktorze. Ale proszę obchodzić się z nim ostrożnie. Ludzkie dyski optyczne są bardzo drogie.

Dam panu specjalną ściereczkę.

Argon skinął głową. Cały Wodorost. Funkcjonariusz SKR zawsze bardzo się troszczył o swoją własność. Jak dotąd, napisał już dwa zażalenia do rady kliniki. Uskarżał

się w nich na wystające z podłogi nity, które zostawiały rysy na jego butach.

16

Argon przyjrzał się wykresowi funkcji życiowych Koboï. Zawieszony na ścianie ekran plazmowy wyświetlał

obraz przekazywany w czasie rzeczywistym przez czujniki przymocowane do skroni pacjentki. Nie było żadnych zmian, zresztą Argon wcale ich nie oczekiwał. Funkcje życiowe w normie, aktywność mózgowa minimalna.

Wczesnym wieczorem miała sen, lecz obecnie jej umysł

był gładki jak kartka. Poza tym, powtarzał sobie w duchu doktor, wyszukiwacz-usypiacz wszczepiony w ramię informował, że Opal Koboï rzeczywiście znajduje się tam, gdzie powinna. Zazwyczaj takie urządzenia wszczepiano w czaszkę, jednakże głowy wrózek były zbyt kruche na takie zabiegi.

Żywisław wstukał osobisty kod na klawiaturze przy wzmocnionych, masywnych drzwiach. Te rozsunęły się, odsłaniając przestronny pokój skąpany w nastrojowej, łagodnie pulsującej poświacie podłogowych świateł. Ściany wykonano z miękkiego plastiku. Z ukrytych głośników sączyły się kojące odgłosy natury. Właśnie strumyk plu-skał pośród gładkich kamieni.

W środku pokoju w uprząży wisiała Opal Koboï. Paski uprząży pokryte były specjalnym żelem i dostosowywały się automatycznie do wszystkich ruchów ciała. Gdyby Opal z niewyjaśnionych przyczyn się obudziła, uprząż można byłoby zdalnie zamknąć niczym sieć, aby pacjentka nie mogła

zrobić sobie krzywdy lub uciec.

Argon przyjrzał się uważnie elektrodom, upewniając się, że przylegają ściśle do czoła Kobi. Podniósł jedną

powiekę chochliczki i zaświecił punktową latarką w źrenicę. Reakcja była bardzo słaba, Opal nie odwróciła wzroku.

- No i co mi dzisiaj opowiesz, Opal? - spytał doktor miękko. - Masz pomysł na pierwszy rozdział mojej książ-

ki?

Argon lubił mówić do Kobi, na wypadek gdyby przypadkiem mogła go słyszeć. Kiedy się obudzi, myślał sobie, od razu zawiąże się między nimi nic porozumienia.

- Nic? Nawet jednego pomysłu?

Opal nie zareagowała. Jak przez ostatni rok.

- No nic - rzekł Argon, zwilżając w ustach Kobi ostatni bawełniany sącdek, który wydobyl z kieszeni. - Mo-

że jutro, co?

Rzucił sącdek na wykonany z gąbki pulpit terminalu.

Kilka sekund później na maleńkim ekranie rozbłysło nazwisko Opal.

- DNA nigdy nie kłamie - mruknął Argon, rzucając sącdek do kosza.

Raz jeszcze obrzuciwszy pacjentkę spojrzeniem, Żywisław Argon odwrócił się w stronę drzwi.

- Miłych snów, Opal - powiedział niemal z czułością.

Znów poczuł się uspokojony, niemal zapomniał o bólu nogi. Kobi była tak samo nieprzytomna, jak zwykle.

Niemożliwe, by obudziła się w najbliższym czasie. Jej fundusz był bezpieczny.

Zdumiewające, jak bardzo może się czasem mylić gnom.

18

Opal Kobi nie była w katatonii, choć jej stanu nie można też było nazwać przytomnością. Zawisała gdzieś pomiędzy, dryfując w płynnym świetle medytacji, w któ-

rym pamięć była jedynie bąblem wielobarwnego światła, pulsującym łagodnie w świadomości

chochliczki.

Już jako nastolatka została wychowanką Gola Schweema, guru oczyszczającej śpiączki. Teoria Schweema gło-siła, że istnieje głębszy poziom snu niż ten, którego do-

świadczą większość wróżek. Stan oczyszczającej śpiączki można było osiągnąć jedynie po dziesięcioleciach dyscy-pliny i praktyki. Opal osiągnęła go po raz pierwszy w wieku czternastu lat.

Pożytek z oczyszczającej śpiączki był taki, że wróżka budziła się z niej całkowicie odświeżona, choć zarazem przez cały czas snu jej umysł zajmował się myśleniem, lub

- w tym akurat wypadku - knuciem. Śpiączka Opal była tak głęboka, że jej umysł niemal całkowicie oddzielił się od ciała. Oczywiście czujniki nie mogły tego wykryć, wystarczyło zatem zapewnić sobie dożylnie odżywianie. Najdłuższa odnotowana, wywołana świadomie śpiączka trwa-

ła czterdzieści siedem dni. Opal znajdowała się w obecnym stanie od jedenastu miesięcy i nadal liczyła dni, choć wiedziała, że odliczanie dobiega końca.

Łącząc siły z Wrzociem Pałką i reaktywując triadę, Opal Koboï dobrze zdawała sobie sprawę, że plan awaryjny zawsze się przyda. Pomysł pokonania SKR był co prawda genialny, jednakże zawsze istnieje ryzyko, że coś 19

pójdzie nie tak, a Opal nie chciała w razie takiej ewentualności spędzić reszty życia w odosobnieniu. Najskutecz-niejszym sposobem, żeby tego uniknąć, było przekonanie wszystkich, że tak właśnie jest. I w ten sposób Opal rozpoczęła przygotowania.

Pierwszym krokiem było założenie specjalnego funduszu na rzecz Kliniki Argona. Dzięki temu miała pewność, że po wywołaniu oczyszczającej śpiączki trafi we właści-we miejsce. Kolejnym posunięciem było zainstalowanie w klinice dwójki najbardziej zaufanych współpracowników, którzy pomogą jej w ewentualnej ucieczce. Następnie za-częła odprowadzać ogromne ilości złota ze swych przedsięwzięć finansowych. Nie miała zamiaru zostać zuboża-

łym wygnańcem.

Ostatnim krokiem było zdeponowanie gdzieś własnego DNA i udzielenie zezwolenia na stworzenie kłona, który zająłby jej miejsce w izolatce. Technika klonowania była całkowicie nielegalna, zabroniona prawem wróżek od pięciuset lat, czyli od pierwszych eksperymentów w Atlan-tydzie. Z pewnością nie była doskonała. Lekarzom nigdy nie udało się stworzyć idealnego kłona. Zwykle wyglądał

dobrze, lecz był jedynie skorupą wyposażoną w mózg, którego moc pozwalała zaledwie na podtrzymywanie podstawowych procesów życiowych. Nie było w nim iskry prawdziwej istoty żyjącej. W pełni rozwinięty klon całkowicie przypominał swój oryginał, tyle że w śpiączce. Ide-alna sytuacja.

Z dala od Laboratoriów Koboï Opal wybudowała osło-nięte przed światłem słonecznym laboratorium, 20

regularnie odprowadzając na nie część funduszy, aby projekt mógł funkcjonować przez dwa lata, a tyle właśnie potrzeba czasu, by wyhodować dorosłego klona. Kiedy zapragnie uciec z Kliniki Argona, doskonała replika pacjentki zajmie jej miejsce. W SKR nigdy się nie dowiedzą, że umknęła.

Jak się okazało, miała rację, planując wszystko z wyprzedzeniem. Pałka zdradził, a niewielka grupka wrózek i ludzi sprawiła, że jego zdrada doprowadziła Opal do cał-

kowitej klęski. Teraz miała cel, który umacniał w niej siłę woli: pozostanie w śpiączce tak długo, jak będzie trzeba, gdyż ma rachunki do wyrównania. Ogierek, Bulwa, Holly Nieduża i ten człowiek, Artemis Fowl. Właśnie oni byli odpowiedzialni za jej porażkę. Wkrótce wydostanie się z kliniki, a następnie złoży wizytę tym, którzy doprowadzili ją do rozpacz, i stanie się dla odmiany przyczyną ich rozpacz. Kiedy upora się z wrogami, przyjdzie pora na drugą część planu: zdemaskowanie Ludu przed Błotnymi Ludźmi w taki sposób, że nie pomoże zwykle wymazywanie pamięci. Życie wrózek nie będzie już długo tajemnicą.

Mózg Opal Kobi wyprodukował kilka radosnych en-dorfin. Myśl o zemście zawsze napełniała ją uczuciem nieokreślonego ciepła.

Bracia Sielawa przypatrywali się, jak doktor Argon, ku-lejąc, oddala się korytarzem.

21

- Kretyn - mruknął Merv, używając teleskopowej końcówki odkurzacza, by usunąć nieco kurzu, który zebrał

się w rogu.

- Bez dwóch zdań - przytaknął Scant. - Staruszek Żywek nie byłby w stanie przejrzeć talerza curry z nornicy. Nic dziwnego, że żona chce go zostawić. Gdyby było w nim chociaż ćwierć psychiatry, coś by wywęszył.

Merv złożył odkurzacza.

- Jak nam idzie?

Scant rzucił okiem na księżycmierz.

- Jest dziesięć po ósmej.

- Świetnie. Co porabia kapral Wodorost?

- Wciąż ogląda film. Facet jest po prostu idealny.

Musimy to zrobić dziś wieczorem. Na następną zmianę SKR przyśle na pewno jakiegoś spryciarza. A jeśli bę-

dziemy czekać jeszcze chwilę dłużej, klon znów urosnie o dwa centymetry.

- Racja. Sprawdź kamery szpiegowskie.

Scant podniósł wieko czegoś, co wyglądało na zwykły wózek sanitarny, obładowany mopami, szmatami i deter-gentami. Jednakże pod tacą z końcówkami do odkurzacza znajdował się kolorowy monitor podzielony na kilkanaście sekcji.

- No i? - syknął Merv.

Scant nie odpowiedział od razu. Potrzebował czasu, by przyjrzeć się wszystkim ekranom. Obraz pochodził z rozmaitych mikrokamer, które Opal zainstalowała wokół

kliniki, zanim do niej trafiła. Owe szpiegowskie kamery powstały na bazie zmodyfikowanej genetycznie tkanki.

22

Obrazy, które przekazywały, były naprawdę żywe. Pierwsze żyjące maszyny na świecie. Całkowicie niewykrywal-ne dla czujników.

- Tylko nocna ekipa - powiedział wreszcie. - W tym sektorze nikogo, nie licząc tego tam kaprala Idioty.

- A parking?

- Czysty.

Merv wyciągnął dłoń.

- Okej, braciszku. Nie ma co czekać. Nie będzie od-wrotu. Wchodzimy w to? Chcemy powrotu Opal Koboi?

Scant zdmuchnął kosmyk czarnych włosów, który mu opadł na oko.

- Tak, bo gdyby udało się jej wykaraskać bez naszej pomocy, znalazłaby sposób, żeby nam dołożyć - powiedział, ściskając dłoń brata. - Dobra, zaczynamy.

Merv wydobyl z kieszeni pilota. Urządzenie było ze-strojone z ładunkiem akustycznym, ukrytym w ścianie pod dachem kliniki. Ten zaś z kolei przymocowany był do butli z kwasem, która spoczywała wygodnie na głównej kostce zasilającej klinikę w energię elektryczną, znajdują-

cej się na parkingu. Druga butla rozsiadła się na kostce zasilania awaryjnego w piwnicach budynku. Ponieważ byli sprzątacami, nie przysporzyło im wiele trudu rozmiesz-czenie butli poprzedniego wieczoru. Rzecz jasna Klinika Argona podłączona była również do sieci centralnej, lecz po zniszczeniu obu kostek trzeba będzie poczekać dwie minuty na przywrócenie zasilania. Nie potrzebowali bardziej skomplikowanych przygotowań - w końcu 23

znajdowali się w szpitalu, nie zakładzie penitencjarnym.

Merv odetchnął głęboko, podniósł klapy zabezpieczającą i przycisnął czerwony guzik. Pilot wyemitował falę podczerwieni, która uaktywniła oba ładunki akustyczne.

Ładunki wygenerowały fale dźwiękowe, niszcząc butle, których żrąca zawartość zalała kostki zasilające. Dwadzie-

ścia sekund później nic po nich nie zostało i cały budynek pogrążył się w ciemności. Merv i Scant prędko włożyli noktowizory.

Gdy tylko wysiadło zasilanie, na podłodze pojawiły się pulsujące łagodnie zielone strzałki, wskazujące drogę do wyjścia. Merv i Scant działali szybko i w sposób przemy-

ślany. Scant pchał wózek, Merv zaś ruszył prosto do kaprała Wodorosta.

Kłopot zdejmował właśnie z oczu okulary wideo.

- Ej! - zawołał, zdezorientowany niespodziewaną ciemnością. - Co się tutaj dzieje?

- Awaria zasilania - powiedział Merv, wpadając na tamtego z udaną niezdarnością. - Tutejsza instalacja to istny koszmar. Mówiłem o tym Argonowi, ale komu się chce wydawać pieniądze na utrzymanie budynku, jeśli może kupić nowe samochody dla firmy.

Paplanina Merva miała swój cel. Czekał, aż zacznie działać rozpuszczalna tabletką nasenna, którą przycisnął

Kłopotowi do nadgarstka.

- Co ty powiesz? - rzekł Wodorost, mrugając oczyma znacznie szybciej, niż to miał w zwyczaju. - Usiłowałem kiedyś przekonać tych w Komendzie Policji, żeby kupili 24

nowe szafki... Strasznie chce mi się pić. Przynieść wam też? - Kapral zeszywniał, gdy zadziałało serum rozchodzące się w jego organizmie. Oficer SKR miał się znajdować pod wpływem środka przez dwie minuty, a potem natychmiast obudzić. Nie będzie pamiętał o utracie świadomości i, przy odrobinie szczęścia, nie zauważy luki w czasie.

- Idziemy - rzekł krótko Scant.

Merva już nie było. Z wprawą wystukiwał kod doktora Argona na zasilanej baterią klawiaturze przy drzwiach sali Opal. Zrobił to nawet szybciej niż sam Argon, a to za sprawą wielu godzin ćwiczeń z wykradzioną klawiaturą w ich apartamencie. Kod Argona zmieniano co tydzień, lecz bracia Sielawa dbali, by zawsze być tam, gdzie trzeba, podczas obchodów Argona. Nie minęło pół tygodnia, a już znali kod.

Ekran klawiatury rozjarzył się na zielono, drzwi się rozsunęły. Opal Koboï kołysała się łagodnie w uprząży, niczym egzotyczny owad w kokonie.

Merv opuścił ją na wózek. Działał szybko, z precyzją fachowca. Podwinął rękaw Opal i odnalazł bliznę na ramieniu, ślad po wszczepieniu wyszukiwacza-usypiacza.

Chwycił twarde wybrzuszenie kciukiem i środkowym palcem.

- Skalpel - powiedział, wyciągając wolną dłoń. Scant podał mu instrument. Merv wciągnął głęboko powietrze i wstrzymał oddech. Następnie naciął skórę Opal na długo-

ści dwóch centymetrów. Wsunął palec wskazujący w ranę 25

i wydobył elektroniczną kapsułkę: małą płytkę krzemową rozmiarów pastylki od bólu głowy.

- Zamknij ranę - rozkazał.

Scant pochylił się nad nacięciem i naciągnął je kciukami z obu stron.

- Uzdrawiaj! - szepnął, i po jego palcach spłynęły spiralnie iskierki magii wróżek. Skóra zrosła się w parę sekund, pozostawiając bladoróżową bliznę, jedyny ślad po nacięciu. Był niemal identyczny jak poprzedni. Sama Opal od miesiący nie mogła użyć magii, gdyż nie miała jak przeprowadzić rytuału odświeżającego.

- Panienko Koboï - odezwał się nerwowo Merv. -

Czas wstawać. Pobudka. Pobudka.

Odpiął Opal z uprząży. Nieprzytomna wróżka zwała się na wieko wózka jak kłoda. Merv wymierzył jej policzek, by przywrócić krążenie w twarzy. Oddech Opal stał

się nieco wyraźniejszy, lecz oczy pozostały zamknięte.

- Dajmy jej kopa - powiedział Scant.

Merv wydobył z marynarki elektryczną pałkę z przydziału SKR. Uruchomił ją i dotknął łokcia Opal. Ciało chochliczki wygięło się spazmatycznie, impuls przywrócił

Opal gwałtownie do przytomności, budząc ją z koszmaru, który właśnie śniła.

- Pałka! - wrzasnęła. - Ty zdrajco!

Merv potrząsnął nią za ramiona.

- Panienko Koboï! To my, Mervall i Descant. Już czas!

26

Opal spoglądała na niego z dziką wściekłością.

- Sielawa? - spytała wreszcie, po kilku głębszych oddechach.



- Tak jest. Merv i Scant. Trzeba ruszać.

- Ruszać? O czym ty mówisz?

- Czas iść - powiedział Merv ponagłajaco. - Mamy tylko minutę.

Opal potrząsnęła głową, pozbywając się śpiączkowego oszołomienia.

- Merv i Scant. Czas iść.

Merv pomógł jej zejść z wózka.

- Zgadza się. Klon jest gotowy.

Scant usunął podwójne dno wózka. Pod spodem leżała dokładna replika Opal Koboi, ubrana w standardowy strój, który w Klinice Argona przydzielano pacjentom w stanie śpiączki. Klon był identyczny aż po ostatnią komórkę.

Scant usunął maskę tlenową z jego twarzy, podniósł go i zaczął przypinać do uprząży.

- Zauważyliście - powiedziała Opal, głaszcząc wierzchem dłoni skórę klona - jaka jestem piękna?

- O tak - powiedział Merv. - Nawet bardzo.

Opal syknęła.

- Idioci. Ma otwarte oczy. Widzi mnie!

Scant pospiesznie opuścił powieki klona.

- Proszę się nie obawiać, panienko Koboi. Nic nikomu nie powie, chociaż wątpię, czy jego mózg jest w stanie rozszyfrować to, co widziały oczy.

Opal z wysiłkiem wdrapała się na wózek.

27

- Jego oczy rejestrują obrazy. Ogierkowi może przyjść do głowy, żeby to sprawdzić. To diabeł, ten centaur!

- Proszę się nie martwić, panienko - uspokoił Scant, przykrywając swą zwierzchniczkę fałszywym dnem wózka. - Już wkrótce będzie to najmniejsze ze zmartwień Ogierka.

Opal założyła maskę tlenową.

- Później - powiedziała. Plastik zniekształcał jej głos.

- Pogadamy później.

Koboi zasnęła zwykłym snem, wyczerpana minimalnym wysiłkiem. Upłynęły godziny, nim odzyskała świadomość. Istniało też ryzyko, że po przebudzeniu z długiej śpiączki Opal nigdy już nie będzie tak lotna jak kiedyś.

- Która godzina? - rzucił Merv.

Scant zerknął na księżycomierz.

- Mamy trzydzieści sekund.

Merv skończył zapinać paski uprząży dokładnie w taki sposób, jak były związane poprzednio. Przerwał tylko na moment, by otrzeć z czoła kropelki potu. Zaraz potem zrobił kolejne nacięcie skalpelem, tym razem na ramieniu klona, i wsunął pod skórę wyszukiwacz-usypiacz. Podczas gdy Scant zamykał ranę magicznymi iskierkami, Merv poustawiał od nowa akcesoria i środki czystości na fał-

szywym dnie wózka.

Scant poruszył się niespokojnie.

- Osiem sekund, siedem. Na bogów, pierwszy i ostatni raz wyciągam szefową z kliniki i podstawiam klona na jej miejsce.

28

Merv obrócił wózek na kółkach i wypchnął go przez otwarte drzwi.

- Pięć... cztery...

Scant po raz ostatni sprawdził pomieszczenie, omiatając wzrokiem wszystko, czego dotykali.

- Trzy... dwa...

Byli już na zewnątrz, drzwi zamknęły się z sykiem. -

Jeden...

Kapral Wodorost poruszył się lekko, po czym wyprostował się.

- Hej... co do? Ależ chce mi się pić! Przynieść wam też?

Merv upchnął noktowizory w wózku i otarł kroplę potu z powieki.

- To przez tę klimatyzację. Działa odwadniająco.

Przez cały czas mam piekielny ból głowy.

Kłopot potarł nasadę nosa.

- Ja też. Jak tylko będzie zasilanie, biorę się do pisania zażalenia.

W tym właśnie momencie światła zaczęły się kolejno zapalać, migocząc. Korytarz stopniowo wyłaniał się z mroku.

- I po panice - uśmiechnął się Scant. - Może teraz wykosztują się wreszcie na nową instalację, co, braciszku?

Korytarzem nadbiegał doktor Argon, niemal dotrzymując kroku światłom.

- Widzę, Żywku, że z biodrem lepiej - odezwał się Merv.

29

Argon zignorował chochlika. Oczy miał szeroko otwarte, oddychał gwałtownie.

- Kapralu Wodorost - wydyszał. - Co z Koboi? Czy ona...?

Kłopot przewrócił oczyma.

- Proszę się uspokoić, doktorze. Panienska Koboi nadal wisi tam, gdzie ją pan zostawił. Proszę spojrzeć.

Argon oparł się rękoma o ścianę, sprawdzając najpierw funkcje życiowe pacjentki.

- Okej. Bez zmian. Bez zmian. Dwuminutowa przerwa, ale to nic nie szkodzi.

- Mówiłem panu - rzekł Kłopot. - A skoro już pan tu jest, chciałbym z panem porozmawiać o moich migrenach.

Argon odsunął go na bok.

- Potrzebny mi bawełniany sącdek, Scant. Masz mo-

że?

Scant poklepał się po kieszeniach.

- Wybacz, Żywku. Nie mam.

- Przestań tak do mnie mówić! - zawył Żywisław Argon, podnosząc gwałtownie wieko wózka. - Sączki muszą gdzieś tu być - powiedział. Pot przykleił mu włosy do szerokiego, gnomiego czoła. - To przecież wózek sanitarny, do pioruna. - Przebierając palcami w zawartości wózka raz po raz muskał fałszywe dno.

Merv dopchał się do wózka, nim doktor zdążył odkryć ukrytą komorę i ekrany szpiegowskie.

- Są tutaj, doktorze - powiedział, wyciągając opakowanie sączków. - Miesięczny przydział. Proszę

się poczę-

stować.

30

Argon wyłuskał z opakowania jeden sączonek, rozsypując przy okazji pozostałe.

- DNA nigdy nie kłamie - mruknął, wprowadzając swój kod. - DNA nigdy nie kłamie.

Jak burza wpadł do sali i niezbyt delikatnie potarł sączonek ustami klona. Bracia Sielawa wstrzymali oddech. Mieli nadzieję być już poza kliniką, kiedy to nastąpi. Argon przesunął bawełnianym sączonek po podkładce z gąbki.

Chwilę później na miniaturowym wyświetlaczu plazmowym rozblęsnęło nazwisko Opal Kobo.

Argon wydał potężne westchnienie ulgi i położył dłonie na kolanach. Uśmiechnął się wstydliwie do zgromadzonej trójki.

- Wybaczcie. Wpadłem w panikę. Gdybyśmy stracili Kobo, klinika by się z tego nie podniosła. Zdaje się, że miewam czasem lekkie stany paranoiczne. Twarz może się zmienić, ale...

- DNA nigdy nie kłamie - powiedzieli chóralnie Merv i Scant.

Wodorost uruchomił ponownie okulary wideo.

- Sądzę, że doktorowi Argonowi przydałyby się małe wakacje.

- Co ty powiesz - zakpił Merv, popychając wózek w stronę windy towarowej. - Tak czy siak, zbierajmy się już, braciszku. Trzeba zlokalizować przyczynę awarii.

Scant ruszył za bratem korytarzem. - Jak sądzisz, co się mogło stać?

- Mam pewne podejrzenia. Sprawdzimy na parkingu albo może w piwnicy.

31

- Skoro tak mówisz. W końcu to ty jesteś starszy.

- I mądrzejszy - dodał Merv. - Nie zapominaj o tym.

Chochliki szły dalej korytarzem, starając się swobodną rozmową zamaskować fakt, że trzęsą im się kolana, a serca tłuką o żebra jak oszalałe. Dopiero gdy usunęli ślady po bombach kwasowych i znaleźli się bezpiecznie w furgonetce zmierzającej w stronę domu, ich oddech wrócił do normy.

Merv wydobył Kobo z kryjówki, dopiero gdy znaleźli się w apartamencie, w którym mieszkał razem z bratem.

Jeżeli wcześniej mieli jakieś obawy, że IQ Opal mogło się zmniejszyć po tak długim przebywaniu w stanie śpiączki, teraz rozwiały się one bez śladu. Oczy pracodawczynie błyszczały niespotykaną przytomnością.

- Chcę być na pełnych obrotach - powiedziała, schodząc chwiejnie z wózka. Choć jej mózg funkcjonował już bez zakłóceń, potrzebowała paru dni, by elektroniczne urządzenie do masażu przywróciło jej mięśnie do formy.

Merv pomógł jej dojść do niskiej sofy.

- Wszystko załatwione. Pieniądze, chirurg, wszystko.

Opal zaczęła pić chciwie wodę prosto z dzbanka, który pochwyliła ze stolika do kawy.

- Dobrze. Dobrze. A moi wrogowie?

32

Scant stanął obok brata. Byli niemal identyczni, nie licząc nieco szerszego czoła u Merva. To on był tym bystrzejszym.

- Mieliśmy ich na oku, tak jak panienka prosiła.

Opal przestała pić.

- Prosiłam?

- Jak panienka poleciła, rzecz jasna. To miałem na myśli.

Oczy Koboi zwęziły się.

- Mam nadzieję, że bracia Sielawa nie podjęli żadnych samowolnych działań, kiedy spałam.

Scant pochylił się, niemalże w ukłonie.

- Nie, nie, panienko Koboi. Żyjemy po to, by służyć.

Tylko po to.

- Zgadza się - przytaknęła Opal. - I żyjecie tylko tak długo, jak długo n a p r a w d ę służycie. A teraz moi wrogowie. Cieszą się szczęściem i zdrowiem, jak sądzę?

- Och tak. Juliusz Bulwa miota się w SKR od stołka do stołka. Komendant otrzymał nominację do Rady.

Opal uśmiechnęła się, a był to uśmiech naprawdę paskudny.

- Do Rady. Długo będzie spadał. A Holly Nieduża?

- Przywrócona do pełnej służby. Sześć misji rozpoznawczych zakończonych sukcesem, od kiedy panienska zapadła w śpiączkę. Jej nazwisko figuruje na liście kandydatów do awansu na majora.

- No proszę, pani major. Cóż, z całą pewnością dopilnujemy, by ten awans nigdy nie doszedł do skutku. Mam 33

zamiar zniszczyć karierę Holly Niedużej. Chcę, by umarła okryta hańbą.

- Centaur Ogierek upierdliwy jak zwykle – ciągnął

Scant Sielawa. - Sugerowałbym wyjątkowo paskudny...

Opal podniosła palec, uciszając chochlika.

- Nie. Ogierkowi na razie nic się nie przytrafi. On musi ponieść porażkę w starciu z moim intelektem. W

ciągu całego mojego życia tylko dwa razy ktoś mnie przechytrzył. W obu przypadkach był to Ogierek. Zabicie go tak po prostu byłoby zbyt łatwe i niewinne. Chcę, by został pokonany, upokorzony i opuszczony. - Zaklaskała w ręce, rozkoszując się tą myślą. - Dopiero wtedy go zabije-my.

- Monitorowaliśmy łącza komunikacyjne Artemisa Fowla. Najwyraźniej błotny chłopiec strawił większość ostatniego roku na poszukiwaniach pewnego obrazu. Wy-

śledziliśmy ten obraz w Monachium.

- Obraz? Naprawdę? - tryby w mózgu Opal pracowa-

ły pełną parą. - Więc upewnijmy się, że dotrzemy do niego przed Fowlem. Być może uda nam się dorzucić to i owo do tego arcydzieła.

Scant pokiwał głową.

- Jasne. Żaden problem. Dzisiaj tam jadę.

Opal przeciągnęła się na sofie jak kotka w słońcu.

- W porządku. Zapowiada się cudowny dzień. A teraz pošlijcie po chirurga.

Bracia Sielawa spojrzeli po sobie.

- Panienko Koboi? - odezwał się nerwowo Merv.

- O co chodzi?

- O chirurga. Operacja tego rodzaju jest nieodwracal-na, nawet z pomocą magii. Czy na pewno nie

chciałaby panienka przemyśleć...

Opal skoczyła na równe nogi. Na jej policzkach wykwitły rumieńce wściekłości.

- Przemyśleć?! Doradzasz mi, żebym to sobie przemyślała? Wyobrażasz sobie, że co robiłam przez ostatni rok? Myślałam dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie obchodzi mnie magia. To nie magia pomogła mi uciec, lecz nauka. Nauka jest moją magią. A teraz dość już tych rad, Merv, albo twój brat zostanie jedynakiem. Czy to jasne?

Merv stał osłupiały. Nigdy nie widział Opal w takiej furii. Śpiączka musiała ją zmienić.

- Tak jest, panienko Koboï.

- Natychmiast wezwij chirurga.

- Natychmiast, panienko Koboï.

Opal znowu położyła się na sofie. Wkrótce cały świat ułoży się po jej myśli. Jej wrogowie będą martwi lub upokorzeni. A kiedy się z nimi upora, zatroszczy się o swoje nowe życie. Koboï dotknęła paznokciami ostro zakończonych uszu. J a k b y m w y g l ą d a ł a - p o m y ś l a ł a - j a k o c z ł o w i e k ?

ROZDZIAŁ DRUGI

# UPROWADZENIE

Monachium, Niemcy, chwila obecna

Świat przestępców ma własny folklor. Krążą w nim opowieści o genialnych kradzieżach i zapierających dech w piersi napadach. Jedną z legend opowiada o złodzieju samochodów rodem z Egiptu, imieniem Faisil Mahmud, który wspiał się na kopułę Bazyliki św. Piotra, aby w odpowiedniej chwili skoczyć na wchodzącego do środka biskupa i ukraść mu pastorał.

Inna znowu historia dotyczy Red Mary Keneally, kobiety nadzwyczaj pewnej siebie, która przebrała się za księżną i zręcznie wkręciła się na koronację angielskiej królowej. W pałacu Buckingham zaprzeczano, że coś takiego w ogóle miało miejsce, jednakże od dnia koronacji na rozmaitych aukcjach zaczęły się pojawiać korony, które z wyglądu do złudzenia przypominały koronę z Tower of London.

36

Chyba najbardziej ekscytująca historia opowiada o zaginionym arcydziele Hervégo. Nawet uczeń szkoły pod-stawowej powie nam, że Pascal Hervé to francuski impre-sjonista, który na swych nad wyraz pięknych obrazach przedstawiał wróżki. Każdy właściciel galerii wie, że wartość płócien Hervégo da się porównać z dziełami samego van Gogha, a ich ceny wywoławcze sięgają pięćdziesięciu milionów euro.

Na serię o życiu wróżek Hervégo składa się piętnaście płócien. Dziesięć z nich można podziwiać na ścianach francuskich muzeów, a pięć pozostałych znajduje się u prywatnych kolekcjonerów. Istnieją wszakże plotki o szesnastym obrazie. Wśród elit przestępczych krąży po-głoska, że jest jeszcze jeden Hervé: Urowadzenie, na którym mistrz przedstawił wróżkę wykradającą ludzkie dziecko. Wieść niesie, że Hervé podarował ów obraz pięk-nej tureckiej dziewczynie, którą spotkał na Polach Elizej-skich.

Dziewczyna bez skrupułów złamała malarzowi serce, sprzedając płótno za dwadzieścia franków brytyjskiemu turyście. Minęło zaledwie parę tygodni i obraz skradziono z domu Anglika. Od tamtej pory regularnie znika z prywatnych kolekcji na całym świecie. Uważa się, że od dnia, w którym Hervé ukończył swe arcydzieło, skradziono je piętnaście razy. Jednakże kradzieże te różni od miliardów innych fakt, że już pierwszy złodziej postanowił zachować obraz dla siebie. Następni uczynili to samo.

Urowadzenie stało się dla złodziei całego świata swo-istym trofeum. Zaledwie dwanaście osób wiedziało o 37

jego istnieniu, a tylko garstka o miejscu jego przechowywania. Płótno stało się dla kryminalistów tym, czym dla artystów nagroda Turnera. Jeżeli komuś udało się ukraść zaginiony obraz, natychmiast stawał się najsłynniejszym złodziejem swego pokolenia. Zaledwie kilku wiedziało, że jest takie wyzwanie do podjęcia.

Oczywiście Artemis Fowl słyszał o Urowadzeniu, ostatnio zaś dowiedział się również, gdzie obraz



się znajduje. Informacja ta wzbudziła w chłopcu nieodpartą pokusę wypróbowania własnych talentów. Gdyby udało mu się ukraść arcydzieło, byłby najmłodszym złodziejem w historii, który tego dokonał.

Ochroniarz Artemisa, potężny Eurazjata Butler, nie był

zachwycony najnowszym pomysłem młodego pryncypała.

- Nie podoba mi się to, Artemisie - powiedział niskim, grobowym głosem. - Instynkt mi podpowiada, że to pułapka.

- Oczywiście, że to pułapka - przytaknął czternasto-letni Irlandczyk, wsuwając baterie do przenośnej gry komputerowej. - Urowadzenie nie daje przestępcom spokoju od lat. Dlatego mnie interesuje.

Wynajętym hummerem H2 krążyli po Marienplatz w Monachium. Wojskowy pojazd nie był w stylu Artemisa, jednakże dla zachowania pozorów przed ludźmi, do któ-

rych się udawali, nadawał się doskonale. Artemis w niedbałym stroju nastolatka zajmował jeden z tylnych foteli, czując się bardzo niezręcznie bez dwuczęściowego garnituru, który najchętniej nosił.

38

- Niedorzeczne ubranie - powiedział, rozpinając pod szyją suwak bluzy od dresu. - Jaki pożytek z kaptura, który nie jest nieprzemakalny? Po co te wszystkie nadruki? Wyglądam jak chodząca kampania reklamowa. A dzinsy mają niewłaściwy rozmiar. Opadają prawie do kolan.

Butler z uśmiechem zerknął w lusterko wsteczne.

- Moim zdaniem wyglądasz dobrze. Julii byś się spodobał.

Julia, młodsza siostra Butlera, podróżowała właśnie po Stanach Zjednoczonych z grupą meksykańskich zapaśni-ków, próbując swych sił w zapasach. Na użytek ringu przyjęła imię „Wrednej Księżniczki”.

- Mnie nie podoba się z całą pewnością - odrzekł Artemis. - Zwłaszcza te sportowe buty za kostkę. Czy ktokolwiek na tym w świecie potrafi biegać na dziesięciocentymetrowych podszewkach? Zupełnie jakbym chodził na szczydlach. Wierz mi, Butler, mam zamiar pozbyć się tego stroju, kiedy tylko wrócimy do hotelu. Brakuje mi garnituru.

Butler zatrzymał się przy Im Tal. Mieściła się tutaj siedziba Banku Międzynarodowego.

- Skoro nie czujesz się swobodnie, Artemisie, może lepiej byłoby przełożyć operację?

Artemis wrzucił grę komputerową do plecaka pełnego typowych dla nastolatka przedmiotów i zapiął go na suwak.

- Z pewnością nie. Pracowaliśmy na to miesiącami.

Trzy tygodnie wcześniej Artemis dokonał anonimowej dotacji na rzecz Szkoły dla Młodych Dżentelmenów św.

39

Bartelby'ego, stawiając warunek, by uczniowie trzeciego roku pojechali na wycieczkę do Monachium w ramach programu zbliżania szkół europejskich. Dyrektor z rado-

ścią uczynił zadość życzeniu darczyńcy. I oto, podczas gdy inni chłopcy oglądali technologiczne cudowna na monachijskim stadionie Olympia, Artemis wchodził właśnie do Banku Międzynarodowego. Dyrektora szkoły Guineya powiadomiono, że Butler odwozi wychowanka z powrotem do pokoju hotelowego, gdyż Artemis źle się poczuł.

- Crane & Sparrow na pewno przenoszą obraz kilka razy do roku. Sam bym tak robił. Nikt nie wie, gdzie go umieszczą za sześć miesięcy.

Crane & Sparrow, firma brytyjskich prawników, była przykrywką pozwalającą dwójce jej założycieli prowadzić niezwykle dochodową nielegalną działalność, polegającą na włamaniach oraz paserstwie. Artemis od dawna podejrzewał, że to właśnie oni weszli w posiadanie Uprawdzenia. Upewnił się co do tego miesiąc wcześniej, dzięki ra-portowi prywatnego detektywa, którego zatrudnił do śledzenia działalności Crane & Sparrow. Detektyw donosił, że Crane & Sparrow zdeponowali w Banku Międzynarodowym tubę do przechowywania obrazów. Tuba mogła zawierać Uprawdzenie.

- Taka okazja może się nie powtórzyć, póki jestem jeszcze nastolatkiem - ciągnął młody Irlandczyk. - Poza tym nie ma powodu, bym musiał tak długo czekać. Kiedy Franz Herman ukradł Uprawdzenie, nie miał jeszcze osiemnastu lat. Chcę pobić ten rekord.

40

Butler westchnął.

- Legenda kryminalna mówi też, że Herman ukradł

obraz w 1927 roku. Wystarczyło zwędzić neseser. Żeby tego dokonać dziś, trzeba się zatroszczyć o trochę więcej.

Musimy się włamać do skrytki depozytowej w jednym z najlepiej zabezpieczonych banków świata. W biały dzień.

Na twarzy Artemisa Fowla zagościł uśmiech.

- Zgadza się. Wielu by powiedziało, że to niemożliwe.

- Bez dwóch zdań - zgodził się Butler, z wprawą ustawiając hummera na ciasnym miejscu parkingowym. - Wielu rozsądnych ludzi. Zwłaszcza gdyby wiedzieli, że ma tego dokonać uczestnik szkolnej wycieczki.

Do banku prowadził hol z obrotowymi drzwiami, znajdujący się pod czujnym, bezsennym okiem kamer przemysłowych. Butler pierwszy postawił stopy na marmurowej podłodze w złote żyłki i ruszył zdecydowanym krokiem do stanowiska informacyjnego. Artemis podążał jego śladem, kiwając głową w rytm muzyki z przenośnego odtwarzacza płyt kompaktowych. W rzeczywistości odtwarzacz był

pusty. A lustrzane okulary, które założył Artemis, pozwalały rozglądać się po wnętrzu bez obaw, że ktoś go na tym przyłapie.

Bank Międzynarodowy słynął wśród specjalistów z najbezpieczniejszych skrytek depozytowych na świecie, przewyższał ponoć w tym względzie nawet banki 41

szwajcarskie. Plotki głosiły, że gdyby włamano się do skrytek w Banku Międzynarodowym i wyrzucono ich zawartość na podłogę, na marmurowej posadzce zebrałaby się zapewne jedna dziesiąta światowego bogactwa - w biżuterii, obligacjach na okaziciela, gotówce, dokumentach własności, dziełach sztuki - przynajmniej w połowie wykradziona prawowitym właścicielom. Jednakże Artemisa wszystko to w ogóle nie interesowało. To znaczy nie tym razem.

Butler dotarł do okienka informacji, rzucając szeroki cień na płaski monitor stojący na biurku. Wątlę mężczyzna, który właśnie pracował przy komputerze, podniósł

głowę, by zaprotestować, lecz równie szybko uznał, że lepiej dać sobie spokój. Gabaryty Butlera zazwyczaj robiły takie wrażenie na ludziach.

- W czym mogę panu pomóc, Herr...

- Lee - odpowiedział Butler płynną niemczyzną.

- Pułkownik Xavier Lee. Chcę otworzyć swoją skrytkę depozytową.

- Tak jest, pułkowniku. Oczywiście. Nazywam się Bertholt i będę panu dzisiaj asystował - jedną ręką Bertholt otworzył plik z danymi pułkownika Xaviera Lee, drugą bawił się nieustannie ołówkiem. - Musimy tylko uczynić zadość zwyczajowym procedurom bezpieczeństwa. Czy mógłbym prosić o pański paszport?

- Oczywiście - rzekł Butler, rzucając paszport Chiń-

skiej Republiki Ludowej na blat. - Oczekuję najbardziej surowych procedur bezpieczeństwa.

42

Bertholt podniósł paszport szczupłymi palcami, przyjrzał się najpierw fotografii, a potem umieścił dokument na skanerze.

- Eustachy! - krzyknął w stronę Artemisa Butler. -

Przestań się wiercić, synu! Stań prosto. Garbisz się, jakbyś nie miał kręgosłupa.

Bertholt przywołał na twarz uśmiech, w którego szczerość zwątpiłoby natychmiast nawet niemowlę.

- Miło cię poznać, Eustachy.

- Wzajemnie, koleś - odrzekł Artemis z nie mniejszą hipokryzją.

Butler potrząsnął głową.

- Mój syn nie komunikuje się najsprawniej z resztą świata. Nie mogę się już doczekać dnia, kiedy pójdzie do wojska. Wtedy się okaże, czy pod tymi humorami kryje się prawdziwy mężczyzna.

Bertholt pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Mam córkę. Szesnaście lat. Jej rozmowy telefoniczne kosztują miesięcznie więcej niż jedzenie dla całej rodziny.

- Nastolatki. Wszystkie takie same.

Z komputera dobiegł sygnał dźwiękowy.

- Tak, uzyskaliśmy potwierdzenie autentyczności pańskiego paszportu. Teraz potrzeba nam jeszcze pańskiego podpisu - Bertholt pchnął w stronę Butlera elektroniczną tabliczkę do pisania. Do tabliczki przymocowane było kablem świetlne pióro. Butler wziął je i podpisał się wzdłuż wyznaczonej linii. Podpis będzie się zgadzał. Jak-

żeby inaczej? Paszport był podpisany charakterem 43

pisma Butlera, gdyż pułkownik Xavier Lee był jedną z tuzina tożsamości, które ochroniarz stworzył sobie przez lata. Sam dokument zresztą też był autentyczny, jeśli pominąć dane, które do niego wpisano. Butler kupił go kilka lat wcześniej w Rio de Janeiro od sekretarza chińskiego dyplomaty.

Z głośnika komputera ponownie rozległ się sygnał.

- W porządku - powiedział Bertholt. - Wiemy już, że jest pan osobą, za którą się podaje. Zaprowadzę pana teraz do pomieszczenia ze skrytkami depozytowymi. Czy Eustachy będzie nam towarzyszyć?

Butler wstał.

- Bezwzględnie. Jeżeli go tu zostawię, prawdopodobnie go aresztują.

Bertholt postanowił zaryzykować dowcip.

- Jeżeli wolno mi zauważyć, panie pułkowniku, w tym miejscu nie będzie to trudne.

- Ekstra, koleś! - mruknął Artemis. - Powinieneś za-

łożyć kabaret.

Niemniej komentarz Bertholta był trafny. Po całym budynku rozsiani byli uzbrojeni pracownicy ochrony. Na najmniejszą oznakę jakiegokolwiek nieprawidłowości przemieszczają się do strategicznych punktów banku, blokując wszystkie wyjścia.

Bertholt powiódł klientów do windy z matowej stali i podniósł swoją kartę identyfikacyjną do kamery nad drzwiami.

Urzędnik mrugnął do Artemisa.

- Mamy tu specjalny system zabezpieczeń, młody człowieku. To bardzo ekscytujące.

44

- Rany, koleś. Robi mi się słabo - powiedział Artemis.

- Dość tego zachowania, synu - złajał go Butler. -

Bertholt stara się po prostu porozmawiać.

Nie zważając na sarkazm Artemisa Bertholt pozostał

uprzejmy.

- Może chciałbyś tu pracować, kiedy dorośniesz, Eustachy?

Po raz pierwszy na twarzy Artemisa pojawił się szczery uśmiech, który z jakichś powodów przeszył urzędnika zimnym dreszczem.

- Wiesz co, Bertholt? Sądzę, że najowocniej będzie mi się pracowało w bankach.

Niezręczną ciszę, która zapadła po tym oświadczeniu, przerwał głos dobywający się z małego głośnika pod kamerą.

- W porządku Bertholt, widzę cię. Ile osób?

- Dwie - odpowiedział Bertholt. - Właściciel klucza i osoba towarzysząca. Jedziemy na dół otworzyć skrytkę.

Drzwi windy rozsunęły się, ukazując stalową kabinę bez tablicy z przyciskami, z kamerą zainstalowaną w górnym rogu. Gdy weszli do środka, windę uruchomiono zdalnie. Artemis zauważył, że Bertholt zaczął zaciskać dłonie, kiedy ruszyli.

- Hej, Bertholt! Co jest? To przecież tylko winda.

Bertholt zmusił się do uśmiechu. Wąsy skutecznie zamaskowały przelotny błysk zębów.

- Nic ci nie umknie, co Eustachy? Nie przepadam za 45

małymi przestrzeniami. A tutaj, ze względów bezpieczeń-

stwa, nie ma możliwości sterowania. Windą kieruje się zza biurka. Gdyby się popsuła, byłibyśmy zdani na ochronę. A ta kabina jest praktycznie hermetyczna. Co by się stało, gdyby strażnik dostał zawału serca albo poszedł na kawę?

Moglibyśmy wszyscy...

Nerwową tyradę urzędnika banku przerwał syk rozsuwających się drzwi. Dotarli na poziom skrytek depozytowych.

- No to jesteście - powiedział Bertholt, ocierając czo-

ło papierową chusteczką. Pomiędzy zmarszczkami na czole utkwił skrawek papieru i w podmuchu pobliskiego wentylatora trzepotał niczym chorągiewka. - Dotarliśmy bezpiecznie. Nie ma żadnych powodów do obaw. Wszystko w najlepszym porządku - zaśmiał się nerwowo. - Możemy?

Przy windzie oczekiwał na nich potężny funkcjonariusz ochrony. Artemis dostrzegł rewolwer przy jego pasie, a u szyi przewód od słuchawki tkwiącej w uchu strażnika.

- Willkommen, Bertholt. Widzę, że udało ci się dotrzeć w jednym kawałku. Znowu.

Bertholt wyłuskał kawałek chusteczki ze zmarszczki na czole.

- Tak, Kurt, udało mi się, i nie myśl, że nie zauważy-

łem kpiny w twoim głosie.

Kurt westchnął potężnie, aż wydobywające się powietrze zatrzepotało jego wargami.

- Proszę wybaczyć mojemu strachliwemu rodakowi-odezwał się do Butlera. - Wszystko go przeraża, od 46

pająków po windy. Dziw, że w ogóle wstaje z łóżka. Teraz poproszę obu panów, byście stanęli na tym żółtym kwa-dracie i podnieśli ręce na wysokość ramion.

Pasy żółtej taśmy na stalowej podłodze układały się w żółty kwadrat. Butler stanął na wskazanym miejscu, unosząc ramiona. Kurt obszukał go ze starannością, która za-wstydziałaby niejednego celnika, a potem polecił przejść przez bramkę wykrywacza metalu.

- Jest czysty - powiedział na głos. Słowa zarejestruje wpięty w klapę mikrofon i prześle do budki strażników.

- Teraz ty, chłopcze - powiedział Kurt. - To samo, co ojciec.

Artemis z ociąganiem poczłapał w stronę kwadratu.

Stanął i ledwie oderwał ręce od boków. Butler rzucił mu groźne spojrzenie.

- Eustachy! Nie możesz zrobić, o co człowiek cię prosi? W wojsku już byś czyścił latryny za takie zachowanie.

Artemis odpowiedział wyzywającym spojrzeniem.

- Tutaj nie jednostka wojskowa, p u ł k o w n i k u .

Kurt zsunął plecak z ramion Artemisa i zaczął przeglą-  
dać zawartość.

- Co to jest? - zapytał, wyciągając ramę z utwardzo-nego plastiku.

Artemis wziął ramę i rozłożył trzema zręcznymi ruchami.

- Hulajnoga, koleś. Może o nich słyszałeś. Taki środek transportu, co nie zanieczyszcza powietrza, którym oddychamy.

47

Kurt wziął od niego hulajnogę, zakręcił kółkiem, sprawdził miejsca połączeń.

Artemis uśmiechnął się głupawo.

- Oczywiście jest to także laser przecinający, z które-go pomocą mam zamiar się włamać do waszych skrytek.

- Mądrała z ciebie, co? - zadrwił Kurt, wkładając hulajnogę z powrotem do plecaka. - A to?

Artemis włączył swoją grę komputerową.

- Gra komputerowa. Dorośli wymyślili je, żeby nie rozmawiać z nastolatkami.

Kurt zerknął na Butlera.

- Prawdziwy brylant, sir. Chciałbym mieć takiego sy-na - potrząsnął pękiem kluczy przymocowanym do paska Artemisa. - A co to takiego?

Artemis podrapał się w głowę.

- Ee... klucze?

Kurt ze zgrzytem zacisnął zęby.

- Wiem, że to klucze, chłopcze. Co otwierają?

Artemis wzruszył ramionami.

- Różne rzeczy. Moją szafkę. Zamek skutera. Pamiątniki. Takie tam.

Strażnik przyjrzał się kluczom. Były najzupełniej zwyczajne, nie dałoby się z ich pomocą otworzyć skomplikowanego zamka. Ale w banku obowiązywał zakaz wnoszenia kluczy na niższy poziom. Przez bramkę wykrywacza metalu wolno było przenosić jedynie klucze do skrytek.

- Przykro mi. Klucze zostają tutaj - Kurt odpiął pęki umieścił go na płaskiej tacce. - Odbierzesz, wychodząc.

48

- Mogę już iść?

- Tak - powiedział Kurt. - Proszę bardzo, tylko najpierw podaj ojcu plecak.

Artemis podał Butlerowi plecak przez bramkę, a potem sam przeszedł, uruchamiając sygnał alarmowy. Kurt ruszył

za nim zniecierpliwiony.

- Masz przy sobie jeszcze coś metalowego? Sprzączkę paska? Monety?

- Pieniądze? - sarknął Artemis. - Dobrze by było.

- W takim razie co uruchamia detektor? - spytał zdziwiony Kurt.

- Chyba wiem - odrzekł Artemis. Uniósł palcem górną wargę. Na zębach miał metalową klamerkę.

- Aparat ortodontyczny. No tak - powiedział Kurt. -

Wykrywacz jest niezwykle czuły.

Artemis wyjął palec z ust.

- Czy aparat też mam zostawić? Zedrzyć go sobie z zębów?

Kurt wziął pytanie poważnie.

- Nie. Sądzę, że nie stanowi zagrożenia. Przechodź.

Ale zachowuj się w środku odpowiednio. To podziemia banku, a nie plac zabaw - Kurt urwał, wskazując kamerę nad ich głowami. - Pamiętaj, będę patrzył.

- A patrz, ile chcesz - odpowiedział beczelnie Artemis.

- Możesz być pewien, że będę, chłopcze. Wystarczy, że raz spluniesz na któreś drzwi, a wyjedziesz



stąd na ko-pach. W trybie przyspieszonym.

- Do licha, Kurt - powiedział Bertholt. - Nie bądź taki teatralny. To przecież nie kamery telewizyjne.

49

Bertholt poprowadził ich do drzwi podziemnego skarbcza.

- Proszę wybaczyć Kurtowi. Oblał egzamin do sił

specjalnych, dlatego trafił tutaj. Czasami mi się zdaje, że tylko czeka, aż ktoś będzie próbował obrabować bank.

Żeby mieć okazję do działania.

Okrągłe drzwi ze stali miały co najmniej pięć metrów średnicy. Jednakże Bertholt otworzył je jednym pchnię-

ciem.

- Są doskonale wyważone - wyjaśnił. - Dziecko by je otworzyło, przynajmniej przed piątą trzydzieści, kiedy zamykają się na noc. Oczywiście podziemie wyposażono w zamek czasowy. Nikt nie może otworzyć tych drzwi aż do ósmej trzydzieści rano. Nawet prezes banku.

Za drzwiami ciągnęły się rzędy stalowych skrytek depozytowych najrozmaitszych rozmiarów i kształtów. Każ-

da miała na drzwiach prostokątną dziurkę od klucza, spowitą blaskiem lampki światłowodowej. W tej chwili wszystkie światelka połyskiwały czerwienią.

Bertholt wydobyl z kieszeni klucz, przytroczony do paska łańcuszkiem ze stalowej plecionki.

- Rzecz jasna nie tylko wzór klucza jest istotny - powiedział, wsuwając swój klucz do głównego zamka. - W

każdym zamku zainstalowany jest układ scalony.

Butler wyjął z portfela podobny kluczyk.

- Jesteśmy gotowi?

- Jeśli pan jest gotów, to ja też, sir.

Butler przebiegł palcami po drzwiczkach kilku kolejnych skrytek, aż natrafił na opatrzoną numerem siedem-setnym. Wsunął klucz w otwór.

50

- Gotów.

- Znakomicie, sir. Na mój znak. Raz, dwa, trzy. Teraz.

Mężczyźni przekręcili kluczyki jednocześnie. Dzięki głównemu zamkowi złodziej nie mógł otworzyć skrytki pojedynczym kluczem. Gdyby obu kluczy nie przekręcono w ciągu jednej sekundy, skrytka pozostałaby zamknięta.

Światelko przy obu zamkach zmieniło kolor na zielony.

Drzwi skrytki Butlera odskoczyły lekko.

- Dziękuję, Bertholt - rzekł Butler, sięgając do środka.

- Oczywiście, sir - odrzekł Bertholt, zginając się w ukłonie. - Poczekam na zewnątrz. Niezależnie od kamer, mamy obowiązek inspekcji co trzy minuty. Zobaczymy się zatem za sto osiemdziesiąt sekund.

Kiedy tylko urzędnik wyszedł, Artemis obrzucił Butlera rozbawionym spojrzeniem.

- Eustachy? - rzucił kącikiem ust. - Nie przypominam sobie, żebym wybierał imię dla mojej postaci.

Butler uruchomił stoper w swoim zegarku.

- Improwizowałem, Artemisie. Uznałem, że sytuacja tego wymaga. Jeśli wolno mi dodać, wypadłeś nadzwyczaj przekonująco w roli nieznośnego nastolatka.

- Dzięki, stary przyjacielu. Staram się.

Butler wyjął ze skrytki rysunek architektoniczny i zaczął go rozkładać. Gdy skończył, płachta papieru miała rozmiary niemal dwóch metrów kwadratowych. Trzymał

ją w wyciągniętych ramionach, udając, że przypatruje się wydrukowanemu na papierze projektowi.

51

Artemis zerknął na umieszczoną pod sufitem kamerę.

- Unieś ręce o pięć centymetrów i przesun się o krok w lewo.

Butler swobodnie wykonał polecenia, maskując zmianę pozycji kaszlnięciem i wstrząśnięciem papieru.

- Dobrze. Doskonale. Nie ruszaj się.

Kiedy podczas ostatniej wizyty w banku Butler wynajmował skrytkę, ukrytym w guziku aparatem fotograficznym wykonał szereg zdjęć podziemnego pomieszczenia.

Artemis wykorzystał je do wygenerowania cyfrowej re-konstrukcji pokoju. Zgodnie z jego

obliczeniami, obecna pozycja Butlera zapewniała swobodę ruchów na przestrzeni dziesięciu metrów sześciennych. Wszystko, co będzie robił w tych wyznaczonych granicach, zasłoni plan trzymany przez Butlera.

Chłopiec stanął pomiędzy dwoma stalowymi ławkami i przyłgnął plecami do ściany skrytek depozytowych. Zaparłszy się obiema dłońmi o ławki, uniósł się w powietrze, wyciągając jednocześnie stopy ze sportowych butów, które były o kilka numerów za duże. Ostrożnie stanął na jednej z ławek.

- Trzymaj nisko głowę - doradził Butler.

Artemis sięgnął do plecaka po grę komputerową. Choć plastikowe pudełko istotnie nią było, jego najważniejszą funkcję stanowiło dostarczanie obrazu rentgenowskiego, przetwarzanego w czasie rzeczywistym. Urządzeń rentge-nowskich międzynarodowi kryminaliści używali dość powszechnie, a ukrycie takiego skanera w zabawce dla 52

nastolatków nie nastreczyło Artemisowi szczególnych problemów.

Artemis uruchomił emiter promieni rentgena i zabrał się do skanowania skrytek zasłoniętych przez Butlera.

Służący wynajął swoją dwa dni po Crane & Sparrow.

Przede wszystkim dlatego, że obie skrytki znalazły się w ten sposób blisko siebie, jeśli tylko Crane & Sparrow nie zażyczyli sobie specjalnego numeru. Gdyby to zrobili, Artemis musiałby wymyślić coś na poczekaniu. Chłopiec oszacował szanse zdobycia Urowadzenia podczas pierwszej próby na czterdzieści procent. Nie było to może zbyt wiele, ale nie miał już teraz wyboru. W ostateczności dowie się jeszcze więcej o systemie ochrony banku.

Na niewielkim wyświetlaczu gry komputerowej pojawiło się wewnątrz pierwszej skrytki, wypchanej banknota-mi.

- To nie ta - powiedział Artemis. - Tylko gotówka.

Butler uniósł brew.

- Wiesz, mawiają, że gotówki nigdy za wiele...

Artemis zdążył się już zająć następną skrytką.

- Nie dzisiaj, staruszk. Ale trzymaj tę swoją skrytkę jeszcze przez jakiś czas, na wypadek gdybyśmy mieli tu wrócić.

Następna zawierała obwiązany wstążkami plik papierów wartościowych. W kolejnej odkrył kopczyk diamentów na tacce. Dopiero w ostatniej natrafił na prawdziwą żyłę złota. Mówiąc metaforycznie. Skrytka kryła długą tubę ze zwiniętym w rulon płótnem w środku.

- Myślę, że go mamy, Butler. To chyba ta.

- Będzie czas, żeby się ekscytować, kiedy obraz za-wisnie na ścianie Dworu Fowlów. Pospiesz się, Artemisie, ręce mi odrobinę zdrętwiały.

Artemis przywołał się do porządku. Oczywiście Butler miał rację. Od posiadania Uprowadzenia dzieliła ich jeszcze długa droga, o ile tuba faktycznie zawierała zaginione dzieło Hervégo. Równie dobrze bowiem mógł w niej spoczywać rysunek helikoptera nagryzmołony przez wnuczka dla dumnego dziadka.

Artemis przesunął urządzenie w dół, aby obejrzeć dno skrytki. Na drzwiach nie dostrzegł znaków wytwórcy, niemniej rzemieślnicy często byli zbyt dumni ze swoich wyrobów, by oprzeć się pokusie i nie umieścić gdzieś swego znaku, nawet jeśli nikt prócz nich nie miał o tym wiedzieć. Artemis szukał może przez dwadzieścia sekund, nim znalazł to, czego się spodziewał. Na samych drzwiczkach, z tyłu, widniało wyryte słowo: „Blokken”.

- Blokken - powiedział chłopiec z triumfem. - Mieli-

śmy rację!

Jedynie sześć firm na świecie potrafiło wytwarzać skrytki depozytowe tej jakości. Artemis włamał się do komputerów firmy i znalazł Bank Międzynarodowy na liście jej klientów. Blokken, niewielka spółka rodzinna z siedzibą w Wiedniu, wykonała również skrytki dla kilku banków w Genewie i na Kajmanach. Butler złożył krótką wizytę w jednym z warsztatów Blokkena i zwędził dwa klucze do zamków głównych. Rzecz jasna, metalowe, 54

więc nie było sposobu, żeby ukryć je przed bramką wy-krywającą. Chyba że pracownicy ochrony z jakichś względów pozwoliliby je wnieść.

Artemis wsunął dwa palce do ust i odpiął aparat ortodontyczny. Pod spodem znajdowała się plastikowa klamra, do niej zaś przypięte były dwa klucze. Klucze do zamka głównego.

Artemis przez kilka sekund poruszał szczęką.

- O wiele wygodniej - powiedział. - Czuję się jak zakneblowany.

Kolejnym problemem była odległość. Skrytkę depozytową dzieliło od głównego zamka ponad dwa metry. Jedna osoba nie miała szans otworzyć skrytki bez pomocy. Jeśli ktoś stał przy głównym zamku, znajdował się w samym środku pola widzenia strażników ochrony.

Artemis wyjął z plecaka hulajnogę. Wyciągnął jeden nit i odłączył kolumnę kierownicy od podstawy. Nie była to zwyczajna hulajnoga. Skonstruował ją przyjaciel Butlera, inżynier, bazując na bardzo nietypowym projekcie.

Podstawa była całkiem zwyczajna, natomiast kolumna kierownicy rozsuwała się teleskopowo za

naciśnięciem uwalniającego sprężynę przycisku. Artemis odkręcił od kierownicy jeden uchwyt i przykręcił na drugim końcu kolumny. Na brzegu każdego uchwytu znajdowało się nacięcie, w którym Artemis umieścił po kluczu. Wystarczyło teraz wsunąć oba klucze do odpowiednich zamków i jednocześnie przekręcić.

Artemis wsunął pierwszy klucz do skrytki depozytowej Crane & Sparrow.

55

- Gotów? - spytał Butlera.

- Tak - odrzekł służący. - Ale ani kroku dalej w tamtą stronę.

- Trzy. Dwa. Jeden. Jazda.

Artemis nacisnął przycisk uwalniający sprężynę w kolumnie kierownicy. Szurając bosymi stopami po ławce, pociągnął za sobą teleskopowy słupek. Kiedy chłopiec się przemieszczał, Butler odwracał swój masywny korpus tak, by Artemis pozostał ukryty za arkuszem papieru. Przesunął szkic architektoniczny akurat tyle, by ukryć zamek główny i nie pokazać, że buty Artemisa stoją na podłodze bez właściciela. Niemniej docelowa skrytka wraz z tkwią-

cym w niej słupkiem teleskopowym będą widoczne przez chwilę, której Artemis potrzebował na wsunięcie drugiego klucza do zamka.

Zamek główny znajdował się prawie metr od stalowej ławki. Artemis wychylił się najdalej jak mógł, nie tracąc równowagi, i gładko wsunął klucz do zamka, po czym szybko poszurał z powrotem, a Butler ponownie zasłonił

skrytkę Crane & Sparrow. Cały plan opierał się na przesłance, że strażnicy skoncentrują się na Butlerze i nie zauważą cienkiego słupka sięgającego do głównego zamka.

Żeby dodatkowo utrudnić im sprawę, słupek pomalowany był na dokładnie ten sam kolor, co skrytki depozytowe.

Artemis wrócił do skrytki i przekręcił jeden uchwyt kierownicy. Ukryty w słupku system przekładni i kół

przekręcił równocześnie drugi. Oba zamki rozświeciły się na zielono. Skrytka Crane & Sparrow stanęła otworem.

56

Przez chwilę Artemis smakował uczucie satysfakcji. Wynalazek zadziałał. Z drugiej strony niby dlaczego miało być inaczej, skoro czynił zadość wszystkim prawom fizyki? Zdumiewające, jak łatwo okpić wyrefinowaną elektro-nikę, dysponując jedynie hulajnogą i aparatem ortodontycznym.

- Artemisie - warknął Butler. - Jeszcze chwila, a będę musiał opuścić ręce. Więc, jeśli nie masz nic

przeciwko temu...

Artemis przestał się delectować zwycięstwem. Jak na razie, byli jeszcze w podziemiach banku. Przekręcił

uchwyt w przeciwnym kierunku i pociągnął słupek ku sobie. Oba klucze wyskoczyły z zamków. Jedno naciśnię-

cie guzika i kolumna odzyskała zwyczajną długość. Jednakże Artemis nie składał jeszcze hulajnogi. Mogła się przydać do przeszukania innych skrytek.

Artemis przeświecił otwartą skrytkę urządzeniem rent-genowskim, nim szerzej otworzył drzwiczki. Szukał kabli i obwodów uruchamiających dodatkowe alarmy. Znalazł

bezpiecznik, podłączony do małego megafonu. Dla każdego złodzieja byłoby nad wyraz kłopotliwe, gdyby ochronę zaalarmowało o jego skrytych poczynaniach ochryple zawrodożenie syreny przeciwności. Artemis uśmiechnął

się. Najwyraźniej Crane & Sparrow mieli poczucie humoru. Może zatrudni ich kiedyś w charakterze swoich prawników.

Chłopiec zdjął z szyi słuchawki i odpiął końcówki. Odśloniętym w ten sposób przewodem połączył dwa końce bezpiecznika. Teraz mógł bezpiecznie go usunąć, bez

przerywania obwodu. Szarpnął raz. Syrena milczała głucho.

Wreszcie skrytka została całkowicie otwarta. Wewnątrz, oparta o tylną ścianę, tkwiła samotna tuba. Wykonana w perspeksie, z obiecującym rulonem w środku. Artemis wyjął ją i podniósł do światła. Przez kilka sekund przypatrywał się uważnie obrazowi przez przejrzyste tworzywo. Nie chciał ryzykować otwierania tuby, dopóki nie znajdą się bezpiecznie w hotelu. Gdyby pochopnie zabrał

się do tego w tej chwili, mógłby uszkodzić obraz. A skoro czekał latami, by zdobyć Uprawdzenie, kilka godzin nie stanowiło różnicy.

- Styl nie do pomylenia - powiedział, zamykając skrytkę. - Zdecydowane pociągnięcia pędzlem. Duże plamy światła. Albo to Hervé, albo znakomita kopia. Naprawdę sądzę, że się nam udało, Butler. Jednak pewien nie będę, póki nie otrzymam wyników badania izotopem wę-

gla i analizy farby.

- Świetnie - powiedział służący zerkając na zegarek. -

Porozmawiamy w hotelu. Pakuj się i zabierajmy się stąd.

Artemis wsunął tubę do plecaka, w ślad za nią podążyła złożona hulajnoga. Następnie przypiął klucze do plastikowej klamry i założył aparat na zęby.

Drzwi pomieszczenia otworzyły się w chwili, kiedy chłopiec wsuwał stopy w buty. W drzwiach pojawiła się głowa Bertholta.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Butler złożył plan i wsunął go do kieszeni.

58

- Świetnie, Bertholt. Prawdę mówiąc, znakomicie.

Możesz nasz zaprowadzić na poziom główny.

Bertholt skłonił się lekko.

- Oczywiście. Proszę za mną.

Artemis ponownie przedzierzgnął się w bezczelnego nastolatka.

- Wielkie dzięki, Berty. Naprawdę pasjonujące.

Wprost uwielbiam spędzać wakacje w bankach i oglądać papiery.

Wielkie brawa dla Bertholta za opanowanie! Jego uśmiech ani drgnął.

Kurt oczekiwał na nich przy bramce wykrywacza metalu, z rękoma złożonymi na piersi rozmiarów torsu noso-rozca. Odczekał, aż przejdzie Butler i poklepał Artemisa po ramieniu.

- Sądysz, że jesteś naprawdę mądry, chłopaczku? -

powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu.

Artemis odwzajemnił uśmiech.

- W porównaniu z tobą? Bez dwóch zdań.

Kurt schylił się, opierając dłonie na kolanach, by jego wzrok znalazł się na poziomie oczu Artemisa.

- Przez cały czas obserwowałem cię z budki strażniczej. Nic nie robiłeś. Tacy jak ty nigdy nic nie robią.

- Skąd wiesz? - spytał Artemis. - A może włamałem się do skrytek?

- Jasne, dobra, dobra. Przez cały czas widziałem twoje stopy. Tkwiłeś w miejscu jak kołek.

Artemis pochwycił z tacki pęk kluczy i pobiegł za Butlerem do windy.

59

- Wygrałeś tym razem. Ale ja wrócę!

Kurt przyłożył do ust zwiniętą w trąbkę dłoń.

- Zapraszam - zawołał. - Będę czekać!

## ROZDZIAŁ TRZECI

### O WŁOS OD ŚMIERCI

Komenda Policji, Oaza City, Niższa Kraina Kapitan Holly Nieduża miała otrzymać awans. Był to zwrot w karierze na miarę stulecia. Zaledwie niecały rok wcześniej Holly była centralną postacią dwóch dochodzeń prowadzonych przez Wydział Spraw Wewnętrznych; teraz jednakże, po sześciu misjach rozpoznawczych zakończonych sukcesem, zyskała sławę asa oddziałów SKRZAT.

Zbliżało się posiedzenie Rady, podczas którego miała za-pać decyzja, czy Holly zostanie pierwszym majorem płci żeńskiej w historii SKR. Prawdę mówiąc, perspektywa awansu ani trochę nie pociągała Holly. Majorzy rzadko kiedy mają okazję włożyć na plecy zestaw skrzydeł i latać pod rozgwieżdżonym niebem. Mają natomiast bardzo czę-

sto okazję posyłać na takie wyprawy młodszych rangą funkcjonariuszy. Holly postanowiła już, że odmówi

przyjęcia awansu, jeśli Rada go przyzna. Ostatecznie z niższej pensji też da się wyżyć, a tak przynajmniej będzie regularnie posyłana na górę.

Holly uznała, że rozsądnie byłoby zwierzyć się ze tego postanowienia komendantowi Juliuszowi Bulwie. W koń-

cu to właśnie Bulwa stał za nią murem podczas tamtych dochodzeń, i to właśnie on wysunął jej bezprecedensową kandydaturę do awansu. Komendant na pewno nie przyjmie tego dobrze. Fakt, Bulwa nigdy niczego nie przyjmował dobrze, nawet najlepsze wieści nagradzane były przez niego burkliwym „dziękuję” i trzaśnięciem drzwiami.

Tego ranka Holly stała przed biurem Bulwy i zbierała się na odwagę, by zastukać. Elficzka mierzyła dokładnie metr, czyli odrobinę poniżej średniego wzrostu wróżek, więc czuła się pewniej z powodu centymetra, uzyskanego dzięki postawionym na jeża ciemnorudym włosom. Nie zdążyła jednak uporać się ze strachem, bo drzwi otworzyły się z hukiem, a za nimi pojawiła się buraczkowa twarz Bulwy.

- Kapitan Nieduża! - ryknął Bulwa, aż zafalowały jej krótkie włosy. - Do mojego biura! - po czym zauważył

stojącą pod drzwiami Holly. - A, tu jesteście. Wchodźcie, mamy zagadkę do rozwiązania. Chodzi o jednego z naszych starych znajomych, goblinów.

Holly pospieszyła za Bulwą do pomieszczenia. W



środku był już Ogierek, geniusz techniczny SKR. Stał tak blisko plazmowego wyświetlacza, że zdążył sobie osmalić włosy w nozdrzach.

62

- To materiał filmowy ze Wzgórza Wyjców - wyja-

śnił Bulwa. - Generał Łuskoń uciekł.

- Uciekł? - powtórzyła Holly. - Wiemy, jak tego dokonał?

Ogierek pstryknął palcami.

- D'arvit! Właśnie nad tym powinniśmy się teraz zastanawiać, zamiast siedzieć tu i bawić się w wątpliwe do-mniemania.

- Nie mamy czasu na zwyczajową sarkastyczną gadkę-szmatkę, Ogierek! - krzyknął Bulwa, a jego policzki przybrały barwę burgunda. - To katastrofa dla działu PR!

Łuskoń jest wrogiem publicznym numer dwa, zaraz po Opal Koboi. Jeżeli pismaki coś zwęszą, staniemy się po-

śmiewiskiem całej Oazy. Nie wspominając już o tym, że Łuskoń może skołować kilku swoich koleśków i reaktywować triadę.

Holly podeszła do ekranu, szturchając po drodze Ogierka łokciem w zad, by się przesunął. Jej rozmowa z komendantem Bulwą mogła poczekać. Najpierw obowiązki służbowe.

- Co oglądamy?

Ogierek podświetlił fragment ekranu wskaźnikiem laserowym.

- Wzgórze Wyjców, zakład poprawczy goblinów.

Kamera osiemdziesiąt cztery.

- Na której widać?

- Pokój odwiedzin. Łuskoń wszedł do środka i już nie wyszedł.

Holly zbadała najpierw dokładną lokalizację kamery.

63

- A wnętrza pokoju nie mamy na nagraniu?

Bulwa kaszlnął lub warknął. Nie sposób się było zorientować.

- Nie. Zgodnie z Trzecią Konwencją Praw Wróżek Atlantydy, osadzeni mają prawo do prywatności w pokoju odwiedzin. Nie ma tam kamery.

- Czyli nie mamy zielonego pojęcia, co się tam działo?

- Nie za bardzo.

- Ten system musiał zaprojektować prawdziwy geniusz!

Bulwa zachichotał, mimo powagi sytuacji. Nie mógł się oprzeć pokusie, kiedy nadarzała się okazja, by zburzyć dobre samopoczucie centaura.

- Zaprojektował go oczywiście nasz mały kucyk.

Zautomatyzowany system zabezpieczeń Wzgórza Wyjców to jego projekt autorski.

Ogierek wyduł usta, a kiedy robi to centaur, jego dolna warga niemal dotyka brody.

- To nie przez system. System jest idiotoodporny.

Każdemu więźniowi wszczepia się standardowo w czaszkę wyszukiwacz-usypiacz. Nawet gdyby jakimś goblinowi udało się dokonać cudu i uciec, możemy zdalnie pozbawić go przytomności i schwytać.

Holly podniosła rękę.

- Więc w czym problem?

- Problem w tym, że jego wyszukiwacz-usypiacz nie nadaje. Albo raczej my nie odbieramy sygnału.

- Istotnie, to już problem.

64

Bulwa zapalił smrodliwe grzybowe cygaro. Dym zniknął natychmiast w stojącym na biurku odświeżaczu powietrza.

- Wysłałem oddział majora Wodorosta na powierzchnię, próbuje namierzyć sygnał.

Kłopot Wodorost, który otrzymał ostatnio awans na najstarszego rangą poza Bulwą funkcjonariusza w szeregach policji, nie należał do tych, co lubią przesiadywać za biurkiem, w przeciwieństwie do swego młodszego brata, kaprała Pędraka Wodorosta, który przez całą swą iście zawrotną karierę o niczym innym nie marzył. Holly miała nadzieję, że jeśli nie uda jej się wywinąć od awansu, bę-

dzie mogła pójść za przykładem Wodorosta.

Ponownie spojrzała na wyświetlacz plazmowy.

- Okej. Kto odwiedzał generała Łuskonia?

- Jeden z tysięcy kuzynów. Goblin imieniem Boohn.

Zdaje się, że w narzeczu goblinów znaczy to „szlachetne czoło”.

- Pamiętam, który to - powiedziała Holly. - Boohn. W

Cłach i Akcyzie sądzą, że to on i paru innych stało za przemytem zorganizowanym przez B'wa Kell. Szlachetno-

ści w nim po same uszy, fakt.

Ogierek otworzył wskaźnikiem laserowym folder na plazmowym ekranie.

- Oto lista odwiedzających. Boohn przyszedł o siód-mej pięćdziesiąt, standardowego czasu Niższej Krainy.

Przynajmniej to możemy obejrzeć na nagraniu.

65

Na wyświetlaczu pojawił się ziarnisty obraz przysadzi-stej postaci. Goblin stał w korytarzu wejściowym budynku penitencjarnego, oblizując nerwowo gałki oczne, omiatany wiązką promieni lasera skanującego. Kiedy komputer uznał, że Boohn nie zamierza wnieść niczego niedozwolonego, drzwi do pokoju odwiedzin stanęły otworem.

Ogierek przewinął listę w dół.

- O proszę, spójrzcie tutaj. Opuścił zakład o ósmej piętnaście.

Boohn umykał z zakładu niezwykle żwawo, najwyraź-

niej nie czuł się w środku jak w domu. Nagranie z kamery parkingowej pokazywało, jak opada na cztery łapy i pędzi do swego promu.

Holly przyjrzała się uważnie liście nazwisk.

- Więc mówisz, że Boohn opuścił zakład o ósmej piętnaście?

- Właśnie to powiedziałem, Holly. Czy może mi się zdawało? - odrzekł rozdrażniony Ogierek. - Powtórzę zatem raz jeszcze. O ósmej piętnaście.

Holly przechwyciła od centaura wskaźnik laserowy.

- Skoro to prawda, to jak to możliwe, że wyszedł po raz drugi o ósmej dwadzieścia?

Elficzka miała rację. Osiem liniiek niżej Boohn ponownie pojawiał się na liście.

- Też to zauważyłem. Błąd komputera – mruknął Ogierek. - Nic innego. Przecież nie mógł wyjść dwa razy.

To niemożliwe. Czasami w systemie zdarza się taki psi-kus, zwykły nieszkodliwy błąd.

66

- O ile przyjmujemy, że ten drugi to rzeczywiście był

Boohn.

Ogierek rozłożył ramiona w obronnym geście.

- Naprawdę uważasz, że o tym nie pomyślałem? Każ-

dy, kto odwiedza lub opuszcza Wzgórze Wyjców, jest skanowany z tuzin razy. Każde skanowanie pozwala uchwycić minimum osiem charakterystycznych punktów twarzy. Jeżeli komputer mówi, że to był Boohn, był to Boohn i koniec. Nie ma szans, żeby goblin przechytrył

mój system. Przecież tym stworzeniom ledwie wystarcza władz umysłowych, żeby iść i mówić w tym samym czasie.

Holly użyła wskaźnika laserowego, by raz jeszcze obejrzeć nagranie z przybycia Boohna. Zrobiła powiększenie głowy goblina i wyostrzyła je za pomocą programu do przetwarzania obrazu.

- Czego szukacie? - chciał wiedzieć Bulwa.

- Nie wiem, komendancie. Czegoś. Czegokolwiek.

Upłynęło kilka minut, ale Holly znalazła w końcu to, czego szukała. Natychmiast zdała sobie z tego sprawę. Jej policyjny zmysł zabrzączał u nasady karku niczym rój rozszoszczonych pszczoł.

- Spójrzcie tutaj - powiedziała, powiększając czoło Boohna. - Pęcherz. Ślad linienia. Ten goblin będzie zmieniał skórę.

- No i co z tego? - parsknął Ogierek gburowato. Holly otworzyła materiał z nagraniem z wyjścia Boohna.

- Spójrzcie tutaj. Nie ma pęcherza.

67

- Pewnie go wycisnął. Wielkie odkrycie.

- Nie. Nie chodzi tylko o pęcherz. Kiedy Boohn wchodził, jego skóra była niemal zupełnie szara. A

tutaj jest jasnozielona. Goblin ma nawet na plecach wzór maskujący.

Ogierek parsknął.

- Tak jakby w mieście trudno się było ukryć.

- Przejdźcie do rzeczy, Kapitan Nieduża - zniecierpliwił się Bulwa, gasząc cygaro.

- Skoro Boohn zmienił skórę w pokoju odwiedzin, to w takim razie gdzie ona jest?

Na długą chwilę zapadła cisza. Trwała akurat tyle, by pozostali wyciągnęli wnioski z pytania Holly.

- Czy to się mogło udać? - spytał nagłaco Bulwa.

Ogierek stał jak oniemiały.

- Na bogów, sędzę, że tak! - wykrztusił. Centaur wysunął klawiaturę, jego szczupłe palce zatańczyły po gno-mickich literach. Na ekranie pojawiło się okienko jeszcze jednego materiału wideo. Kolejny goblin opuszczał pomieszczenie. Wyglądem bardzo przypominał Boohna.

Bardzo, lecz nie do końca. Coś było nie tak. Ogierek zrobił

zbliżenie głowy goblina. W dużym powiększeniu widać było wyraźnie, że skóra nie leży dobrze. Tu i tam brakowało skrawków, a w okolicy pasa było jej zbyt dużo i wał-

kowała się.

- Nie wierzę. On to naprawdę zrobił.

- Musiał mieć wcześniej plan - zauważyła Holly. - Z

całą pewnością nie było to spontaniczne działanie. Boohn 68

odczekał do okresu linienia. Potem odwiedził wuja i zrzucił skórę. Generał Łuskoń włożył ją na siebie i wyszedł z pokoju, ogłupiając po drodze wszystkie twoje skanery.

Kiedy po raz drugi pojawiło się nazwisko Boohna, uznałeś to za błąd komputera. Proste, ale genialne.

Ogierek opadł na biurowe krzesło specjalnej konstrukcji.

- To niewiarygodne. Gobliny są w stanie zrobić coś takiego?

- Kpicie sobie ze mnie? - rzekł Bulwa. - Ich krawcy są w stanie zdjąć skórę bez jednego rozdarcia. Przecież szyją sobie z niej ubrania, kiedy w ogóle mają ochotę jakieś nosić.

- Wiem, wiem. Pytałem, czy gobliny byłyby w stanie coś takiego wymyślić. Nie wydaje mi się. Trzeba znaleźć Łuskonia i dowiedzieć się, kto za tym stoi.

Ogierek wybrał numer sali Koboï w klinice Argona.

- Mam zamiar sprawdzić, czy Opal Koboï nadal przebywa w sypialni. Ta ucieczka jest zupełnie w jej stylu. -

Minutę później centaur odwrócił się razem z fotelem i spojrzał na Bulwę. - Nic. Wciąż w krainie snów. Sam nie wiem, czy mi ulżyło. Strasznie bym nie chciał mieć Opal znowu na chodzie, ale z drugiej strony przynajmniej by-

śmy wiedzieli, z kim nam przyszło walczyć.

Nagła myśl uderzyła Holly i sprawiła, że krew odpłynę-

ła jej z twarzy.

- A może to on? Artemis Fowl?

69

- Z całą pewnością nie - odrzekł Ogierek. - Błotniaczek nie ma z tym nic wspólnego. Niemożliwe.

Bulwa nie podzielał jego pewności.

- Na waszym miejscu nie chlapałbym pochopnie jęzorem. Holly, jak tylko schwytamy Łuskonia, weźmiesz formularz wywiadowczy i przez parę dni będziesz deptać Błotniakowi po piętach. Dowiesz się, co kombinuje. Po prostu na wszelki wypadek.

- Tak jest, sir.

- Co do was, Ogierek, to udzielam zgody na zastosowanie lepszego sprzętu inwigilacyjnego. Czegokolwiek będziecie potrzebowali. Chcę mieć każdą rozmowę telefoniczną Artemisa na nagraniu i przeczytać każdy list, który napisze.

- Ależ, Juliuszu. Osobiście nadzorowałem wymazywanie jego pamięci. To była koronkowa robota. Oczywiście-

łem jego umysł ze wspomnień o świecie wrózek dokładniej niż goblin wysysa ślimaka z muszli. Możemy zjawić się przed frontowymi drzwiami Artemisa, tańcząc kanka-na, a i tak nas sobie nie przypomni. Żeby wywołać choć częściowy powrót wspomnień, potrzebny byłby odpowiedni bodziec.

Bulwa nie lubił, kiedy z nim dyskutowano.

- Po pierwsze, nie mówcie do mnie Juliusz. Po drugie, róbcie co mówię, kucyku, bo inaczej potnę wam bu-dżet. I po trzecie, co to jest kankan, do pioruna?!

Ogierek przewrócił oczyma.

- Nieważne. Zabieram się do organizowania sprzętu.

70

- Mądrze z waszej strony - powiedział Bulwa, wyjmując zza pasa rozwibrowany telefon. Słuchał przez kilka sekund, przytakując burkliwie.

- Na razie darujemy sobie Fowla - powiedział, składając telefon. - Kłopot zlokalizował generała Łuskonia. W

szybie E37. Holly, jedziesz ze mną. Ogierek, ruszycie za nami swoim technicznym wahadłowcem. Zdaje się, że generałowi zebrało się na pogawędkę.

W Oazie budziło się poranne życie handlowe. Choć słowo „poranek” jest może nieco zwodnicze wobec cał-

kowitego braku światła słonecznego pod ziemią. Według ludzkich standardów, Oaza, zamieszkała przez niespełna dziesięć tysięcy obywateli, ledwie zasługiwała na miano miasta. Jednakże dla wróżek była największą metropolią od czasu, kiedy stara Atlantyda zniknęła pod trzypiętrowym dokiem dla promów.

Krażownik SKR komendanta Bulwy mknął na prze-strzał przez poranne korki, pole magnetyczne pojazdu automatycznie przesuwano inne wehikuły na pas powolnego ruchu. Bulwa i Holly siedzieli z tyłu, nie mogąc się doczekać końca podróży. Sytuacja z minuty na minutę robiła się coraz bardziej nietypowa. Najpierw Łuskoń zdo-

łał uciec, teraz ni stąd, ni zowąd sygnał jego urządzenia lokacyjnego pojawił się znowu i na dokładkę okazało się, że generał chce rozmawiać z komendantem Bulwą.

- Co o tym wszystkim myślicie? - spytał wreszcie Bulwa. Był dobrym komendantem także dlatego, że szanował opinie swoich podwładnych.

71

- Nie wiem. To może być pułapka. Cokolwiek się stanie, nie może pan pójść sam.

Bulwa skinął głową.

- Wiem o tym. Nawet ja nie byłbym taki uparty. Tak czy owak, Kłopot zapewne zdąży uporać się z sytuacją do naszego przybycia. Nie przepada za czekaniem na zwierzchników. Kogoś mi to zresztą przypomina, Holly....

Holly trochę się uśmiechnęła, a trochę skrzywiła. Nie-raz dostała naganę za zlekceważenie rozkazu oczekiwania na posiłki.

Bulwa opuścił dźwiękoszczelną barierę, oddzielającą ich od kierowcy.

- Musimy pogadać, Holly. O tej całej sprawie z awan-sem.

Holly spojrzała w oczy swemu zwierzchnikowi. Dostrzegła w nich cień smutku.

- Nie dostałam awansu - wyrzuciła z siebie, nie mogąc ukryć ulgi.

- Nie. Nie, właśnie że dostałaś. Albo dostaniesz. Oficjalne obwieszczenie będzie jutro. Pierwszy major płci żeńskiej w historii Rozpoznania. Niezłe osiągnięcie.

- Ale, panie komendancie, nie sądzę...

Bulwa uciszył ją ruchem dłoni.

- Opowiem ci coś, Holly. O mojej karierze. To będzie jakby metafora twojej kariery, więc wysłuchaj mnie uważ-

nie i postaraj się zrozumieć, o co mi idzie. Wiele lat temu, kiedy jeszcze nosiłaś jednoczęściowe ubranko z odpinaną klapką z tyłu, byłem prawdziwym asem Rozpoznania.

11

Uwielbiałem zapach świeżego powietrza. Każda chwila spędzona w świetle księżyca była dla mnie bezcenna.

Holly bez problemu postawiła się w sytuacji komendanta. Czowała dokładnie to samo.

- Więc wywiązywałem się ze swoich obowiązków najlepiej, jak potrafiłem, trochę chyba zbyt dobrze, jak się okazało. Pewnego dnia dostałem awans.

Bulwa otoczył koniec cygara bańką oczyszczającą, że-by zapach nie rozchodził się po pojeździe. Był to rzadki gest z jego strony.

- Major Juliusz Bulwa. Ostatnia rzecz, jakiej pragna-

łem, więc pomaszerowałem prosto do biura komendanta i go o tym poinformowałem. Jestem wróżką polową, mówi-

łem. Nie chcę tkwić za biurkiem i wypełniać formularzy.

Wierz mi lub nie, byłem bardzo wzburzony.

Holly usiłowała przez chwilę wyglądać na zaskoczoną, ale dała spokój. Komendant był co najmniej wzburzony przez większość czasu, o czym dobitnie świadczyły jego wiecznie czerwone policzki oraz przezwisko „Burak”, które przyłgnęło doń z ich powodu.

- Ale mój komendant powiedział jedną rzecz i zmieniłem zdanie. Wiesz, co powiedział?



Bulwa kontynuował swoją opowieść, nie czekając na odpowiedź.

- Powiedział: „Juliuszu, ten awans nie jest dla ciebie, lecz dla Ludu”. - Bulwa uniósł brew. - Rozumiesz chyba, do czego zmierzam.

Holly rozumiała. To była luka w jej argumentacji.

73

Bulwa położył dłoń na ramieniu Holly.

- Ludowi potrzebni są dobrzy funkcjonariusze, Holly.

Potrzeba mu wrózek, które ochronią go przed Błotnymi Ludźmi. Pewnie, że wolałbym śmigać pod gwiazdami, chwytając w nozdrza wiatr. Ale czy zrobiłbym w ten sposób tak wiele dla Ludu, jak teraz? Nie.

Bulwa urwał i zaciągnął się głęboko cygarem. Blask rozjarzył magiczną bańkę oczyszczającą.

- Jesteś dobrym funkcjonariuszem Rozpoznania, Holly, jednym z najlepszych, z jakimi się zetknąłem. Czasem nieco impulsywnym, niewiele też w tobie szacunku dla zwierzchników, ale bez dwóch zdań masz intuicję. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, żeby cię zdjąć z pierwszej linii, gdybym nie uznał, że pod powierzchnią lepiej się przysłużysz SKR. Rozumiesz?

- Tak, panie komendancie - powiedziała smętnie Holly. Miał rację, nawet jeśli egoistyczna część natury Holly nie była na razie gotowa tego zaakceptować. Przynajmniej czekało ją jeszcze zadanie śledzenia Fowla, zanim nowe zlecenia przykują ją do biurka w Niższej Krainie.

- Stopień majora wiąże się z pewnym przywilejem -

odezwał się Bulwa. - Raz na jakiś czas, po prostu żeby się nie nudzić, możesz zlecić sobie zadanie. Niekiedy na powierzchni. Na Hawajach na przykład albo w Nowej Zelandii. Zobacz, co robi Kłopot Wodorost. To nowy model majora, bardziej terenowy. Chyba właśnie takich najbardziej potrzeba SKR.

Holly zdawała sobie sprawę, że komendant stara się złagodzić cios. Kiedy tylko odznaka majora pojawi się w 74

jej klapach, z całą pewnością nie będzie mogła wyruszać na powierzchnię tak często, jak dotychczas. Jeśli w ogóle.

- Wysuwając twoją kandydaturę do awansu, Holly, nadstawiam za ciebie karku. Przebieg twojej dotychczasowej kariery był dość dwuznaczny, mówiąc najdelikatniej. Jeżeli masz zamiar nie przyjąć awansu, powiedz teraz, a ja usunę twoje nazwisko z listy kandydatów.

„Ostatnia szansa - przebiegło Holly przez myśl. - Teraz albo nigdy”.

- Nie - powiedziała. - Nie mam zamiaru odrzucać awansu. Jakżebym mogła? Kto wie, kiedy pojawi się na-stępny Artemis Fowl?

Własny głos zabrzmiał dla Holly głucho, jakby dobiegał z wielkiej odległości, jakby to ktoś inny mówił do niej.

Każde słowo rozlegało się niczym uderzenie dzwonu ob-wieszczającego nudę, która miała wypełnić resztę kariery elficzki. Praca przy biurku. Będzie pracować przy biurku.

Bulwa z wrodzoną delikatnością poklepał ją po plecach, pozbawiając Holly na moment tchu.

- Uszy do góry, kapitanie. Pod powierzchnią też da się żyć. Przekonacie się.

- Wiem - powiedziała Holly, wyraźnie bez przekonania.

Krażownik policji zatrzymał się przed wejściem E37.

Bulwa otworzył drzwi pojazdu i zaczął wysiadać. Raptem zatrzymał się.

75

- Jeżeli robi ci to jakąś różnicę - powiedział cicho, niemal nieśmiało - jestem z ciebie dumny, Holly.  
- I już go nie było, wyszedł z pojazdu i zniknął w tłumie funkcjonariuszy SKR, zgromadzonych pod wejściem do szybu z odbezpieczoną bronią.

„Robi - pomyślała Holly, przypatrując się, jak Bulwa w jednej chwili przejmuje kontrolę nad sytuacją. - I to dużą”.

Szyby takie jak ten były to naturalne rynny magmowe, ciągnące się od jądra Ziemi aż na powierzchnię planety.

Ujścia większości z nich znajdowały się pod wodą, dostarczając ciepłych prądów, zbawiennych dla życia głęboko-morskiego, nieliczne wypływały swoje wyziewy poprzez sieć pęknięć i szczelin pokrywających pajęczyną ląd stały.

SKR używało flar magmowych, aby posyłać swych funkcjonariuszy na powierzchnię w tytanowych jajach. Nieco wygodniej podróżowało się szybami wygasłymi, na pokładzie promów. E37 sięgał powierzchni na przedmieściach Paryża i wcześniej służył goblinom do przemytu. Przez wiele lat nie był w użyciu i wymagał generalnego remon-tu. Obecnie jedynymi jego użytkownikami byli członkowie ekipy filmowej, którzy kręcili film telewizyjny o rebelii B'waKell. W rolę Holly miała się wcielić trzykrotna zdobywczyni AMP, Skylar Peat, Artemis Fowl zaś miał

zostać całkowicie wygenerowany komputerowo.

Gdy Holly i Bulwa zjawili się na miejscu, major Kłopot Wodorost dowodził trzema oddziałami sił rozpoznania 76

SKR, rozstawionymi przed wejściem do terminalu.

- Wprowadźcie mnie w sytuację, majorze – zażądał

Bulwa.

Wodorost wskazał na wejście.

- Wejść do środka i wyjść można tylko tędy. Wszystkie zapasowe wyjścia już dawno się zawaliły, więc jeśli Łuskoń tam jest i będzie chciał się ulotnić, musi przejść przez naszych ludzi.

- Jesteście pewni, że tam jest?

- Nie - przyznał major Wodorost. – Odebraliśmy tylko sygnał. Ale osoba, która pomogła Łuskoniowi uciec, mogła otworzyć mu czaszkę i usunąć nadajnik. Na pewno wiemy tylko to, że ktoś z nami pogrywa. Posłałem do środka kilka najlepszych chochlików z Rozpoznania, a oni wrócili z tym. - Wodorost podał Bulwie płytkę półprze-wodnikową z głośniczką. Płytek tego typu, zazwyczaj wielkości paznokcia kciuka, używano do nagrywania krótkich życzeń urodzinowych. Ta akurat miała kształt tortu urodzinowego. Bulwa zamknął płytkę w dłoni. Ciepło ręki dostarczy energii mikroobwodom.

Z mikroskopijnego głośniczka dobiegł trzeszczący głos, który tanie okablowanie jeszcze bardziej upodobniło do skrzeku jaszczurki.

- Bulwa - mówił głos. - Będę z tobą rozmawiać.

Zdradzę ci wielką tajemnicę. Przeprowadź ze sobą tę drugą, Holly Niedużą. Tylko wy dwoje, nikt więcej. Jeśli zjawi się ktoś jeszcze, zginie wiele osób. Moi towarzysze 77

tego dopilnują... - wiadomość zakończyła się tradycyjną melodyjką urodzinową, co w zestawieniu z treścią przeka-zu zabrzmiało dość groteskowo.

Bulwa jęknął.

- Cholerne gobliny. Zawsze ta sama śpiewka.

- To pułapka, panie komendancie - powiedziała Holly bez cienia wahania. - Byliśmy w Laboratoriach Koboï rok temu. Gobliny winią nas za niepowodzenie rebelii. Jeśli tam wejdziemy, może nas spotkać wszystko.

Bulwa skinął głową.

- Teraz myślicie jak major. Nie mogły nam tego zapomnieć. Jakie mamy możliwości, Wodorost?

- Jeśli nie pójdziecie, zginie wiele osób. Jeśli pójdziecie, mogą zginąć dwie.

- Niezbyt podoba mi się ta alternatywa. Czy usłyszę od was coś bardziej sensownego?

Wodorost opuścił przyłbicę hełmu i zerknął na mały wyświetlacz na perspeksie.

- Udało nam się podłączyć do skanerów terminalu i przeprowadzić testy chemiczne oraz pomiary temperatury.

Odkryliśmy jedno źródło ciepła w tunelu wejściowym, więc jeśli to Łuskoń, jest sam. Cokolwiek tam robi, nie ma przy sobie żadnej broni czy materiałów wybuchowych.

Kilka batoników z mielonych żuków i trochę starej, dobrej H<sub>2</sub>O, to wszystko.

- Powinniśmy spodziewać się flary? - spytała Holly.

Wodorost przesunął palcem po pulpicie na lewej ręka-wiczce, przewijając w ten sposób obraz na przyłbicy heł-

mu.

78

- Nie przez najbliższych kilka miesięcy. Ten szyb jest nieaktywny. Łuskoń nie zamierza was usmażyć.

Policzki Bulwy świeciły jak dwa piecyki węglowe.

- D'arvit! - zaklął. - Myślałem, że skończyły się kłopoty z goblinami. Kusi mnie, żeby wysłać taktycznych, na wypadek gdyby Łuskoń blefował.

- Też bym tak radził - powiedział Kłopot. - On nie ma tam nic, czym mógłby wyrządzić wam szkodę. Proszę mi dać pięć wrózek, a Łuskoń znajdzie się w furgonetce wię-

ziennej, zanim się zorientuje, że został aresztowany.

- Domyślam się, że moduł usypiający wyszukiwacza-usypiacza nie działa? - spytała Holly.

Kłopot wzruszył ramionami.

- Musimy założyć, że nie. Jak dotąd, urządzenie nie działało, a kiedy weszliśmy do środka, znaleźliśmy płytkę, którą ktoś podłożył specjalnie dla nas. Łuskoń wiedział, że się zjawimy. Zostawił wiadomość.

Bulwa uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Muszę tam wejść. W środku nie ma żadnego bezpo-

średniego zagrożenia, a trzeba przyjąć, że Łuskoń nie zawaha się spełnić swej groźby. Nie wydaje mi się, bym miał wybór. Ale nie wydam rozkazu, byście mi towarzyszyli, kapitan Nieduża.

Holly poczuła ukłucie w żołądku, ale przełknęła strach.

Komendant miał rację. Nie było innej rady. Właśnie po to wstępuje się do SKR. Żeby nadstawić karku za Lud.

- Nie ma potrzeby, komendancie. Zgłaszam się na ochotnika.

79

- Świetnie. A wy, Kłopot, przepuście Ogierka i jego kram przez swoją barykadę. Może i musimy wejść do środka, ale nikt nam nie każe tam włączyć bez uzbrojenia.

Ogierek miał więcej broni na składzie z tyłu poje-dynczego wahadłowca niż większość ludzkich sił policyjnych w całym arsenale. Każdy centymetr ściany pokrywał

najrozmaitszy sprzęt, kable zasilania i miotacze zwieszały się z haków. Centaur siedział w środku, programując miotacz typu neutrino. Rzucił go Holly, gdy pojawiła się w drzwiach furgonetki.

Zręcznie chwyciła broń.

- Hej, uważaj z tymi zabawkami.

Ogierek prychnął.

- Nie musisz się obawiać. Spust nie jest jeszcze zako-dowany. Nikt nie może oddać strzału z tej broni, dopóki komputer nie zarejestruje posiadacza. Nawet gdyby pistolet wpadł w łapy goblinów, nie przydałby im się na nic. To jeden z moich najnowszych wynalazków. Uznałem, że po rebelii B'wa Kell najwyższy czas na ulepszenia w zakresie bezpieczeństwa.

Holly zacisnęła palce na kolbie miotacza. Przebiegło po nich czerwone światło skanera i zmieniło kolor na zielony.

- Gratulacje. Właśnie zostałeś wyłącznym posiada-czem neutrino 3000.

Holly zważyła przezroczysty pistolet w dłoni. - Jest zbyt lekki. Wolę model 2000.

80

Ogierek przywołał na ścienny wyświetlacz opis techniczny broni.

- Fakt, jest lekki, ale przywykniesz. Za to nie ma żadnych metalowych części. Zasilany kinetycznie, energią pozyskiwaną z ruchów twojego ciała, oraz zapasową minibaterią atomową. Oczywiście jest podłączony do systemu celowniczego twojego hełmu. Praktycznie nieznisz-czalna obudowa i w ogóle, jeśli wolno mi dodać coś od siebie, to naprawdę niezły kawałek sprzętu.

Ogierek podał nieco większy model Bulwie.

- Każdy strzał zostanie zarejestrowany przez komputer SKR, więc będziemy wiedzieli, kto posłał impuls, kiedy i w jakim kierunku. Powinno to zaoszczędzić tym ze Spraw Wewnętrznych wiele

godzin pracy przy kompute-rach - mrugnął do Holly. - Co pewnie miło ci słyszeć.

Holly w odpowiedzi łypnęła na centaura. Była w resor-cie Spraw Wewnętrznych wróżką powszechnie znaną. Jak dotąd, organ prowadził już dwa dochodzenia w jej sprawie, a urzędnicy najpewniej tylko czekali na pretekst do trzeciego. Dobrą stroną awansu było to, że Holly zobaczy ich miny, kiedy komendant będzie jej wpinał w klapę odznakę majora.

Bulwa schował broń do kabury.

- Okej. Strzelać już możemy. A jak będą strzelać do nas?

- Nie będą - powiedział Ogierek z naciskiem. - Wła-małem się do skanerów terminalu, prócz tego sam zainstalowałem kilka czujników. W środku nie ma żadnego 81

zagrożenia. Najczarniejszy scenariusz zakłada, że któreś z was skręci kostkę, bo idziecie pieszo. Rumieniec Bulwy rozlał się czerwienią aż na szyję.

- Ogierek, czy muszę wam przypominać, że wasze czujniki już kiedyś zawiodły? I tak mi się jakoś zdaje, że na terenie tego właśnie terminalu.

- Okej, okej. Proszę się uspokoić, komendancie - powiedział Ogierek pośpiesznie. - Dobrze pamiętam zeszłoroczne zdarzenia. Trudno by było zapomnieć, zważywszy że Holly przypomina mi co pięć minut.

Centaur wziął ze stołu roboczego dwie zapieczętowane walizki. Wstukał sekwencje liczb na pulpitych zamków i otworzył wieka.

- To są kombinezony Rozpoznania nowej generacji.

Miałem zamiar je ujawnić na konferencji SKR w przyszłym miesiącu, ale jeśli komendant we własnej osobie wkracza do akcji, lepiej zrobię to teraz.

Holly wyjęła strój z walizki. Zamigotał przez chwilę i zmienił barwę, upodabiając się do ścian pojazdu.

- Uszyto je z folii kamuflującej, więc praktycznie przez cały czas będziecie niewidoczni. Pozwoli to zaoszczędzić na magicznych osłonach – wyjaśnił Ogierek. -

Oczywiście kamuflaż można wyłączyć. Kombinezon ma wbudowane skrzydła. Zastosowaliśmy system całkowicie odprowadzający dźwięk. Od dziś latacie bezszelestnie.

Budowa skrzydeł też całkowicie nowatorska. Zasilanie dostają z baterii, które macie przy pasach, prócz tego każ-

de pokryto minibateriami słonecznymi w razie lotów 82

nadziemnych. Stroje wyposażono też w system wyrówny-wania ciśnienia, więc odtąd będziecie

mogli zmieniać śro-dowisko od razu, bez żadnych nieprzyjemnych objawów.

Bulwa podniósł drugi skafander i przyjrzał mu się.

- Musiały kosztować fortunę.

Ogierek skinął głową.

- Nie ma pan nawet pojęcia. Te stroje pochłonęły po-

łowę zeszłorocznego budżetu badawczego. Nie zastąpią nimi starych co najmniej przez następne pięć lat. Te dwie sztuki to jedyne działające egzemplarze, które mamy, więc byłbym wdzięczny, gdybyście je zwrócili w jednym ka-wałku. Są odporne na uderzenia, nieprzemakalne, niewi-doczne dla radarów i przesyłają ciągły strumień danych diagnostycznych do Komendy Policji. Co prawda hełmy SKR też to robią, ale te stroje wysyłają dodatkowy strumień informacji, z którego możemy się dowiedzieć, czy system krążenia funkcjonariusza jest drożny, diagnozować złamane kości, a nawet sprawdzić, czy nie przesusza mu się skóra. To latające kliniki. Na piersi umieszczono nawet płytkę kuloodporną, na wypadek gdyby jakiś człowiek próbował do was strzelać.

Holly podniosła kombinezon do zielonego ekranu plazmowego. Folia kamuflująca natychmiast zmieniła barwę na szmaragdową.

- Podoba mi się - powiedziała. - Zielony to mój kolor.

83

Kłopot Wodorost zarekwirował kilka reflektorów pozostawionych na planie filmowym przez ekipę i skierował je na dolny poziom przystani dla wahadłowców. Jaskrawe światło wydobyło z mroku każdą unoszącą się w powietrzu drobinę kurzu, nadając całej strefie odlotów efekt nierealności podwodnego świata. Komendant Bulwa i kapitan Nieduża zbliżali się wejścia z bronią gotową do strzału i opuszczonymi przyłbicami.

- Co pan sądzi o nowym kombinezonie? - spytała Holly, rejestrując bezwiednie rozmaite informacje wy-

świetlane na ekranie przyłbicy. Praktykanci SKR mieli nierzadko trudności z podzielnością uwagi, niezbędną do oglądania terenu i ekranów w kasku jednocześnie. Konsekwencją wspomnianych trudności był często efekt zwany

„dolewaniem do kufla”, gdyż w taki właśnie sposób funkcjonariusze SKR określali wymiotowanie do środka heł-

mu.

- Nienajgorszy - odrzekł Bulwa. - Lekki jak piórko, nie sposób się zorientować, że się ma skrzydła. Tylko nie mówcie Ogierkowi, że to powiedziałem, i tak jest wystarczająco nadęty.

- Nie ma takiej potrzeby, panie komendancie - rozległ

się głos Ogierka w słuchawce. Były to słuchawki nowej generacji, oparte na technologii wibrującego żelu - brzmi-

ło to tak, jakby centaur znajdował się wewnątrz hełmu. -

Jestem z wami przez cały czas, w bezpiecznym schronie-niu mojej furgonetki, oczywiście.

- Oczywiście - powiedział Bulwa lodowato.

84

Dwójka wrózek szła ostrożnie wzdłuż rzędu okienek odprawowych. Ogierek zapewniał, że w tej części terminalu nie natrafiają na żadne zagrożenie, jednakże centaurowi zdarzało się już mylić. A pomyłki w terenie to często ofiary w ludziach.

Ekipa filmowa uznała, że pył pokrywający terminal nie wygląda wystarczająco autentycznie, i rozesała po kątach czapy szarej piany. Na jednej z nich położono nawet głowę lalki. Zapewne w mniemaniu filmowców sceneria zyskała w ten sposób na dramatyzmie.

Ściany i ruchome schody pokryto czarnymi śladami la-serowych strzałów.

- Mieliśmy tu niezłą strzelaninę - rzekł Bulwa z uśmiechem.

- Trochę przesadzili. Wątpię, byśmy oddali więcej niż tuzin strzałów.

Przechodzili teraz przez strefę załadunkową, kierując się ku przystani dokowej. Oryginalny wahadłowiec, używany przez gobliny podczas operacji przemytniczych, też został zrekonstruowany i stał teraz w doku. Pomalowano go na błyszczący czarny kolor, żeby wyglądał bardziej złowieszczczo, dziób zaś ozdobiono goblineską.

- Daleko jeszcze? - powiedział do mikrofonu Bulwa.

- Przesyłam do hełmów obraz termiczny - odpowiedział Ogierek.

Kilka sekund później na ekranach w przyłbicach ka-sków pojawił się schematyczny obraz przestrzenny 85

terminalu. Był nieco dezorientujący, gdyż patrzyli na samych siebie z góry. W budynku widać było trzy źródła ciepła. Dwa bardzo blisko siebie, przemieszczały się powoli w stronę szybu. Holly i komendant. Trzecie tkwiło nieruchomo w tunelu wejściowym. Kilka metrów za nim odczyt termiczny rozpływał się w obłoku gorąca spowijającym E37.

Dotarli do bramy przeciwuderzeniowej, czyli dwóch metrów stali oddzielającej tunel wejściowy od reszty terminalu. Promy i kapsuły tytanowe wjeżdżały tędy po torach kolejki magnetycznej, później połykał je szyb. Brama była zamknięta.



- Możesz otworzyć ją zdalnie, Ogierek?

- Ależ oczywiście, komendancie. Udało mi się bez większych problemów scalić mój system operacyjny z przestarzałymi komputerami terminalu. Nie było to co prawda tak łatwe, jak brzmi, kiedy o tym mówię...

- Niewątpliwie - przerwał Ogierkowi komendant. - Po prostu naciśnijcie odpowiedni guzik, zanim do was wrócę i użyję w tym celu waszego nadętego pyska.

- Pewne rzeczy się nie zmieniają - mruknął Ogierek, naciskając przycisk.

Tunel wejściowy ział spalenizną niczym wygasły piec.

Stare, poskręcane sople stopionych skał zwieszały się ze sklepienia, podłóże było spękane i zdradzieckie. Z każdym krokiem zapadali się w warstwę sadzy, pozostawiając za sobą głębokie ślady. Był tu jeszcze jeden trop - prowadził

86

do postaci skulonej na ziemi niedaleko samego szybu.

- Tam - powiedział Bulwa.

- Mamy go - zawtórowała Holly, przesuwając celownik lasera na korpus postaci.

- Trzymaj go na muszce - rozkazał komendant. - Idę do niego.

Bulwa ruszył tunelem, trzymając się z dala od linii strzału Holly. Jeśli Łuskoń się ruszy, elficzka będzie potrzebować miejsca na pewny strzał. Jednakże generał, jeśli to był on, siedział nieruchomo w kucki, plecami oparty o ścianę tunelu. Jego ciało okrywał długi płaszcz z kapturem.

Komendant włączył zainstalowany w hełmie wzmacniacz dźwięku, żeby przekrzyczeć zawodzenie dmącego od jądra Ziemi wiatru.

- Ty tam! Stań twarzą do ściany! Ręce na głowę! Postać nie zareagowała. Zgodnie z oczekiwaniami Holly. Bulwa podszedł bliżej, ostrożny jak zawsze, na ugiętych nogach, gotów w każdej chwili odskoczyć na bok. Neutrinem 3000 trącił w ramię skuloną postać.

- Wstawaj, Łuskoń.

Szturchnięcie było na tyle silne, że postać przewróciła się na bok. Zwalając się na ziemię, goblin uderzył twarzą w posadzkę tunelu. Obłoczki sadzy wzniosły się wokół

niego niczym chmara zaniepokojonych nietoperzy. Kaptur opadł, odsłaniając twarz leżącego, a przede wszystkim -

oczy.

- To on - powiedział Bulwa. - Zamesmeryzowano go.

87

Skośne oczy generała były nabiegłe krwią i pozbawione wyrazu. Ważne odkrycie, bo potwierdzało, że ucieczkę zaplanował ktoś inny, a Holly i Bulwę wciągnięto w za-sadzkę.

- Sugeruję, żebyśmy się stąd zabrali - powiedziała Holly. - I to już.

- Nie - rzekł Bulwa, schylając się nad goblinem. -

Skoro już tu jesteśmy, możemy równie dobrze zabrać Łuskonia ze sobą.

Chwycił goblina za kołnierz wolną dłonią i chciał go postawić na nogi. Później Holly napisze w raporcie, że to właśnie w tym momencie sprawy przybrały paskudny obrót. To, co wydawało się zrazu rutynowym - acz dzi-wacznym - zadaniem, okazało się sprawą o wiele bardziej złowieszczą.

- Zabieraj łapy, elfie - rozległ się głos. Syczący głos goblina. Głos Łuskonia. Ale jak to możliwe? Usta generała nie poruszyły się.

Bulwa cofnął się i wyprostował.

- Co się tutaj dzieje?

Holly poczuła w karku alarmujące mrowienie.

- Cokolwiek to jest, na pewno nam się nie spodoba.

Powinniśmy się stąd zabierać, komendancie. W tej chwili.

Na twarzy Bulwy pojawił się wyraz zamyślenia.

- Ten głos dobiegał z jego klatki piersiowej.

- Może zrobiono mu operację - powiedziała Holly.

- Zmiatajmy stąd.

Komendant wyciągnął rękę i rozchylił poły płaszcza Łuskonia. Jego oczom ukazało się metalowe pudełko 88

przybite pasami do piersi generała. Kwadratowa skrzynka o szerokości trzydziestu centymetrów, z niewielkim wy-

świetlaczem w środku. Na ekranie widać było niewyraźnie czyjąś twarz, która coś właśnie mówiła.

- Ach, to ty, Juliuszu - powiedziała głosem Łuskonia.

- Można się było spodziewać, że przyjdiesz. Słynne ego komendanta Bulwy zmusiło go do wkroczenia do akcji.

Oczywista pułapka, a wy weszliście prościutko w sam środek.

Ton głosu należał niewątpliwie do Łuskonia, jednakże było coś jeszcze w sposobie budowania zdań, w intonacji.

Zbyt wyrafinowany język jak na goblina. I dziwnie znajomy.

- Już odgadłaś, kapitan Nieduża? - powiedział głos.

Głos, który obecnie się zmieniał. Prześlizgiwał w wyższe rejestry. Przestał być męski, nie należał już do goblina.

„To głos kobiety - pomyślała Holly. - Kobiety, którą znam”.

Na ekranie pojawiła się twarz w pełnym świetle. Piękna i złowroga, z oczyma rozświetlonymi nienawiścią. Twarz Opal Koboï. Głowę spowijały bandaże, ale rysy były widoczne aż za dobrze.

Holly zaczęła szybko mówić do mikrofonu w hełmie.

- Ogierek, mamy problem. Opal Koboï jest na wolno-

ści. Powtarzam. Opal jest na wolności. Wszystko to pułap-ka. Otoczcie teren kordonem o promieniu pół kilometra i sprowadźcie wyspecjalizowanych czarowników-uzdrowiaczy.

Zaraz coś się komuś stanie.

89

Twarz na ekranie roześmiała się, maleńkie ząbki chochliczki zabłyśły jak perełki.

- Melduj sobie, ile dusza zapragnie, kapitan Nieduża.

Ogierek nie może cię słyszeć. Moje urządzenie zablokowało wasze transmisje równie łatwo, jak wyszukiwacz-usypiacz i testy chemiczne, które – zgodnie z waszym przekonaniem - przeprowadziliście. Niemniej nasz mały centaur może was widzieć. Nie zabrałam mu jego drogo-cennych kamer.

Holly natychmiast zrobiła powiększenie spikselizowa-nej twarzy Opal. Jeśli Ogierek zobaczy chochliczkę, do-myśli się reszty.

Koboï ponownie się roześmiała. Naprawdę setnie się bawiła.

- Och, znakomicie, pani kapitan. Zawsze byłaś bystra.

Względnie bystra, oczywiście. Pokaż Ogierkowi moją twarz, a on uderzy na alarm. Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Holly, ale to urządzenie wykonano z kruszcu słabo wykrywalnego. Ogierek dojrzy co najwyżej mdły blask interferencji.

Kruszec słabo wykrywalny wynaleziono na użytek pojazdów kosmicznych. Materiał ów pochłaniał każdy sygnał

i rodzaj fali znany wróżkom i ludziom, więc był praktycznie niewidoczny dla wszystkiego prócz gołego oka. Ponadto jego produkcja była ogromnie kosztowna. Nawet niewielki odsetek sumy niezbędnej na sfinansowanie urzą-

dzenia Koboï musiał wypełniać cały magazyn złota.

Bulwa szybko się wyprostował.

90

- Okoliczności nam nie sprzyjają. Wycofujemy się, kapitan Nieduża.

Holly nie pozwoliła sobie na ulgę. Opal Koboï nie wypuści ich tak łatwo. Nie ma mowy, żeby tak po prostu stamtąd wyszli. Jeśli Ogierek był w stanie włamać się do komputerów terminalu, Koboï też mogła.

Śmiech Opal przeszedł w niemal histeryczny pisk.

- Wycofujemy się? To bardzo taktyczne z pana strony, komendancie. Naprawdę powinien pan wzbogacić swój słownik. Co teraz? Padnij i kryj się?

Holly podniosła klapkę na rękawie, odsłaniając gnomicką klawiaturę. Prędko uzyskała dostęp do bazy danych przestępców SKR, zapisanej w pamięci hełmu, i otworzyła na ekranie przyłbicy plik Opal Koboï.

- Opal Koboï - usłyszała głos kapral Frond. Do wszelkich nagrań dźwiękowych i filmów instruktażowych SKR

korzystało zawsze z głosu Liii Frond. Była olśniewająco elegancką wróżką z opadającymi na ramiona blond lokami i długimi na kilka centymetrów, lakierowanymi paznokciami, wróżką, z której nie byłoby w polu najmniejszego pożytku. - Wróg SKR numer jeden. Obecnie pod strażą w Klinice Ż. Argona. Opal Koboï jest geniuszem, osiągają-

cym ponad 300 punktów w standardowych testach na inteligencję. Podejrzenie megalomanii i osobowości obsesyjnej. Badania sugerują, że Koboï może być także patologiczną kłamczynią i cierpieć na łagodną schizofrenię. Bardziej szczegółowe informacje zawiera centralna baza danych SKR na drugim piętrze Komendy Policji.

91

Holly zamknęła plik. Opętany obsesją geniusz i patologiczna kłamczyni. Tylko tego im było trzeba. Informacje nie przydadzą się na wiele, bo większość z nich znała aż za dobrze. Opal była na wolności, chciała ich zabić i była dość sprytna, żeby dopiąć swego.

Opal ciągle napawała się triumfem.

- Nawet nie wiecie, ile czasu czekałam na ten moment - powiedziała i urwała. - A właściwie wiecie. W koń-

cu to wy zaprzepaściliście mój plan. A teraz oboje jesteście w moich rękach.

Holly była skołowana. Być może Opal ma poważne zaburzenia umysłowe, ale tych nie należy mylić z głupotą.

Czemu wciąż tak szczebiocze? Od czego próbuje odciągnąć ich uwagę?

Bulwie przyszła do głowy ta sama myśl.

- Holly! Brama!

Holly odwróciła się momentalnie tylko po to, żeby zobaczyć, jak drzwi przeciwuderzeniowe się zamykają. Podziemny wiatr tłumił odgłos silników. Jeżeli brama się zamknie, zostaną całkowicie odcięci od SKR, na łasce Opal Koboï.

Holly wzięła na cel rolki magnetyczne ciągnące się wzdłuż górnej krawędzi wrót i zaczęła posyłać w stronę mechanizmu impuls za impulsem. Brama zatrzęsała się w posadach, jednakże zamykała się dalej. Holly udało się odstrzelić dwie rolki, ale impet masywnych drzwi sprawił, że w końcu zatrzęsnęły się ze złowieszczym hukiem.

92

- Nareszcie sami - powiedziała Opal, a jej głos brzmiał tak niewinnie, jak głos wróżki-studentki na pierwszej randce.

Bulwa wymierzył broń w urządzenie, którym opasany był Łuskoń, jakby mógł w ten sposób jakoś zagrozić Koboï.

- Czego chcesz? - zapytał groźnie.

- Wiesz, czego chcę - odrzekła Opal. - Pytanie brzmi, w jaki sposób to dostanę? Który wariant zemsty przyniesie mi najwięcej satysfakcji? Oczywiście oboje pożegnacie się z życiem, ale to nie wystarczy. Chcę, żebyście cierpieli tak jak ja, ośmieszeni i upokorzeni. A przynajmniej jedno z was, drugie trzeba będzie poświęcić. Właściwie wcale mnie nie obchodzi, które.

Bulwa wycofał się aż do bramy przeciwwuderzeniowej i skinął na Holly, by do niego dołączyła.

Holly podniosła przyłbicę i otarła z czoła krople potu.

Hełmy miały klimatyzację, ale pocenie się nie zawsze ma coś wspólnego z temperaturą.

- Musimy się stąd wydostać - powiedziała. - Szyb to jedyna droga.

Bulwa skinął głową.

- Zgoda. Polecimy do miejsca, w którym dystans pozwoli nam ominąć zaporowy sygnał Koboi, i zawiadomi-my majora Wodorosta.

- A co z Łuskoniem? Jest zamesmeryzowany aż po dziurki w nosie, nie poradzi sobie sam. Jeśli uciekniemy, Opal nie będzie chciała zostawiać po sobie dowodu.

93

Logika dla kryminalistów od podstaw: statystyczny przestępca, który chce zawładnąć światem, nie zawaha się przed sprzątnięciem kilku sojuszników, żeby sobie oczy-

ścić teren.

Bulwa niemal warknął.

- Jestem wściekły, że muszę nas narazić na niebezpieczeństwo z powodu goblina, ale taką mamy pracę. Za-bieramy Łuskonia ze sobą. Chcę, żebyście wpakowali parę implusów w to pudło przy jego pasie, a kiedy ucichnie, zarzucę go sobie na ramię i wystartujemy w stronę E37.

- Zrozumiałam - powiedziała Holly, przestawiając broń na minimalną moc. Część impulsu dotrze również do Łuskonia, ale co najwyżej wysuszy mu na parę minut gałki oczne.

- Nie zwracajcie uwagi na chochliczkę. Niech mówi co chce, a wy róbcie swoje.

- Tak jest, sir.

Bulwa wziął kilka głębokich oddechów. W jakiś sposób było to dla Holly uspokajające widzieć, że komendant jest tak samo zdenerwowany jak ona.

- Okej. Teraz.

Dwójka elfów odwróciła się i ruszyła biegiem w stronę nieprzytomnego goblina.

- A więc próbujemy naszego małego planu - powiedziała Koboi, cmokając z niesmakiem na małym wyświetlaczu. - Genialnego, mam nadzieję? Czyżbym o czymś nie pomyślała?

Holly skrzywiła się, usiłując uciszyć słowa rozbrzmiewające w jej głowie, jednakże wżerały się w

robaki. Coś genialnego? Bynajmniej. Była to zwyczajnie ostatnia możliwość, która im pozostała. Coś, o czym Koboï nie pomyślała? Wątpliwe. Opal obmyślała całą sytuację przez niemal rok. Czyżby robili dokładnie to, czego od nich oczekiwała?

- Sir... - zaczęła Holly, ale Bulwa był już przy Łusko-niu.

Holly odpaliła sześć impulsów w stronę urządzenia.

Wszystkie sześć ugodziło w spikselizowane rysy twarzy Koboï. Opal rozplynęła się, ekran zmatowiał. Na metalowych spoinach skrzynki zatańczyły iskierki, a z głośnika dobył się gryzący dym.

Bulwa odczekał chwilę, aż rozproszą się wszystkie impulsy, po czym mocno chwycił Łuskonia za ramiona.

Nic się nie stało.

„Pomyliłam się - pomyślała Holly, wypuszczając powietrze, bo - jak się okazało - wstrzymywała oddech. -

Pomyliłam się, dzięki bogom”. Opal nie ma planu. Jednakże nie była to prawda i Holly w głębi ducha w to nie wierzyła.

Pudełko trzymało się na wysokości przepony Łuskonia dzięki zestawowi macek teleskopowych - specjalnych stalowych kabli często używanych przez SKR do unieru-chamiania groźnych przestępców. Można je było zaciskać i rozluźniać zdalnie, a raz zaciśnięte, nie dawały się usunąć inaczej niż pilotem albo szlifierką kątową. Gdy tylko Bulwa się schylił, macki puściły Łuskonia i owinięły się wokół

torsu komendanta, przytwierdzając metalowe pudełko ściśle do piersi Bulwy.

95

Twarcz Koboï pojawiła się na tylnej ścianie pudełka.

Zasłona dymna była właśnie tym, i niczym więcej: zasłoną dymną.

- Komendancie Bulwa - powiedziała, niemal dysząc z nienawiści. - Wygląda na to, że to pan zostanie poświęco-ny.

- D'arvit! - zaklął Bulwa, okładając metalową skrzynkę kolbą miotacza. Stalowe ramiona cały czas się zaciska-

ły, po chwili komendant chwycił powietrze rozpaczliwymi haustami. Holly usłyszała trzask pękającego żebra. Potem znowu. Bulwa zwalczył pokusę, by opaść na kolana. Jego klatkę piersiową spowiła chmura tańczących niebieskich iskierek - rozpoczęło się uzdrawianie połamanych kości.

Holly popędziła na pomoc, lecz nim dotarła do swego zwierzchnika, z głośnika urządzenia dobiegł alarmujący dźwiękowy puls. Im bliżej podchodziła, tym głośniejsze się rozlegał.

- Nie podchodź - burknął Bulwa. - Nie podchodź. To zapalnik.

Holly zatrzymała się w pół drogi, robiąc zamach ręką z frustracji. Niestety, komendant najprawdopodobniej miał

rację. Słyszała o zapalnikach zbliżeniowych. Krasnale używały ich w kopalniach. Podkładały ładunek w tunelu, uruchamiały zapalnik zbliżeniowy i odpalały ładunek z bezpiecznego dystansu, rzucając kamieniem.

Na ekranie ponownie pojawiła się twarz Opal.

- Słuchaj swojego Juliusza, kapitan Nieduża - doradziła chochliczka. - To ważny moment. Twój komendant 96

ma rację - dźwięk, który słyszysz, to rzeczywiście zapalnik zbliżeniowy. Jeżeli podejdziesz za blisko, Bulwa rozpadnie się na atomy. Skrzynka jest wypełniona żelowym materiałem wybuchowym.

- Skończ wykład i powiedz nam, czego chcesz! -

warknął Bulwa.

- Cierpliwości, komendancie, cierpliwości. Wkrótce wszystkie pana zmartwienia znikną. Właściwie już ich nie ma, więc czemu pan po prostu nie zamknie jadaczki i nie odlicza w ciszy swoich ostatnich chwil?

Holly okrążyła komendanta, utrzymując dźwięk na sta-

łym poziomie, aż szyb znalazł się za jej plecami.

- Na pewno jest jakieś wyjście, panie komendancie -

powiedziała. - Muszę się tylko zastanowić. Muszę mieć minutę na rozważenie wszystkiego.

- Pozwól, że pomogę ci wszystko rozważyć - powiedziała Kobi drwiąco. Jej dziecięce rysy wykrzywiało zło-

śliwy grymas. - Twoi kumple z SKR próbują się właśnie tu przebić z pomocą lasera, ale, rzecz jasna, nigdy im się to nie uda na czas. Mogę się też założyć, że mój stary szkolny kumpel, Ogierek, siedzi przyklejony do wyświetlacza plazmowego. I co widzi? Widzi, że jego oddana przyjaciółka Holly najwyraźniej mierzy do komendanta. Ciekawe, dlaczego to robi?

- Ogierek się orientuje - powiedział Bulwa. - Już raz cię przechytrzył.

Opal zdalnie zacisnęła macki, rzucając komendanta na kolana.



- Być może się zorientuje. Jeśli będzie miał dość czasu. Ale na twoje nieszczęście, czasu już prawie nie ma.

97

Na piersi Bulwy pojawił się licznik cyfrowy. Widniały na nim dwie cyfry. Sześć i zero. Sześćdziesiąt sekund.

- Jedna minuta życia, komendancie. Jakie to uczucie?

Rozpoczęło się odliczanie.

Dźwięk zapalnika zbliżeniowego, tykanie zegara i jadowity chichot Opal wwiercały się Holly w mózg.

- Wyłącz to, Kobo! Wyłącz to, albo przysięgam, że...

Opal wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

Śmiechem, który odbijał się echem od ścian tunelu wej-

ściowego niczym bojowy skrzek harpii.

- Że co...? Oświeć mnie! Oddasz życie u boku swego komendanta?

Znowu trzaski. Kolejne złamane zębra. Magiczne iskierki krążyły wokół torsu Bulwy niczym mgławica błę-

kitnych gwiazd.

- Idź! - burknął Bulwa. - Holly, rozkazuję ci się wycofać!

- Z całym szacunkiem, komendancie. Nie. To jeszcze nie koniec.

- Czterdzieści osiem! - odliczała Opal radosnym, roz-

śpiewanym głosem. - Czterdzieści siedem.

- Holly! Idź!

- Na twoim miejscu posłuchałabym - powiedziała Kobo! - Bulwa już jest martwy, a nie tylko on może zginąć - może lepiej ratuj tych, których jeszcze możesz ratować.

98

Holly jęknęła. Kolejna niewiadoma w i tak przeładowanym równaniu.

- Kogo mogę ratować? Komu coś grozi?

- Och, nikomu ważnemu. Paru Błotniakom.

„No jasne - pomyślała Holly. - Artemisowi i Butlerowi.

Oni też pomagali powstrzymać Opal”.

- Co im zrobiłaś, Opal? - zaczęła Holly, starając się przekrzyczeć zapalnik zbliżeniowy i wicher wiejący z wnętrza ziemi.

Kąciki ust Koboi opadły, jak u dziecka, które coś prze-skrobało.

- Obawiam się, że twoi błotni przyjaciele znaleźli się przeze mnie w tarapatach. W tej chwili właśnie kradną pewną paczkę z Międzynarodowego Banku w Monachium. Małą paczkę, którą dla nich przygotowałam. Jeśli panicz Fowl jest tak bystry, jak się zdaje, nie otworzy jej, póki nie znajdzie się w hotelu Kronski i nie upewni się, czy zainstalowano w niej jakieś pułapki. Wtedy uaktywni się bomba biologiczna, i pa pa, nieznośne Błotniaki! Ale ty możesz tu przecież zostać i potem wszystko wyjaśnić. Z

pewnością wystarczy kilka godzin, by wytłumaczyć to resortowi spraw wewnętrznych. Możesz jednak również spróbować uratować swych przyjaciół.

Holly zakręciło się w głowie. Komendant, Artemis, Butler. Wszyscy o krok od śmierci. Jak ich ocalić? Nie było sposobu.

- Dostanę cię, Koboi. Nie będzie dla ciebie bezpiecznego miejsca na tej planecie.

99

- Tyle jadu... A co zrobisz, jeśli wskażę ci sposób?

Jeśli dam ci jedną szansę, by wygrać?

Bulwa klęczał, a z kącika jego ust sączyła się krew.

Niebieskie iskierki zniknęły, jego magia była na wyczerpaniu.

- To pułapka - sapnął, krzywiąc się przy wypowiedzaniu każdej sylaby. - Nie daj się znowu ogłupić.

- Trzydzieści - liczyła Koboi. - Dwadzieścia dziewięć.

Holly poczuła, jak zaciski hełmu wwiercają się jej w czoło.

- Okej, okej, Koboi. Mów, szybko. Jak uratować komendanta?

Opal zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Chodzi o urządzenie. Ma słaby punkt o dwóch centymetrach średnicy. To ta czerwona kropka pod

ekranem.

Jeżeli trafisz prosto w nią, nie uruchamiając zapalnika zbliżeniowego, spowodujesz spięcie w obwodach. Jeżeli chybisz, choćby o włos, zdetonujesz żelowy materiał wybuchowy. To naprawdę fair, Holly Nieduża. Ty nie dałaś mi takiej szansy.

Holly zacisnęła zęby.

- Kłamiesz. Dlaczego miałabyś dawać mi szansę?

- Nie strzelaj - powiedział Bulwa, nagle dziwnie spokojny. - Po prostu usuń się poza zasięg eksplozji. Idź, i ratuj Artemisa. To jest ostatni rozkaz, który wam wydaję, kapitan Nieduża. Nawet nie myślcie, żeby go lekceważyć.

Holly miała wrażenie, jakby jej zmysły oddzielał od rzeczywistości metr wody. Wszystko było rozmyte i spo-wolnione.

100

- Nie mam wyboru, Juliuszu.

Bulwa zmarszczył brwi.

- Nie mówcie do mnie po imieniu! Zawsze tak robicie przed zlekceważeniem rozkazu! Ratuj Artemisa, Holly!

Ratuj go.

Holly zamknęła jedno oko, wymierzając broń. Celownik laserowy nie miał aż takiej dokładności. Należało wycelować bez jego pomocy.

- Artemisa uratuję potem - powiedziała.

Zaczerpnęła głęboko tchu, wstrzymała oddech i nacisnęła spust.

Holly trafiła w słaby punkt. Była pewna, że trafiła. Impuls zagłębił się w urządzeniu, rozchodząc po metalowej powierzchni jak pożar wśród trawy.

- Trafiłam - krzyknęła do Opal na ekranie. - Trafiłam w słaby punkt!

Koboi wzruszyła ramionami.

- No, sama nie wiem. Zdaje się, że uderzyłaś o ułamek centymetra za nisko. Trudny strzał. Mówię zupełnie szczerze.

- Nie! - krzyknęła Holly.

Liczba na piersi Bulwy malała teraz dużo szybciej, cyfry zmieniały się w zawrotnym tempie. Zostało w tej chwili tylko parę sekund.

Komendant wstał z wysiłkiem i podniósł przyłbicę hełmu. Jego oczy były nieruchome i nieustraszone.

Uśmiechnął się łagodnie do Holly. W uśmiechu nie było cienia pretensji. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jego policzki nie były czerwone.

101

- Trzymaj się - powiedział i pomarańczowa kula ognia wykwitła na środku jego klatki piersiowej.

Eksplozja wysała powietrze z tunelu, pożerając cały tlen. Wielobarwne płomienie rozbiegły się wokół jak chmara walczących ptaków. Fala uderzeniowa targnęła Holly wstecz, ciskając elficzką o ścianę, potężna siła huknęła z impetem w każdy centymetr powierzchni na wprost komendanta. Na skutek gorąca i siły wybuchu w skafan-drze Holly zaczęły pękać mikroobwody. Obiektyw kamery oderwał się od hełmu i pomknął ku E37.

Samą Holly siła podmuchu zmiotła do szybu, jak cyklon gałązkę. Dźwiękochłonna gąbka w jej uszach zamknęła się na odgłos eksplozji. Komendanta pożarła wielka kula ognia. Nie przeżył, nie było żadnych wątpliwości.

Nawet magia nie mogła mu teraz pomóc. Są rzeczy, których nie sposób naprawić.

Wszystko, co znajdowało się w tunelu wejściowym, łącznie z Bulwą i Łuskoniem, zostało unicestwione, rozpadło się w chmurę odłamków i pyłu, cząsteczek odbijają-

cych się od ścian tunelu. Chmura pomknęła ścieżką najmniejszego oporu, czyli - rzecz jasna - prosto za Holly.

Elficze ledwie starczyło czasu, by uruchomić skrzydła i wznieść się kilka metrów, nim pędzący odłamek wyrwał

dziurę w ścianie szybu tuż pod nią.

Holly pędziła w górę przestronnego tunelu, odgłos własnego oddechu wypełniał jej hełm. Nie mogła uwierzyć, że komendant nie żyje. Tak po prostu, na jedno skinienie 102

żądnej zemsty chochliczki. Czy urządzenie naprawdę mia-

ło słaby punkt? Pewnie się nigdy nie dowie. Ale funkcjonariusze SKR, którzy oglądali wszystko na ekranach, po-myśla, że strzelała do swojego zwierzchnika.

Holly zerknęła w dół. Pod jej stopami resztki eksplozji pędziły po spirali ku jądro ziemi. Kiedy dotarły do miejsca, w którym skała staje się lawą, zapaliły się od gorąca.

To, co zostało z Juliusza Bulwy, w jednej chwili zamieniło się w popiół. Przez mgnienie oka drobiny migotały złotem i brązem, niczym milion spadających gwiazd.

Holly przez chwilę unosiła się w miejscu, próbując przyjąć do wiadomości to, co się stało. Nie mogła. To było zbyt straszne. Zdusiła więc w sobie ból i poczucie winy, pozostawiając je na później. Miała rozkaz do wykonania. I wykona go, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, którą jej przyjdzie zrobić. Był to ostatni rozkaz, który wydał za życia Juliusz Bulwa.

Zwiększywszy moc skrzydeł, Holly wznosiła się coraz szybciej w obszernym osmalonym szybie. Kilku Błotnych Ludzi potrzebowało jej pomocy.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### KARKOŁOMNA UCIECZKA

#### Monachium

Monachium w godzinach szczytu przypomina każde inne duże miasto o tej porze: na jego ulicach panuje nie-bywały tłok. Choć aglomeracja mogła się poszczycić wydajną i wygodną siecią metra, większość lokalnej populacji preferowała prywatność i komfort własnych samochodów, w rezultacie więc Artemis i Butler utknęli w korku, który ciągnął się od Banku Międzynarodowego aż do hotelu Kronski. Była to akurat arteria prowadząca na lotnisko.

Panicz Artemis nie lubił opóźnień. Dziś jednak był zbyt zaprzątnięty ostatnią zdobyczą, Urowadzeniem, wciąż spoczywającym w zapieczętowanej tubie z perspeksu.

Chłopca korciło, żeby ją otworzyć, jednakże dotychczasowi właściciele, Crane & Sparrow, mogli zainstalować w pojemniku jakieś pułapki. Co prawda nie było żadnych 104

widocznych śladów takiego zabiegu, ale to jeszcze nie oznaczało, że pułapek nie ma. Najprostszą sztuczką byłoby zapakować płótno próżniowo i wpompować do środka żrący gaz, wchodzący w reakcję z tlenem. Wtedy w razie otwarcia obraz zostałby zniszczony.

Dotarcie do hotelu zajęło im niemal dwie godziny, choć jazda powinna trwać co najwyżej dwadzieścia minut. Artemis przebrał się w ciemny bawełniany garnitur i wybrał

numer Dworu Fowlów w telefonie komórkowym. Zanim się połączył, podpiął telefon do łącza szeregowego w swym powerbooku, aby nagrać rozmowę. Angelina Fowl odebrała po trzecim dzwonku.

- Arty - powiedziała głosem lekko pozbawionym tchu, jak gdyby przerwała coś w połowie. Angelina Fowl lubiła utrudniać sobie życie, zapewne była w trakcie treningu Tai Bo lub czegoś podobnego.

- Witaj, matko. Jak się czujesz?

Angelina westchnęła.

- Dobrze, Arty, a ty jak zwykle, jakbyś przeprowadzał

rozmowę o pracę. Zawsze taki oficjalny. Nie mógłbyś mówić do mnie „mamo” albo nawet po imieniu? Czy to takie trudne do zniesienia?

- Nie wiem, matko. „Mama” brzmi tak dziecinnie.

Mam już czternaście lat, zapomniałaś?

Angelina roześmiała się.

- Jak mogłabym zapomnieć? Niewielu nastolatków prosi o bilet na sympozjum genetyki w prezencie urodzinowym.

105

Artemis przez cały czas zerkał na tubę z perspeksu.

- Jak się miewa ojciec?

- Cudownie - powiedziała radośnie Angelina. - Aż dziw bierze, jak dobrze. Ta proteza nogi jest wprost fanta-styczna, ojciec wygląda świetnie. I wcale się nie skarży.

Naprawdę myślę, że po stracie nogi ma lepsze podejście do życia. Jest pod opieką znanych terapeutów. Mówi, że dusza jest o wiele ważniejsza niż ciało. Właśnie, dziś wieczorem jedziemy do tego prywatnego uzdrowiska w Westmeath. Stosują tam niezrównaną terapię glonową, która zdziała cuda z mięśniami twego ojca.

Artemis Fowl senior stracił nogę, nim został porwany przez rosyjską mafię. Szczęśliwie Artemisowi z pomocą Butlera udało się go odbić. Był to rok obfitujący w wydarzenia. Po powrocie Artemis senior trzymał się swego nowego postanowienia, by porzucić przestępcze życie.

Oczekiwał, że junior pójdzie w jego ślady, lecz Artemisowi niełatwo było zrezygnować z przestępczych przedsię-

wzięć. Choć czasem, kiedy patrzył na matkę i ojca razem, pomyśl zostania normalnym synem kochających rodziców nie wydawał mu się aż tak nieprawdopodobny.

- Chodzi dwa razy dziennie na ćwiczenia fizjoterapeutyczne?

Angelina roześmiała się znowu i raptem Artemis poczuł, że chciałby być w domu.

- Tak, d z i a d k u . Pilnuję go. Ojciec mówi, że za rok pobiegnie w maratonie.

106

- Dobrze, miło mi to słyszeć. Czasami mi się wydaje, że gdybym was nie pilnował, wałęsalibyście

się tylko po okolicy, trzymając się za rękę.

Matka westchnęła, w głośnieku rozległ się szum.

- Martwię się o ciebie, Arty. Chłopiec w twoim wieku nie powinien być aż tak... odpowiedzialny. Nie przejmuj się nami, przejmuj się szkołą i przyjaciółmi. Pomyśl o tym, czego możesz dokonać. Użyj swojego wielkiego mó-

zgu, żeby uszczęśliwić siebie i innych. Zapomnij o interesach rodzinnych, życie to obecnie nasz jedyny rodzinny interes.

Artemis nie wiedział, co powiedzieć. Jedna jego poło-wa chciała dać do zrozumienia, że tak naprawdę nie było-by żadnych rodzinnych interesów, gdyby on ich w tajemnicy nie doglądał. Druga jednak pragnęła tylko wsiąść na pokład samolotu, wrócić do domu i powałęsać się razem z rodziną.

Matka westchnęła znowu. Artemis nie mógł znieść my-

śli, że mogłaby ją martwić sama rozmowa z nim.

- Kiedy będziesz w domu, Arty?

- Wycieczka kończy się za trzy dni.

- Pytałam, kiedy będziesz w domu na dobre? Wiem, że św. Bartleby to tradycja rodzinna, ale chcemy, żebyś był z nami. Dyrektor Guiney zrozumie. Tu w okolicy jest teraz mnóstwo dobrych szkół.

- Rozumiem - powiedział Artemis. „Czy potrafię? -

zastanawiał się. - Potrafię być częścią normalnej rodziny?

Uda mi się porzucić przestępcze życie?”. - Za kilka tygodni wakacje. Wtedy porozmawiamy - postanowił

107

zastosować taktykę odwlekania. - Prawdę mówiąc, trudno mi się teraz skupić. Nie czuję się zbyt dobrze. Wydawało mi się, że się zatrąłem, ale okazało się, że to tylko jedno-dniowy wirus pokarmowy. Miejscowy lekarz powiedział, że do jutra mi przejdzie.

- Biedny Arty - powiedziała z ubolewaniem Angelina. - Powinnam chyba kazać ci wsiąść w samolot do do-mu...

- Nie, matko. Czuję się już lepiej. Naprawdę.

- Jak sobie życzysz. Wiem, że wirusy pokarmowe są bardzo nieprzyjemne, ale to lepiej, niż zatruc się jedze-niem. Mogłoby cię to rozłożyć na całe tygodnie. Pij dużo wody i spróbuj się przespać.

- Tak zrobię, matko.
- Szybko będziesz w domu?
- Szybko. Powiedz ojcu, że dzwoniłem.
- Powiem, jeśli go znajdę. Jest teraz pewnie na sali gimnastycznej i ćwiczy na ruchomym deptaku.
- Do zobaczenia zatem.
- Pa, Arty, porozmawiamy jeszcze, jak wrócisz - rzuciła Angelina cichym i trochę smutnym głosem. Jakby była gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Artemis rozłączył się i natychmiast odtworzył rozmowę na komputerze. Za każdym razem, gdy rozmawiał z matką, czuł się winny. Angelina Fowl miała dziwną zdolność budzenia w synu sumienia. Było to odkrycie względnie nowe. Rok wcześniej poczułby być może lekkie ukłucie, kłamiąc matce, ale obecnie nawet sztuczka, którą zamierzał przeprowadzić, będzie nawiedzać jego myśli tygodniami.

108

Chłopiec przypatrywał się wykresowi fal dźwiękowych na ekranie komputera. Coś się w Artemisie zmieniało, nie było wątpliwości. Kilka miesięcy wcześniej pojawiło się to uczucie zwątpienia w siebie, które nie dawało mu spokoju... Kilka miesięcy wcześniej, kiedy pewnego ranka odkrył tajemnicze lustrzane soczewki kontaktowe w swoich oczach... Oraz oczach Butlera i Julii. Próbował się dowiedzieć, skąd pochodzą, ale wszyscy ludzie, z którymi skontaktował się Butler, twierdzili, że Artemis sam je za-mówił. Bardzo to było niezwykle.

Soczewki pozostały tajemnicą. Podobnie jak uczucia Artemisa. Przed nim, na stole, leżało Urowadzenie Herv-

ého. Osiągnięcie czyniło zeń najslawniejszego złodzieja tego stulecia, którym pragnął zostać, od kiedy skończył

sześć lat. Teraz, kiedy dosłownie trzymał w rękach przedmiot swych ambicji, mógł myśleć jedynie o rodzinie.

„Czy nadszedł czas, żeby się wycofać? - myślał. -

Czternaście lat i trzy miesiące, największy złodziej na świecie. Mógłbym osiągnąć więcej?”. Raz jeszcze przesłuchał fragment nagranej rozmowy. „Nie przejmuj się nami, przejmuj się szkołą i przyjaciółmi. Pomyśl o tym, czego możesz dokonać. Użyj swojego wielkiego mózgu, żeby uszczęśliwić siebie i innych.”

Może matka miała rację. Może powinien wykorzystać swoje talenty w ten sposób. Jednakże była w nim także ciemna strona, bezlitosna połowa serca, która nie zaakceptowałaby cichego życia. Być może są sposoby 109



uszcześliwienia ludzi, które tylko on jest w stanie odkryć.

Sposoby na granicy prawa. Na cienkiej błękitnej linii.

Artemis potarł powieki. Nie był w stanie nic postanowić. Może przeprowadzka na stałe do domu sprawi, że decyzja podejmie się sama. Teraz najlepiej zająć się bieżą-

cymi sprawami. Zorganizować sobie trochę wolnego czasu i zabrać się do potwierdzania autentyczności obrazu. Być może miał niewielkie wyrzuty sumienia z powodu kradzieży płótna, ale nie dość duże, by zwrócić obraz.

Zwłaszcza panom Crane & Sparrow.

Artemis uruchomił na powerbooku program do obróbki dźwięku i zaczął wycinać i wklejać słowa matki z nagranej rozmowy. Wybrawszy te, których potrzebował, poustawiał

je w pożądanym kolejności i odpowiednio wygładził, a następnie skorygował gramatykę za pomocą syntezatora mowy, by całość brzmiała naturalnie.

Kiedy dyrektor Guiney włączy komórkę po wizycie na monachijskim stadionie Olympia, będzie go oczekiwać nowa wiadomość. Wiadomość od Angeliny Fowl. Matka Artemisa nie będzie w dobrym nastroju.

Artemis przekierował rozmowę przez rezydencję Fowlów i wysłał zmodyfikowany plik dźwiękowy łączem podczerwieni do swojego telefonu komórkowego.

- Dyrektorze Guiney - mówił głos, bez wątpienia należący do Angeliny Fowl, co zostanie potwierdzone identyfikatorem rozmówcy. - Martwię się o Arty'ego. Zatrul

się czymś. Wygląda świetnie, nie skarży się, ale chcemy, żeby był z nami. Rozumie pan. Arty wsiada w pierwszy 110

samolot do domu. Jestem zaskoczona, że pod pańską opieką przydarzyło mu się zatrucie pokarmowe. Porozmawiamy o tym po pańskim powrocie.

Szkolę miał z głowy na parę dni. Mroczna strona Artemisa odczuła elektryzujący dreszcz z powodu uknutej intrygi, ale budzące się sumienie wywołało bolesne ukłucie winy, głosem matki wypominając mu wszystkie kłamstwa.

Artemis odegnał poczucie winy. Nikomu te kłamstwa nie zaszkodzą. Butler odstawi go do domu, a jego edukacja nie ucierpi z powodu kilkudniowej nieobecności. Jeśli zaś idzie o Uprawdzenie, okradzenie złodziei nie jest prawdziwym przestępstwem. Jest niemal usprawiedliwione.

„Owszem - odezwał się nieproszony głos w jego głowie. - Jeżeli zwrócisz obraz światu”.

„Nie - odrzekła druga, ciemna strona. - Obraz jest mój, dopóki ktoś mi go nie ukradnie. Koniec i kropka”.

Artemis zdusił niezdecydowanie i wyłączył komórkę.

Musiał się całkowicie skoncentrować na obrazie, a wibrujący w nieodpowiednim momencie telefon mógłby sprawić, że zadrży mu ręka. Naturalnie miał ochotę po prostu wyjąć zatyczkę z tuby. Ale to byłoby co najmniej głupie, mogło się nawet okazać fatalne. Być może Crane & Sparrow zostawili dla niego mnóstwo małych niespodzianek.

Artemis wyjął chromatograf z usztywnionej walizki, w której trzymał swój sprzęt. Pobierze próbkę gazu z tuby i podda ją analizie. Wybrał odpowiednią igłę i przykręcił

111

do końcówki gumowej rurki połączonej z płaskim końcem chromatografu. Igłę trzymał ostrożnie w lewej ręce. Artemis był oburęczny, ale jego lewa ręka była nieco bardziej stabilna. Starannie przebił igłą silikonową pieczęć tuby, wkluwając się w wolną przestrzeń obok płótna. Było niezwykle istotne, żeby ze środka nie wydobył się gaz, Artemis starał się jak najmniej poruszać igłą. Chromatograf pobrał próbkę gazu, wsysając ją do podgrzewanego pojemnika. Wszystkie organiczne zanieczyszczenie znikły dzięki gorącu, a w następnej chwili przekaźnik przemieścił

próbkę do komory separacyjnej i wystawił na działanie płomienia jonizującego. Zaraz potem przyrząd zidentyfikował poszczególne składniki. Na cyfrowym wyświetlaczu instrumentu pojawił się wykres. Zawartość procentowa tlenu, wodoru, metanu i dwutlenku węgla pokrywała się z próbką pobraną wcześniej w centrum Monachium.

Urządzenie ujawniło również pięć procent niezidentyfikowanych substancji lotnych. Zapewne składały się na nie skomplikowane związki zanieczyszczeń. Nie biorąc pod uwagę tajemniczych pięciu procent, Artemis ocenił, że może zupełnie bezpiecznie otworzyć tubę. Tak też zrobił, starannie rozcinając pieczęć nożem rzemieślniczym.

Następnie włożył rękawiczki chirurgiczne i wyłuskał

płótno z pojemnika. Pacnęło na blat stołu ciasno zwinięte, ale wyprostowało się niemal natychmiast - nie znajdowało się w tubie dość długo, by przyjąć jej kształt.

112

Artemis rozłożył płótno na całą szerokość, przyciskając rogi gładkimi żelowymi woreczkami. Od razu się zorientował, że nie ma do czynienia z kopią. Jego wrażliwe na sztukę oczy uchwyciły barwy podstawowe i warstwy białej nałożonej farby. Postaci, które przedstawiał Hervé, wyglądały jak malowane światłem. Namalowane tak pięknie, że obraz cały migotał. Był niezrównany. Przedstawiał

śpiące niemowlę w zalonym słońcem łóżeczku przy otwartym oknie. Zielonoskóra wróżka ze skrzydłami utkanymi z pajęczyny pojawiła się w błysku światła na parapecie okiennym i miała zamiar porwać dziecko z kołyski. Obiema stopami stała na zewnętrznej części parapetu.

- Nie wolno jej wejść do środka - mruknął Artemis nieobecny głosem, aż sam się zdziwił. Skąd mógł to wiedzieć? Nie miał zwyczaju wyrażania poglądów, jeśli nie mógł ich poprzeć dowodami.

„Uspokój się” - powiedział sobie. Zwykły strzał. Pewnie poskładał to sobie z okruchów informacji, które zapadły mu w pamięć, kiedy buszował po Internecie.

Artemis ponownie zajął się obrazem. Udało się! Urowadzenie należało do niego, przynajmniej w tej chwili.

Wybrał ze swego zestawu skalpel chirurgiczny i zeszkrobał

mikroskopijny skrawek farby z krawędzi obrazu. Umie-

ściwszy go w pojemniku na próbki, opatrzył naklejką.

Zostanie przesłany na Politechnikę Monachijską, a jeden z potężnych spektrometrów uczelni przeprowadzi datowanie metodą C14. Artemis miał tam kontakty. Datowanie potwierdzi, że obraz, a przynajmniej farba, ma tyle lat, ile powinna.

113

Zadzwoił do drugiego pokoju apartamentu, do Butlera.

- Butler, czy mógłbyś zawieźć tę próbkę na uniwersytet? Tylko pamiętaj, żeby dać ją Christinie i nikomu innemu. Przekaż jej ode mnie, że zależy mi na czasie.

Przez chwilę nie było odpowiedzi, a potem Butler wpadł jak burza do pokoju z szeroko otwartymi oczyma.

Nie wyglądał jak ktoś, kto przyszedł po próbkę farby.

- Mamy jakiś problem? - spytał Artemis.

Dwie minuty wcześniej Bulter zatrzymał się przy oknie, oparł ręką o szybę i pograżył w rzadkiej u siebie chwili zadumy. Wpatrywał się w dłoń z takim skupieniem, jakby promienie światła słonecznego wzmocnione dzięki odbiciu w jego źrenicach mogły przeświecić ją na wskroś.

Co się w nim zmieniło? Cóż to za mgliste, jakby podskór-ne odczucie? Bo nie mógł zaprzeczyć, że dziwnie się czuł

ostatniego roku. Starzej. Czyżby dawały znać o sobie dziesiątki lat wzmoczonego wysiłku fizycznego? Ledwie dobiegał czterdziestki, a nocą łamało go w kościach, w klatce piersiowej zaś czuł taki ucisk, jakby nieustannie nosił ka-mizelkę kevlarowa. Bez wątpienia daleko mu było do sprawności, którą mógł się pochwalić w wieku trzydziestu pięciu lat, także i myśli nie były już tak klarowne. Częściej i chętniej niż kiedyś wędrowały w nieokreślonym kierunku... „Dokładnie jak teraz” - zganił się w duchu służący.

114

Butler naciągnął stawy palców, poprawił krawat i wró-

cił do przerwanej zajęcia. Bynajmniej nie był zadowolony z bezpieczeństwa hotelowego apartamentu. Hotele to miejsca, które ochroniarze najczęściej odwiedzają w nocy.

W najgorszych koszmarach sennych. Służbowe windy, górne piętra pozbawione bezpośredniego kontaktu z ziemią, powikłane, niewygodne drogi ewakuacyjne - Butler zdawał sobie sprawę, że w takim miejscu praktycznie nie ma sposobu na zagwarantowanie bezpieczeństwa pryncypałowi.

Kronsky był bez wątpienia hotelem luksusowym, z nienaganną obsługą, jednakże Butler miał względem hoteli inne wymagania. Chciał pokoiów bez okien, na parterze, wyposażonych w stalowe drzwi grubości piętnastu centymetrów. Nie musimy chyba wyjaśniać, że wymagania te były niemożliwe spełnienia, a jeśli nawet udałoby się podobny pokój znaleźć, panicz Artemis bez wątpienia za-czałby kręcić nań nosem. Nie było wyjścia, służący musiał

się zadowolić trzypokojowym luksusowym apartamentem.

Walizkę z niezbędnym dla swych celów sprzętem miał

nie tylko Artemis. Butler położył własną, chromowaną, na stoliku do kawy i otworzył ją. Była jedną z tuzina identycznych walizek, które przechowywał w skrytkach bankowych w wybranych europejskich stolicach. Każda wy-pakowana była aż po dziurkę zamka ekwipunkiem szpiegowskim, kontrwywiadowczym oraz bronią. W każdym z często odwiedzanych krajów Butler miał jedną taką walizkę, dzięki czemu mógł swobodnie opuszczać Irlandię, nie łamiąc prawa celnego.

115

Wyjął wykrywacz urządzeń nasłuchowych, z wprawą rozpoczął przeszukiwanie ścian i umeblowania pokoju, sprawdzając, czy nie zamontowano w nich pluskiew. Przy urządzeniach elektronicznych zatrzymał się dłużej. Telefon, telewizor i faks wymagały dodatkowej uwagi, albo-wiem cyfrowe głośniki tych urządzeń bardzo skutecznie tłumiły sygnał pluskwy. Jednakże przed tym modelem wykrywacza nic nie mogło się ukryć. Oko Szpiega, najbardziej zaawansowane technicznie urządzenie tego typu dostępne na rynku, potrafiło wyłowić sygnał mikrofonu ukrytego w szpilce odległej o pół mili.

Po kilku minutach uznał, że wystarczy, i zamierzał już schować urządzenie z powrotem do walizki, gdy wskaźnik poinformował go o wykryciu pola elektrycznego. Słabiutki, niebieski pasek na wyświetlaczu ledwie drgał. Po chwili znieruchomiał i pojaśniał. Natomiast zaczął drgać drugi. Do apartamentu zbliżało się jakieś elektroniczne urządzenie. Większość ludzi zlekceważyłaby ten odczyt; w końcu w promieniu mili od hotelu Kronsky znajdowały się tysiące urządzeń elektronicznych. Jednakże Oko Szpiega zaprogramowano w ten sposób, by nie wykazywało obecności konwencjonalnych urządzeń, Butler zaś z większo-

ścią ludzi nie miał wiele wspólnego. Rozszerzył zakres skanera i raz jeszcze wziął się do przeczesywania pokoju.

Odczyt wzrósł, gdy służący skierował urządzenie ku oknu.

Uklucie niepokoju targnęło wnętrzościami Butlera. Do apartamentu zbliżał się z wielką prędkością obiekt latają-

cy.

116

Służący skoczył do okna, zerwał zasłony z karniszy i pchnął skrzydła okienne na zewnątrz. Na zimowym, bla-doniebieskim niebie kłębiły się nieliczne białe plamy chmurek. Smugi samolotowych spalin przecinały się jak w gigantycznej grze w kółko i krzyżyk. A z pułapu dwudziestu stopni ponad horyzontem nadlatywał pędem pocisk w kształcie łzy, ciągnąc za sobą bladą spiralę spalin. Czerwona lampka pulsowała złowrogo na jego nosie, z ogona zaś ział odrzutowy płomień. Leciał w stronę hotelu, nie było wątpliwości.

„Naprowadzana bomba - zorientował się natychmiast Butler. - Celem jest panicz Artemis”.

Butler rozważył ewentualne wyjścia z sytuacji. Nie by-

ło ich wiele, bo tylko dwa: wydostać się z hotelu lub umrzeć. Problem dotyczył s p o s o b u ucieczki. Znajdowali się na trzecim piętrze, a wyjście było z nieodpowied-niej strony. Butler poświęcił jeszcze ułamek sekundy na ostatni rzut oka za okno. Nie był to pocisk znanego mu typu. Nawet spaliny wyglądały inaczej, smugę ledwie było widać. Zaatakowano ich bronią zupełnie nowej generacji.

Ktoś bardzo sobie życzył śmierci Artemisa.

Butler odwrócił się i ruszył pędem do sypialni chłopca.

Zastał go pochłoniętego testami nad Uprawadzeniem.

- Mamy jakiś problem? - spytał Artemis.

Butler nie odpowiedział, gdyż nie było czasu. Chwycił

nastolatka za kołnierz i zarzucił sobie na plecy.

- Obraz! - próbował krzyknąć Artemis, lecz marynar-ka ochroniarza zatkała mu usta.

117

Butler usłyszał jednak i bezceremonialnie upchnął bezcenne arcydzieło w kieszeni. Jeżeli choć w jednym miejscu pęknie stuletnia powłoka farby, panicz będzie zrozpa-czony. Jednakże Butlerowi płacono za ochronę tylko jednego obiektu. Nie było to Uprawadzenie.

- Trzymaj się, jak mocno potrafisz - polecił potężny mężczyzna, ściągając z łóżka materac.

Artemis zrobił, co mu kazano, próbując nie myśleć.

Niestety jego niedościgniony mózg natychmiast rozpoczął

przetwarzanie dostępnych danych: Butler wpadł do pokoju bez pukania, więc zaistniało jakieś zagrożenie. Nie tracił

czasu na odpowiedź, czyli niebezpieczeństwo było bliskie.

A ponieważ Artemis wisiał uczepiony kurczowo pleców Butlera, nie skorzystał raczej z drzwi, by rzeczono zagrożenia uniknąć.

- Butler - sapnął Artemis. - Jesteśmy na trzecim pię-

trze!

Może Butler coś odpowiedział, ale młody pracodawca nie mógł już go słyszeć, gdyż ochroniarz wyskoczył wła-

śnie przez dwuskrzydłowe okno, przesadzając balustradę balkonu.

Ułamek sekundy przed nieuchronnym upadkiem prądy powietrzne obróciły materac i Artemis znalazł się oko w oko w okno ze swoją sypialnią. Przez ułamek sekundy widział

dziwny pocisk, wlatujący drzwiami do pomieszczenia i zatrzymujący się w powietrzu nad pustą tubą z perspeksu.

„W tubie było jakieś urządzenie naprowadzające - pod-powiedziała ta część jego umysłu, która jeszcze nie 118

wpadła w panikę. Bardzo mała część. - Ktoś chce mnie zabić”.

Nieuchronne nastąpiło. Upadek z dziesięciu metrów.

Jak kamień, w dół.

Butler odruchowo, jak spadochroniarz, rozrzucił koń-

czyzny w kształt litery X i pchnął rogi materaca ku ziemi, żeby nie dygotały. Powietrze uwiecznione pod spodem odrobinę spowolniło upadek. Odrobinę. Chłopiec i mężczyzna pędzili dalej w dół, siła grawitacji z każdym centymetrem zwiększała prędkość lotu. Niebo i ziemia rozciągnęły się, rozmyły jak farba olejna na płótnie, rozplynęły. Wrażenie znikło raptownie, gdyż rąbnęli w wykładany płytami dach baraku na tyłach hotelu, dach, który z płynem nie miał nic wspólnego. Płyty niemal eksplodowały wskutek upadku, ale krokwie wytrzymały. Choć im też niewiele brakowało.

Butler miał wrażenie, że kości mu się rozpuściły, ale wiedział, że po kilku minutach nieprzytomności ocknie się bez poważnych obrażeń. Zdarzało mu się upadać mniej miękko.

Gasnące zmysły służącego zarejestrowały jeszcze bicie serca panicza Artemisa pod marynarką. Chłopiec przeżył.

Przeżyli obaj. Ale czy na długo? Jeżeli zabójca ich obserwował, wie, że próba się nie powiodła, i może spróbować znowu.

Upadek Artemisa zamortyzowało ciało Butlera oraz materac. Inaczej chłopiec z całą pewnością leżałby tam martwy. Ale i tak umięśniona sylwetka ochroniarza okaza-

ła się wystarczająco twarda, by dwa żebra chłopca pękły.

Artemis podskoczył jak piłka jeszcze metr w górę, nim

legł na plecach nieprzytomnego służącego z twarzą zwró-

coną ku niebu.

Spróbował zaczerpnąć tchu, lecz oddech miał płytki i bolesny, z klatki piersiowej sterczały pod skórą jak knyk-cie dwa końce kości. Szóste i siódme żebro, ocenił chłopiec.

Snop opalizującego niebieskiego światła wystrzelił z okna pokoju hotelowego nad nimi. Światło na sekundę rozświetliło niebo, w jego sercu wiły się niczym robaki na wędce jaśniejsze świetliste flary. Widok nie wzbudziłby jednak niczyjego zainteresowania. Podobny efekt dawała lampa błyskowa dużej mocy. Jednakże Artemis wiedział, że jest inaczej.

„Biobomba - pomyślał. - Skąd ja to wiem?”.

Butler na pewno był nieprzytomny, gdyż inaczej już by się poruszył. Artemis musiał sam zmierzyć się z kolejną próbą zabójcy. Chciał usiąść, lecz klatkę piersiową przeszył mu tak silny ból, że na chwilę stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, całe ciało miał lepkie od potu. Zdał sobie sprawę, że na ucieczkę jest już za późno; zabójca był

na miejscu, skradał się niczym kot po krawędzi dachu.

Morderca był dziwnym indywiduum; wzrostem przypominał dziecko, choć proporcje ciała miał jak u dorosłego. W dodatku była to kobieta, o pięknych, wyrazistych rysach twarzy, kasztanowatych włosach ostrzyżonych na jeża i ogromnych, orzechowych oczach. Co nie oznaczało, że należy się spodziewać litości. Butler powiedział mu kiedyś, że spośród dziesiątki najlepiej opłacanych 120

zabójców na świecie, ósemka to kobiety. Dziewczyna nosiła niezwykły strój, który zmieniał kolory, upodabniając się do otoczenia, jej ogromne oczy były czerwone od płaczu.

„Ona ma spiczaste uszy - pomyślał Artemis. - Albo jestem w szoku, albo ta dziewczyna nie jest człowiekiem”.

Popełnił błąd, raz jeszcze próbując się ruszyć. Jedno ze złamanych żeber przebiło mu skórę na piersi. Na koszuli wykwitła czerwona plama i Artemis przestał walczyć o zachowanie przytomności.

Holly potrzebowała niespełna półtorej godziny, by dotrzeć do Niemiec. Podczas normalnej misji zajęłoby jej to co najmniej dwa razy tyle, ale elficzka postanowiła złamać kilka przepisów SKR. „Dlaczego nie?” - rozumowała.

Trudno się spodziewać, by narobiła tym sobie jeszcze większych kłopotów. W SKR i tak myśleli teraz, że zabiła swojego przełożonego, a jej komunikacja została zablokowana, więc Holly nie była w stanie wyjaśnić, co się naprawdę stało. Bez wątpienia zaklasyfikowano ją jako przestępczynię i posłano w ślad za nią oddział Odzysku.

Nie wspominając już o tym, że Opal Kobi pewnie cały czas miała na nią elektroniczne oko. Nie było czasu do stracenia.

Od kiedy przyłapano gangi goblinów na przemycaniu ludzkich towarów nieużywanymi szybami, przy wszystkich szybach wychodzących na powierzchnię rozstawiono strażników. Szyb paryski przypadł w udziale ospałem 121

gnomowi, który za pięć lat miał odejść na emeryturę. Tego dnia pilny komunikat z Komendy Policji przerwał mu popołudniową drzemkę. W stronę powierzchni leci przestępca z Rozpoznania. Dostarczyć na przesłuchanie. Dzia-

łać ostrożnie.

Nikt tak naprawdę się nie spodziewał, że gnomowi uda się cokolwiek zdziałać. Holly Nieduża była u szczytu formy fizycznej, raz udało jej się wyjść cało z utarczki z trollem. Gnom nie był sobie nawet w stanie przypomnieć, kiedy ostatnio był w jakiej takiej formie, kiedy zadarł sobie skórę przy paznokciu, musiał się położyć. Niemniej wartownik strzegł przystani dokowej bardzo dzielnie aż do chwili, gdy Holly jak petarda przemknęła obok niego w stronę powierzchni.

Gdy już się wzbiła w powietrze, odsłoniła ekranik z klawiaturą na przedramieniu i szybko przeszukała pamięć komputera. Komputer zlokalizował hotel Kronszy i wskazał trzy możliwe trasy. Holly wybrała najkrótszą, choć oznaczało to, że będzie przelatywać nad kilkoma większymi skupiskami ludzkimi. Kolejne przepisy SKR rozpa-dały się w pył. W tej chwili nie bardzo się o to troszczyła.

Nie było już sposobu uratowania kariery, jednakże i to nie miało znaczenia. Jedyńm powodem, dla którego nie wy-dalono jej dotąd z SKR, był zwierzchnik, który zdawał

sobie sprawę z jej możliwości. A teraz nie żył.

Ziemia pędziła pod nią. Przez filtry kasku wsączały się europejskie zapachy. Morze, spieczona ziemia, winorośl i ostra woń czystego śniegu. Wszystko to sprawiało 122

zazwyczaj, że Holly chciało się żyć. Jednakże nie dzisiaj.



Dzisiaj nie odczuwała ani odrobiny euforii, która ogarniała ją niezmiennie podczas przelotu nad ziemią. Tego wieczora czuła się po prostu samotna. Komendant był jej najbliż-

szy po rodzinie, którą opuściła. Teraz nawet on odszedł, zapewne dlatego, że nie trafiła w ten słaby punkt. Czy rzeczywiście sama skutecznie uśmierciła Juliusza? Zbyt okropne, by o tym w ogóle myśleć, i zbyt straszne, by zapomnieć.

Holly podniosła przyłbicę, żeby otrzeć łzy. Artemis Fowl będzie uratowany. Zarówno z powodu niego samego, jak i komendanta. Zamknęła przyłbicę, zdecydowanym ruchem wyprostowała nogi i otworzyła przepustnicę do maksimum. Czas się przekonać, co potrafią te nowe skrzydła Ogierka.

Po godzinie z minutami Holly wbiła się w przestrzeń powietrzną Monachium. Opadła na pułap trzydziestu metrów i uruchomiła zainstalowany w hełmie radar. Najadła-by się wstydu, gdyby po dotarciu tak daleko dała się strą-

cić z nieba nadlatującemu samolotowi.

Hotel Kronsky pojawił się na przyłbicy pod postacią czerwonej kropki. Być może Ogierek mógłby przesłać do komputera dane satelitarne albo przynajmniej najbardziej aktualny obraz wideo, ale nie było sposobu, żeby się z skontaktować z centaurem - a nawet gdyby się udało, Rada nakazałaby jej bezzwłoczny powrót do Komendy Policji.

Holly wzięła kurs na czerwoną kropkę. Tam właśnie zmierza bomba biologiczna, więc i elficzka musi tam

lecieć. Opadła jeszcze niżej, a kiedy hotel Kronsky znalazł

się tuż pod palcami jej stóp, wylądowała na dachu. Była teraz zdana wyłącznie na siebie. Osobisty naprowadzacz nie mógł jej już pomóc. Musi zlokalizować pokój Artemisa na własną rękę.

Holly przygryzła na chwilę wargi, po czym wystukała polecenie na klawiaturze przy nadgarstku. Mogła użyć polecenia głosowego, jednakże sprzęt był bardzo czuły, a ona nie miała czasu na błąd komputera. W ciągu paru sekund jej komputer włamał się do komputera hotelowego, wyświetlił listę gości i schematyczny plan budynku. Artemis zatrzymał się w pokoju 304. Na trzecim piętrze, w południowym skrzydle hotelu.

Holly rzuciła się pędem po dachu, w biegu uruchamiając skrzydła. Od uratowania Artemisa dzieliły ją sekundy.

Co prawda może być to dla niego szokujące, kiedy istota ze starych legend wyciągnie go siłą z hotelu. Lecz nie aż tak, jak unicestwienie przez bombę biologiczną.

Stała jak wryta. W stronę hotelu leciał naprowadzany pocisk. Z pewnością wyprodukowany przez wróżki, w to nie mogła wątpić, lecz nowego typu. Smuklejszy i szybszy, z lotkami ogona większymi niż u wszystkich pocisków, które Holly dotąd widziała. Opal Kobi dokonała najwyraźniej kilku ulepszeń.

Holly odwróciła się na pięcie i popędziła w stronę przeciwnej krawędzi dachu. W duchu wiedziała, że jest za późno, i znów uderzyła ją myśl, że raz jeszcze Opal Kobi z niej zadrwiła. Nie było żadnej nadziei na ocalenie 124

Artemisa, tak samo jak nie było sposobu, by uratować komendanta.

Nim jej skrzydła miały okazję zaskoczyć, jasne niebieskie światło rozbłysło spod krawędzi dachu, który zatrzęsł

się lekko pod jej stopami, gdy bomba eksplodowała. Była to perfekcyjna broń. Żadnych zniszczeń w budynku, a obudowa pochłonie się sama, nie pozostawiając żadnych śladów.

Holly w udreće upadła na kolana i zerwała hełm z głowy, aby wciągnąć do płuc świeże powietrze. Co prawda tu, nad Monachium, aż ociekało zanieczyszczeniami, jednakże i tak smakowało lepiej niż przefiltrowana podziemna mieszanka. Ale Holly nie zauważyła tej słodyczy. Juliusz nie żył. Artemis nie żył. Butler nie żył. Jak ma sobie teraz radzić? I po co? Łzy kapały z jej rzęs, wsysane przez mikroskopijne szczelinki w betonie.

„Wstawaj! - powiedziała część jej serca wykuta ze stali.

Część, dzięki której Holly była tak znakomitym funkcjonariuszem. - Należysz do SKR! Tu wchodzi w grę coś więcej niż twoja rozpacz. Będzie dość czasu, by płakać”.

„Za minutę. Wstanę za minutę. Potrzebuję tylko sześć-

dziesięciu sekund”. Holly wydawało się, jakby smutek i żal wyjadały jej wnętrzności. Czuli się pusta, ogłupiała.

Niezdolna do działania.

- Poruszające - rozległ się głos. Metaliczny i znajomy.

Holly nie podniosła nawet wzroku.

125

- Kobi. Zjawiał się, żeby się napawać swoim dzie-

łem? Morderstwa cię uszczęśliwiają?

- Hmm? - odezwał się głos, najwyraźniej serio rozważając pytanie. - Wiesz co, chyba tak. Chyba rzeczywi-

ście mnie uszczęśliwiają.

Holly pociągnęła nosem, strząsając ostatnie łzy z powiek. Postanowiła, że nie będzie płakać, dopóki Kobi nie znajdzie się za kratkami.

- Czego chcesz? - spytała, podnosząc się z betonowe-go dachu. Na wysokości jej głowy unosiła się mała bomba biologiczna. Ten model był sferyczny, mniej więcej wielkości melona, wyposażony w wyświetlacz plazmowy, który wypełniała rozradowana twarz Kobi.

- Och, podążałam za tobą przez całą drogę, bo chcia-

łam zobaczyć, jak wygląda bezdena rozpacz. Niezbyt pociągające, nieprawdaż?

Na kilka chwil na ekranie pojawiła się wykrzywiona bólem twarz Holly, a potem znowu jej miejsce zajęła Opal.

- Zdetonuj ją i idź do diabła! - warknęła Holly.

Bomba biologiczna uniosła się nieco, powoli okrążając głowę Holly.

- Jeszcze nie teraz. Wydaje mi się, że tli się jeszcze w tobie iskierka nadziei. Ja zaś chciałabym ją zgasić. Za chwilę zdetonuję bombę. Podoba ci się? Ładne wykonanie? Osiem oddzielnych dopalaczy. Ważne jest jednak to, co nastąpi po wybuchu.

Wrodzona ciekawość odezwała się w Holly pomimo okoliczności.

126

- Co takiego, Kobi? Tylko mi nie mów, że twoje panowanie nad światem.

Kobi roześmiała się, głośny dźwięk uległ zniekształ-  
ceni w małym głośniku pocisku.

- Panowanie nad światem? W twoich ustach brzmi to tak nieosiągalnie. Pierwszym krokiem do sukcesu jest prostota. Trzeba doprowadzić do konfrontacji ludzi i wró-  
żek.

Holly poczuła, że jej problemy bledną w jednej chwili.

- Doprowadzić do konfrontacji? Dlaczego?

Z twarzy Opal zniknął wyraz radości.

- Dlatego, że SKR mnie uwięziło. Że przeprowadzano na mnie badania, jak na zwierzaku w klatce, a teraz ja się dowiem, jak im się to spodoba. Rozpęta się wojna, ja zaś dostarczę ludziom broni, aby mogli ją wygrać. A gdy już zwyciężą, mój naród wybrany stanie się najpotężniejszy na całej Ziemi. I, co nieuniknione, ja będę najpotężniejszą obywatelką tego narodu.

Holly niemal krzyknęła:

- I wszystko to w imię dziecinnej zemsty chochliczki?

Opal rozpogodziła się nieco, widząc stan Holly.

- O nie. Nie jestem już chochliczką. - Powoli odwią-

zała bandażę owijając jej głowę, odsłaniając dwoje za-okrąglonych chirurgicznie, humanoidalnych uszu. - Jestem teraz jednym z błotnych ludzi. Postanowiłam przejść na stronę zwycięzców. A mój nowy tatuś jest prezesem wielkiej spółki inżynieryjnej. Spółka ta wysłała sondę w głąb ziemi.

127

- Jaką znów sondę? - zawołała Holly. - Co to za spół-

ka?

Opal pogroziła jej palcem.

- O nie, dosyć wyjaśnień. Chcę, byś umarła w osamotnieniu i niewiedzy - na jedną chwilę z twarzy chochliczki zniknął fałszywy wyraz radości i Holly dostrzegła w ogromnych oczach nienawiść. - Zabarałaś mi rok życia, Nieduża. Rok wspaniałego życia. Mój czas jest zbyt drogocenny, by go marnować, zwłaszcza na udzielane odpowiedzi członkom tak żalosnej organizacji jak SKR. Już wkrótce nie będę musiała odpowiadać na niczyje pytania.

Opal podniosła rękę do kamery; w jej dłoni spoczywał

niewielki pilot. Nacisnęła czerwony guzik. Ten zaś, jak wszyscy wiedzą doskonale, oznaczać może tylko jedną rzecz. Holly pozostały milisekundy, by obmyślić jakiś plan działania. Obraz znikł z monitora, a zielone światełko na konsoli pocisku zmieniło barwę na czerwoną. Sygnał dotarł. Za chwilę nastąpi eksplozja.

Holly skoczyła na równe nogi i założyła na bombę swój hełm, po czym ciężarem własnego ciała przycisnęła go do ziemi. Było to mniej więcej tak łatwe, jak próba zatopienia piłki nożnej. Kaski SKR wykonywano z trwałego polimeru, który był w stanie odbijać impulsy solinium. Rzecz jasna, reszta stroju Holly nie była tak trwała i nie mogła ochronić przed wybuchem bomby biologicznej. Ale może wystarczy sam hełm?

Bomba eksplodowała, czyste błękitne światło rozbłysło wewnątrz hełmu i rozlało się po cemencie. Mrówki i 128

pajaki drgnęły jeden raz i ich maleńkie serca stanęły. Holly czuła, jak jej własne serce przyspiesza akcję, walcząc ze śmiertelnym solinium. Została na miejscu tak długo, jak długo mogła wytrzymać, aż fala uderzeniowa odrzuciła ją wstecz. Kask odleciał, wirując. Zabójcze światło było wolne.

Holly przestawiła skrzydła na wznoszenie i pomknęła w niebo. Niebieskie światło ścigało ją niczym ściana śmierci. To był wyścig. Czy zyskała dość czasu i dystansu, by umknąć przed bombą biologiczną?

Poczuła, jak pęd powietrza napiera na jej wargi i odsłania zęby. Grawitacja wprawiła w drganie skórę na jej policzkach. Holly liczyła na fakt, że działanie aktywnego czynnika bomby, światła, ograniczy się do sfery o pewnym promieniu. Kobi nie chciała zwracać uwagi na swoje urządzenie, zmiatając z powierzchni ziemi cały budynek.

Jej celem była tylko Holly.

Elficzka poczuła, jak światło omiata jej palce stóp.

Okropne uczucie nicości wspinało się po jej nogach, póki magia go nie przegnała. Holly przyjęła najbardziej opływową pozycję, odchylając głowę do tyłu i krzyżując ręce na piersi, modląc się, by mechaniczne skrzydła uratowały ją z opresji.

Raptem światło rozproszyło się, zgasło, pozostawiając po sobie kilka kręcących się rozbłysków w miejscu eksplozji. Holly udało się ująć cało, z niewielkimi tylko obra-

żeniami. Czowała słabość w nogach, lecz wrażenie to miało wkrótce ustąpić. Będzie jeszcze czas, by się tym martwić.

Musiała się teraz dostać do Niższej Krainy i ostrzec w 129

jakiś sposób swych towarzyszy o planach Kobi.

Holly spojrzała na dach. Nie było na nim ani śladu jej obecności, nie licząc strzaskanego hełmu, wirującego jak ranna pszczoła. Ogólnie rzecz biorąc, bomba nie miała wpływu na nieożywioną materię, jednakże odbijająca po-włoka hełmu przyjęła taką ilość światła, że się przegrzała.

A z chwilą, gdy przestał działać, znikły wszystkie odczyty stanu zdrowia Holly. Dla Kobi i SKR hełm kapitan Niedużej nie transmitował już jej tętna czy oddechu. Oficjalnie była martwa. A bycie martwym stwarza pewne możliwości.

Coś przykuło uwagę Holly. Daleko w dole, pośród magazynów, pod jednym z baraków zebrała się grupka ludzi.

Dzięki bystrym oczom była w stanie dostrzec, że dach budynku został zniszczony, a na krokwiach zobaczyła dwie leżące sylwetki. Jedną ogromną, gigantycznego męż-

czynny. Drugą mniej więcej jej rozmiarów. Chłopiec. Artemis i Butler. Czy to możliwe, że przeżyli?

Holly wyrzuciła nogi w górę i zanurkowała w stronę miejsca upadku. Nie użyła tarczy, oszczędzając magię.

Było prawdopodobne, że będzie potrzebować każdej iskierki uzdrawiającej mocy, musiała więc liczyć na to, że ukryją ją prędkość oraz nowatorski kombinezon.

Pozostali ludzie znajdowali się kilka metrów dalej, przedzierali się przez rumowisko. Wyglądali bardziej na zaciekawionych niż złych. A wciąż było istotne, by Holly zabrała stamtąd Artemisa, jeśli

mogli być wszędzie, a chochliczka z pewnością miała w zanadrzu dodatkowy plan na wypadek, gdyby pierwszy się nie powiódł. A trudno było przypuścić, że Butlerowi i Artemisowi uda się jeszcze raz uniknąć śmierci z jej rąk.

Wylądowała na szczycie magazynu i zerknęła do środka. Tak, to był Artemis. I Butler. Oddychali obaj. Artemis był nawet przytomny, choć widać było, że coś go boli.

Nagle na jego białej koszuli pojawiła się czerwona plama krwi, oczy uciekły mu do tyłu, nagły dygot wstrząsnął jego ciałem. Błotny chłopak był w szoku, jedno ze złamanych żeber przebiło skórę na piersi. Mógł mieć więcej połamanych żeber, któreś mogło tkwić w płucu. Potrzebował pomocy. Natychmiast.

Holly wylądowała przy Artemisie i położyła dłonie na koniuszkach kości wystających z klatki piersiowej pod sercem.

- Uzdrawiaj - powiedziała, i ostatnie znajdujące się w ciele elficzki iskiereki magii spłynęły w dół jej ramion, kierowane intuicyjnie ku obrażeniom. Żebra zadrgały, zgięły się elastycznie i połączyły. Rozległ się syk rozto-pionych kości. Z dygoczącego ciała Artemisa dobyły się kłęby pary. Magia usuwała zanieczyszczenia z jego organizmu.

Nim jeszcze Artemis przestał się trząść, Holly zasłoniła jego ciało swoim, jak tylko się dało. Trzeba chłopca zabrać. Byłoby świetnie, gdyby można było wziąć też Butlera, ale ten miał zbyt potężną posturę, by mogła ją osłonić jej szczupła sylwetka. Ochroniarz będzie musiał sam się

o siebie zatroszczyć, trzeba chronić Artemisa. Po pierwsze dlatego, że z całą pewnością był głównym celem, po drugie zaś Holly potrzebowała przebiegłego umysłu chłopca, by zwyciężyć Opal Koboi. Jeżeli Opal chciała dołączyć do ludzi, Artemis był jednym z niewielu, zdolnych zmierzyć się z jej geniuszem.

Objęła Artemisa oburącz i uniosła bezwładne ciało do pozycji pionowej. Głowa chłopca opadła jej na ramię, czuła na policzku jego oddech. Miarowy. Całe szczęście.

Holly ugięła nogi w kolanach, aż strzeliły stawy. Musi jak najlepiej wykorzystać siłę dźwigni, aby ukryć ich ucieczkę. Głosy na zewnątrz były coraz bliżej, ściana za-drżała, gdy ktoś włożył klucz do zamka.

- Do widzenia, Butler, stary przyjacielu - szepnęła. -

Wrócę po ciebie.

Służący wydał z siebie pojedynczy jęk, jak gdyby mógł

ją słyszeć. Holly strasznie nie chciała go zostawiać, ale nie miała wyboru. Mogła wziąć ze sobą tylko Artemisa albo nikogo. Zresztą Butler podziękowałby jej, że tak właśnie postąpiła.

Holly zacisnęła zęby, napięła wszystkie mięśnie i szeroko otworzyła przepustnicę skrzydeł. Wystartowała z magazynu niczym strzałka z dmuchawki, chmura pyłu uniosła się jej śladem. Nawet jeśli ktoś patrzył dokładnie na nią, zobaczy jedynie kurz i rozmytą plamę koloru nieba, ewentualnie jeden wystający skórzany but. Uzna wtedy, że wzrok splątał mu figła, bo przecież buty nie latają. Prawda?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### POZNAJMY SĄSIADÓW

#### E37, Niższa Kraina

Ogierek nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Oczy wysyłały informacje do mózgu, ale ten odmawiał ich za-akceptowania, gdyż jeśli by to zrobił, musiałby uznać, że przyjaciółka centaury, Holly Nieduża, właśnie zastrzeliła komendanta, a teraz usiłuje uciec na powierzchnię. Było to zupełnie niemożliwe, choć może nie wszyscy przyjęliby to z takimi oporami.

Prom techniczny centaury należał do Wydziału Spraw Wewnętrznych. Cała operacja podpadała teraz pod ich jurysdykcję, gdyż podejrzanym o popełnienie przestępstwa był funkcjonariusz SKR. Wszystkich członków personelu SKR wyproszono z promu, Ogierkowi pozwolono zostać po prostu dlatego, że tylko on potrafił obsługiwać sprzęt wywiadowczy.

Komendant Przywra Popędek z SKR był to gnom, któ-

ry ścigał podejrzanę wróżki policyjne. Popędek był, jak 133

na gnoma, niezwykle wysoki i szczupły, wyglądał mniej więcej jak żyrafa w skórze pawiana. Ciemne włosy nosił

zaczęsanę w wymyślny sposób do tyłu, a na jego palcach i w uszach próżno by szukać złotych błyskotek, tak uwielbianych przez gnomickie rody. Popędek był najstarszym rangą gnomem w Wydziale Spraw Wewnętrznych; sądził, że SKR to nic więcej niż tylko grupka postrzelców pod dowództwem wolnego strzelca. Teraz zaś wolny strzelec został zastrzelony przez największego zapewne postrzelca ze wspomnianej grupki. Holly Nieduża ledwo uniknęła zarzutów podczas dwóch poprzednich dochodzeń.

Tym razem jej się to nie uda.

- Chcę obejrzeć jeszcze raz nagranie wideo, centaurze

- polecił, postukując w roboczy stół swoją trzcinką. To właśnie ta trzcinka była w nim najtrudniejsza do zniesienia.

- Oglądaliśmy już z dziesięć razy - sprzeciwił się Ogierek. - To nie ma żadnego sensu.

Popędek zgromił go spojrzeniem przekrwionych oczu.

- Nie ma sensu? Centaur uważa, że to nie ma sensu?

Nie wydaje mi się, aby w obecnej sytuacji był to istotny czynnik. Jesteście tutaj po to, panie Ogierek, aby naciskać guziki, a nie wygłaszać opinie. Komendant Bulwa przywiązywał zbyt dużą wagę do waszego zdania i proszę, dokąd go to zaprowadziło.

Ogierek przełknął tuzin lub więcej kwaśnych odpowiedzi, które czekały w kolejce na końcu jego języka. Jeżeli 134

odsuną go teraz od operacji, nie będzie w stanie nic zrobić dla Holly.

- Nagranie wideo. Tak jest.

Uruchomił nagranie z szybu E37. Przekłęte nagranie.

Juliusz i Holly chodzili przez kilka chwil wokół generała Łuskonia. Wyglądali na wzburzonych. Potem, z niewyja-

śnionych powodów, choć było to niewiarygodne, Holly strzeliła do komendanta jakimś ładunkiem zapalającym. W

tej samej chwili stracili obraz wideo transmitowany przez oba kaski.

- Cofnijcie nagranie o dwadzieścia sekund - rozkazał

Przywra, zbliżając twarz do monitora. Szturchnął trzcinką plazmowy wyświetlacz. - Co to takiego?

- Proszę uważać z tą trzcinką - powiedział Ogierek. -

Taki ekran sporo kosztuje. Sprowadzam je z Atlantydy.

- Odpowiadajcie na pytania, centaurze. Co to jest? -

Przywra jeszcze dwa razy stuknął w ekran trzcinką, tylko by pokazać, jak mało go obchodzi gadżety Ogierka.

Komendant Wydziału Spraw Wewnętrznych wskazywał na nikłą poświatę na piersi Bulwy.

- Nie jestem pewien - przyznał Ogierek. - Może zniekształcenie cieplne albo awaria sprzętu. Albo po prostu błąd komputera. Muszę przeprowadzić kilka testów.

Popędek pokiwał głową.

- Przeprowadźcie swoje testy, choć nie sądzę, byście cokolwiek odkryli. Nieduża jest spalona i tyle. Zawsze tak było. Wcześniej już prawie ją miałem, ale tym razem sprawa jest oczywista.



Ogierek zdawał sobie sprawę, że powinien ugryźć się w język, ale nie mógł nie stanąć w obronie przyjaciółki.

- Czy to nie układa się zbyt łatwo? Najpierw tracimy dźwięk i nie jesteśmy w stanie usłyszeć, co mówią. Prócz tego ta poświata na piersi komendanta, o której nic nie wiemy, a potem mamy jeszcze uwierzyć, że nagradzana odznaczeniami funkcjonariuszka po prostu wycelowała i strzeliła do komendanta, elfa, który był dla niej jak ojciec.

- Tak, wiem, do czego zmierzacie, Ogierek - powiedział Przywra miękko. - Bardzo mądrze. Miło wiedzieć, że wasze myślenie jest na jakimś poziomie. Ale lepiej niech każdy z nas zajmie się własnymi obowiązkami, co? Wy konstruujeecie urządzenia, ja nimi kieruję. Na przykład tymi nowymi neutrinami na wyposażeniu oddziałów po-łowych.

- Co w związku z nimi? - spytał podejrzliwie Ogierek.

- Są przypisane do funkcjonariuszy, zgadza się? Nikt inny nie może oddać strzału. I każdy strzał jest rejestrowany?

- Zgadza się - przyznał Ogierek, świadom aż za bardzo, do czego to prowadzi.

Popędek machnął trzcinką jak dyrygent batutą.

- A zatem, wystarczy tylko sprawdzić dziennik broni kapitan Niedużej, aby się przekonać, czy oddała strzał

dokładnie w tej chwili, co na nagraniu wideo. Jeżeli okaże się, że tak, trzeba będzie uznać, że film jest autentyczny i że Holly Nieduża naprawdę zamordowała komendanta, 136

niezależnie od wszystkiego, co słyszeliśmy lub czego nie słyszeliśmy.

Ogierek zacisnął końskie trzonowce. Słowa Przywry miały niezaprzeczalny sens. Centaur sam o tym pomyślał

pół godziny wcześniej i wiedział, co wykaże porównanie czasu oddania strzału z nagrania z dziennikiem broni.

Wywołał ten ostatni na ekran i odczytał odpowiedni wpis.

- Broń zarejestrowano o dziewiątej czterdzieści czasu podziemnego. Sześć impulsów o dziewiątej pięćdziesiąt sześć i jeden impuls o sile dwa o dziewiątej pięćdziesiąt osiem.

Popędek z triumfem uderzył trzcinką w otwartą dłoń.

- Jeden impuls o sile dwa o dziewiątej pięćdziesiąt osiem. Zgadza się co do minuty. Niezależnie od tego, co jeszcze działo się w tym szybie, Holly strzeliła do swego zwierzchnika.

Ogierek zerwał się z biurowego fotela specjalnej konstrukcji.

- Ale impuls o sile dwa nie mógł wywołać tak potęż-

nej eksplozji. Wybuch zniszczył praktycznie cały tunel wejściowy.

- I właśnie dzięki temu Nieduża nie siedzi obecnie w areszcie - rzekł Przywra. - Miną tygodnie, nim tunel zostanie uprzątnięty. Wysyłam oddział Odzysku przez szyb El w Tarze. Będą musieli dostać się do Paryża drogą nadziemną i tam odszukać jej ślad.

- A co z eksplozją?

137

Popędek skrzywił się na pytanie Ogierka jakby trafił na gorzką przyprawę w pysznym skądinąd posiłku.

- Och, centaurze, z całą pewnością istnieje jakieś wy-jaśnienie. Palny gaz, awaria sprzętu albo pech. Dowiemy się, co to było. Teraz natomiast moim priorytetem, i w a -

s z y m r ó w n i e ż , jest dostarczenie kapitan Niedużej do sądu. Chcę, żebyście nawiązali łączność z oddziałem Odzysku i przesyłali im przez cały czas aktualne koordynaty miejsca pobytu Niedużej.

Ogierek skinął głową bez entuzjazmu. Holly wciąż miała na głowie hełm. A dzięki hełmowi SKR komputery Ogierka mogły potwierdzić tożsamość i odbierać strumień informacji medycznych o właścicielu. Centaur nie dysponował obrazem ani dźwiękiem, miał jednak mnóstwo innych informacji, dzięki którym mógł namierzyć Holly w dowolnym miejscu na powierzchni ziemi lub pod nią. W

tej akurat chwili elficzka przebywała w Niemczech. Tętno miała nieco przyśpieszone, ale prócz tego nic jej nie dole-gało.

„Dlaczego uciekałaś, Holly? - zapytał bezgłośnie nieobecną przyjaciółkę. - Czemu uciekałaś, skoro jesteś niewinna?”.

- Powiedzcie mi, gdzie jest teraz kapitan Nieduża.

Centaur powiększył do rozmiarów ekranu plazmowego okienko z informacjami diagnostycznymi Holly.

- Ciągle w Niemczech. A dokładnie - w Monachium.

Właśnie się zatrzymała. Może postanowiła wrócić?

Przywra zmarszczył brwi.

- Szczerze w to wątpię, centaurze. Jest zgniłym jajem.

Na wskroś.

Ogierek poczuł gniew. Dobre maniery pozwalały jedynie przyjaciołom zwracać się do innych wrózek, używając nazwy gatunku, a Przywra nie był jego przyjacielem. Ani jego, ani nikogo.

- Nie wiemy tego na pewno - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Popędek jeszcze bardziej zbliżył twarz do wyświetlacza plazmowego, a uśmiech powoli rozciągnął jego napiętą skórę.

- Prawdę mówiąc, centaurze, tutaj się mylicie. Sądzę, że mamy już pewność, że kapitan Nieduża nie wróci. Za-wróćcie natychmiast oddział Odzysku.

Ogierek popatrzył na ekran z odczytami Holly.

Wszystkie wykresy zrobiły się płaskie. W jednej chwili była lekko podenerwowana, ale zdrowa, a w następnej już nie żyła. Brak tętna, brak aktywności mózgu, brak odczytu temperatury. Samo zdjęcie hełmu nie spowodowałoby takich skutków, gdyż każdy funkcjonariusz SKR był połą-

czony ze swoim hełmem za pomocą podczerwieni. Nie.

Holly nie żyła i nie zginęła śmiercią naturalną.

Oczy centaury zaszły łzami. Holly też. O nie.

- Zawrócić oddział Odzysku? Postradałeś zmysły, Przywra? Musimy odnaleźć Holly. Dowiedzieć się, co się stało.

Przywra wydawał się nieporuszony wybuchem Ogierka. Chyba nawet był z niego zadowolony.

- Nieduża była zdrajczynią i najpewniej pozostawała w zмовie z goblinami. Jej nikczemny plan musiał się

139  
jakimś sposobem obrócić przeciwko niej i zginęła. Rozkazuję natychmiast uruchomić mechanizm samozniszczenia w hełmie. Koniec rozdziału o zbuntowanej funkcjonariuszce. Ogierek stał osłupiały.

- Uruchomić mechanizm samozniszczenia? Nie mogę tego zrobić.

Popędek przewrócił oczyma.

- Znowu te wasze opinie. Nie wy tu dowodzicie. Wy tylko wykonujecie rozkazy.

- Za trzydzieści minut będę miał zdjęcia satelitarne -

zaprotestował centaur. - Z całą pewnością możemy tyle poczekać.

Popędek odepchnął Ogierka łokciem od klawiatury.

- Nie zgadzam się. Znacie przepisy. Żadnych ciał, które mogliby znaleźć ludzie. Wiem, że to niełatwe, ale niezbędne.

- Hełm mógł ulec awarii - powiedział Ogierek, chwytając się jak tonący brzytwy.

- Czy to prawdopodobne, by wszystkie odczyty zniknęły na skutek awarii sprzętu?

- Nie - przyznał Ogierek.

- A ile wynosi prawdopodobieństwo?

- Mniej więcej jeden do dziesięciu milionów - powiedział doradca techniczny z desperacją.

Popędek podszedł do klawiatury.

- Jeżeli tchórzycie, centaurze, zrobię to sam - wstukał

swój kod i uruchomił mechanizm samozniszczenia w 140

hełmie Holly. Hełm na dachu hotelu w Monachium rozpu-

ścił się w kałuży kwasu. Podobnie jak - przynajmniej teo-retycznie rzecz biorąc - ciało Holly.

- Gotowe - rzekł z satysfakcją Przywra. - Już jej nie ma, a my możemy od dziś spać nieco spokojniej.

„Nie ja - myślał Ogierek, wpatrując się w ekran z rozpaczą. - Wiele czasu upłynie, zanim będę mógł zasnąć spokojnie”.

Temple Bar, Dublin, Irlandia

Artemis Fowl przebudził się ze snu wypełnionego koszmarami. Nieznane, czerwonookie stwory rozerwały mu zakrzywionymi kłami klatkę piersiową i ucztowały na otwartym sercu. Usiadł w ciasnym łóżku i chwycił się rękoma za pierś. Chociaż koszula była upstrzona plamami zaschłej krwi, nie znalazł śladów obrażeń. Drżąc, wciągnął

kilkakrotnie głęboko powietrze do płuc, dostarczając tlenu połączeniom mózgowym. „Oceń sytuację - zawsze powtarzał mu Butler. - Jeżeli znajdziesz się na nieznanym terytorium, zapoznaj się z nim, zanim otworzysz usta. Dziesięć sekund obserwacji może uratować ci życie”.

Artemis rozejrzał się wokół. Jego powieki podnosiły się i opadały niczym przesłony aparatu. Oczy chłonęły każdy szczegół. Znajdował się w niewielkiej rupieciarni o powierzchni około trzech metrów kwadratowych. Jedna ze ścian była całkiem przezroczysta, a za nią - jak się 141

zdawało - otwierał się widok na dublińską przystań. Są-

dząc po umiejscowieniu mostu Milenijnego, pomieszczenie musiało się znajdować gdzieś w okolicy Temple Bar.

Pomieszczenie wykonano z dziwnego metalu: rodzaju srebrnoszarego włókna, trwałego i giętkiego zarazem. Na pozostałych ścianach wisiało kilka monitorów plazmo-wych. Wszędzie wokół zaawansowana technologia, choć z drugiej strony miejsce wyglądało na stare, niemal opuszczone.

W kącie na składanym krześle siedziała skulona dziewczyna. Głowę miała ukrytą w dłoniach, jej ramiona lekko drżały od szlochu.

Artemis odchrząknął.

- Dlaczego płaczesz, dziewczyno?

Skoczyła na równe nogi i natychmiast stało się jasne, że nie jest zwyczajną dziewczyną. Prawdę mówiąc, wyglądała tak, jakby należała do zupełnie innego gatunku.

- Te spiczaste uszy - zauważył Artemis z zadziwiają-

cym spokojem. - Są prawdziwe czy sztuczne?

Holly uśmiechnęła się lekko przez łzy.

- Cały Artemis Fowl. Zawsze weźmie pod uwagę wszystkie możliwości. Moje uszy są prawdziwe, jak doskonale wiesz... wiedziałeś.

Artemis milczał przez kilka sekund, przetwarzając bogactwo informacji zawartych w tych kilku zdaniach.

- Prawdziwe spiczaste uszy? A więc należysz do gatunku innego niż ludzie. Zapewne jesteś wróżką?

Holly skinęła głową.

142

- Jestem wróżką. Ściślej, elfem. Jestem również kimś, kogo nazwałbyś skrzatką, ale to po prostu praca.

- I, jak się okazuje, wróżki posługują się językiem angielskim.

- Tak jak każdym innym. Dar języków to część naszej magii.

Artemis wiedział, że te rewelacje powinny postawić jego świat na głowie, ale, o dziwo, przyjmował bez protestu każde słowo. Zupełnie jakby zawsze podejrzewał, że wróżki istnieją, a teraz jego podejrzenia się potwierdzały.

Zarazem, co niezrozumiałe, nie był sobie w stanie przypomnieć, czy kiedykolwiek do tej pory choćby raz pomy-

ślał o wrózkach.

- Więc twierdzisz, że mnie znasz? Osobiście czy dzięki jakiejś technice wywiadowczej? Trudno zaprzeczyć, że dysponujecie zaawansowaną technologią.

- Znamy się od kilku lat, Artemisie. To ty pierwszy nawiązałeś kontakt i od tamtej chwili mamy na ciebie oko.

Artemis był nieco poruszony. - Ja nawiązałem kontakt?

- Tak. W grudniu, dwa lata temu. Uprowadziłeś mnie.

- A to jest zemsta? Ta bomba? Moje żebra? - Okrop-na myśl uderzyła Artemisa. - A co z Butlerem? Nie żyje?

Holly zrobiła, co mogła, aby odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Tak, to zemsta, ale nie moja. A Butler żyje. Musia-

łam cię stamtąd zabrać, zanim nastąpiłaby kolejna próba zamachu na twoje życie.

143

- Więc jesteśmy teraz przyjaciółmi?

Holly wzruszyła ramionami.

- Może. Zobaczymy.

Wszystko to było nieco zagmatwane. Nawet jak dla ge-niusza. Artemis skrzyżował nogi w pozycji lotosu, opierając skronie na wyprostowanych palcach.

- Najlepiej opowiedz mi wszystko - powiedział, zamykając oczy. - Od początku. Niczego nie pomijaj.

Więc Holly zrobiła, o co ją prosił. Opowiedziała, jak Artemis ją uprowadził, a potem w ostatniej chwili uwolnił.

Opowiedziała, jak podróżowali razem w okolice bieguna północnego, aby uratować jego ojca, i jak udaremnili rebelię goblinów sponsorowaną przez Opal Koboi. Ze szczegó-

łami opisała misję w Chicago, która miała na celu odzyskanie Kostki C, superkomputera skonstruowanego przez Artemisa na bazie technologii wykradzonej wrózkom.

Wreszcie łamiącym się, cichym głosem powiedziała Artemisowi o śmierci komendanta Bulwy i sekretnym planie Opal Kobi, by skonfrontować ze sobą świat ludzi i wró-

zek.

Artemis siedział całkowicie nieruchomo, chłonąc setki niewiarygodnych faktów. Czoło miał lekko zmarszczone, najwyraźniej informacje nie były łatwe do strawienia. W

końcu, kiedy już jego mózg uporządkował wszystkie dane, chłopiec otworzył oczy.

- W porządku - powiedział. - Nie pamiętam zupełnie nic z tego, co mi opowiedziałaś, ale ci wierzę. Przyjmuję do wiadomości, że wróżki mieszkają z ludźmi po sąsiedzku pod powierzchnią planety.

144

- Tak po prostu?

Na ustach Artemisa pojawił się uśmiezek.

- Niezupełnie po prostu. Porównałem twoją historię ze znanymi mi faktami. Jedyne inne scenariusze, który mógłby wyjaśnić to, co się stało, włączając w to twoje niecodzienne pojawienie się, osnuty jest na teorii spisku związanej z rosyjską mafią oraz grupą pomyślonych chirurgów plastycznych. Mało prawdopodobny. Natomiast twoja historia o wróżkach pasuje, jeśli nie liczyć jednej rzeczy, o której nie mogłaś wiedzieć, kapitan Nieduża.

- Mianowicie?

- Po rzekomym wymazaniu mojej pamięci znalazłem u siebie i Butlera w oczach lustrzane soczewki kontaktowe. Poszukiwania ujawniły, że sam je zamówiłem, choć tego nie pamiętam. Podejrzewam, że zrobiłem to, by nie dać się zamesmeryzować.

Holly skinęła głową. Jego słowa miały sens. Wróżki posiadają moc mesmeryzowania ludzi, niemniej częścią triku jest kontakt wzrokowy, spotęgowany mesmerycznym tonem głosu. Lustrzane soczewki kontaktowe nie pozwoli-

łyby zamesmeryzować noszącej je osoby, choć mogłaby łatwo udawać, że tak się właśnie stało.

- Jedynym wyjaśnieniem jest to, że zostawiłem gdzieś dla siebie pamiątkę. Coś, co sprawi, że wrócą do mnie wszystkie wspomnienia związane z wróżkami. Ale co to może być?

- Nie mam pojęcia - powiedziała Holly. - Miałam nadzieję, że przypomnisz sobie, kiedy mnie zobaczysz.

145

Artemis uśmiechnął się nad wyraz zirytowany. Jak do dziecka, które zasugerowało, że księżyc zrobiony jest z sera.

- To niemożliwe, pani kapitan. Zgaduję, że technologia wymazywania pamięci pani przyjaciela Ogierka to zaawansowana wersja tłumiącej wspomnienia farmakologii, nad którą prowadzą badania rozmaite rządy. Widzi pani, mózg to skomplikowane urządzenie; jeżeli uda się go przekonać, że coś się nie wydarzyło, będzie wynajdywał

najrozmaitsze scenariusze, żeby wytrwać w tej iluzji. Nic nie zmieni jego zdania, że się tak wyrażę. Nawet jeśli świadomość zaakceptuje jakiś fakt, wymazywanie pamięci przekonało też podświadomość, a niezależnie od tego, jak bardzo byłaby pani przekonująca, nie jest w pani mocy nawrócenie mojej zmienionej podświadomości. Ta zaś, coś mi się zdaje, wciąż uważa, że jest pani halucynacją albo miniaturowym szpiegiem. O nie, wspomnienia wrócą na miejsce dopiero wtedy, gdy moja podświadomość przestanie się temu sprzeciwiać - na przykład kiedy osoba, której całkowicie ufam, dostarczy mi dowodów nie do odparcia.

Holly poczuła, że ogarnia ją złość. Nikt tak jak Artemis nie potrafił zaleźć za skórę. Dziecko, które traktuje wszystkich jak dzieci.

- A kim jest ta osoba?

Artemis uśmiechnął się znowu.

- No, to ja sam, oczywiście.

146

Monachium

Butler ocknął się i stwierdził, że z nosa cieknie mu krew i kapie na białą czapkę kucharza hotelowego. Kucharz, wraz z grupką członków obsługi kuchni hotelowej, stał w środku zniszczonego magazynu. Mężczyzna trzymał

w ręku topór rzeźniczy, na wypadek gdyby gigant na po-szarpanym materacu, który wbił się w krokwie dachu, był

szaleńcem.

- Przepraszam bardzo - zagadnął grzecznie, co raczej niezwykle u kucharza. - Czy pan żyje?

Butler rozważył pytanie. Najwyraźniej, wbrew widocznym objawom, był jednak żywy. Materac uratował go przed niechcianym pociskiem. Artemis przeżył również.

Służący zapamiętał, że wyczuł tętno jego serca tuż przed utratą przytomności. W tej chwili go nie wyczuwał.

- Żyję - burknął, wypluwając z ust maż z pyłu i krwi.

- Gdzie chłopak, który był ze mną?



Gapie zgromadzeni w zrujnowanym magazynie spojrzeli po sobie.

- Nie było tu żadnego chłopaka - powiedział wreszcie kucharz. - Tylko pan spadł.

Bez wątpienia grupa zażąda wyjaśnień albo zawiadomi policję.

- No jasne, że nie było. Proszę wybaczyć, umysł zaczyna płatać figle, gdy się wypadnie z trzeciego piętra.

Wszyscy pokiwali zgodnie głowami. Któż mógł winić olbrzyma za to, że jest nieco roztrzęsiony.

147

- Opałem się i oparłem o barierkę, a ona pękła. Na szczęście udało mi się chwycić materac, zanim spadłem.

Wyjaśnienie spotkało się z ogólnym sceptycyzmem, na który w pełni zasługiwało. Kucharz wyartykułował wątpliwości zgromadzonych.

- Udało się panu chwycić materac?

Butler musiał szybko coś wymyślić, co nie jest najłatwiejsze, kiedy cała krew ciała gromadzi się w płatach czołowych.

- Tak. Leżał na balkonie. Odpoczywałem, grzejąc się w słońcu.

Cała ta historia o słońcu była skrajnie nieprawdopodobna. Zwłaszcza w środku zimy. Butler uznał, że rozgoni ten tłumek jednym tylko sposobem. Drastycznym, ale skutecznym. Wydobył z kieszeni marynarki mały notes.

- Oczywiście mam zamiar pozwać hotel za poniesione szkody. Już same szkody psychiczne powinny być warte parę milionów euro. Nie wspominając o obrażeniach fizycznych. Zakładam, że mogę na państwa liczyć w kwestii składania zeznań?

Kucharz zbladł, podobnie jak reszta. Zeznawanie przeciwko pracodawcy to pierwszy krok do bezrobocia.

- Nie... nie jestem pewien, proszę pana - wyjąkał. -

Właściwie nic nie widziałem - urwał i pociągnął nosem. -

Pavlova mi się chyba przypala. Deser diabli wezmą.

148

Kucharz przeskoczył zręcznie kilka pogruchotanych płyt i zniknął w hotelu. Reszta pracowników poszła w jego ślady i za parę chwil Butler był znowu sam. Uśmiechnął

się, choć ta czynność posłała pocisk bólu w dół kręgosłupa. Widmo sędziowskiej togi działa na świadków podobnie jak ogień z broni maszynowej.

Ogromny Eurazjata wygrzebał się z resztek krokwi.

Miał wielkie szczęście, że nie nadział się na pionowe belki. Materac zamortyzował większość uderzenia, a drewno było spróchniałe i rozpadło się pod ciężarem Butlera.

Służący zeskoczył na ziemię i otrzepał garnitur. Najwyższym priorytetem jest teraz odnalezienie Artemisa.

Prawdopodobnie chłopca uprowadził niedoszły zabójca.

Ale który zabójca najpierw próbuje zabić ofiarę, a potem ją porywa? Chyba że jakiś nieznany wróg skorzystał z nadarzającej się okazji i postanowił wymusić okup.

Butler powrócił do pokoju hotelowego, gdzie zastał

wszystko dokładnie w takim samym stanie. Żadnego śladu po eksplozji w pomieszczeniu. Jediną dziwną rzeczą, jaką spostrzegł, były niewielkie skupiska martwych owadów.

Dziwaczne. Tak jakby błękitny błysk działał tylko na istoty żywe, nie niszcząc budynku.

„Płukanka” - powiedziała podświadomość służącego, jednakże świadomość tego nie zauważyła.

Butler spakował pospiesznie walizkę z przyrządami Artemisa i, oczywiście, swoją własną. Broń i sprzęt wywiadowczy zostawił w skrytce na lotnisku. Opuścił hotel Kronskey, nie wymeldowując się. Byłoby to podejrzane, 149

a przy odrobinie szczęścia całą sprawę da się załatwić, nim szkolna wycieczka wróci do domu. Ochroniarz wsiadł do zaparkowanego na hotelowym parkingu hummera i ruszył

w stronę lotniska. Jeżeli Artemis został uprowadzony, porywacze skontaktują się z Dworem Fowlów, by przedstawić żądanie okupu. Jeśli zaś Artemis po prostu uciekł z niebezpiecznego miejsca, również będzie zmierzał w stronę domu. Tak czy inaczej, ślad wiódł do dworu Fowlów i tam właśnie miał zamiar udać się Butler.

Temple Bar, Dublin, Irlandia

Artemis otrząsnął się na tyle, by powróciła jego wrodzona ciekawość. Przechadzał się po zagraconym pomieszczeniu, dotykając gąbczastej powierzchni ścian.

- Co to za miejsce? Jakiś rodzaj kryjówki kontrwywiadowczej?

- Zgadza się - powiedziała Holly. - Parę miesięcy temu miałam tu placówkę inwigilacyjną. Niedaleko kilku krasnali urządziło sobie melinę paserską. Handlowali skradzioną biżuterią. Z zewnątrz to miejsce wygląda jak kawa-

łek nieba. Ściany wykonane są z kam-włókna.

- Włókna kamuflującego?

- Nie. Kameleoniego. Mój mundur jest kamuflujący.

150

- Myślałem, że wiesz, iż kameleony zmieniają kolor nie żeby dostosować się do otoczenia, lecz w zależności od nastroju i temperatury.

Holly wyrzała na zewnątrz, na Temple Bar. Tysiące turystów, muzyków i mieszkańców przeciskało się wąskimi uliczkami pełnymi sklepików i warsztatów rzemieślniczych poniżej.

- Opowiedz o tym Ogierkowi. To on wymyśla nazwy dla sprzętu.

- Ach tak - powiedział Artemis. - Ogierek. To centaur, zgadza się?

- Owszem - Holly odwróciła się do Artemisa. -

Przyjmujesz wszystko bardzo spokojnie. Większość ludzi dostaje kompletnej szajby, gdy się o nas dowiaduje. Dla niektórych kończy się to szokiem.

Na twarzy Artemisa pojawił się uśmiech.

- Nie jestem większością ludzi.

Holly odwróciła się znów do przezroczystej ściany. Nie miała zamiaru polemizować z tym stwierdzeniem.

- Proszę mi powiedzieć jedną rzecz, kapitan Nieduża.

Skoro jestem dla Ludu wróżek tylko zagrożeniem, dlaczego mnie pani wyleczyła?

Holly oparła czoło o przejrzystą ścianę kameleonie komory.

- Taka jest nasza natura - odpowiedziała. - No i jesteś mi potrzebny przy poszukiwaniach Opal Kobi. Już raz nam się to udało, więc drugi raz też się uda.

Artemis stanął za elficzką.

- Więc najpierw wymazujecie mi pamięć, a teraz mnie potrzebujecie?

151

- Tak, Artemisie. Ironizuj, ile dusza zapagnie. Potęż-

ne SKR potrzebują twojej pomocy.

- Rzecz jasna, pozostaje jeszcze kwestia mojego wy-nagrodzenia - odezwał się Artemis, zapinając guziki poplamionej krwią koszuli.

Holly odwróciła się w jego stronę.

- Wynagrodzenia? Mówisz poważnie? Po wszystkim, co zrobił dla ciebie Lud wróżek? Raz w życiu nie możesz zrobić czegoś dobrego?

- Bez wątpienia wy, elfy, jesteście rasą, która kieruje się przede wszystkim uczuciami. Ludzie są nieco bardziej interesowni. Fakty mówią za siebie: jest pani ścigana przez wymiar sprawiedliwości i przez genialną chochliczkę, morderczynię. Nie ma pani funduszy ani zasobów. Ja zaś jestem jedyną osobą, która może pani pomóc wysledzić tę Opal Koboï. Zdaje się, że jest to warte parę sztabek czyjegoś złota.

Holly popatrzyła na niego ze złością.

- Tak jak mówisz, Błotniaku. Nie mam funduszy.

Artemis rozłożył ramiona we wspaniałomyślnym ge-  
ście.

- Jestem gotów zaakceptować słowo. Jeżeli zagwa-rantuje mi pani jedną tonę złota z waszego funduszu dla zakładników, obmyślę plan, dzięki któremu zwyciężymy Opal Koboï.

Holly wiedziała, że jest przyparta do muru. Bez wątpienia razem z Artemisem mieli przewagę nad Opal, niemniej doskwierało jej płacenie za pomoc komuś, kogo dawniej uważała za przyjaciela.

152

- A jeśli Koboï zwycięży?

- Jeśli Koboï zwycięży i, co prawdopodobne, zamor-duje nas oboje, może pani uważać dług za niebyły.

- Świetnie - burknęła Holly. - To niemal właśnie tyle warte.

Odeszła od okna i zaczęła przeszukiwać apteczkę.

- Wiesz co, Artemisie? Jesteś dokładnie taki sam, jak przy naszym pierwszym spotkaniu: chciwy Błotny Chłopak, którego nie interesuje nikt poza nim samym. Naprawdę chcesz być taki przez resztę życia?

Wyraz twarzy Artemisa nie zmienił się, lecz jego emocje pod fasadą spokoju zawrzały jak w kotle. Oczywiście zrobił słusznie, pytając o zapłatę; byłoby głupio postąpić inaczej. Ale nawet samo pytanie sprawiło, że poczuł się winny. Wszystko przez tę idiotyczną nowość, którą odkrył

u siebie: sumienie. Matka, jak się zdaje, potrafiła uruchamiać je u niego na życzenie, a istota ze świata wrózek, którą miał przed sobą, najwyraźniej umiała to samo. Bę-

dzie musiał w przyszłości mocniej trzymać uczucia na wodzy.

Holly zamknęła szafkę.

- No, panie konsultancie? Jaki będzie nasz pierwszy ruch?

Artemis odpowiedział bez wahania.

- Jest nas tylko dwoje i nie jesteśmy zbyt duzi. Potrzebne nam posiłki. Butler jest pewnie w drodze do Dworu Fowlów. Możliwe, że już dotarł na miejsce.

Artemis włączył komórkę i jednym klawiszem wybrał

numer Butlera. Dowiedział się, że klient, do którego 153

zadzwoił, wyłączył swój telefon lub jest chwilowo poza zasięgiem. Postanowił nie korzystać z propozycji, żeby zadzwonić później, i zamiast tego wybrał numer Dworu Fowlów. Po trzecim dzwonku uruchomiła się automatyczna sekretarka. Najwyraźniej rodzice wyjechali już do uzdrowiska w Westmeath.

- Butler - zaczął mówić Artemis. - Mam nadzieję, że jesteś cały. Mnie nic nie jest. Wysłuchaj mnie bardzo uważnie i uwierz, że wszystko, co mówię, jest prawdą... - i Artemis przeszedł do relacjonowania wydarzenia dnia. -

Niedługo zjawimy się w domu. Sugeruję, żebyśmy skupili się na sprawach najistotniejszych i przenieśli w bezpieczne miejsce...

Poczuł na ramieniu klepnięcie Holly.

- Powinniśmy stąd zniknąć. Koboï nie jest głupia. Nie zdziwiłabym się, gdyby miała jakiś alternatywny plan na wypadek, jeśli udałoby się nam przetrwać.

Artemis przykrył słuchawkę dłonią.

- Zgoda. Też bym tak zrobił. Ta Koboï pewnie niedługo się tutaj zjawi.

Jak na życzenie, jedna ze ścian pomieszczenia rozpu-

ściła się z głośnym sykiem. W powstałym otworze stała Opal Koboï, a po jej obu bokach - bracia Merv i Scant Sielawa. Bliźniacy byli uzbrojeni w pistolety z przejrzy-stego tworzywa. Lufa broni Merva świeciła słabo, gdyż to on oddał strzał, który roztopił ścianę.

- Morderczyni! - krzyknęła Holly, sięgając po broń.

Merv swobodnym ruchem posłał impuls ze swej broni na tyle blisko głowy elficzki, że lekko osmalił jej brwi.

154

Holly znieruchomiała, podnosząc z rezygnacją ramiona.

- Opal Koboï, jeśli się nie mylę? - odezwał się Artemis, choć gdyby Holly nie opowiedziała mu wszystkiego, nie byłby w stanie się zorientować, że istota płci żeńskiej, którą ma przed sobą, nie jest zwykłym ludzkim dzieckiem.

Czarne włosy opadały jej na plecy, miała na sobie mundu-rek w kratkę, który mogłaby nosić każda z miliona uczeń-nic na całym świecie. Jej uszy były, rzecz jasna, okrągłe.

- Miło cię znowu spotkać, Artemisie Fowl. Naprawdę sądzę, że w innych okolicznościach moglibyśmy zostać sojusznikami.

- Okoliczności się zmieniają - podchwycił Artemis. -

Możliwe, że ciągle możemy.

Holly postanowiła zrobić Artemisowi prezent i zawahać się. Może udawał zdrajcę, żeby ich oboje ocalić. Mo-

że.

Długie, zakręcone rzęsy Opal zatrzepotały.

- Kusząca propozycja, ale nie. Wydaje mi się, że na świecie jest miejsce tylko dla jednego genialnego dziecka.

A ponieważ tak się złożyło, że mam zamiar udawać dziecko, tym geniuszem będę ja. Poznajcie Belindę Zito, dziewczynkę z wielkimi planami.

Holly już sięgała po broń, ale znieruchomiała, kiedy Merv wycelował w jej stronę swój przezroczysty pistolet.

- Poznaję was - powiedziała do braci Sielawa. - Rodzeństwo chochlików-bliźniaków. Widziałam was w telewizji.

155

Scant nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- No tak. W Canto. To był najchętniej oglądany show sezonu. Chcemy też napisać książkę, prawda, Merv? O

tym, jak...

- Nawzajem kończymy własne wypowiedzi - dokoń-

czył Merv, choć zdawał sobie sprawę, że mu się za to dostanie.

- Zamknij się, skończony imbecylny - krzyknęła Opal, spoglądając na niego jadowniczo. - Trzymaj palec na spu-

ście, a usta zamknięte. Nie chodzi tu o was, tylko o mnie.

Zapamiętajcie to sobie, a może nie będę zmuszona zamienić was w bezładną mieszaninę atomów.

- Tak jest, panienko Kobo. Chodzi tylko o panienkę.

Opal niemal zamruczała.

- Otóż to. Zawsze chodzi tylko o mnie. Tylko ja się naprawdę liczę.

Artemis leniwym ruchem włożył rękę do kieszeni. W

kieszeni spoczywała komórka, wciąż połączona z Dworem Fowlów.

- Jeśli można, panienko Kobo. To złudzenie własnej ważności jest bardzo pospolitą postawą po niedawnym przebudzeniu ze śpiączki. Jest to tak zwany syndrom Nar-cyza. Napisałem artykuł na ten temat do „Rocznika Psy-chologicznego” pod pseudonimem sir E. Brum. Spędziła panienka tak wiele czasu tylko we własnym towarzystwie, żeby się tak wyrazić, że wszystko inne stało się nierze-czywiste...

156

Opal skinęła na Merva.

- Ucisz go, na bogów.

Merv usłuchał z przyjemnością, zatapiając błękitny impuls w piersi Artemisa. Młody Irlandczyk upadł w połowie wykładu.

- Coś ty zrobiła? - krzyknęła Holly, przypadając do boku Artemisa. Po chwili stwierdziła z ulgą, że serce chłopca pod zakrwawioną koszulą bije miarowo.

- Ależ nic - odpowiedziała Opal. - Nie przejmuj się, nie zabiłam go, tylko boleśnie ogłuszyłam. Młody Artemis ma dziś ciężki dzień.

Holly popatrzyła na chochliczkę dłuższą chwilę, a jej piękne rysy wykrzywił smutek i złość.

- Czego chcesz od nas? Do czego jeszcze jesteś zdolna?

Opal była ucieleśnieniem niewinności.

- To nie moja wina. Sami jesteście sobie winni.

Chciałam tylko doprowadzić do unicestwienia społeczno-

ści wrózek w dotychczasowej formie, ale nie, wy nie mogliście tego znieść. Potem zaplanowałam tylko kilka względnie prostych zabójstw, ale wy oczywiście musieli-

ście przetrwać. Przy okazji, wyraziy uznania z powodu ucieczki przed biobombą. Oglądałam całe zajście z odległości dwudziestu metrów, z pokładu mojego zamaskowanego promu. Dobry pomysł z próbą powstrzymania solinium hełmem SKR. Teraz jednak, skoro sprawiliście mi tak wiele problemów i tak mnie zirytowaliście, chyba będę musiała sobie trochę pofolgować.

157

Holly przełknęła strach, który zaczął ją ścisnąć za gardło.

- Pofolgować?

- O tak. Szczególnie paskudny scenariusz zaplanowa-

łam dla Ogierka. Coś spektakularnego przy Jedenastu Cudach. Ale zmieniłam zdanie i uznałam, że to wy na niego zasługujecie.

Mięśnie Holly napięły się. Musi skoczyć po broń, nie ma innego wyjścia. Ale nie potrafiła się powstrzymać przed pytaniem. Ciekawość to druga natura wrózek.

- Szczególnie paskudny?

Opal uśmiechnęła się. Jedynym przymiotnikiem trafnie opisującym ten grymas było słowo „zły”.

- Potrollnie paskudny - powiedziała. - I jeszcze jedno.

Dowiesz się tego, gdyż masz umrzeć, a chcę, żebyś nie-nawidziła mnie w chwili śmierci tak samo, jak ja nienawidzę ciebie - Opal urwała, budując napięcie. - Pamiętasz, jak mówiłam o słabym punkcie w mechanizmie bomby na piersi Juliusza?

Holly poczuła, że serce wypełnia jej pierś, jakby miało rozsadzić ciało.

- Pamiętam. Oczy Opal zabłyśły.

- Kłamałam.

Holly skoczyła po broń i Merv posłał w jej klatkę piersiową błękitny impuls. Straciła przytomność, jeszcze zanim upadła.





# PASKUDNE STADO TROLLI

Pod Oceanem Atlantyckim,

dwie mile od wybrzeża Kerry'ego

Wody terytorialne Irlandii

Trzy tysiące metrów pod powierzchnią Atlantyku ciasną wulkaniczną szczeliną mknął prom podwodny SKR, zdążając ku ujściu podwodnej rzeki. Rzeka wiodła do portu promowego, gdzie pasażerowie łodzi podwodnych prze-siadali się na konwencjonalne jednostki.

Na pokładzie łodzi podwodnej znajdowało się trzech pasażerów oraz pilot. Jednym z pasażerów był krasnal kryminalista, eskortowany przez funkcjonariuszy z Atlantydy. Ów kryminalista, Mierzwa Grzebaczek, był w wy-jątkowo pogodnym nastroju jak na kogoś ubranego w wię-

zienny pasiak. Powód był jednak niebłahy: apelacja krasnala została wreszcie rozpatrzona, jego prawnik zaś wró-

żył optymistycznie, że wszystkie zarzuty ciężące na 159

kliencie będą wycofane z powodu uchybienia formalnego.

Mierzwa Grzebaczek był krasnałem tunelowym, który porzucił kopalnię, by poświęcić się życiu przestępczemu.

Włamywał się do domów Błotnych Ludzi i wykradał im drogocenne przedmioty, które sprzedawał na czarnym rynku. Kilka lat wcześniej jego losy splotły się z losami Artemisa Fowla i Holly Niedużej. Mierzwa odegrał kluczową rolę w ich przygodach. Atoli barwne życie krasnala skończyło się z hukiem w szarej celi, kiedy dosięgło go mocarne ramię SKR.

Nim wsadzono go za kratki, by odsiedział resztę zale-głego wyroku, pozwolono mu się pożegnać z ludzkimi przyjaciółmi. Artemis dał mu wtedy dwie rzeczy. Po pierwsze wskazówkę, by Mierzwa polecił sprawdzić datę na oryginalnym nakazie rewizji, na którego podstawie przeszukano jego jaskinię. Po drugie złoty medalion, który po dwóch latach krasnal miał Artemisowi zwrócić. Najwyraźniej chłopak liczył na przyszłą współpracę. Mierzwa oglądał medalion tysiące razy, póki nieustanne miętosze-nie w paluchach nie starło zeń warstewki złota, ukazując oczom krasnala ukryty pod spodem dysk optyczny. Zrozumiał od razu, że jest to wiadomość, którą Artemis pozostawił dla siebie samego. Chciał w ten sposób otworzyć sobie drogę do wspomnień wymazanych przez SKR.

Kiedy odstawiono go do więzienia zwanego Głębią, zakładu penitencjarnego o podwyższonym poziomie bezpieczeństwa, Mierzwa poprosił o rozmowę telefoniczną z adwokatem. Prawn timer przydzielony z urzędu zjawił się z 160

ociąganiem, a krasnal polecił mu sprawdzić nakaz rewizji, która stała się podstawą aresztowania. Okazało się, że data jest niewłaściwa. Z danych komputera SKR wynikało, że Juliusz Bulwa

przeszukał jaskinię Mierzwy przed uzyskaniem nakazu. Fakt ten unieważniał wszystkie późniejsze aresztowania. Obecnie wystarczyło poczekać cierpliwie, aż ciągnąca się jak gąsienica rozprawa dobiegnie końca, odbyć półgodzinną rozmowę z policjantem, który go aresztował, i Mierzwa będzie wolnym krasnałem.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień. Mierzwa miał być przewieziony do Komendy Policji na spotkanie z Juliuszem Bulwą. Prawo wróżek gwarantowało Bulwie pół

godziny na przesłuchanie, podczas którego miał mieć sposobność wydusić z krasnała przyznanie się do winy. Byle zatem nie otwierać ust, i Mierzwa będzie zajadał na kolację curry z nornicy w swej ulubionej knajpie dla krasnali.

Mierzwa zamknął w dłoni medalion. Trudno się było nie domyślić, kto pociągnął za sznurki. Artemis zdołał

jakimś sposobem włamać się do komputera SKR i zmienić datę. Mierzwa zawdzięczał Błotniaczkowi wolność.

Jeden ze strażników, rosły elf ze skrzelami, w które ewolucja wyposażyła wróżki z Atlantydy, wessał nimi haust powietrza, które następnie wypuścił ustami.

- Hej, Mierzwa - wychrypiał. - Co zrobisz, jak już odrzucą twoją apelację? Popłaczesz się jak mała dziewczynka? Czy przyjmiesz to bez mrugnięcia okiem, jak na krasnała przystało?

161

Mierzwa uśmiechnął się, odsłaniając niewiarygodnie dużą liczbę zębów.

- Nie martw się o mnie, Płotka. Dziś wieczorem będę wcinał na kolację jednego z twoich krewniaków.

Zazwyczaj widok cmentarnego uzębienia Mierzwy wystarczał, by zniechęcić każdego mądrałę do komentarzy, lecz ten akurat strażnik nie przywykł do wysłuchiwanie impertynencji ze strony więźniów.

- Oszczędzaj lepiej szczęki, krasnalu. W Głębi mają dla ciebie mnóstwo kamieni do przeżucia.

- Możesz sobie pomarzyć, Płotka - odciął się Mierzwa, rozkoszując się sytuacją. Po latach podlizywania się wszystkim mógł się wreszcie z kimś trochę podroczyć.

Funkcjonariusz wstał i wyprostował się.

- Płóć. Nazywam się Płóć.

- No przecież mówię, że Płotka.

Drugi eskortujący, duszek wodny z nietoperzymi skrzydłami złożonymi na plecach, odchrząknął.

- Daj mu spokój, Płóć. Wiesz, z kim rozmawiasz?

Ten tutaj to Mierzwa Grzebaczek. Najsłynniejszy złodziej pod ziemią.

Mierzwa uśmiechnął się, choć wątpliwe, czy sławę można uważać za zaletę złodzieja.

- Facet ma na koncie same genialne posunięcia.

Uśmiech Mierzwy zgasł, bo oto dotarło do niego, że zaraz stanie się obiektem kpin.

- Najpierw ukradł ludziom Puchar Świata i usiłował

go sprzedać przebranej wróżce z SKR.

Płóć usiadł, zacierając ręce z uciechy.

162

- Nie mów! Co za umysł! Jak to możliwe, że w tej maleńkiej łepetynie wykuł się tak przebiegły plan?

Duszek zaczął przechadzać się dumnie nawą pośrodku promu. Wygłaszał kolejne kwestie niczym aktor na scenie.

- Potem zwędził trochę złota Artemisowi Fowlowi i zaszył się w Los Angeles. A wiesz, gdzie siebie zaszył?

Mierzwa jęknął.

- Powiedz - sapnął Płóć. Jego skrzela pracowały na wysokich obrotach, nie nadążając z zasysaniem powietrza.

- Kupił sobie luksusowy apartament i postanowił zebrać kolekcję statuetek Oskara.

Płóć rechotał, aż łopotały mu skrzela.

Mierzwa nie był w stanie znieść tego dłużej. Był w końcu praktycznie wolną wróżką, na bogów. Wolna wróż-

ka nie puszcza takich zniewag mimo uszu.

- Zaszył siebie? Zaszył? Zdaje się, żeś spędził za du-

żo czasu pod wodą. Ciśnienie sprasowało ci mózg!

- Mnie sprasowało? - odpalił wodny duszek. - Zdaje się, że to nie ja spędziłem kilka stuleci w więzieniu. Nie widzę też kajdanek na swoich rękach, a w paszczy nie mam obręczy.

Duszek miał niestety rację. Trudno było uznać przestępczą karierę Mierzwy za pasmo sukcesów. Chwytano go częściej niż uciekał. SKR dysponowały zbyt zaawansowaną technologią, trudno było ich skutecznie unikać.

Może przyszedł czas, żeby poukładać sobie życie, dopóki wciąż jakoś się trzyma?

163

Mierzwa potrząsała kajdankami, którymi był przykuty do poręczy.

- Nie będę ich długo nosił.

Płóć otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz nie zdążył.

Monitor plazmowy na ściennej konsoli rozjarzył się na czerwono. Nadchodziła pilna wiadomość. Płóć włożył

słuchawkę do ucha i odwrócił ekran tyłem do więźnia. W

miarę jak słuchał, z jego twarzy zniknął wyraz rozbawienia.

Minęło kilka chwil i cisnął słuchawki na konsolę.

- Wygląda na to, że jednak jeszcze je trochę ponosisz.

Mierzwa zacisnęła zęby na stalowej obręczy.

- Dlaczego? Co się stało?

Płóć zeskrobał z półeczki kawałek zeschniętego śluzu ze skrzeli.

- Nie powinienem wam tego mówić, skazany, ale komendant Bulwa został niedawno zamordowany.

Nawet gdyby go podłączono do sieci elektrycznej Niż-

szej Krainy, Mierzwa nie doznałby większego wstrząsu.

- Zamordowany? Jak to?

- Zginął w wybuchu - rzekł Płóć. - Głównym podejrzanym jest funkcjonariusz SKR. A w zasadzie funkcjonariuszka. Kapitan Nieduża. Uznano ją za zaginioną, przepadła gdzieś na powierzchni. Zapewne też nie żyje, choć zgonu nie potwierdzono.

- Wcale się nie dziwię - wtrącił duszek wodny. - Kobiety, ze swoim wybuchowym temperamentem, nie 164

nadają się do pracy w policji. Nawet taka prosta misja transportowa jak nasza sprawiłaby im trudności.

Mierzwa wciąż był wstrząśnięty. Miał wrażenie, że pę-

ły wszystkie więzadła trzymające mózg w czaszce, i ten wiruje w środku głowy. Holly zamordowała Juliusza? Co takiego? To po prostu niemożliwe. Na pewno zaszła jakaś pomyłka. W dodatku Holly zaginęła, prawdopodobnie nie żyje. Co się dzieje?

- Tak czy owak - ciągnął Płoc. - Mamy zawrócić krypę i grzać z powrotem na Atlantyde. Oczywiście twoje spotkanie będzie musiało poczekać czas nieokreślony, póki cały ten bajzel się nie wyklaruje.

Duszek wodny figlarnie poklepał Mierzwę po policzku.

- Nie martw się, krasnalu. Na pewno za kilka lat uda im się wszystko rozwikłać.

Mierzwa klepięcia praktycznie nie odczuł, choć słowa nawet bardzo. Kilka lat? Kolejnych kilka lat w Głębi? Już teraz coś w środku krasnala wyło z tęsknoty za tunelami.

Poczuć pod palcami miękką ziemię! Solidnie przeczyścić trzewia żyzną glebą! Miał nadzieję, że Holly jednak żyje.

Może potrzebuje pomocy przyjaciela? Nie ma innego wyj-

ścia. Trzeba uciekać.

Juliusz zabity. Nie do uwierzenia.

Mierzwa przekartkował w myśli talenty krasnali, aby wybrać najlepszy na okazję ucieczki. Dawno już utracił

ostatnią iskierkę magii, gdyż złamał większość przykazań Księgi wrózek, ale krasnale są niezwykle szczerze obdarowane przez ewolucję. Nieliczne spośród ich talentów 165

były powszechnie znane Ludowi, gdyż krasnali od zawsze cechowała skrytość. Żywili bowiem przekonanie, że prze-trwanie ich rasy zależy od utrzymania talentów w tajemnicy. Wszyscy wiedzieli, że krasnale drążą tunele, zdjętymi z zawiasów szczękami pochłaniając ziemię i powietrze, które wydalają drugim końcem. Większość wrózek zdawa-

ła sobie sprawę, że krasnale potrafią pić przez pory skóry, gdy zaś przez jakiś czas nie ugaszą pragnienia, pory zamieniają się w maleńkie ssawki. Nieliczni przedstawiciele Ludu wiedzieli, że ślina krasnali posiada właściwość flu-orescencji i po wypluciu tężeje. Nikt zaś nie miał najmniejszego pojęcia, że produktem ubocznym wzdęć krasnali są wytwarzające metan bakterie o nazwie rodzajowej *methanobrevibacteria smithii*, które ochraniają swych żywicieli przed chorobą dekompresyjną. Mówiąc szczerze, krasnale też nie miały o tym pojęcia. Wiedziały tylko, że jeśli zdarza im się przebić tunelem na otwarte morze, przebywanie na dużych głębokościach nie przysparza im najmniejszych dolegliwości.

Mierzwa zastanawiał się przez chwilę i uznał, że tylko kombinacja wszystkich talentów umożliwi mu ucieczkę.

Musiał wprowadzić swój wymyślony na podorędziu plan w życie natychmiast, zanim prom opadnie na dno prze-pastnych rowów Oceanu Atlantyckiego. Jeśli wehikuł

zejdzie zbyt głęboko, ucieczka będzie niewykonalna.

Prom wykonał manewr zawracania po szerokim łuku.

Kiedy tylko pozostawi za sobą irlandzkie tereny połowowe, 166

pilot przełączy silniki na pełną moc. Mierzwa zaczął lizać dłonie i smarować śliną swą nieokiełznaną, kędzierzawą czuprynę. Płóć roześmiał się.

- Co robisz, Grzebaczek? Szykujesz się na randkę z kumplem z celi?

Mierzwa miał ogromną ochotę odgryźć solidny kęs Płocia, lecz obręcz uniemożliwiała rozwarście szczęk na tyle szeroko, by zdjąć je z zawiasów. Trzeba się będzie zadowolić obelgą.

- Może i jestem teraz więźniem, Płotka, ale za dziesięć lat będę wolny. Ty natomiast pozostaniesz zafajda-nym śmieciojadem przez całe życie.

Płóć podrapał się z furią w skrzele.

- Właśnie zapewniłeś sobie sześć tygodni w izolatce, kolego.

Palce Mierzwy ociekały śliną, krasnał wciąż rozpro-wadzał ją pracowicie po czaszce, sięgając do tyłu na tyle daleko, na ile pozwalały kajdanki. Czuł, że ślina zaczyna twardnieć, przywierając do czaszki niczym hełm. A w zasadzie dokładnie jak hełm. Nie przerywając lizania, Mierzwa zaczął wsysać przez nos ogromne hausty powietrza, zatrzymując je w swych trzewiach. Każdy oddech wysysał tlen z hermetycznej przestrzeni szybciej, niż pompy mogły go uzupełnić.

Strażnicy nie zauważyli dziwaczego zachowania więźnia, a nawet gdyby je dostrzegli, bez wahania złożyliby je na karb nerwów. Przyśpieszony oddech i poprawia-nie wyglądu to przecież typowe oznaki zdenerwowania.

167

Nikt nie mógł wszak winić Mierzwy za to, że się zdenerwował, skoro wracał właśnie w miejsce, które śniło się przestępcom w najgorszych koszmarach.

Mierzwa wciąż lizał dłonie i wsysał powietrze, a jego pierś nadymała się niczym miech. Czuł, że w niższych partiach ciała narasta ciśnienie powietrza, które z każdym oddechem coraz niecierpliwiej usiłuje się wydostać na zewnątrz.

„Jeszcze trochę - mówił sobie. - Będziesz potrzebował

każdego bąbelka powietrza”.

Skorupa na jego czole trzeszczała głośno. Gdyby przy-gasły światła, okazałoby się, że otacza ją również jasna poświata. Powietrza w przegrodzie ciągle ubywało, co odczuły już skrzela Płocia, niezależnie od właściciela.

Drżały i łopotały, rozpaczliwie dopominając się o tlen.

Mierzwa wciągnął kolejny haust powietrza. Kadłub wehikułu zadzwonił, gdy wzrosła różnica ciśnień.

Wodny duszek pierwszy zauważył różnicę.

- Hej, Płotka!

W zbolałym wyrazie twarzy Płocia odbiły się lata walki z przewiskiem.

- Ile razy mam ci powtarzać?

- Okej, Płoc. Tylko wydaje mi się, czy coraz trudniej tu oddychać? Nie mogę utrzymać skrzydeł w górze.

Płoc dotknął swych skrzeli. Łopotały niczym przeście-radło na wietrze.

- O tak. Moje skrzela oszalały. Co tu się dzieje? -

wcisnął przycisk łącza komunikacyjnego z kabiną pilota.

168

- Wszystko w porządku? Nie dałoby się więcej wycisnąć z pomp tlenowych?

Głos, który rozległ się w odpowiedzi, brzmiał spokojnie i nad wyraz profesjonalnie, jednakże nie sposób było nie wyłowić w nim nuty zaniepokojenia.

- Tracimy ciśnienie w przegrodzie transportowej.

Próbuję zlokalizować przeciek.

- Przeciek? - zaskrzeczał Płoc. - Jeśli się rozhermety-zujemy na tej głębokości, prom złoży się jak papierowy kubek.

Mierzwa po raz kolejny wessał w siebie ogromną ilość powietrza.

- Wszyscy do kokpitu. Przez kabinę dekompresyjną.

W tej chwili.

- No, nie wiem - powiedział Płoc. - Nie powinniśmy rozkuwać więźnia. To śliski typ.



Sliski typ połknął kolejny haust powietrza. Tym razem nadwerężona powłoka wybrzuszyła się z hukiem, przywo-dzącym na myśl grzmot.

- Dobra, dobra. Już idziemy.

Mierzwa wyciągnął ręce.

- Pośpiesz się, Płotka. Nie każdy ma skrzela.

Płoc przeciągnął kartą magnetyczną wzdłuż paska na kajdankach Mierzwy. Otworzyły się. Krasnal był wolny...

jak tylko wolny może być krasnal w więziennej łodzi podwodnej z przytłaczającą liczbą trzech tysięcy metrów wody nad głową. Wstał i po raz ostatni zaczerpnął powietrza. Tym razem nie uszło to uwagi Płocia.

- Co robicie, skazany? - spytał. - Wsysacie w siebie całe powietrze?

169

Mierzwa beknął.

- Kto? Ja? To niedorzeczne!

Podejrzliwość duszka nie osłabła.

- On coś knuje. Patrz, jak mu lśnią włosy. Założę się, że to jeden z sekretnych talentów krasnali.

Mierzwa próbował przybrać niewinny wygląd.

- Co? Wsysanie powietrza i lśniące włosy? Dobra, mam nadzieję, że to zostanie między nami...

Płoc zmrużył oczy. Były przekrwione, a mowa zniekształcona z powodu braku tlenu.

- Ty coś knujesz. Wyciągnij ręce.

Ponowne skucie nie było częścią planu Mierzwy. Krasnal udał słabość.

- Nie mogę oddychać - wychrypiał, opierając się o ścianę. - Mam nadzieję, że nie zdechnę w tym waszym więzieniu.

Scena odwróciła uwagę duszka na tyle, by Mierzwa zdołał raz jeszcze potężnie zaczerpnąć tchu. Powłoka wybrzuszyła się jeszcze silniej, pod farbą mignęła srebrna nić pęknięcia. Wszystkie ostrzegawcze kontrolki ciśnieniowe rozbłysły na czerwono.

Z głośnika rozległ się alarmujący głos pilota.

- Do mnie! Ale już! - krzyknął, tracąc resztkę opano-wania. - Zaraz złożymy się na pół.

Płóć chwycił Mierzwę za kołnierz.

- Coś ty zrobił, krasnalu?

Mierzwa osunął się na kolana, otwierając klapkę na siedzeniu więziennych spodni. Złączył nogi, przygotowując się do skoku.

170

- Słuchaj no, Płóć - powiedział. - Kretyn z ciebie, ale nie jesteś zły gość, więc zrób, co mówi pilot, i zabieraj się stąd.

Skrzela Płocia dygotały lekko, szukając powietrza.

- Zginiesz, Grzebaczek.

Mierzwa puścił do niego oko.

- Bywa.

Mierzwa nie był w stanie dłużej utrzymać w sobie gazu. Układ trawienny krasnala był rozciągnięty niczym balon. Więzień skrzyżował ręce na piersi, wycelował

utwardzonym czubkiem czaszki w pęknięcie na powłoce i wypuścił gazy.

Emisja miała tak gwałtowny przebieg, że prom podwodny zadrżał aż po ostatni nit, a Mierzwa wystrzelił z miejsca niczym torpeda. Uderzył dokładnie w środek pęknięcia na powłoce i przebił się na zewnątrz. Prędkość wyrzuciła go z kabiny na jakieś pół sekundy, zanim różnica ciśnień spowodowała natychmiastowe zatopienie przegrody. Po kolejnej połowce sekundy tylna przegroda promu zwinęła się jak kawałek zużytej aluminiowej folii. Płóć oraz jego partner w ostatniej chwili zdążyli umknąć do kokpitu.

Mierzwa mknął ku powierzchni, strumień bąbli gazu dobywających się z jego zadka pozwalał utrzymywać stałą prędkość kilku węzłów. Płuca krasnala oddychały tlenem uwięzionym w trzewiach, a powłoka z fluorescencyjnej śliny rozaczała wokół zielonkawy blask, oświetlając drogę.

Bez wątpienia wyruszą za nim w pogoń. Płóć i duszek wodny byli przecież wrózkami morskimi z Atlantydy.

171

Kiedy tylko pozbędą się zbędnego obciążenia, czyli resztek tylnej przegrody, wyjdą przez komorę dekompresyjną i popłyną za uciekinierem. Popłyną, ale go nie dościgną.

Mierzwa bowiem dysponował napędem gazowym, oni zaś mieli tylko skrzydła i płetwy. Jeśli posiadali jakiś dodatkowy ekwipunek, leżał on teraz na dnie oceanu wraz z resztkami tylnej przegrody, zaś awaryjne silniki kokpitu pozwalały rozwinąć prędkość wystarczającą akurat na

prześcignięcie kraba.

Strażnicy z Atlantydy mogli się tylko przypatrywać, jak więzień pędzi ku powierzchni, drwiąc z nich każdym bą-

belkiem z zadka.

Komórka Butlera rozpadła się na mnóstwo plastiko-wych układów i kawałków kabli na skutek skoku z okna pokoju hotelowego. Artemis nie będzie mógł się z nim skontaktować, gdyby potrzebował natychmiastowej pomocy. Ochroniarz zaparkował hummera przed pierwszym sklepem Fonetiksa, który napotkał, i kupił trzyzakresowy samochodowy zestaw telefoniczny. W drodze na lotnisko aktywował telefon i wystukał numer Artemisa. Niedobrze; telefon panicza Fowla był wyłączony. Butler spróbował

się dodzwonić do Dworu Fowlów. Nikogo nie było w domu, żadnych wiadomości na sekretarce.

Butler odetchnął głęboko, zachował spokój i wcisnął

gaz do dechy. Droga na lotnisko zabrała mu niespełna dziesięć minut. Olbrzym nie tracił czasu na odstawianie hummera do firmy wynajmującej samochody, pozostawił

172

go w strefie załadunkowej lotniska. Samochód zostanie odholowany, a Butler ukarany grzywną, ale służący nie miał czasu, żeby się tym martwić.

Wszystkie miejsca w najbliższym samolocie do Irlandii były zarezerwowane, więc Butler zapłacił polskiemu biz-nesmenowi dwa tysiące euro za bilet pierwszej klasy i w ciągu czterdziestu pięciu minut znalazł się na pokładzie odrzutowca Aer Lingus zmierzającego na dublińskie lotnisko. Telefon pozostawił wyłączony aż do uruchomienia silników, potem włączył ponownie, kiedy koła dotknęły ziemi.

Gdy opuszczał terminal przylotów, było już ciemno.

Od chwili, kiedy włamali się do skrytki depozytowej Mię-

dzynarodowego Banku w Monachium, minęło mniej niż pół dnia. Niewiarygodne, ile się może wydarzyć w tak krótkim czasie. No, ale jeśli się pracuje dla Artemisa Fowla II, niewiarygodne rzeczy są na porządku dziennym.

Butler nie odstępował Artemisa od dnia jego narodzin, czyli od ponad czternastu lat. Od tamtego dnia wziął

udział w większej ilości fantastycznych wydarzeń niż przeciętny pracownik ochrony prezydenta.

Bentley Fowlów stał zaparkowany na luksusowym poziomie krótkoterminowego parkingu. Butler wsunął nowy telefon do zestawu samochodowego i raz jeszcze wybrał

numer Artemisa. Bez powodzenia. Natomiast kiedy zdalnie uruchomił automatyczną sekretarkę telefoniczną Dworu Fowlów, natrafił na jedną wiadomość. Od Artemisa.

173

Butler zacisnął dłonie na pokrytej skórą kierownicy. Ży-wy. Przynajmniej chłopak jest żywy.

Wiadomość zaczynała się dosyć pomyślnie, by w środku zdecydowanie zmienić wydźwięk. Artemis twierdził, że nie jest ranny, lecz prawdopodobnie cierpiał na zespół

halucynacyjny na skutek stresu, gdyż twierdził, że za dzi-waczny pocisk odpowiadają wróżki. A ściślej mówiąc, pewna chochliczka. Teraz natomiast panicz Artemis przebywał w towarzystwie elficzki, która najwyraźniej była stworzeniem całkowicie odmiennym od chochlika. Co więcej, była ich starą przyjaciółką, o której nie pamiętali.

Chochliczka zaś - ich dawnym wrogiem, o którym również nie pamiętali. Wszystko to było bardzo dziwne. Butler mógł jedynie snuć domysły, że Artemis próbuje mu w ten sposób dać coś do zrozumienia, że pod tą bezsensowną płataniną kryje się jakaś wiadomość. Postanowił przeanalizować nagranie, kiedy tylko powróci do Dworu Fowlów.

Wtedy jednak nagranie przerodziło się w istny dramat.

W zasięgu mikrofonu komórki Artemisa pojawiły się dodatkowe osoby. Wspomniana chochliczka, Opal, oraz jej ochrona. Nastąpiła wymiana grózb i Artemis rozpoczął

jeden ze swoich wykładów, starając się najwyraźniej coś w ten sposób wynegocjować. Nie podziałało zbyt dobrze.

Jeśli Artemis miał jakieś wady, to jedną z nich była skłon-ność do protekcjonalizmu, nawet w sytuacjach kryzyso-wych. Ta chochliczka, Opal, albo ktokolwiek to był, z 174

całą pewnością nie przyjęła dobrze porażki w utarczce słownej. Wydawało się, że uważa się za co najmniej równą Artemisowi. Rozkazała ochronie uciszyć go w połowie wykładu, jej polecenie wykonano natychmiast. Butler przeżywał chwile grozy aż do chwili, kiedy chochliczka oświadczyła, że Artemis nie jest martwy, tylko ogłuszony.

Nowa sojuszniczka Artemisa została ogłuszona w ten sam sposób, lecz zanim to nastąpiło, dowiedziała się o ich za-planowanej śmierci. Miało to coś wspólnego z Jedenastoma Cudami Świata i trollami.

- To jakiś żart - mruknął Butler, zjeżdżając z szosy pod Dwór Fowlów.

Przeciętny przechodzień uznałby, że w kilku pokojach posiadłości na końcu alei są domownicy, lecz Butler wiedział, że żarówki w tych pomieszczeniach zaopatrzono w zegary, włączające i wyłączające światło w nieregularnych odstępach. W każdym pokoju znajdował się ponadto zestaw stereo, nadający audycje radiowe o rozmaitych porach dnia. Wszystko zaprojektowane w ten sposób, by odstraszyć przypadkowego włamywacza. Gdyż dla złodzieja profesjonalisty, z czego Butler dobrze

zdawał sobie sprawę, nie była to żadna przeszkoda.

Służący otworzył elektroniczną bramę i ruszył wysypa-  
nym kamykami podjazdem. Zatrzymał się  
dokładnie przed frontowymi drzwiami, nie zawracając sobie głowy parko-  
waniem w podwójnym garażu. Wyjął pistolet i magazynek z kabury przymocowanej paskiem magnetycznym pod 175

siedzeniem kierowcy. Istniała możliwość, że porywacze wysłali przedstawiciela, który mógł się  
teraz znajdować na terenie posiadłości.

Butler zorientował się, że coś jest nie tak, zaraz po otwarciu frontowych drzwi.  
Trzydziestosekundowy opóź-

niacz alarmu powinien natychmiast rozpocząć odliczanie, lecz nie rozpoczął. Nie stało się tak  
dlatego, że cała skrzynka zasilająca pokryta była lśniąca, spękaną substancją przypominającą włókno  
szklane. Butler dotknął jej delikatnie. Substancja świeciła i wyglądała niemal na organiczną.

Butler ruszył korytarzem, trzymając się blisko ścian.

Rzucił okiem w stronę sufitu. W mroku połyskiwały zielone światełka. Przynajmniej sieć kamer  
przemysłowych wciąż działała. Nawet jeśli nieproszony gość wyszedł, będzie go sobie można  
obejrzeć na nagraniach.

Stopa służącego w coś wdepnęła. Spojrzał w dół. Na dywanie leżała duża kryształowa misa, resztki  
biskoptu nasączonego sherry spoczywały na samym dnie. Tuż obok zobaczył zwitek poplamionej  
tłuszczem folii aluminiowej.

Głodny porywacz? Kawałek dalej leżała opróżniona butel-ka szampana i obgryziony szkielet  
kurczaka. Ilu ludzi wtargnęło na teren posiadłości?

Ślad z resztek pożywienia prowadził do gabinetu. Butler podążył na górę, mijając zjedzony do  
połowy ogromny antrykot, dwa kawałki owocowego ciasta i resztki sufletu.

Z uchylonych drzwi gabinetu dobywało się światło, 176

rzucając na ścianę korytarza niewielki cień. W środku ktoś był. Ktoś bardzo niewysoki. Artemis?

Nadzieje Butlera wzrosły na sekundę, kiedy usłyszał

głos swego pracodawcy, lecz równie szybko opadły. Rozpoznał słowa: to samo nagranie, którego  
słuchał w samochodzie. Intruz uruchomił automatyczną sekretarkę.

Butler wszedł bezgłośnie do gabinetu, stąpając tak lekko, że odgłos jego kroków nie spłoszyłby  
nawet jelenia.

Nawet z tyłu intruz wyglądał dość dziwnie. Miał ledwie metr wzrostu, szeroką pierś i grube,  
muskularne kończyny.

Całe ciało pokrywało poskręcane owłosienie, które wydawało się żyć własnym życiem. Głowa ukryta była w heł-

mie wykonanym z tej samej świecącej substancji, która unieszkodliwiła skrzynkę alarmu. Intruz miał na sobie niebieski strój z odpinaną klapką na siedzeniu. Klapka była w połowie odpięta, odsłaniając przed Butlerem pejzaż włochatego zadka, który wydał się służącemu niepokojąco znajomy.

Nagranie dobiegło końca.

Oprawczyni Artemisa opisywała właśnie, co spotka młodego Irlandczyka.

- Och tak - mówiła. - Szczególnie paskudny scenariusz zaplanowałam dla Ogierka, coś spektakularnego przy Jedenastu Cudach. Ale zmieniłam zdanie i uznałam, że to wy na niego zasługujecie.

- Szczególnie paskudny? - spytała nowa sojuszniczka Artemisa, Holly.

177

- Potrollnie paskudny - odrzekła Opal.

Intruz wydał głośny odgłos zasysania, po czym rzucił

na podłogę resztki baraniego udźca.

- Niedobrze - powiedział. - Naprawdę niedobrze.

Butler odbezpieczył broń, mierząc w przybysza.

- Będzie gorzej - powiedział.

Butler posadził intruza w skórzanym fotelu, a sam usiadł okrakiem na drugim, oparciem w stronę tamtego.

Niewielka istota z przodu wyglądała nawet jeszcze dziwniej. Twarz pokryta była gęstą plątaniną przypominających druty włosów, okalających oczy i zęby. Oczy świecące czasem czerwono jak u lisa i uzębienie podobne z wyglądu do dwóch rzędów pali. Nie było to włochate dziecko, lecz dorosłe stworzenie jakiegoś rodzaju.

- Nie mów - westchnął Butler. - Jesteś elfem.

Stworzenie wyprostowało się w fotelu.

- Jak śmiesz! - jęknęło. - Wiesz doskonale, że jestem krasnalem.

Butler przywołał w pamięci dziwaczną wiadomość od Artemisa.

- Niech zgadnę. Znałem cię, ale z jakiegoś powodu nie pamiętam. Ach tak, policja wrózek wyczyściła mi umysł.

Mierzwa beknął.

- Zgadza się. Nie takiś tępy, na jakiego wyglądasz.

Butler podniósł broń.

178

- Jest wciąż odbezpieczony, więc lepiej uważaj, co mówisz, mały człowieczku.

- Wybacz, nie wiedziałem, że teraz jesteśmy wrogami.

Butler nachylił się w stronę krasnala.

- Byliśmy przyjaciółmi?

Mierzwa zastanawiał się przez chwilę.

- Nie od razu. Ale, jak sędzę, z biegiem czasu poko-chałeś mnie za mój osobisty urok i szlachetny charakter.

Butler pociągnął nosem.

- Oraz higienę osobistą?

- To nie fair - zaprotestował Mierzwa. - Nie masz nawet pojęcia, co musiałem zrobić, żeby się tu dostać.

Uciekłem z promu podwodnego i przepłynąłem kilka mil w lodowato zimnej wodzie. Następnie włamałem się do kowala w zachodniej Irlandii - chyba ostatnim miejscu, gdzie jeszcze są kowale - i usunąłem obręcz, którą miałem w ustach. Nawet nie pytaj. Potem zryłem cały kraj tunelami, żeby się o wszystkim dowiedzieć. A gdy tu wreszcie trafiłem, jeden z nielicznych Błotnych Ludzi, których nie mam ochoty chapnąć, mierzy do mnie z pistoletu.

- Poczekaj chwilę - rzekł Butler. - Muszę pójść po chusteczkę, żeby otrzeć łzy.

- Nie wierzysz w ani jedno moje słowo?

- W policję wrózek, spisek chochlików i krasnale ry-jące tunele pod ziemią? Masz rację, nie.

Mierzwa sięgnął wolno za pazuchę i wydobył pozłacany dysk komputerowy.

- Może to otworzy ci umysł.

179

Butler uruchomił jeden z powerbooków Artemisa, upewniwszy się uprzednio, czy laptop nie jest podłączony do innego komputera kablem albo łączem podczerwieni.

Jeżeli dysk zawierał jakiegoś wirusa, stracą tylko jeden dysk twardy. Wyczyścił płytkę płynem w rozpylaczu i kawałkiem materiału i wsunął do stacji dysków.

Komputer poprosił o hasło.

- Dysk jest zabezpieczony - powiedział Butler. – Jak brzmi hasło?

Mierzwa wzruszył ramionami. W obu dłoniach trzymał bagietki.

- A skąd mam wiedzieć? To dysk Artemisa.

Butler zmarszczył brwi. Jeśli dysk istotnie należał do Artemisa, uruchomi go jego hasło. Służący wstukał trzy słowa. Aurum est potestas. Złoto to potęga. Motto rodzin-ne. Sekundy później zakodowana ikona zniknęła, a w jej miejsce zjawiło się okienko zawierające dwa foldery. Jeden opatrzony nazwą „Artemis”, a drugi „Butler”. Przed otwarciem służący na wszelki wypadek przeskanował je programem antywirusowym. Były czyste.

Czując niezrozumiałe zdenerwowanie, otworzył folder opatrzony własnym nazwiskiem. W środku znajdowało się ponad sto plików. W większości tekstowych, choć było też kilka filmów wideo. Największy zatytułowano „Obejrzyj mnie najpierw”. Butler kliknął dwa razy.

Na ekranie zjawiło się niewielkie okienko odtwarzacza Quicktime. Ujęcie przedstawiało Artemisa przy biurku, na 180

którym obecnie spoczywał laptop. Dziwaczne. Butler kliknął na trój kącik odtwarzania.

- Witaj, Butler - rozległ się głos Artemisa. Albo niezwykle profesjonalna symulacja. - Jeżeli oglądasz ten materiał, oznacza to, że odwiedził nas nasz oddany przyjaciel Mierzwa Grzebaczek.

- Słyszałeś? - wyrzucił z siebie Mierzwa razem z kawałkiem bagietki. - Oddany przyjaciel Mierzwa Grzebaczek.

- Cisza!

- Wszystko, co dotąd wiedziałeś o tej planecie, za chwilę ulegnie zmianie - ciągnął Artemis. - Ludzie nie są jedynymi inteligentnymi istotami na Ziemi; co więcej, nie są nawet gatunkiem najbardziej zaawansowanym technologicznie. Pod powierzchnią planety żyje kilka gatunków wrózek. Większość z nich to prawdopodobnie naczelne, choć nie miałem jeszcze sposobności, by przeprowadzić odpowiednie testy medyczne.

Butler nie mógł ukryć zniecierpliwienia.



- Proszę cię, Artemisie. Do rzeczy.

- Ale więcej o tym następnym razem - powiedział Artemis, jakby słyszał słowa Butlera. - Istnieje możliwość, że oglądasz ten materiał w chwili zagrożenia, więc muszę cię uzbroić w wiedzę, którą zdobyliśmy podczas przygód z Policją Niższej Krainy.

„Policją Niższej Krainy? - myślał Butler. - Wszystko to oszustwo. To musi być oszustwo”.

Raz jeszcze Artemis z nagrania wideo odczytał jego myśli.

181

- W celu weryfikacji fantastycznych faktów, które zamierzam przed tobą odkryć, powiem jedno słowo. Tylko jedno. Słowo, którego nie mógłbym znać, gdybyś sam mi go nie powiedział. Słowo, które mi wyjawiałeś, gdy leżałeś umierający, zanim Holly Nieduża nie uzdrowiła cię z pomocą swej magii. Co byś mi powiedział, gdybyś leżał i umierał, stary przyjacielu? Co byto było za słowo?

„Wyjawiłbym ci moje prawdziwe imię” - pomyślał Butler. Imię, które zna tylko dwoje innych ludzi na świecie.

Coś, co jest całkowicie zakazane etykietą ochroniarzy, chyba że jest już za późno.

Artemis zbliżył twarz do kamery.

- Twoje prawdziwe imię, stary przyjacielu, brzmi Domowej.

Butler zadrżał w duchu. „O mój Boże - pomyślał. - To prawda, to wszystko prawda”.

Coś zaczęło się dziać z umysłem służącego. Beładne obrazy rozbłyskiwały w podświadomości, uwalniając stłumione wspomnienia. Fałszywą przeszłość zmyła oślepiająca prawda. Elektryczna zabawa w „połącz kropki” wstrząsnęła jego czaszką, rozjaśniając myśli. Wszystko nabrało sensu. Czuł się starszy, ponieważ zestarzał się podczas uzdrawiania. Niekiedy trudno mu było oddychać, gdyż włókna kevlaru wrosły w skórę na piersi. Pamiętał

uprowadzenie Holly i rebelię goblinów B'wa Kell. Przypomniawszy sobie samą Holly i Juliusza, centaura Ogierka i, oczywiście, Mierzwę Grzebaczka. Nie było potrzeby

sprawdzania pozostałych plików, jedno słowo okazało się wystarczające. Pamiętał wszystko.

Butler przyjrzał się krasnalowi nowymi oczyma.

Wszystko w nim było teraz znajome: wibrujące kędziory włosów, pałkowata sylwetka, zapach. Zerwał się z krzesła i podbiegł do Mierzwy, zajętego plądrowaniem stojącej w gabinecie minilodówki.

- Mierzwa, ty stary nicponiu! Dobrze cię widzieć!

- Już sobie przypomniał - odezwał się krasnal, nie odwracając głowy. - Czy masz mi coś do powiedzenia?

Butler obrzucił spojrzeniem na wpół otwartą klapkę z tyłu jego spodni.

- Tak. Nie celuj tym we mnie. Wiem, jakie szkody możesz tym wyrządzić.

Uśmiech zamarł mu na twarzy, gdy Butler przypomniał

sobie jeden szczegół z wiadomości telefonicznej Artemisa.

- Co z Juliuszem? Doszły mnie słuchy o jakiejś bom-bie.

Mierzwa dał spokój lodówce, całą jego brodę pokrywał

koktajl produktów żywnościowych.

- Tak. Juliusz nie żyje. Nie mogę w to uwierzyć. Ści-gał mnie przez tyle lat.

Butler poczuł ogromny ciężar osiadający na ramionach.

Zbyt wielu towarzyszy utracił w ostatnich latach.

- I co gorsza - ciągnął Mierzwa - Holly jest oskarżona o zamordowanie go.

- To niemożliwe. Musimy ich odnaleźć!

- Teraz mówisz do rzeczy! - powiedział krasnal, zatrzasnąwszy drzwi lodówki. - Masz jakiś plan?

183

- Tak. Mam zamiar odnaleźć Holly i Artemisa.

Mierzwa przewrócił oczyma.

- Genialne! Zadziwiające, że Artemis jest ci w ogóle potrzebny!

Kiedy krasnal najadł się do syta, dwójka przyjaciół

usiadła przy stole konferencyjnym i przystąpiła do pona-glania się nawzajem.

Butler podczas rozmowy czyścił pistolet. Często tak robił w chwilach stresu. Było to bardzo uspokajające.

- A więc Opal Kobi wydestkuje się w jakiś sposób z więzienia i wymyśla skomplikowany plan zemsty na wszystkich, którzy brali udział w pokrzyżowaniu jej planów.

Więcej nawet, stara się zrzucić winę na Holly.

- Kogoś ci to przypomina? - spytał krasnal.

Butler z czułością zabrał się do polerowania lufy sig sauera.

- Być może Artemis jest przestępcą, ale nie jest zły.

- Czy ktoś wspominał tu o Artemisie?

- No a co z tobą, Mierzwa? Dlaczego Opal nie próbuje zabić ciebie?

- Cóż - westchnął krasnal, zawsze chętnie grający rolę męczennika. - SKR wołały się nie obnosić ze sprawą mojego udziału. Dumnym funkcjonariuszom trudno jest prze-

łknąć fakt, że siły policyjne nawiązały współpracę ze znanym kryminalistą.

Butler skinął głową.

- Rozumiem. A więc chwilowo jesteś bezpieczny, a Artemis i Holly żyją. Ale Opal zaplanowała coś w związku 184

z nimi. Coś związanego z trollami i Jedenastoma Cudami.

Jakieś sugestie?

- Obaj wiemy coś niecoś o trollach, prawda?

Butler przytaknął ponownie. Nie tak dawno sam walczył z trollem i bez wahania uznałby to za najcięższy pojedynek w swym życiu. Trudno mu było uwierzyć, że SKR

zdołało wymazać to wydarzenie z jego pamięci.

- A co z tymi Jedenastoma Cudami?

- Jedenaście Cudów to park rozrywki na Starym Mie-

ście w Oazie. Wróżki mają obsesję na punkcie Błotnych Ludzi, więc jakiś bystry miliarder wpadł na wspaniały pomysł. Wymyślił sobie, że wybuduje mniejsze repliki ludzkich cudów świata, wszystkie w jednym miejscu.

Przez kilka lat pomysł się sprawdzał, lecz po pewnym czasie okazało się, że Jedenaście Cudów zanadto przypomina Ludowi, jak bardzo tęskni za powierzchnią.

Butler przebiegł myślami listę w swojej głowie.

- Ale przecież jest tylko siedem cudów świata.

- Kiedyś było jedenaście - rzekł Mierzwa. - Możesz mi wierzyć, mam nawet zdjęcia. Tak czy siak, park jest w tej chwili zamknięty. Cały teren zaś od lat opuszczony -

tunele nie są bezpieczne. Wszędzie wokół panoszą się trolle - raptem umilkł, kiedy dotarła do niego złowroga groźba zawarta w tych słowach. - Na bogów. Trolle.

Butler niezwłocznie przystąpił do składania broni.

- Musimy tam ruszać natychmiast.

185

- Niemożliwe - powiedział Mierzwa. - Nie wiem nawet, jak zacząć myśleć o tym, by się tam dostać.

Butler postawił krasnala na nogi i popchnął w stronę drzwi.

- Może i nie. Ale znasz kogoś, kto wie, jak zacząć.

Goście z twojej branży zawsze mają kontakty.

Mierzwa zacisnęła zęby, zastanawiając się nad słowami Butlera.

- Wiesz co, rzeczywiście jest ktoś taki. Duszek, któ-

remu Holly uratowała kiedyś życie. Ale jeśli zdołam go namówić, by coś dla nas zrobił, nie będzie to legalne.

Butler podniósł z szafki torbę wypełnioną bronią.

- Świetnie - skwitował. - Tak będzie szybciej.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### ŚWIĄTYNIA ARTEMIS

#### Niższa Kraina

Prom Opal Koboi był prototypem, który nigdy nie wszedł do masowej produkcji. Technologicznie wyprzedzał wszystkie dostępne na rynku modele, niemniej powierzchnia wehikułu, wykonana ze słabo wykrywalnego tworzywa, oraz powłoka kamuflażowa uczyniły go produktem tak kosztownym, że nawet Opal Koboi nie mogła-by sobie nań pozwolić bez dofinansowania rządowego.

Merv umieścił więźniów w przegrodzie dla pasażerów, a Scant pilotował prom. Lecieli najpierw przez Szkocję, potem zeszli pod powierzchnię i przemykali się podziemną rzeką w Highlands. Opal tymczasem zaprzątnięta była doglądaniem swego drugiego planu, planu zapanowania nad światem.

Rozłożyła wyświetlacz wideofonu i połączyła się z Sycylią. Osoba po drugiej stronie odebrała w połowie pierwszego dzwonka.

187

- Belinda, moje złotko. Czy to ty?

Mężczyzna, który odebrał wideofon, był dobrze po czterdziestce. Miał rzymskie, klasyczne rysy twarzy; prze-tykana siwizną czarna czupryna okalała opaloną twarz.

Ubrany był w biały fartuch laboratoryjny, spod którego wystawała rozpięta koszula w paski od Versacego.

- Tak, papo. To ja. Nie martw się, jestem bezpieczna.

W głosie Opal rozbrzmiewały mesmeryczne tony. Nieszczęsny człowiek był całkowicie w jej mocy, już od ponad miesiąca.

- Kiedy przyjedziesz do domu, najdroższa? Tęsknię za tobą.

- Dziś, papo. Będę za kilka godzin. Jak idą sprawy?

Na twarzy mężczyzny pojawił się rozmarzony uśmiech.

- Molto bene. Cudownie. Wspaniała pogoda. Moglibyśmy wybrać się na wycieczkę w góry. Nauczyłbym cię jeździć na nartach.

Opal niecierpliwie zmarszczyła brwi.

- Słuchaj no, idioto... papo. Pytałam o sondę. Czy wszystko odbywa się zgodnie z planem?

Przez ułamek sekundy na włoskim czole gościł wyraz niezadowolenia, lecz zaraz potem znikł.

- Tak, moja droga. Wszystko zgodnie z planem. Za-kopujemy właśnie ładunki wybuchowe. Poddaliśmy systemy sondy testom. Przeszła wszystkie śpiewająco.

Opal klasnęła w dłonie jak rozradowana córeczka.

188

- Doskonale, papo. Jesteś taki dobry dla swojej małej Belindy. Wkrótce będziemy razem.

- Przyjeżdżaj jak najszybciej - powiedział mężczyzna, który był chyba całkowicie zagubiony pod nieobecność istoty, którą uważał za swoją córkę.

Opal rozłączyła się.

- Głupiec - rzekła pogardliwie. Niemniej Giovanni Zito będzie żył - przynajmniej do chwili, kiedy sonda skonstruowana według dostarczonego przez Opal projektu przebije się do Niższej Krainy.

Porozmawiawszy z Zitem, Opal poczuła, że ogarnia ją chęć skoncentrowania się na tej części planu, która dotyczyła sondy. Zemsta bez wątpienia jest słodka, ale rozpra-sza uwagę. Może powinna po

prostu wyrzucić tych dwoje z promu i pozwolić magmie zrobić swoje?

- Merv - warknęła. - Daleko jeszcze do parku rozrywki?

Merv przyjrzał się przyrządom na konsoli sterowej promu.

- Właśnie wlecieliśmy na teren głównej sieci szybów, panienko Kobo. Będziemy na miejscu za pięć godzin -

zerknął przez ramię. - Może nawet nie tyle.

„Pięć godzin - rozmarzyła się Opal, zwijając się niczym zadowolony kot w swoim fotelu. - Mogę poświęcić pięć godzin”.

Jakiś czas później Holly i Artemis zaczęli się niespokojnie poruszać na tylnych fotelach. Scant pomógł im 189

odzyskać przytomność kilkoma impulsami elektrycznej pałki.

- Witamy znowu w krainie potępionych - powiedziała Opal. - Podoba wam się mój prom?

Prom był imponujący, nawet jeśli niósł Artemisa i Holly na śmierć. Fotele, nie mniej wygodne niż w przeciętnym pałacu, obite były futrem zwierzęcym z nielegalnego źró-

dła. Kostki holograficzne niewielkich rozmiarów zwiesza-

ły się z sufitu, na wypadek gdyby pasażerom zachciało się obejrzeć film.

Kiedy Holly zauważyła, na czym ją posadzono, zaczęła się wiercić.

- Futro! Ty zwierzaku!

- Nie - odrzekła Opal. - To ty siedzisz na zwierzętach.

Jak już wspominałam, jestem teraz człowiekiem. A to właśnie robią ludzie, obdzierają zwierzęta ze skóry, aby zapewnić sobie wygodę. Zgadza się, paniczu Fowl?

- Niektórzy tak robią - rzekł chłodno Artemis. - Ja nie.

- Doprawdy, Artemisie - powiedziała z przekąsem Opal. - Bardzo wątpię, czy kwalifikuje cię to do świętości.

Z tego, co słyszałam, miałaś ochotę wykorzystać Lud co najmniej tak bardzo, jak ja.

- Być może. Nie pamiętam.

Opal wstała z fotela i nałożyła sobie dietetycznej sałatki z bufetu.

- Oczywiście, wymazali ci pamięć. Ale teraz już chyba sobie coś przypominasz? Nawet twoja podświadomość nie jest w stanie zaprzeczyć temu, co się dzieje.

190

Artemis skoncentrował się. Coś rzeczywiście sobie przypominał. Mgliste, rozmyte obrazy. Nic konkretnego.

- Faktycznie coś sobie przypomniałem.

Opal podniosła wzrok znad talerza.

- Tak?

Artemis odpowiedział jej zimnym spojrzeniem.

- Przypomniałem sobie, jak Ogierek cię przechytrzył.

Jest od ciebie bystrzejszy i z pewnością uda mu się to po raz drugi.

Rzecz jasna, Artemis nie pamiętał tego naprawdę, powtarzał po prostu słowa Holly. Niemniej słowa wywołały pożądany skutek.

- Ten nedorzeczny centaur! - wrzasnęła Opal, ciskając talerzem o ścianę. - Miał szczęście, a mnie przeszkodził wtedy ten idiota, Wrzosiec. Tym razem będzie inaczej. Tym razem sama jestem architektem swego przeznaczenia. I waszego też.

- A co zaplanowałaś tym razem? - spytał Artemis kpiąco. - Kogo będziesz podżegać do buntu? A może postanowiłaś użyć mechanicznego dinozaura?

Na twarzy Opal pojawił się wyraz wściekłości.

- Twoja nieroztropność nie ma granic, Błotniaku.

Żadnych rebelii na małą skalę. Tym razem zrealizuję bardziej rozległą wizję. Zaprowadzę ludzi do wrózek. Kiedy zderzą się dwa światy, rozpęta się wojna, którą moja przybrana rasa wygra.

- Jesteś wrózką, Kobi - wtrąciła się Holly. - Jesteś jedną z nas. Okrągłe uszy tego nie zmieniają. Wydaje ci się, że ludzie nie zauważają, że wcale nie rośniesz?

191

Opal niemal z czułością poklepała Holly po policzku.

- Moja mała, biedna, kiepsko opłacana funkcyjoniuszko policji. Naprawdę sądzisz, że nie pomyślałam o wszystkim, kiedy przez niemal rok dusiłam się w śpiączce? Wydaje ci się, że mogłam coś przeoczyć? Od początku wiedziałam, że ludzie to zauważą, więc się przygotowałam

- Opal nachyliła się i rozsunęła swe kruczoczarne włosy, odsłaniając znikającą już pod wpływem magii siedmiocen-tymetrową bliznę na czaszce. - Zaokrąglenie uszu nie było jedyną operacją, której się poddałam. Kazałam sobie również wszczepić coś w głowę.

- Gruczoł przysadkowy - zgadł Artemis.

- Bardzo dobrze, Błotniaku. Maleńki, sztuczny ludzki gruczoł przysadkowy. LHW to jeden z siedmiu hormonów, które się w nim kryją.

- LHW? - przerwała Holly.

- Ludzki hormon wzrostu - wyjaśnił Artemis.

- Otóż to. Jak sama nazwa wskazuje, LHW powoduje wzrost organów i tkanek, zwłaszcza mięśni i kości. Przez ostatnie trzy miesiące zdążyłam już urosnąć o centymetr.

Och, jasne, pewnie nie przyjmą mnie do drużyny koszy-karskiej, ale nikomu nie przyjdzie do głowy, że mogę być wróżką.

- Nie jesteś wróżką - rzekła gorzko Holly. - W głębi serca zawsze byłeś człowiekiem.

- Domyślam się, że miała to być zniewaga. Być może na nią zasłużyłam, zważywszy, co zamierzam z wami zrobić. Za kilka godzin nie zostanie z was nawet tyle, by wypełnić skrzynkę grabieżczą.

192

Z tym terminem Artemis się wcześniej nie spotkał.

- Skrzynkę grabieżczą? Czy to jakieś pirackie określenie?

Opal otworzyła zamaskowaną klapę w podłodze, odsłaniając małą komórkę pod spodem.

- To jest skrzynka grabieżcza. Termin ukuli przemysłowcy w jakieś osiem tysięcy lat temu. Ukryty przed celnikami przedział. Oczywiście w dzisiejszych czasach promieni rentgena, kamer wrażliwych na ruch, grabieżcza skrzynka nie przyda się na wiele – Opal uśmiechnęła się chętnie jak dziecko, które właśnie zdobyło sobie uznanie nauczyciela. - No, chyba że skrzynkę wykona się w całości ze słabo wykrywalnej rudy, obniży jej temperaturę i wyposaży w projektory oślepiające promienie rentgena i podczerwień. Tę skrzynkę można wykryć tylko w jeden sposób. Jeżeli się na nią wlezie. Więc nawet jeśli funkcjonariusze SKR znajdą się na pokładzie mojego promu, nie dowiedzą się nigdy, co akurat miałam ochotę przemycić.

Dzisiaj na przykład jest to bombonierka czekoladowych trufli. Nie jest to nielegalne. Komora jest nimi wypełniona po brzegi. Wyznam, że trufle czekoladowe to moja pasja.

Kiedy byłam w śpiączce, trufle były jedną z dwóch rzeczy, których mi brakowało. Drugą była zemsta.



Artemis ziewnęła.

- Fascynujące. Ukryta komora. Jesteś po prostu genialna. Czy plan zapanowania nad światem może się nie powieść, skoro masz skrytkę na łupy pełną truflif?

Opal odgarnęła Artemisowi włosy z czoła.

193

- Żartuj sobie, ile dusza zapragnie, Błotniaczk. Słowa to jedyne, co ci zostało.

Kilka minut później Merv sprowadził zamaskowany prom do lądowania. Holly i Artemis zostali zakuci w kajdanki i wyprowadzeni rozkładanym pomostem. Wynurzyli się w gigantycznym tunelu, rozjaśnionym mdławo fluorescencyjnymi paskami. Większość lamp była strzaskana, nieliczna garstka niedobitków zbliżała się do ostatniego świetlnego tchnienia. Te rejony szybu stanowiły ongiś część rozwijającej się prężnie metropolii, teraz natomiast były całkowicie opustoszałe i niebezpieczne. Na kilku pochy-

łych tablicach ogłoszeniowych widniały informacje o planowanym zrównaniu terenu z ziemią.

Opal wskazała jedną z tablic.

- Za miesiąc nic z tego miejsca nie zostanie. Składamy wizytę w parku w dosłownie w ostatniej chwili.

- Co za szczęście - mruknęła Holly.

Merv i Scant bez słowa popychali ich wzdłuż szybu lufami pistoletów. Powierzchnia drogi, po której stąpali, była powyginana i spękana. W kałużach gromadziły się oślizgłe ropuchy, klnące jak szewcy. Na poboczu stały rzędem opuszczone stoiska i sklepiki z pamiątkami. W

jednym z okien poustawiano lalki wyobrażające walczą-

cych ludzi.

Artemis zatrzymał się pomimo ucisku lufy na plecach.

- Czy właśnie tak nas postrzegacie? - zapytał.

- Ależ skąd - powiedziała Opal. - Jesteście znacznie gorsi, ale producenci nie chcą straszyć dzieci.

194

Przy wyjściu z tunelu stało kilka ogromnych półkolistych struktur, każda wielkości stadionu do piłki nożnej.

Zbudowano je z sześciokątnych płyt, zespawanych krawę-

dziami. Niektóre były przejrzyste, inne nie, a każda osią-

gała rozmiary małego domu.

Przed półkulami wznosił się olbrzymi łuk, pokryty obłazającymi złotymi listkami. Wisiał na nim szyld, przyozdobiony dwumetrowymi gnomickimi literami.

- Jedenaście Cudów Świata Ludzi - obwieściła teatralnie Opal. - Cywilizacja, która liczy sobie tysiące lat, wydała z siebie zaledwie jedenaście tak zwanych cudów.

Artemis napiął kajdanki. Były mocno zatrzaśnięte.

- Bez wątpienia wiadomo ci, że na oficjalnej liście znajduje się tylko siedem.

- No jasne - rzekła Opal z niesmakiem. - Ale ludzie są tak ograniczeni. Uczeni wróżek przeanalizowali materiał

wideo i zdecydowali się włączyć w poczet cudów świąty-nię Abu Simbel w Egipcie, posągi na Rapa Nui, indone-zyjską świątynię Borobudur i Salę Stu Kolumn w Persepo-lis, w Iranie.

- Dziwię się, że chcesz być jedną z ludzi - zauważyła Holly. - Skoro są tacy ograniczeni.

Opal przeszła pod łukiem.

- Wiesz, wolałabym pozostać chochliczką - bez urazy, Artemisie - ale Lud wkrótce przestanie istnieć. Osobi-

ście tego dopilnuję, kiedy tylko podrzucę was do waszego nowego domu. Za dziesięć minut będziemy w drodze na wyspę, umilając sobie czas oglądaniem programów na 195

pokładowych monitorach, kiedy wy będziecie rozdzierani na strzępy.

Zagłębiali się w park rozrywki. Minęli pierwszą kopu-

łę, zawierającą makietę piramid z Gizy, o rozmiarach w dwóch trzecich dorównujących oryginałom. Kilka sze-

ściokątnych płyt było oderwanych, Artemis dostrzegła

przez luki resztki makiety. Widok robił wrażenie, które potęgowały jeszcze watahy włochatych stworzeń wspinających się po zboczach piramid.

- To trolle - wyjaśniła Opal. - Przejęły teren wysta-wowy. Nie obawiajcie się jednak, stworzenia te ściśle trzymają się swego terytorium i nie zaatakują, jeśli nie podejściecie zbyt blisko piramid.

Trudno było w tym momencie zadziwić Artemisa, ale nawet teraz widok imponujących drapieżców polujących na siebie nawzajem sprawił, że serce zaczęło mu bić nieco szybciej. Zatrzymał się, by

obejrzeć najbliższego osobnika. Przerazające stworzenie, wysokie na przynajmniej dwa i pół metra, z oblepionymi brudem strąkami włosów po-wiewającymi wokół czaszki. Pokryte futrem ramiona trolla zwieszały się aż do kolan, a z dolnej szczęki sterczały dwa zakrzywione, ząbkowane kły. Bestia przypatrywała im się, gdy przechodzili, w oczodołach lśniły czerwone ślepia.

Dotarli do drugiej kopuły kryjącej świątynię Artemis z Efezu. Przy wejściu mogli obejrzeć obracający się holograficzny obraz tureckiego budynku.

Opal przeczytała historię budowli, wyrytą na jednej z płyt.

196

- Interesujące - powiedziała. - Tylko niech mi ktoś powie, dlaczego nadawać męskiemu potomkowi imię żeń-

skiego bóstwa?

- Mój ojciec nosi to imię - odezwał się niechętnie Artemis, który wyjaśniał to już setki razy. - Oznacza ono myśliwego. Można tak nazywać i chłopców, i dziewczynki. Całkiem trafne, prawda? Być może zainteresuje cię fakt, że ludzkie imię, które wybrałaś - Belinda, oznacza

„pięknego węża”. Też zupełnie pasuje. A przynajmniej w połowie.

Opal wyciągnęła maleńki palec w stronę nosa chłopca.

- Jesteś niezwykle irytującym stworzeniem, Fowl.

Mam nadzieję, że nie wszyscy ludzie są do ciebie podobni

- skinęła głową na Scanta. - Możesz rozpylać - rozkazała.

Scant wyjął z kieszeni mały aerozol i szcudrze spryskał Holly i Artemisa zawartością. Pojemnik zawierał

cuchnący, żółty płyn.

- Feromony trolli - wyjaśnił niemal przepraszająco Scant. - Raz pociągną nosem i dostaną kompletnego świra.

Czuć was teraz tak jak ich samice w okresie rui. Kiedy się zorientują, że nimi nie jesteście, rozedrą was na tysiące kawałeczków, które następnie przeżują. Załataliśmy wszystkie dziury w tej kopule, więc nie macie dokąd uciec. Możecie wskoczyć do rzeki, jeśli chcecie, zapach zmyje się za jakieś tysiąc lat. Ach tak, kapitan Nieduża, usunąłem z pani munduru skrzydła i powłokę kamuflażową. Zostawiłem włókna termiczne - w końcu każdy zasługuje na jakąś szansę.

197

„Wiele da się zdziałać włóknem termicznym przeciw trollom” - pomyślała Holly ponuro.

Merv wyjrzał przez przezroczystą płytę w stronę wejścia na wystawę.

- Okej. Możemy wchodzić.

Chochliczka otworzyła główne wejście pilotem. We-wnętrz odbijały się echem odległe skowyty. Artemis zauważył kilka trolli bijących się na schodach repliki świątyni. Rozerwą ich na strzępy.

Bracia Sielawa wepchnęli ich do wnętrza kopuły.

- Powodzenia! - powiedziała Opal, zasuważąc drzwi. -

Nie martwcie się, nie będziecie sami. Będziemy was obserwować przez kamery.

Drzwi zamknęły się ze złowieszczym brzękiem. Sekundy później elektroniczny pulpit zamka zaczął iskrzyć, gdyż bracia Sielawa roztopili go od zewnątrz. Artemis i Holly zostali w środku, pachnąc jak samice trollów, zamknięci wraz ze zgrają złaknionych samców.

Rekonstrukcja świątyni Artemis stanowiła zachowują-

cy proporcje model, zbudowany z zapierającą dech do-kładnością, włączając w to automatyczne repliki ludzi zajętych codziennymi sprawami 400 roku p.n.e. Większość modeli trolle odarły do nagich kabli, ale kilka wciąż szło niezbornie swymi ścieżkami, niosąc dary dla bogini.

Robot, którego tor ruchu zaprowadził zbyt blisko gromady trolli, stał się przedmiotem ataku i został rozszarpany na 198

strzępy. Była to ponura zapowiedź losu, który czekał Holly i Artemisa.

Jedynym źródłem pożywienia na terenie świątyni były same trolle. Szczenięta i powolne osobniki dostawały się w kły i szpony byków, które rozdzierały je na sztuki, zjadały najlepsze kęski i ciskały resztki ujadającemu stadu.

Gdyby trollom przyszło przebywać w tym miejscu jeszcze przez jakiś czas, unicestwiłyby się same.

Holly brutalnie przycisnęła Artemisa ramieniem do ziemi.

- Prędko - powiedziała. - Tarzaj się w błocie, zamaskuj się, ukryj zapach.

Artemis zrobił, co mu polecono, rozmazując na sobie błoto zakutymi rękami. Miejsca, do których nie mógł się-

gnąć, szybko ukryła Holly. Chłopiec zrobił dla niej to sa-mo. Za chwilę trudno ich było rozpoznać.

Artemis miał uczucie, którego, jak sięgał pamięcią, nie doświadczał jeszcze nigdy przedtem: był absolutnie przerażony. Ręce mu się trzęsły, wprawiając w grzechot łańcu-chy. W jego mózgu zabrakło miejsca na analityczne my-

ślenie. „Nie mogę - myślał. - Nie mogę nic zrobić”.

Holly przejęła inicjatywę, zmuszając go do wstania i popychając w stronę imitacji kupieckich namiotów, tło-czących się na brzegu wartkiej rzeki. Przycupnęli za postrzępionym płótnem, przyglądając się trollom przez rozdarcia, które pozostawiły w materiale ich pazury. Na ma-tach przed namiotami siedzieli dwaj mechaniczni kupcy, obok nich stały koszyki wypełnione po brzegi statuetkami 199

Artemis ze złota i kości słoniowej. Obaj kupcy nie mieli głowy. Jedna leżała w pyłe kawałek dalej, przez wygryzioną dziurę wyglądał kawałek sztucznego mózgu.

- Musimy się pozbyć kajdanek - powiedziała Holly ponagłajaco.

- Co? - wybełkotał Artemis.

Holly zamachała mu kajdankami przed twarzą.

- Musimy to natychmiast zdjąć! Błoto ochroni nas przez minutę, potem trolle wpadną na nasz trop. Musimy wskoczyć do wody, a ze skutymi rękami utoniemy w tym prądzie.

Oczy Artemisa utraciły ostrość widzenia.

- Prądzie?

- Otrząśnij się, Artemisie - syknęła mu Holly prosto w twarz. - Przypomnij sobie o swoim złocie. Nie dostaniesz go, jeśli będziesz martwy. Wielki Artemis Fowl za-

łamuje się na pierwszą zapowiedź kłopotów. Bywaliśmy już w gorszych opałach - nie całkiem była to prawda, ale Błotny Chłopiec przecież tego nie pamiętał.

Artemis wziął się w garść. Na uspokajającą medytację brakowało czasu, więc był po prostu zmuszony stłumić emocje. Bardzo niezdrowe z punktu widzenia psychologii, ale lepsze niż stać się kilkoma ochłapami miecha w zębach trolla.

Przypatrzył się kajdankom. Wykonano je z lekkiego plastikowego polimeru. W środku znajdowała się klawiatura numeryczna, umiejscowiona tak, by skuty nie mógł jej dosięgnąć.

200

- Ile cyfr? - zapytał.

- Co takiego?

- Ile cyfr mają kody do kajdanek? Pracujesz w policji.

Z pewnością wiesz, ile cyfr zawierają kody do kajdanek.

- Trzy - odpowiedziała Holly. - Ale możliwości jest mnóstwo.

- Owszem. Ale rachunek prawdopodobieństwa jest jeden - sprostował Artemis, irytujący nawet wtedy, gdy mógł stracić życie. - Statystycznie rzecz biorąc, trzydzieści osiem procent ludzi nie zwraca sobie głowy i pozostawia kody fabryczne. Możemy mieć tylko nadzieję, że wróżki są tak samo niedbałe.

Holly zmarszczyła brwi.

- Wszystko można powiedzieć o Opal, ale nie to, że jest niedbała.

- Zapewne. Natomiast jej dwie małe wróżki na posył-

ki niekoniecznie poświęcają tyle uwagi szczegółom. - Artemis wyciągnął ręce do Holly. - Spróbuj trzy zera.

Holly wstukała cyfry kciukiem. Czerwona lampka pozostała czerwona.

- Dziewiątki. Trzy dziewiątki. Światelko nie zmieniło barwy.

Holly szybko wstukała po kolei trójki identycznych cyfr. Bez skutku. Artemis westchnął

- No dobrze. Potrójne liczby były pewnie zbyt oczy-wiste. Czy są jeszcze inne trzycyfrowe liczby, zapisane w świadomości wrózek? Liczby, które znają wszystkie wróż-

ki i o których nie zapominają?

201

Holly wyteżyła umysł.

- Dziewięć pięć jeden. Kod Oazy.

- Spróbuj.

Spróbowała. Bez powodzenia.

- Dziewięć pięć osiem. Kod Atlantydy.

- To nie jest powszechnie znana liczba. Czy jest jakiś numer, który zna każdy mężczyzna, kobieta i dziecko?

Oczy Holly zrobiły się okrągłe.

- No jasne. Dziewięć zero dziewięć. Alarmowy telefon policji. Można go zobaczyć w rogu wszystkich pod-ziemnych billboardów.

Do świadomości Artemisa dotarł pewien fakt. Wycie ucichło. Trolle przestały walczyć i węszyły w powietrzu.

Feromony niesione wiatrem przyciągały bestie jak mario-netki na sznurkach. Jednym budzącym grozę ruchem wszystkie łby odwróciły się w kierunku kryjówki Holly i Artemisa.

Artemis potrząsnął kajdankami.

- Spróbuj. Szybko!

Spróbowała. Lampka zabłyśła na zielono i kajdanki się otworzyły.

- Dobrze. Wspaniale. Teraz twoje.

Palce Artemisa zamarły nad klawiaturą.

- Nie znam symboli cyfr pisma wrózek.

- Znasz. Co więcej, jesteś jedynym człowiekiem, któ-

ry je zna - powiedziała Holly. - Po prostu ich nie pamię-

tasz. To standardowa klawiatura. Od jednego do dziewię-

ciu, z lewej na prawo. A zero na dole.

202

- Dziewięć zero dziewięć - wymruczał Artemis, przyciskając odpowiednie klawisze. Kajdanki Holly otworzyły się za pierwszym razem - co było dość szczęśliwą okolicznością, gdyż na drugi raz nie było czasu.

Trolle były blisko, zeskakiwały po schodach świątyni z zatrważającą prędkością i koordynacją. Wykorzystując ciężar włochatych ramion, wyrzucały ciała do przodu, jednocześnie prostując nogi. Ta metoda wyrzutu pozwalała im pokonywać do sześciu metrów jednym susem. Zwierzęta lądowały na knykciach z podkurczonymi nogami, gotowe do następnego skoku.

Widok był wręcz paraliżujący: horda oszalałych drapieżników pędziła niskim, piaszczystym zboczem. Większe samce wybrały łatwiejszą drogę na dół, szarżując wą-

wozem. Dorastające i stare osobniki trzymały się zboczy, bacząc na przypadkowe ukąszenia i kły ostre jak kosa.

Trolle wpadły pomiędzy manekiny i dekoracje i popędziły prosto do namiotu. Kosmyki włosów powiewały przy każ-

dym skoku, ślepią jarzyły się czerwienią w półmroku.

Stworzenia odrzuciły łby do tyłu, ustawiając nozdrza w najwyższym punkcie. Nosy prowadziły je bezbłędnie do Holly i Artemisa. Co gorsza, Holly i Artemis też czuli teraz woń trolli.

Holly wetknęła obie pary kajdanek za pas. W środku znajdowały się baterie, których można będzie użyć, żeby się ogrzać, albo nawet jako broni, jeśli uda im się przeżyć dość długo.

203

- Dobra, Błotniaku. Do wody.

Artemis nie protestował i nie pytał o nic, nie było czasu. Mógł jedynie założyć, że trolle, podobnie jak wiele innych zwierząt, nie przepadają za wodą. Ruszył biegiem w stronę rzeki, czując, jak grunt wibruje od setek pięści i stóp. Znowu rozległy się skowyty, choć tym razem ich ton był odmienny, bardziej bezmyślny i brutalny, i jeśli trolle miały kiedykolwiek jakieś hamulce, w tej chwili wszystkie pękły.

Artemis wychodził z siebie, by zrównać się z Holly.

Gibka i zwinna, zostawiła go w tyle. W biegu schyliła się nisko i pochwyciła plastikową kłodę z imitacji ogniska.

Artemis poszedł za jej przykładem, wtykając drugą pod pachę. Możliwe, że przyjdzie im spędzić w wodzie długi czas.

Holly skoczyła głową do przodu, zataczając w powietrzu zgrabny łuk, nim prawie bez plusku zanurzyła się w wodzie. Artemis niezręcznie skoczył za nią. Niespecjalnie się nadawał do ucieczek w celu ratowania życia. Mózg miał wielki, owszem, ale ciało słabe - kiedy zaś trolle następują ci na pięty, potrzeba czegoś dokładnie odwrotnego.

Pogąrzył się w ciepławej wodzie, połykając trochę.

Woda okazała się zaskakująco słodka. Bez zanieczyszczeń, domyślił się, korzystając z niewielkiej części mózgu, która ciągle jeszcze myślała racjonalnie. Poczul, że coś chwytła go za kostkę, rozcinając skarpetkę i ciało. Odepchnął się od brzegu, uwalniając kostkę.

Przez krótką chwilę ciągnął się za nim ślad gorącej krwi, szybko zmyty przez prąd.

204

Holly młóciła wodę rękami na środku rzeki. Kasztano-wate włosy sterczały w mokrych kosmykach.

- Jesteś ranny? - spytała.



Artemis potrząsnął głową. Na słowa zabrakło tchu.

Holly spojrzała na jego kostkę i zauważyła ciągnącą się za nią smugę krwi.

- Krwawisz, a ja nie mam już ani kropli magii, żeby cię uzdrowić. Krew jest w naszej sytuacji chyba jeszcze gorsza niż feromony. Musimy się stąd wydostać.

Trolle na brzegu dosłownie dostawały szału. Tłukły w ziemię łapami, wybijając pięściami skomplikowane rytmy.

- Rytuał godowy - wyjaśniła Holly. – Najwyraźniej im się spodobaliśmy.

Prąd w środku rzeki rwał stromo w dół i szybko poniósł

ich ze sobą. Trolle podążyły za nimi wzdłuż brzegu, niektóre ciskały w stronę rzeki małe kamienne pociski. Jeden trafił w plastikową kłodę Holly, prawie ją wytrącając jej z rąk.

Elficzka wypluła wodę.

- Musimy mieć plan, Artemisie. To twoja działka. Ja doprowadziłam nas tutaj.

- Och, wspaniale, świetna robota - rzekł Artemis, któ-

ry najwidoczniej odzyskał swą skłonność do sarkazmu.

Odgarnął mokre kosmyki włosów z czoła i powiódł spojrzeniem ponad pieniającą się wokoło wodą. Świątynia była ogromna i rzucała wydłużony, wielokątny cień na opustoszałą okolicę. Wejście stało otworem, choć nic nie wskazywało na to, że w środku znajdują schronienie przed 205

trollami. Jedyne pustym miejscem był dach świątyni.

- Trolle potrafią się wspinać? - wybełkotał. Holly po-dążyła za jego spojrzeniem.

- Jeśli muszą, tak. Jak wielkie małpy. Ale tylko, jeśli naprawdę muszą.

Artemis zmarszczył czoło.

- Gdybym tylko sobie przypomniał - powiedział. -

Gdybym tylko wiedział znowu to, co wiedziałem.

Holly podpłynęła do chłopca i chwyciła go za marynarkę. Wirowali we wzburzonej kipieli, pomiędzy plastikowe kłody wciskała się piana i bąble.

- „Gdybym tylko” to zły pomysł, Błotniaczk. Musimy mieć plan, zanim dotrzemy do filtru.

- Jakiego filtru?

- Ta rzeka jest sztuczna. Jej wody przepływają przez filtrowany zbiornik.

W głowie Artemisa rozbłysła żarówka.

- Główny zbiornik. Tamtędy wyjdziemy.

- Zginiemy! Nie masz pojęcia, jak długo trzeba będzie przebywać pod wodą.

Artemis ostatni raz rozejrzał się wokół, szacując i kalkulując.

- Wziąwszy pod uwagę okoliczności, innego wyjścia nie mamy.

Kawałek dalej prądy zaczynały krążyć, pchając przed sobą wszelkie możliwe śmieci ze zboczy. Na środku rzeki uformował się mały wir. Trolle wpatrzyły się w niego i jakby uspokoiły. Przystały podskakiwać, tłuc pięściami o

ziemię i spoglądały bez ruchu. Kilka sztuk, które w przyszłości miały się okazać mądrzejsze, ruszyło wzdłuż brzegu.

- Popłyniemy z prądem - krzyknął Artemis wśród szumu. - Płyniemy z prądem i nadzieją.

- I co? To cały twój genialny plan? - Skafander Holly trzeszczał, gdyż woda stopniowo przedostawała się do obwodów.

- To bardziej strategia przetrwania niż plan - odpalił

Artemis. Być może mówiłby dalej, lecz przerwała mu rzeka, rozdzielając go z elficzką i rzucając w sam środek wiru.

W zetknięciu z taką potęgą poczuł się mniej więcej tak samo ważny jak gałązka. Nie mógł opierać się wodzie, gdyż wówczas wydusiłaby powietrze z jego płuc szybciej, niż troll samiec powala ofiarę. Klatka piersiowa Artemisa była ściśnięta, i choć usta chwyciły ponad wodą krótkie oddechy, chłopiec nie potrafił zgromadzić w płucach wystarczającej ilości powietrza. Mózg był spragniony tlenu.

Myśli stały się mgliste. Wszystko się powyginało: jego ciało i woda. Białe koła na niebieskich na zielonych. Stopy tańczyły po małej wstędze Möbiusa pod wodą. Taniec rzeki. Ha ha.

Zjawiała się przed nim Holly i wcisnęła pomiędzy nich dwie kłody. Powstała prowizoryczna tratwa. Elficzką krzyknęła, ale słowa zaginęły w huk. Cały świat wypełnił

się wodą. Wodą i chaosem.

Podniosła w górę trzy palce. Trzy sekundy i schodzą pod powierzchnię. Artemis odetchnął na ile pozwalała ściśnięta klatka piersiowa. Dwa palce. Jeden.

Artemis i Holly puścili kłody, a wir momentalnie wessał ich w głąb jak muszla klozetowa pająki. Artemis starał

się utrzymać powietrze w płucach, choć napierająca ze-wsząd woda wyciskała je spomiędzy warg. Z tyłu ku powierzchni pędziła spirala bąbelków.

Woda nie była zbyt głęboka ani ciemna. Ale płynęła szybko, uniemożliwiając rozpoznanie wielu mijanych obrazów. Artemis widział przed sobą przez ułamek sekundy twarz Holly, jej wielkie, orzechowe oczy.

Lejek wiru zaczął się zwężać, spychając Holly i Artemisa na siebie. Porwało ich pionowo w dół w płataninie huczących korpusów i łopoczących kończyn. Przycisnęli czoło do czoła, odnajdując nawzajem w swych oczach nieco pociechy. Nie trwało to długo. Brutalnie zatrzymała ich metalowa krata zamykająca rurę odpływową. Uderzyli w nią, czując, jak małe liściaste wcięcia wrzynają się w skórę.

Holly przywarła do kraty i przecisnęła palce przez otwory. Krata była nowa i lśniąca. Na ramie widać było świeże ślady spawania. Kraty tu wcześniej nie było, wszystko inne pozostało jak dawniej. Kobo! Kobo!

Jakiś przedmiot (tracił Holly w ramię. Podwodny wideofon. Przymocowano go paskiem do kraty. Twarz Opal Kobo! pojawiła się na małym monitorze, uśmiech wypełnił

niemal całą twarz. Powtarzała coś ciągle w krótkiej pętli.

Słów się nie dało usłyszeć pośród bulgotu i szumu, ale i tak wiadomo było, co znaczą: „Znowu was pokonałam!”.

Holly chwyciła wideofon i oderwała od paska. Szarp-nięcie wyrzuciło ją z nurtu we względnie spokojną wodę.

Siły ją opuściły, nie mogła zrobić nic innego, tylko płynąć tam, gdzie kazała jej rzeka. Artemis odepchnął się od kraty i wykorzystując resztkę tlenu, zrobił dwa ruchy nogami.

Uwolnił się od wiru i popłynął za Holly, w stronę ciemnego kopca położonego dalej w dole rzeki. „Powietrza - pomyślał ze szczerą desperacją. - Muszę zaczerpnąć tchu. Nie zaraz. Teraz. Jeśli nie teraz, to już nigdy”.

Wyplął na powierzchnię z ustami w górze. Krtań chłopca zaczęła wsysać tlen, jeszcze gdy usta były pełne wody. Pierwszy oddech powrócił wraz z płynem na ze-wnątrz, ale drugi i trzeci pozostały w płucach. Artemis poczuł, że siły na powrót wypełniają mu ciało.

Holly była bezpieczna. Leżała na ciemnej wysepce na rzece. Jej klatka piersiowa unosiła się jak

miech, obok dłoni spoczywał wideofon.

- No tak - mówiła Opal Kobi na wciąż włączonym ekranie. - Jakie to przewidywalne. - Powtarzała to wciąż i wciąż, aż wreszcie Artemis wyszedł z wody, wspiał się na kopiec i wyłączył dźwięk w urządzeniu.

- Naprawdę przestaję ją lubić - wydyszał. - Może jeszcze kiedyś pożałuje swoich zabaweczek takich jak ten podwodny telewizor. Bo właśnie one mobilizują mnie, żeby się stąd wydostać.

Holly usiadła i rozejrzała się. Znajdowali się na kopcu śmieci. Artemis odgadł, że kopiec zaczął się piętrzyć od chwili, kiedy Opal przyspawała kratę do rury filtra. Prąd zbierał resztki wszystkiego, co niszczyły trolle, i przynosił

209

w to płytkie miejsce, małą wyspę rupieci na zakręcie rzeki.

Na stosie leżały głowy robotów, potrzaskane posągi i szczątki trolli. Czaszki trolli z grubym, wystającym czo-

łem i gnijące skóry.

Przynajmniej te trolle ich nie zjedzą. Natomiast te, któ-

re mogły to zrobić, przyszły wzdłuż brzegu za nimi i toczyły pianę z paszcz po obu stronach rzeki. Od lądu dzielił

je jednak co najmniej sześciometrowy pas wody o głębokości piętnastu centymetrów. W tej chwili byli bezpieczni.

Artemis poczuł, że stłumione wspomnienia starają się wypłynąć na powierzchnię. W jednej chwili stanął na granicy przypomnienia sobie wszystkiego, był tego pewien.

Siedział całkowicie nieruchomo i pragnął z całej siły, by to nastąpiło. Przed jego oczyma migotały nieuporządkowane obrazy: góra złota, zielone, pokryte łuską stwory ciskające ogniste kule; Butler leżący w łodzi. Niestety, obrazy ze-

ślizgnęły się po powierzchni jego świadomości jak po szybie.

Holly usiadła.

- No i co?

- Nie jestem pewien - odezwał się Artemis. - Coś zobaczyłem. Nie wiem dokładnie, co. Wszystko tak szybko się dzieje. Potrzebuję czasu na medytację.

- Nasz czas się kończy - powiedziała Holly, wspiąwszy się na szczyt stosu śmieci. Czaszki

trzeszczały pod jej stopami. - Spójrz.

Artemis odwrócił wzrok w stronę lewego brzegu rzeki.

Jeden z trolli podniósł duży głaz i zamierzył się nim.

210

Artemis skulił się. Jeżeli kamień ich trafi, oboje odniosą śmiertelne obrażenia. Co najmniej.

Troll stęknął jak serwujący tenisista, posyłając głaz.

Kamień nie doleciał do wyspy i z głośnym pluskiem wpadł

do płytkiej wody.

- Kiepski rzut - oceniła Holly. Artemis zmarszczył

brwi.

- Wątpię.

Kolejny troll chwycił kamienny pocisk, potem trzeci.

Wkrótce wszystkie bestie rzucały w stronę złomowiska głazami, częściami robotów, patykami i wszystkim, co im wpadło w łapy. Żaden pocisk nie dotarł do dwójki skulonej na szczycie.

- Nie mogą trafić - powiedziała Holly. - Nie udało się jeszcze żadnemu.

Kości bolały Artemisa ze strachu, bólu i długotrwałego napięcia.

- One nie próbują w nas trafić - powiedział. - Budują most.

Tara, Irlandia, o świcie

Port promowy wrózek w Tarze był największy w całej Europie. Przez bramki rentgenowskie przechodziło tutaj rocznie ponad osiem tysięcy turystów. Osiemset pięćdziesiąt metrów sześciennych terminalu kryło się pod przero-

śniętym pagórkiem pośrodku farmy McGraneya. Był to cud podziemnej architektury.

211

Mierzwa Grzebaczek, zbiegły krasnal kleptomani, sam czuł się pod ziemią równie cudownie. Butler zawiózł ich bentleyem Fowlów na północ od posiadłości i na znak Mierzwy zatrzymał luksusowy pojazd pięćset metrów od zakamuflowanego wejścia do portu promowego. Tam Mierzwa mógł skoczyć przez tylne drzwi prosto w ziemię.

Szybko przestał być widoczny, przykryła go warstwa żywej irlandzkiej gleby. Najlepszej na świecie.

Mierzwa dobrze znał układ pomieszczeń portu. Pewnego razu pomógł swemu kuzynowi Nordowi uciec z miejscowego aresztu policyjnego. SKR aresztowało Norda pod zarzutem rozprzestrzeniania zanieczyszczeń przemysłowych. Złóże gliny kończyło się bezpośrednio pod ścianą portu, patrząc pod odpowiednim kątem można było dostrzec fragment metalowej osłony, która przez lata opierania się irlandzkiej wilgoci zrobiła się bardzo cienka. Tym razem jednak Mierzwa Grzebaczek nie zamierzał uciec przed SKR, lecz zrobić coś całkiem przeciwnego.

Wynurzył się na powierzchnię pośród hologramowych krzewów, osłaniających służbowe wejście do portu promowego. Wylaź z tunelu, strząsnął glinę z zadka, wypu-

ścił gazy tunelowe nieco głośniejsze niż potrzeba, i czekał.

Pięć sekund później drzwi wjazdu rozsunęły się ukośnie i cztery wyciągnięte ręce chwyciły Mierzwę i wciągnęły do wnętrza portu promowego. Krasnal nie stawiał oporu, pozwolił się zaprowadzić ciemnym korytarzem do pokoju 212

przesłuchań. Posadzono go na niewygodnym krześle, zakuto w kajdanki i pozostawiono, by zmiękł. Mierzwa jednak nie miał czasu mięknąć. Każda sekunda siedzenia i wyjmowania owadów z brody skracała dystans między trollami a Artemisem i Holly.

Krasnal wstał, bębniąc otwartymi dłońmi o przezroczystą wstawkę na lustrzanej ścianie.

- Chiksie Gryzoni! - zawołał. - Wiem, że mnie widzisz. Musimy pogadać. O Holly Niedużej.

Mierzwa walił w szkło, aż drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wszedł Chix Gryzoń. Chix był wrózką SKR na powierzchni. Ponadto pierwszą ofiarą goblinzkiej rebelii B'wa Kell, która miała miejsce rok wcześniej, i gdyby nie Holly Nieduża, zostałaby też pierwszą ofiarą śmiertelną. Po tym wszystkim Rada wręczyła mu medal, on zaś udzielił szeregu wywiadów w sieciach telewizyjnych, a potem wysłano go na lukratywną placówkę na powierzchni przy szybie E1.

Chix wszedł ze złożonymi na plecach skrzydłami, spoglądając podejrzliwie. Pasek od rozpiętej kabury neutrino wisiał luźno.

- Mierzwa Grzebaczek, jeśli się nie mylę? Poddajecie się?

Mierzwa parsknął.

- Co ty sobie wyobrażasz! Sądzisz, że wpakowałbym się we wszystkie możliwe kłopoty uciekając, żeby poddać się duszkowi? Nie wydaje mi się, przygłupie.

Chix zeszywniał i zaczął się wachlować skrzydłami.

- Słuchaj no, krasnalu. Twoja sytuacja nie jest najlep-sza na kpiny. Siedzisz u mnie w areszcie, gdybyś nie zauważył. Pomieszczenia pilnuje sześciu strażników.

- Sześciu strażników. Bo pęknę. Nie upilnowaliby jabłka w sadzie. Uciekłem z łodzi podwodnej na głęboko-

ści paru kilometrów. Mógłbym uciec stąd na sześć sposobów, nawet się nie pocąc.

Chix zaczął polatywać po pokoju.

- Chętnie zobaczę, jak próbujesz. Wlepię ci dwa dodatkowe zarzuty w zad, zanim odczepisz tę swoją szczękę.

Mierzwa skrzywił się. Krasnale nie przepadają za „za-dnimi” dowcipami.

- Okej, spokojnie panie Gung-ho. Pogadajmy o twoim skrzydle. Dobrze się goi?

- Skąd o tym wiesz?

- Wszyscy to wiedzą. Pokazali cię na wszystkich ka-nałach TV, łącznie z piracką satelitarną. Całkiem niedawno oglądałem sobie twoją paskudną gębę w Chicago.

Chix zamarł.

- W Chicago?

- A tak. Mówiłeś, jeśli dobrze pamiętam, że Holly Nieduża uratowała ci życie, a duszki nigdy nie zapominają o długu wdzięczności. Mówiłeś, że gdyby cię kiedykolwiek potrzebowała, zjawisz się, niezależnie od wszystkiego.

Chix kaszlnął nerwowo.

- Większość czytałem z kartki. Ale i tak było to zanim...

214

- Zanim funkcjonariuszka należąca do najczęściej od-znaczanych w SKR ni stąd, ni zowąd postanowiła się wściec i zastrzelić swojego komendanta?

- Tak. Przedtem.

Mierzwa spojrzał prosto w zieloną twarz Gryzonia.

- Chyba w to nie wierzysz, co?

Gryzoń uniósł się jeszcze wyżej i zawisł na długą chwilę, wzbijając skrzydłami prądy powietrzne. Następnie opadł na ziemię i usiadł na drugim krześle.

- Nie. Nie wierzę. Nie wierzyłem ani przez chwilę.

Juliusz Bulwa był dla Holly, dla nas wszystkich, jak ojciec.

Chix ukrył twarz w dłoniach, bojąc się usłyszeć odpowiedź na pytanie, które zamierzał zadać.

- Gadaj, Grzebaczek. Dlaczego tu jesteś?

Mierzwa zbliżył się do niego.

- Nagrywasz nas?

- Oczywiście. Standardowa procedura operacyjna.

- Możesz wyłączyć mikrofon?

- Chyba tak. Ale po co?

- Bo chcę ci powiedzieć coś, co może się okazać kluczowe dla przetrwania Ludu. Ale zrobię to tylko przy wy-

łączonych mikrofonach.

Skrzydła Chiksa zaczęły znów łopotać.

- Niech to będzie naprawdę ważne. Niech mi się spodoba, krasnalu.

Mierzwa wzruszył ramionami.

- Na pewno ci się nie spodoba. Ale jest ważne.

Zielone palce Chiksa wystukały kod na klawiaturze w blacie stołu.

215

- Dobra, Grzebaczek. Możemy rozmawiać swobodnie.

Mierzwa nachylił się nad blatem.

- Chodzi o to, że Opal Koboï wróciła.

Gryzoń nie odpowiedział, tylko kolor umknął mu z twarzy. Ze zdrowej szmaragdowej cera duszka zrobiła się chorobliwie limonkowozielona.

- Opal udało się jakoś uciec i uruchomić całą tę wielką maszynę zemsty. Najpierw generał Łuskoń, potem komendant Bulwa, a teraz Holly i Artemis Fowl.

- Opal? - zająknął się Gryzoń, którego niespodziewanie rozboleło chore skrzydło.



- Dopada po kolei każdego, kto przyłożył rękę do jej uwięzienia. Co, o ile dobrze pamiętam, dotyczy i ciebie.

- Ja w tym nie brałem udziału - zaskrzeczał Gryzoń, jakby zapewnianie Mierzwy o niewinności mogło mu po-móc.

Mierzwa usiadł wygodnie.

- Hej, mnie nie masz po co tego mówić. To nie ja chcę cię dopaść. Jeśli dobrze pamiętam, to ty występowa-

łeś w wywiadach telewizyjnych na wszystkich programach, chełpiąc się, że osobiście, jako pierwszy funkcjonariusz SKR, zetknąłeś się z szajką goblinów-przemytników.

- Może nie oglądała - odezwał się Chix z nadzieją. -

Była wtedy w śpiączce.

- Na pewno ktoś to dla niej nagrał.

Gryzoń myślał o tym przez chwilę, mimo woli poruszając skrzydłami.

216

- Więc czego ode mnie chcesz?

- Musisz wysłać Ogierkowi wiadomość. Powtórz mu moje słowa o Opal - Mierzwa zakrył usta dłonią, na wypadek gdyby nagranie przeglądał ktoś czytający z warg. -

Potrzebny mi jest też prom SKR. Wiem, gdzie jest zaparkowany. Muszę znać tylko kod zapłonowy i dostać układ startowy.

- Co takiego? To niedorzeczne! Wsadzą mnie do więzienia.

Mierzwa potrząsnął głową.

- Nie, nie. Jeśli nie będzie dźwięku, cała Komenda Policji zobaczy tylko kolejną genialną ucieczkę Mierzwy Grzebaczka. Ogluszę cię, ukradnę układ i wyjdę tunelem przez rurę za spryskiwaczem z wodą.

Chix zmarszczył brwi.

- Powtórz jeszcze raz ten fragment o ogłuszaniu.

Mierzwa uderzył dłonią w stół.

- Słuchaj, Gryzoń! Holly jest teraz w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Może już nie żyje.

- To już słyszałem - wtrącił się Chix.

- A z całą pewnością zaraz będzie martwa, jeśli w tej chwili nie zejdziemy na dół.

- Dlaczego nie miałbym zorganizować oficjalnej misji?

Mierzwa westchnął dramatycznie.

- Dlatego, kretynie, że zanim oddział Odzysku Komendy Policji tam dotrze, będzie już za późno. Znasz re-gułę: żadnemu funkcjonariuszowi SKR nie wolno działać na podstawie informacji skazanego, chyba że otrzyma potwierdzenie tej informacji z innego źródła.

217

- Nikt nie przywiązuje uwagi do tej reguły, a nazywanie mnie „kretynem” niewiele pomoże.

Mierzwa wstał.

- Jesteś duszkiem, na bogów. Mieliście podobno sta-rożytny kodeks rycerski. Kobieta ocaliła cię od śmierci, a teraz jej życie znajduje się w niebezpieczeństwie. Duszki to rasa honorowa, więc rób, co do was należy.

Chix wytrzymał spojrzenie Mierzwy.

- Wszystko to prawda? Gadaj, Mierzwa, bo nie obej-dzie się bez konsekwencji. Nie jedziemy obrobić jakiegoś małego sklepu z biżuterią?

- Prawda - powiedział Mierzwa. - Masz moje słowo.

Chix niemal się roześmiał.

- Och, uuupiii. Słowo Mierzwy Grzebaczka. Mogę z nim iść do banku. - Zaczerpnął kilka razy głęboko tchu i zamknął oczy. - Procesor mam w kieszeni. Kod znajdziesz na tabliczce. Postaraj się niczego nie popsuć.

- Nie obawiaj się. Jestem doskonałym kierowcą.

Chix skrzywił się w oczekiwaniu.

- Nie mówiłem o promie, głupku. Chodzi mi o twarz.

Kobietom podoba się mój wygląd.

Mierzwa zamierzył się obgryzioną pięścią.

- No więc nie chciałbym rozczarować pań - powiedział zrzucając Chiksa Gryzonia z krzesła.

Mierzwa profesjonalnie przeszukał kieszenie Gryzonia.

Duszek nie był właściwie nieprzytomny, tylko udawał.

Sprytne posunięcie. Mierzwa w sekundę odnalazł procesor rozrusznika i schował go w brodzie. Kępa włosów opłotła 218

ciasno układ scalony, tworząc nieprzemakalny kokon.

Krasnal pozbawił też Gryzonia jego neutrino, choć to nie należało do umowy. Pokonał pokój dwoma krokami i podstawił krzesło pod klamkę drzwi. Powinien w ten sposób zyskać parę sekund. Opasał ramieniem wodny rozpylacz, odpinając jednocześnie klapkę na zadku. W tej chwili liczyła się prędkość, bo jeśli ktoś oglądał przesłuchanie przez podwójne weneckie lustro, z pewnością zaczął się już dobijać do drzwi. Mierzwa dostrzegł, że pojawiła się na nich czarna kropka. Ktoś wypalał sobie wejście.

Zerwał zbiornik ze ściany, zalewając pokój przesłuchań kilkoma galonami wody.

- Och, na bogów! - jęknął Chix z podłogi. - Suszenie skrzydeł zajmie mi całe wieki.

- Zamknij się. Jesteś nieprzytomny.

Gdy tylko z rury doprowadzającej wypłynęła cała wo-da, Mierzwa wskoczył do środka. Doszedł do pierwszego połączenia i obluźował je kopniakiem. Do środka wpadły grudki gliny i zablokowały rurę. Mierzwa odczepił szczę-

kę. Znow był w ziemi. Nikt go tutaj nie złapie.

Przystań promowa znajdowała się poziom niżej, najbli-

żej samego szybu. Mierzwa ruszył w dół, prowadzony niezawodnym wewnętrznym kompasem krasnala. Był już kiedyś w tym terminalu i zapisał układ pomieszczeń w pamięci, podobnie jak układ każdego budynku, w którym się znalazł. Sześćdziesiąt sekund przeżuwania ziemi, rozdrabniania minerałów i wydalania zanieczyszczeń drugą 219

stroną, i krasnal znalazł się twarzą w twarz z przewodem powietrznym. Ten akurat ciągnął się prosto do przystani promowej i krasnal mógł nawet wyczuć włoskami brody wibrację silników.

Ogólnie rzecz biorąc, miał się przebić przez metalową powłokę przewodu z pomocą paru kropel krasnalowej pasty do skał, ale ponieważ strażnicy więzienni mają tendencję do konfiskowania przedmiotów tego typu, Mierzwa przepalił płytę skoncentrowanym impulsem ze skradzionego pistoletu. Płyta roztopiła się jak tafła lodu przed pie-cykiem ciśnieniowym. Krasnal dał roztopionemu metalowi minutę na stężenie i ostygnięcie, po czym wśliznął się do samego duktu. Po dwóch zakrętach w lewo już przyciskał

twarz do kraty, przez którą widać było przystań promową.

Nad wszystkimi drzwiami pobłyskiwały czerwone światła alarmowe, przenikliwy dźwięk syreny nie pozostawiał

śladu wątpliwości, że zaistniała jakaś sytuacja alarmowa.

Pracownicy przystani promowej tłoczyli się przed monito-rem telewizyjnym, czekając na wieści.

Mierzwa opadł na ziemię z większym wdziękiem, niż można by się spodziewać po jego posturze, i podczołgał

się do promu SKR. Prom był podwieszony z nosem w górze nad poziomym tunelem serwisowym. Mierzwa za-kradł się na pokład, otwierając drzwi pasażera układem Chiksa Gryzonia. Przyrządy sterujące były niezwykle skomplikowane, niemniej Mierzwa ukuł pewną teorię na temat sterowania wehikulami: nie zwracaj sobie głowy niczym oprócz kierownicy i pedałów, a wszystko się uda.

220

W dotychczasowej karierze ukradł ponad pięćdziesiąt środków transportu rozmaitego typu i jak dotąd teoria go nie zawiodła.

Wsunął układ rozrusznika do slotu, ignorując poradę komputera, żeby przeprowadzić kontrolę wszystkich systemów, i wcisnął przycisk uwalniający. Ośmiotonowy prom SKR poleciał do szybu jak kamień, wirując niczym łyżwiarz figurowy. Grawitacja chwyciła go w uścisk i pchnęła w stronę jądra ziemi.

Mierzwa wcisnął stopą pedał gazu na tyle, by powstrzymać spadanie. Z wewnętrznego radia ktoś zaczął do niego mówić.

- Ty, na pokładzie promu. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli natychmiast wrócisz. Nie żartuję! Za dwadzieścia sekund mam zamiar osobiście uruchomić mechanizm samozniszczenia.

Mierzwa splunął na głośnik pacyną krasnalowej śliny, tłumiąc rozwścieczony głos. Zebrał w gardle kolejną i wypluł na skrynkę z bezpiecznikami pod radiostacją.

Bezpieczniki zaczęły iskrzyć i syczeć. Mechanizm samozniszczenia miał z głowy.

Sterowanie okazało się nieco trudniejsze niż w pojazdach, do których przywykł Mierzwa. Niemniej po kilku otarciach o ścianę szybu zdołał opanować maszynę. Jeśli SKR odzyska kiedyś swój prom, trzeba będzie go pokryć nową warstwą lakieru i zapewne wymienić też bufor tablicy gwiazdowej.

Promień skwierczącego światła laserowego przemknął

przez luk. Był to strzał ostrzegawczy. Oddadzą jeszcze 221

jeden w dziób, a potem celowanie pozostawiają kompute-rom. Czas ruszać. Mierzwa zrzucił buty, chwycił pedały dwustawowymi palcami stóp i pomknął szybem w stronę miejsca spotkania.

Butler zaparkował bentleya piętnaście mil na północny wschód od Tary, niedaleko stosu głazów w kształcie zaci-

śniętej pięści. Kamień przypominający wskazujący palec okazał się pusty w środku, dokładnie tak, jak powiedział

Mierzwa. Co prawda krasnal zapomniał go poinformować, że otwór będzie zawalony torebkami po chrupkach i opa-kowaniach gumy do żucia, pozostawionymi przez tysiące piknikujących w tym miejscu nastolatków. Butler pokonał

stertę śmieci i odkrył, że przy tylnej ścianie wydrążenia przycupnęło dwóch chłopców z papierosami. U ich stóp spał młody labrador. Nie było wątpliwości, że tych dwóch zgłosiło się na ochotnika, by wyprowadzić psa na spacer, żeby móc w spokoju wypalić kilka papierosów. Butler zaś nie tolerował palenia.

Chłopcy podnieśli wzrok na ogromną postać, która nagle nad nimi zamajaczyła. Rozbawienie zamarło im na twarzach.

Butler wskazał na papierosy.

- Te rurki mogą poważnie zaszkodzić waszemu zdro-wiu - warknął. - A jeśli nie one, to ja.

Dwójka nastolatków zgasiła papierosy i zrejterowała z jaskini, czyli zrobiła dokładnie to, czego chciał Butler.

222

Służący odsunął na bok zasuszony krzak, odsłaniając ścianę pokrytą błotem.

- Musisz się przebić przez błoto - powiedział Mierzwa. - Ja zazwyczaj się przez nie przegryzam, a potem za-mykam za sobą tunel, ale ty może nie będziesz miał na to ochoty.

Butler wbił cztery sztywne palce w sam środek ściany błota, skąd rozchodziła się siatka pęknięć. Ściana, co było łatwe do przewidzenia, miała zaledwie kilka centymetrów grubości i skruszyła się pod jego naciskiem. Ochroniarz wyjmował kawałki zeschniętego błota, dopóki nie zrobił dość miejsca, by wcisnąć się do tunelu.

Być może mówiąc, że zrobił sobie d o ś ć miejsca, nieco przesadziliśmy, należałoby bowiem raczej powiedzieć, że było go z a l e d w i e t y l e , by mógł się wcisnąć.

Potężną sylwetkę Butlera ścisnęły ze wszystkich stron chropowate ściany z czarnej gliny. Tu i tam ostry kamień sterczący ze ściany wrywał dziurę w sztywnym na miarę garniturze. Był to już drugi zrujnowany garnitur w ciągu ostatnich dni - pierwszy został zniszczony w Monachium, drugi - pod ziemią w Irlandii. Niemniej stan garnituru był

obecnie najmniejszym zmartwieniem Butlera. Jeśli Mierzwa się nie mylił, Artemis znajdował się teraz gdzieś w Niższej Krainie, ścigany przez zgraję podążających jego śladem żądnych krwi trolli.

Butler kiedyś już walczył z trollem i omal przy tym nie zginął. Wolał sobie nawet nie wyobrazić, jak wyglądałaby bitwa z całą gromadą.

223

Wbijał palce w ziemię i podciągał swoje masywne cia-

ło metr za metrem, zagłębiając się w tunel. Ów konkretny tunel, jak poinformował go Mierzwa, stanowił jedno z nielegalnych tylnych wejść do systemu szybów Niższej Krainy, wykopanych na przestrzeni stuleci przez zbiegłych krasnali. Mierzwa osobiście wydrążył go trzysta lat temu, kiedy musiał niepostrzeżenie wkraść się do Oazy, by pojawić się na przyjęciu urodzinowym swego kuzyna. Peł-

znąc, Butler usiłował nie myśleć o sposobie, w jaki karły przetwarzają ziemię.

Po kilku metrach tunel rozszerzał się w komorę o kuli-stym kształcie. Ściany świeciły łagodnie na zielono. Również w tym wypadku Mierzwa udzielił Butlerowi wyja-

śnienia. Ściany pokrywała krasnalowa, fluorescencyjna ślina, twardniejąca od dłuższego kontaktu z powietrzem.

Zdumiewające. Ssące pory ciała, żywe włosy i jeszcze świecąca ślina. O czym się dowie w następnej kolejności?

O wybuchowej flegmie? Nie zdziwiłby się ani odrobinę.

Kto mógł wiedzieć, jakie sekrety krasnale skrywają jeszcze w zanadrzu? Albo w innych miejscach?

Butler odsunął na bok stos króliczych kości, resztki wcześniejszej przekąski krasnala, usiadł i czekał.

Zerknął na fosforyzującą tarczę swej omegi. Wysadził

Mierzwę w Tarze prawie trzydzieści minut temu; karzełek powinien był już dotrzeć na miejsce. Butler zacząłby się przechadzać po jaskini, jednak było w niej zbyt mało miejsca, by mógł się swobodnie wyprostować, nie wspominając już o spacerowaniu. Skrzyżował nogi i pogрузzył się w

odświeżającej medytacji. Od ataku rakietowego w Niemczech nie zmrużył oka, a nie był już tak młody jak kiedyś.

Serce zwolniło bieg, oddech stawał się coraz spokojniej-szy, aż wreszcie klatka piersiowa Butlera niemal przestała się poruszać.

Osiem minut później niewielka jaskinia zatrzęsała się gwałtownie. Kawałki stwardniałej śliny oderwały się od ścian i rozstrzaskały na ziemi. Podłoże pod stopami Butlera rozjarzyło się na czerwono, z rozgrzanego miejsca umknęła chmara insektów. Butler odsunął się na bok i spokojnie położył się na ziemi. Sekundy później cylindryczny fragment podłoża zniknął, pozostawiając

parujący otwór.

Z otworu dobiegł głos Mierzwy, spotęgowany wzmacniaczem skradzionego promu.

- Czas iść, Błotniaku. Rusz się. Mamy parę osób do ocalenia, a SKR siedzi mi na ogonie.

„Na ogonie Mierzwy Grzebaczka - pomyślał Butler i dreszcz go przeszedł. - Niezbyt miła lokalizacja”.

Chcąc nie chcąc, ochroniarz opuścił się nogami w dół

do powstałego otworu i opadł do otwartego wjazdu na dachu unoszącego się w powietrzu promu SKR. Wehikuły policyjne były ciasne nawet jak na standardy wrózek, ale Butler na ich pokładzie nie był w stanie nawet wyprostować się na krześle, gdyby przypadkiem znalazło się jakieś odpowiednio dla niego szerokie. Musiał się zadowolić niezbyt wygodną pozycją na klęczkach, za fotelem głównego pilota.

- Wszystko gotowe? - zapytał.

225

Mierzwa schwytał żuka, który podróżował po ramieniu Butlera. Szybkim ruchem włożył go sobie w brodę, która natychmiast spowila owada kokonem włosów.

- Na później - wyjaśnił. - Chyba że miałbyś ochotę.

Butler uśmiechnął się, choć z niejakim trudem.

- Dziękuję. Jadłem już.

- Czyżby? A więc cokolwiek to było, postaraj się utrzymać posiłek w żołądku, bo trochę nam się spieszy i złamiemy pewnie kilka ograniczeń prędkości.

Krasnal strzelił wszystkimi stawami palców u rąk i nóg i niezwłocznie wprowadził prom w stromy, spiralny lot nurkujący. Siła bezwładności rzuciła Butlera na tylną ścianę pojazdu; służący musiał się przywiązać pasami bezpieczeństwa do trzech foteli jednocześnie, żeby się bardziej nie poobijać.

- Czy taka prędkość jest naprawdę konieczna? -

mruknął z rozedrganymi policzkami.

- Obejrzyj się za siebie - odrzekł Mierzwa.

Butler dźwignął się na kolana i wyjrzał przez tylny iluminator. Ściagały ich trzy ogniste muchy, które po bliż-

szej obserwacji okazały się trzema mniejszymi promami.

Jak cienie powtarzały każdy manewr i unik promu pilota-wanego przez Mierzwę. Jeden z nich posłał małą, roz-iskrzoną torpedę, która wstrząsnęła całym kadłubem pojazdu. Butler poczuł mrowienie w cebulkach włosowych na ostrzyżonej głowie.

- Głowica podpinająca - wyjaśnił Mierzwa. - Odstrze-lili nam tylko łącza komunikacyjne, na wypadek gdyby w 226

okolicznych szybach oczekiwali na nas jacyś wspólnicy.

Głowica zafiksuje się na naszym systemie nawigacyjnym.

Inaczej mówiąc, ich komputery pokładowe będą nas ści-gać bez trudu przez cały czas, chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że uda nam się zwiększyć dystans. Wydostać się z ich zasięgu.

Butler zacisnął pas na piersi.

- A uda nam się?

Mierzwa napiął stawy palców.

- Sprawdźmy - powiedział, otwierając do oporu przepustnicę.

Park Jedenastu Cudów,

replika Świątyni Artemis

Niższa Kraina

Holly i Artemis kulili się na małej wysepce pełnej gnijącego ścierwa i czekali, aż trolle skończą budować most.

Stworzenia wpadły teraz w istny szal, jak w opętaniu ciskały głaz za głazem na płytkie wody. Kilka odważyło się nawet zamoczyć palce u stóp, lecz natychmiast się wycofało z pełnym przerażenia skowytym.

Holly otarła wodę z oczu.

- Okej - powiedziała. - Mam pewien plan. Zostanę tutaj i będę z nimi walczyć. Ty wskoczysz z powrotem do rzeki.

227

Artemis krótko potrząsnął głową.

- Doceniam, co chcesz zrobić. Ale nie. To samobój-stwo dla nas obojga. Trolle rozszarpia cię w



jednej chwili, a potem poczekają po prostu, aż prąd zanieśie mnie z powrotem tutaj. Musi być inny sposób.

Holly cisnęła czaszką trolla w najbliższe stworzenie.

Bestia chwyciła ją zwinnie przednimi łapami i zmiażdżyła bez wysiłku.

- Słucham, Artemisie.

Artemis potarł czoło wierzchem dłoni, modląc się, by ustąpiła blokada pamięci.

- Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć. Może wtedy...

- A nie pamiętasz nic?

- Jakieś obrazy. Coś tam. Nic spójnego. Majaki jak z koszmaru. Być może to tylko halucynacje. Zapewne powinienem się po prostu zrelaksować i poczekać, aż się obudzę.

- Pomyśl o tym jak o wyzwaniu. Gdybyś grał teraz w grę w RPG, w jaki sposób ocaliłbyś swego bohatera?

- Gdyby to była gra wojenna, wykorzystałbym słabo-

ści wroga. A więc woda, po pierwsze...

- I światło - wypaliła Holly. - Trolle nie znoszą światła. Wypala im źrenice.

Bestie zaczęły się już gramolić na prowizoryczny most, ostrożnie stawiając każdy krok. Smród brudnego futra i stęchłych oddechów docierał już do wysepki.

- Światło - powtórzył Artemis. - Dlatego tak im się tutaj podoba. Nie ma go tu prawie wcale.

228

- Tak. Te świecące paski działają dzięki zasilaniu awaryjnemu, a światło sztucznego słońca zredukowano do minimum.

Artemis zerknął w górę. Holograficzne chmury płynęły po sztucznym niebie, a dokładnie w jego środku, nad sklepieniem świątyni, wisiało dramatycznie kryształowe słoń-

ce, pulsujące nikłym blaskiem.

W umyśle Artemisa zakwitł raptem pomysł.

- W najbliższym rogu świątyni stoi rusztowanie. Czy jeśli uda nam się po nim wspiąć i dostać do słońca, bę-

dziemy mogli podpiąć do niego baterie z kajdanek i uzyskać więcej światła?

Holly zmarszczyła brwi.

- Tak. Wydaje mi się, że tak. Ale w jaki sposób ma-my się przemknąć obok trolli?

Artemis podniósł wodoszczelne urządzenie, które wciąż odtwarzało nagranie Opal Kobi.

- Odwrócimy ich uwagę tym małym telewizorkiem.

Holly pomanipulowała trochę przy urządzeniu, aż odnalazła regulator jasności obrazu. Przeszawiła go na maksymalną jasność i wizerunek Opal rozplynął się w oślepiającej białości.

- Pośpiesz się - ponaglił Artemis, ciągnąc Holly za rękaw. Jeden troll znajdował się już w połowie mostu, a reszta ostrożnie posuwała się za nim. Był to chyba najbardziej włochaty korowód na świecie.

Holly otoczyła ramionami urządzenie.

- To chyba nie zadziała - powiedziała.

229

Artemis stanął za nią.

- Wiem, ale nie mamy innej możliwości.

- Okej. Jeśli nam się nie uda, wiedz, że przykro mi, że nie wszystko pamiętasz. W takich chwilach dobrze jest mieć przy sobie przyjaciela.

Chłopiec ścisnął ją za ramię.

- Jeśli uda nam się z tego wykaraskać, z pewnością zostaniemy przyjaciółmi. Połączy nas więź traumatycznych doświadczeń.

Wysepka cała się trzęsła w posadach. Czaszki pospada-

ły z kijów, na których były zatknięte, i potoczyły się do wody. Trolle pokonały już niemal w całości chybotały pomost, były tuż. Każda kropla wody, która padła na ich futro, wywoływała przerażony pisk. Zwierzęta, które pozostały na brzegu rzeki, uderzały pięściami w ziemię, z pysków ciekły im długie smugi śliny.

Holly odczekała do ostatniej chwili, aby osiągnąć efekt maksymalnego zaskoczenia. Ekran trzymała odwrócony w stronę kopca odpadków, żeby zbliżające się zwierzęta nie zorientowały się, co się święci.

- Holly? - odezwał się ponaglająco Artemis.

- Poczekaj - szepnęła Holly. - Jeszcze kilka sekund.

Pierwszy troll z szeregu postawił łapy na wyspie. Bez wątpienia był to przewodnik stada. Stał na tylnych łapach, prostując się na wysokość niemal trzech metrów, potrząsnął kudłatą głową i zawył w stronę sztucznego nieba. Potem chyba zauważył, że Holly i Artemis nie są sami-cami trolli, i w jego małym mózgu wybuchła ślepa furia.

Z kłów popłynęły strumyczki jadu, odwrócił przednie łapy, 230

by zadać decydujący cios szponami. Trolle stosowały zazwyczaj atak pod żebra ofiary; w ten sposób mogły szybko wyszarpnąć serce i nie pozwolić, by mięso stwardniało.

Coraz więcej trolli tłoczyło się na małej wysepce, wyglądając niespokojnie zwierzyny, ewentualnie partner-ki. Holly postanowiła działać. Odwróciła urządzenie, celując rozświetlonym ekranem ku najbliższemu trollowi.

Zwierzę targnęło się w tył, atakując znieawidzone światło pazurami, jakby to był rzeczywisty wróg. Blask uderzył w źrenice trolla, zwierzę zatoczyło się wstecz i wpadło na swych towarzyszy. Kilku z nich wleciało do rzeki. Panika rozprzestrzeniała się w gromadzie niczym wirus. Stworzenia zareagowały na wodę jak na kwas i w te pędy pomknę-

ły do brzegu. Nie był to zorganizowany odwrót. Wszystko, co spotkały na swej drodze, było traktowane szponami lub gryzione. Rozbryzgi jadu i krwi fruwały w powietrzu, woda kipiała jak wrzątek. Skowoty żądnych krwi trolli zmieniły się we wrzaski bólu i przerażenia.

„To się nie dzieje naprawdę - pomyślał osłupiały Artemis Fowl. - Mam halucynacje. Zapewne zapadłem w śpiączkę po upadku z trzeciego piętra”. Umysł chłopca wciąż starał się dostarczać rozmaitych wyjaśnień tego typu, więc wspomnienia musiały pozostać pod kluczem.

- Chwyć mnie za pasek - rozkazała Holly, ruszając w stronę mostu.

Artemis usłuchał bez zastanowienia. Nie było czasu, żeby kłócić się o to, kto dowodzi. Jeśli istniała najmniejsza 231

choćby możliwość, że rozgrywające się właśnie wydarzenia są rzeczywiste, kapitan Nieduża posiadała niewątpliwie większe kwalifikacje, żeby poradzić sobie z tymi stworzeniami.

Holly trzymała w dłoniach nadajnik telewizyjny niczym działko laserowe, i krok po kroku szła mostem w stronę brzegu. Artemis starał się skupić na utrzymaniu równowagi, podłoże było bardzo niepewne. Przeszli z kamienia na kamień, chybocząc się niczym para początkujących linoskoczków. Holly obracała telekomunikator płynnymi łukami, rażąc trolle z każdego możliwego kąta.

„To na nic - myślał Artemis. - Jest ich zbyt wiele. Nie uda nam się”.

Ale poddanie się teraz nie wróżyło świetlanej przyszło-

ści. Szli więc dalej, posuwając się dwa kroki do przodu i jeden do tyłu.

Potężny samiec przypadł do ziemi, robiąc unik przed oślepiającym światłem. Wyciągnął szponiastą łapę i uderzył w wodoszczelną obudowę urządzenia. Holly zatoczyła się wstecz, pozbawiając Artemisa równowagi. Zachwiali się oboje i wpadli do rzeki, lądując z głośnym hukiem w płytkiej wodzie.

Artemis poczuł, że całe powietrze umknęło mu z płuc i instynktownie wziął oddech. Na nieszczęście tym, czym próbował odetchnąć, była w większości woda. Holly trzymała ramiona wysoko w górze, dzięki czemu uszkodzona obudowa urządzenia pozostała w bezpiecznej odległości od wody. Ale kilku kropelkom udało się przedostać przez 232

pęknięcie w obudowie i po ekranie zatańczyły iskierki.

Holly wstała z trudem, kierując jednocześnie ekran w stronę szarżującego samca. Artemis wstał także, kaszląc wodą z płuc.

- Wyświetlacz jest uszkodzony - wysapała Holly. -

Nie wiem, ile zostało nam czasu.

Artemis odgarnął z oczu mokre włosy.

- Idź - wyrzucił z siebie. - Idź.

Zaczęli brnąć przez rzekę, omijając łukiem znekane wilgocią trolle. Holly wypatrzyła chwilowo bezpieczne miejsce na brzegu i wspięła się na nie. Chociaż z ulgą postawiła stopy na suchym lądzie, wiedziała, że tym samym woda nie jest już ich sprzymierzeńcem. Teraz naprawdę znajdowali się na terytorium trolli.

Pozostałe zwierzęta okrążyły ich, zachowując bezpieczny dystans. Jeśli któreś odważyło się podejść bliżej, Holly odwracała ekran w jego kierunku, i bestia odskakiwała jak użądlna.

Artemis walczył z zimnem, zmęczeniem i szokiem, którego doznał jego organizm. Kostka w miejscu zranionym przez trolla piekła jak oparzona.

- Musimy pójść prosto do świątyni - powiedział, szcękając zębami - i wspiąć się na rusztowanie.

- Okej. Trzymaj się.

Holly wzięła kilka głębokich oddechów, aby odzyskać siły. Ramiona bolały ją od nieustannego trzymania urzą-

dzenia w górze, lecz nie pozwoliła, aby zmęczenie - czy strach - odbiły się na jej twarzy. Patrzyła trollom prosto 233

w wielkie czerwone ślepia, pokazując w ten sposób, że mają do czynienia z groźnym przeciwnikiem.

- Gotów?

- Gotów - odpowiedział Artemis, choć o gotowości w jego wypadku nie mogło być mowy.

Holly wzięła ostatni, głęboki oddech i zaatakowała.

Trolle nie spodziewały się takiej taktyki. Bo w końcu jakie stworzenie na ziemi chciałoby zaatakować trolla? Szeregi potworów pękły pod naporem białego światła, a ich dez-orientacja trwała wystarczająco długo, by Artemis i Holly zdążyli się wyslizgnąć przez lukę.

Pobiegli w górę wzniesienia, kierując się w stronę świątyni. Holly nie zawracała sobie głowy omijaniem trolli i co sił w nogach biegła prosto na nie. Smagane oślepiającymi na parę chwil promieniami światła, wpadały w coraz większy popłoch. Holly i Artemisa goniły wściekłe wrzaski, gdyż oszołomione zwierzęta przypadkowo raniły się nawzajem ostrymi jak brzytwy szponami. Niektóre bardziej rozgarnięte trolle wykorzystały ten moment, aby wyrównać dawne porachunki. Wywołało to reakcję łańcu-chową i wkrótce cała okolica zamieniła się w arenę walki wściekłych bestii.

Artemis sapał i dyszał ciężko, biegnąc wąwozem pod górę, uczepiony palcami paska Holly. Kapitan Nieduża oddychała miarowo, krótkimi, rytmicznymi haustami powietrza.

„Brak mi sprawności fizycznej - pomyślał Artemis. - I może mnie to drogo kosztować. W przyszłości powinienem trenować nie tylko mózg. Jeśli czeka mnie jakaś przyszłość”.

234

Gmach świątyni górował nad nimi; była to co prawda mniejsza replika, ale i tak sięgała piętnastu metrów. Dwanaście identycznych kolumn zniknęło w holograficznych chmurach, wspierając trójkątny dach ozdobiony kunsz-townymi gipsowymi płaskorzeźbami. Niższe partie kolumn pokryte były siatką szram pozostawionych przez tysiące szponów - młodsze trolle wyżywały się w tym miejscu, nie narażając na obrażenia. Od kolumn dzieliło teraz Artemisa i Holly nieco ponad dwadzieścia stóp.

Szczęśliwie na rusztowaniu nie było żadnych trolli.

Zwierzęta pochłonięte były co do jednego zabijaniem się nawzajem lub próbami uniknięcia śmierci z rąk towarzyszy, ale przypomnienie sobie, że na ich teren wtargnęli intruzi, było tylko kwestią sekund. Świeże mięso. Niewiele spośród bestii kosztowało dotąd elfiego mięsa, ale ci nieliczni szczęśliwcy chętnie przypomnieliby sobie jego smak. Tylko jeden troll z całej watahy znał smak mięsa ludzkiego i wspomnienie tej niebiańskiej słodyczy wciąż nawiedzało nocami tępy mózg zwierzaka.

Był to ten troll, który właśnie wykaraskał się z rzeki, niosąc na futrze kilka dodatkowych kilogramów wilgoci.

Szturchnął niedbale młodego osobnika, który podszedł za blisko, i zaczął węszyć. Wyczuwał nowy zapach. Zapach, który zapamiętał z krótkiego pobytu w świetle księżyca.

Woń człowieka. Samo wspomnienie sprawiło, że gruczoły w paszczy trolla zaczęły produkować ślinę. Zwierzę puści-

ło się pędem w stronę świątyni.

235

Nie minęło wiele czasu, a cała gromada chciwych krwi bestii biegła w kierunku rusztowania.

- Znowu jesteśmy w menu - zauważyła Holly, kiedy dotarli na miejsce.

Artemis wypuścił z rąk pasek elficzki. Odpowiedział-

by, gdyby jego płuca tak rozpaczliwie nie domagały się tlenu. Wciągał powietrze rozpaczliwymi haustami, oparł-

szy pięści na kolanach.

Holly chwyciła go za łokieć.

- Nie mamy na to czasu, Artemisie. Wspinamy się!

- Ty pierwsza - zdołał wydyszeć Artemis. Przypomniwał sobie, że ojciec nigdy by nie uciekł, pozostawiając damę na pastwę losu.

- Nie mamy czasu na dyskusje - powiedziała Holly, ciągnąc go za łokieć. - Wspinaj się w stronę słońca. Spró-

buję wywalczyć nam światłem kilka dodatkowych sekund.

Ruszaj!

Artemis spojrział Holly w oczy, aby powiedzieć dziękuję. Były okrągłe, orzechowe, i... znajome? Wspomnienia szarpały się w więzach, tłukąc o ściany swej celi.

- Holly? - odezwał się.

Holly odwróciła go za ramiona w stronę rur i chwila przepadła.

- Do góry. Marnujesz czas.

Artemis zmusił obolałe kończyny do wysiłku i spróbował skoordynować ruchy. Krok, chwyt, podciągnięcie.

Powinno się udać. Wchodził już kiedyś po drabinie. Przynajmniej raz na pewno.

236

Na rurach rusztowania były gumowe uchwyty, przeznaczone specjalnie dla wspinających się, rozmieszczone w regularnych, czterdziestocentymetrowych odstępach, czyli w zasięgu przeciętnych rozmiarów wróżki. Przy okazji, odstępy były również odpowiednie dla czternastoletniego

człowieka. Artemis rozpoczął wspinaczkę, czując napięcie w ramionach już po sześciu uchwytach. Zbyt wcześnie na zmęczenie. Miał jeszcze przed sobą mnóstwo drogi.

- Dalej, pani kapitan - sapnął przez ramię. - Do góry!

- Jeszcze nie teraz - odrzekła Holly. Przywarła plecami do rusztowania i usiłowała wypatrzeć jakiś schemat zachowań w gromadzie szarżujących trolli.

W Komendzie Policji przeprowadzano obowiązkowe kursy działania w przypadku ataku trolla. Jednakże za typową uznawano sytuację konfrontacji jeden na jednego.

Ku wiecznemu zakłopotaniu Holly, wykładowca uparcie korzystał z materiału wideo, na którym utrwalono jej wła-sną potyczkę z trollem we Włoszech sprzed dwóch lat.

„Proszę państwa - mówił wykładowca, unieruchamiając obraz Holly na wielkim monitorze i uderzając weń kilkakrotnie teleskopowym wskaźnikiem. - Oto klasyczny przykład, jak tego robić nie należy”.

Bieżący scenariusz był wszelako zupełnie odmienny.

Holly nie otrzymała nigdy żadnych wskazówek, co robić, będąc zaatakowanym przez całe stado trolli na ich terytorium. Nikt bowiem, twierdził instruktor, nie byłby na 237

tyle głupi, żeby znaleźć się w podobnej sytuacji.

Dwie zwarte grupy zwierząt szły teraz prosto na nią.

Jedna nadchodziła znad rzeki, prowadzona przez istnego potwora, którego kły w nader nieapetyczny sposób ocieka-

ły jadem. Holly wiedziała, że jeśli choć jedna kropla tej substancji znajdzie się pod jej skórą, natychmiast zapadnie w stan szczęśliwego ośpienia. Gdyby zaś jakimś sposobem udało jej się ujść szponom trolli, działająca powoli trucizna w końcu ją sparaliżuje.

Druga grupa zbliżała się od zachodniej krawędzi. Skła-dały się na nią głównie młode osobniki oraz maruderzy. W

centrum świątyni przebywało kilka samic, które skorzysta-

ły z nieuwagi samców i z zapałem objadały porzuconą zwierzynę.

Holly zredukowała jasność ekranu. Trzeba będzie starannie wybrać odpowiednią chwilę, żeby spotęgować efekt do maksimum. Będzie to jej ostatnia szansa, gdyż później, podczas wspinaczki, nie będzie mogła wycelować.

Trolle wbiegły na schody świątyni, ścigając się o pierwsze miejsce. Gromady zbliżały się z dwóch stron, celem obu była Holly. Przewodnicy odsądziła się nieco od swych grup, pragnąc za wszelką

cenę zaciśnięć szczęki na intruzie przed innymi. Biegli z uniesionymi wargami, odsłaniając rzędy ostrych jak brzytwa zębów, z oczyma utkwionymi nieruchomo w celu. Ten moment Holly wybrała na działanie. Przetawiła jasność ekranu na maksimum i poraziła źrenice dwóch bestii, gdy te znajdowały 238

się akurat w powietrzu. Bestie z rozdzierającym rykiem zaczęły machać łapami w stronę znieawidzonego światła, upadając na ziemię w bezładnej kotłowaniu rąk, szponów, zębów i kłów. Oba trolle uznały, że atak nadszedł ze strony drugiej grupy, i w ciągu kilku sekund podstawa rusztowania zamieniła się w arenę pierwotnej furii.

Holly w pełni skorzystała z zamieszania, pokonując zwinnie trzy pierwsze szczeble metalowej konstrukcji.

Telekomunikator przypięła sobie do pasa w ten sposób, by mierzył ekranem w dół niczym działko rufowe. Znikoma to była ochrona, ale lepsza niż nic.

W kilka chwil zrównała się z Artemisem. Chłopak oddychał spazmatycznie i wspinał się coraz wolniej. Z jego zranionej kostki sączyła się krew. Holly mogła go bez trudu wyminąć, ale zamiast tego uchwyciła się ramieniem rusztowania i wychyliła, by się przekonać, jak sobie radzą trolle. Radziły sobie świetnie. Jeden stosunkowo niewielki osobnik zaczął się już wspinać, zwinnością dorównując goryłowi górskiemu. Nie w pełni rozwinięte kły ledwo wystawały mu z paszczy, ale i one były ostre i spływały jadem wzdłuż ząbkowanych krawędzi. Holly odwróciła ekran w jego kierunku i zwierzę puściło rusztowanie, zasłaniając łapami oślepione oczy. Elf miałby dość rozsądku, by użyć jednej ręki do osłonięcia oczu, drugiej zaś użyłby do tego, by utrzymać się na rusztowaniu, ale iloraz inteligencji trolla nie przewyższa inteligencji dżdżownicy, a w działaniu zwierzę zdaje się całkowicie na instynkt.

239

Mały troll poleciał z powrotem na ziemię, lądując na włochatym, kotłującym się dywanie pod spodem. W jednej chwili został wciągnięty do bijatyki. Holly podjęła wspinaczkę, czując, że komunikator dotkliwie obija jej plecy. Artemis parł w górę boleśnie powoli, zrównała się z nim w ciągu niespełna minuty.

- Wszystko w porządku?

Artemis z zaciśniętymi ustami pokiwał głową. Oczy miał szeroko otwarte, był na skraju paniki. Holly widziała już kiedyś takie spojrzenie. W ten sposób patrzyli funkcjonariusze SKR, którzy doznali szoku podczas walki. Trzeba jak najszybciej odstawić Błotniaczka w bezpieczne miejsce, gdyż inaczej gotów stracić rozum.

- No dalej, Artemisie. Jeszcze tylko kilka kroków.

Uda nam się.

Artemis na pięć sekund zamknął powieki i głęboko oddychał przez nos. Kiedy je otworzył, jego oczy



na powrót załśniły determinacją.

- Zgadza się, kapitanie. Jestem gotów.

Artemis wyciągnął rękę, chwycił szczebel powyżej i podciągnął się kolejne czterdzieści centymetrów. Czterdzieści centymetrów bliżej do ocalenia. Holly podążyła za nim, ponagłając go niczym sierżant na musztrze.

Dotarcie do dachu zabrało im kolejną minutę. W tym czasie trolle zdążyły już sobie przypomnieć, że kogoś ścigają, i zaczęły się wspinać po rusztowaniu. Holly wciągnę-

ła Artemisa na spadzisty dach i oboje, opadłszy na 240

czworaki, ruszyli w stronę jego najwyższego punktu. Gips był śnieżnobiały, bez najmniejszych śladów; w przyćmio-nym świetle zdawało im się, że brną przez pokryte śnie-giem pole.

Raptem Artemis się zatrzymał. Widok obudził w nim jakieś mgliste wspomnienie.

- Śnieg - odezwał się niepewnie. - Coś mi się przypomina...

Holly chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą.

- Tak, Artemisie. Arktyka, pamiętasz? Później, kiedy już żadne trolle nie będą chciały nas zjeść, porozmawiamy o tym, jak długo będziesz chciał.

Artemis gwałtownie powrócił do rzeczywistości.

- Doskonale. Dobra taktyka.

Dach świątyni wznosił się pod kątem czterdziestu pię-

ciu stopni. W najwyższym punkcie znajdowała się kryszta-

łowa kula, imitująca słońce. Dwójka zbiegów czołgała się w jej stronę na tyle szybko, na ile pozwalało Artemisowi wyczerpanie. Czerwony strumyk krwi znaczył ich drogę na białym gipsie. Rusztowanie trzęsło się i uderzało o krawędź dachu. Trolle były coraz bliżej.

Holly dotarła do spojenia dachu, gdzie znajdowało się sztuczne słońce. Przeciągnęła dłonią po gładkiej powierzchni.

- D'arvit! - zakłęła. - Nie mogę znaleźć portu zasilania. Musi być w innym miejscu.

Artemis przyczołgał się z drugiej strony. Nie cierpiał

raczej na lęk wysokości, ale i tak starał się nie patrzeć w dół. Nie trzeba mieć lęku wysokości, żeby się obawiać 241

upadku z wysokości piętnastu metrów prosto w środek stada rozwścieczonych trolli. Wyciągnął ramię i zaczął

macać glob palcami. Palcem wskazującym wyczuł niewielkie wgłębienie.

- Coś znalazłem - poinformował.

Holly pospieszyła do niego i przyjrzała się otworowi.

- Świetnie - powiedziała. - Port zasilania. Te baterie są uniwersalne, powinny pasować.

Sięgnęła do kieszeni po kajdanki, wyjęła je i otworzyła pokrywy. Baterie były nie większe od kart kredytowych i świeciły wzdłuż krawędzi jasnym błękitnym światłem.

Holly wyprostowała się na ostrym jak brzytwa szczycie dachu, balansując na palcach. Trolle pokonały właśnie krawędź i ruszyły na nich niczym hordy piekielne. Biały dach pokrył się czernią i brązem ich futer. Wrzaski i smród zwiastowały ich nieuniknione i szybkie dotarcie do celu.

Holly odczekała, aż wszystkie zwierzęta znajdą się na dachu, i wsunęła baterie w kieszeń zasilania sztucznego słońca. Kula wydała buczący dźwięk, zadrżała i rozbłysła na chwilę oślepiającą ścianą światła. Przez jedną sekundę cała replika świątyni z przyległym terenem zalśniła w nieskazitelnej bieli, a potem z przeciągłym piskiem znowu pociemniała.

Trolle potoczyły się z dachu jak kule bilardowe. Niektóre zsunęły się z krawędzi, ale większość stłoczyła się przy niej, popiskując i trąc pyski.

242

Artemis zamknął oczy, aby szybciej przystosowały się do widzenia w półmroku.

- Miałem nadzieję, że baterie dostarczą energii słońcu na nieco dłużej. Chyba podjęliśmy ogromny wysiłek na marne.

Holly wyciągnęła rozładowane baterie i odrzuciła je na bok.

- Pewnie takie słońce potrzebuje sporo pary.

Artemis zamrugał, po czym usiadł wygodnie na dachu i położył dłonie na kolanach.

- Nieważne. Zyskaliśmy trochę czasu. Niektóre zwierzęta nocne potrzebują piętnastu minut, żeby przyjść do siebie po konfrontacji z jasnym światłem.

Holly usiadła obok.

- Fascynujące. Nagle zrobiłeś się taki spokojny.

- Nie miałem wyboru - odrzekł Artemis. - Przeanalizowałem sytuację i doszedłem do wniosku, że nie

mamy żadnej możliwości ucieczki. Utknęliśmy na dachu tej nie-dorzecznej repliki świątyni Artemis, otoczeni przez cza-sowo oślepięne trolle. Kiedy przyjdą do siebie, zjawią się tu w jednej chwili i rozedrą nas na strzępy. Pozostał nam zapewne kwadrans życia i nie mam zamiaru spędzić go w histerii ku uciesze Opal Koboï.

Holly podniosła wzrok, szukając zamontowanych pod kopułą kamer. Przynajmniej tuzin wiele mówiących czerwonych światełek mrugało w ciemności. Opal będzie mogła napawać się widokiem swego dzieła pod każdym moż-

liwym kątem.

243

Artemis miał rację. Opal nie posiadałaby się z radości, gdyby pękli przed obiektywami kamer. Zapewne odtwarzałaby sobie ten fragment dla rozrywki w chwilach stresu, kiedy już będzie królową świata.

Holly pchnęła zużyte baterie, które potoczyły się i spadły z krawędzi dachu. Wszystko wskazywało na to, że to już. Elficzka czuła raczej frustrację niż lęk. Ostatnim poleceniem, które otrzymała od Juliusza, było uratowanie Artemisa, i nawet tego nie udało jej się wypełnić.

- Przykro mi, że nie pamiętasz Juliusza - powiedziała.

- Wiele się kłóciliście, ale on cię bardzo podziwiał. Największą sympatią darzył jednak Butlera. Nadawali na tych samych falach. Dwaj starzy żołnierze.

Trolle na dachu poniżej zaczęły przychodzić do siebie, próbując zapalczywym mruganiem wytrząsać gwiazdy spod powiek.

Artemis strzepnął ze spodni odrobinę pyłu.

- Pamiętam wszystko, Holly. Naprawdę. A ciebie przede wszystkim. Dobrze, że jesteś tu ze mną.

Holly była zaskoczona, doznała niemal szoku. Sprawiał

to bardziej ton głosu Artemisa, niż to, co powiedział, choć treść była równie zaskakująca. Nigdy jeszcze nie słyszała takiego ciepła i szczerości w jego głosie. Okazywanie emocji sprawiało chłopcu zazwyczaj wielkie trudności i na ogół w takich chwilach bardzo się plątał. Było to zupełnie do niego niepodobne.

- Bardzo mi miło to słyszeć, Artemisie – odezwała się po chwili wahania. - Ale nie musisz udawać z mojego powodu.

244

Artemis nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

- Skąd wiedziałaś? Wydawało mi się, że udało mi się doskonale pokazać te uczucia.

Holly spojrzała w dół, na trolle. Posuwały się ostrożnie w górę, trzymając łby nisko dla ochrony przed ewentualnym rozbłyskiem.

- Nikt nie jest tak doskonały. Stąd wiedziałam.

Trolle zbliżały się coraz szybciej, wyciągając włochate ramiona dla spotęgowania impetu. Wróciła im pewność siebie, a wraz z nią chęć wycia. Skowyty wznosiły się aż po sklepienie, odbijając się echem od metalowej struktury.

Artemis przyciągnął kolana pod brodę. Koniec. Wszystko skończone. Niepojęte, że umrze w taki sposób, teraz, kiedy tak wiele jeszcze zostało do zrobienia.

Wycie nie pozwalało mu się skoncentrować. Podobnie jak zapach.

Holly ścisnęła go za ramię.

- Zamknij oczy, Artemisie. Nic nie poczujesz.

Ale Artemis nie zamknął oczu. Zamiast tego podniósł

wzrok. Utkwił spojrzenie w miejscu, w którym jego rodzice czekali na wieści od niego. Rodzice, którym nigdy nie dał okazji, by byli naprawdę z niego dumni.

Otworzył usta, żeby wyszeptać pożegnanie, lecz to, co zobaczył, sprawiło, że słowa uwięzły mu w krtani.

- Oto dowód - powiedział. - Oto dowód, że wszystko to halucynacje.

Holly spojrzała w górę. Fragment kopuły zniknął, a z otworu w sklepieniu opadała lina. Na jej krańcu kołysało 245

się coś, co wyglądało jak goły, nadzwyczaj włochaty zadek.

- Nie do wiary! - wykrzyknęła Holly, skacząc na no-gi. - Nie śpieszyło się wam!

Czyżby elficzka rozmawiała z tym tyłkiem? Co bardziej zdumiewające, tyłek chyba jej odpowiedział.

- Ja też cię kocham, Holly. A teraz zamknijcie wszystko, co macie otwarte, bo zaraz sprawię, że zmysły trolli ulegną przeciążeniu.

Przez jedną chwilę twarz Holly nie zmieniła wyrazu, a potem świadomość tego, co się za chwilę stanie, rozszerzyła jej oczy i wysłała krew z policzków. Chwyciła Artemisa za ramię.

- Leż płasko, z rękoma na uszach. Zamknij oczy i usta. I nie oddychaj, choćby nie wiem co.

Artemis położył się na dachu.

- Powiedz mi tylko, że ten tyłek należy do jakiejś istoty, która też tam jest.

- Należy - potwierdziła Holly. - Ale to tyłka powinni-

śmy się obawiać.

Trolle dzieliło od nich teraz kilka metrów. Były wystarczająco blisko, żeby mogli zobaczyć ich czerwone oczy i błoto, które latami zlepiało ich kudły w strąki.

Powyżej Mierzwa Grzebaczek (bo to był on, rzecz jasna), wypuścił z zadka mały bąbel gazu. Akurat tyle, by odrzut wprawił uczeponego liny krasnala w ruch obrotowy. Ruch ten miał sprawić, by każda cząsteczka gazu, którym za chwilę wystrzeli, została posłana w odpowiednim kierunku. Krasnal zrobił trzy pełne obroty, natężył się 246

i wyrzucił z siebie cały nagromadzony w żołądku gaz.

Trolle to zwierzęta z natury żyjące w ciemnych tune-lach, wyposażone w zmysł węchu równie czuły, jak wzrok w mroku. Ślepy troll może żyć latami, poszukując pożywienia i wody samym węchem.

Potężny wiatrowy strzał Mierzwy wbił trollom prosto do mózgu milion sprzecznych sygnałów węchowych.

Smród był nieznośny, podmuch zaś mocny na tyle, by odrzucić kudły bestii do tyłu. Lecz to mieszanina woni zawarta w krasnalowych gazach - między innymi zapach gliny, roślin, owadziego życia oraz wszystkiego, co Mierzwa zjadł w ciągu ostatnich kilku dni - wprawiła układ nerwowy wszystkich bestii w stan zapaści. Zwierzę-

ta padały na kolana, okładając swe biedne, obolałe łby szponiastymi łapami. Jeden znajdował się już tak blisko Holly i Artemisa, że jego włochate ramię spoczęło bezwładnie na plecach kapitan SKR.

Holly odskoczyła.

- Idziemy - powiedziała, pomagając Artemisowi wstać. - Gazy nie powstrzymają trolli dłużej niż światło.

Wiszący na linie Mierzwa obracał się coraz wolniej.

- Dziękuję - powiedział z aktorskim ukłonem, która to ewolucja nie należy do najłatwiejszych, kiedy się wisi na linie. Krasnal wlaź na górę, chwytając się palcami rąk i nóg, po czym opuścił linę Artemisowi i Holly.

- Do góry! - krzyknęła. - Już.

Artemis sceptycznie przyjrzał się linie.

- Ten dziwny stwór jest z pewnością zbyt mały, żeby nas wciągnąć na górę.

Holly włożyła stopę w pętlę na końcu liny.

- To prawda, ale nie jest sam.

Artemis spojrzał zmrużonymi oczyma w otwór w kopule. Pojawiła się w nim jeszcze jedna postać. Rysy twarzy kryły się w głębokim cieniu, lecz sylwetki nie dało się pomylić z nikim innym.

- Butler! - zawołał chłopiec z uśmiechem. - Jesteś!

Raptem, w jednej chwili, Artemis poczuł się zupełnie bezpieczny.

- Pośpiesz się, Artemisie - ponaglił ochroniarz. - Nie mamy sekundy do stracenia.

Artemis włożył stopę w pętlę obok stopy Holly, a Butler szybko wciągnął ich oboje na górę.

- A więc - zaczęła Holly. Jej twarz dzieliło od twarzy chłopca zaledwie kilka centymetrów. - Przetrwaliśmy. Czy już jesteśmy przyjaciółmi? Związały nas traumatyczne przeżycia?

Artemis zmarszczył brwi. Przyjaciółmi? Czy w jego życiu było miejsce dla przyjaciela? Ale z drugiej strony może nie miał w tej kwestii wyboru.

- Tak - odpowiedział. - Choć obawiam się, że mam niewielkie doświadczenia na polu przyjaźni, może będę musiał o tym trochę poczytać.

Holly przewróciła oczyma.

- Przyjaźń to nie teoria naukowa, Błotniaczk. Zapomnij na chwilę o swoim potężnym mózgu. Po prostu rób to, co czujesz.

Artemis nie mógł uwierzyć w to, co miał zaraz powiedzieć. Zapewne stres związany z otarciem się o śmierć sprawił, że nie myślał logicznie.

- Wydaje mi się, że nie powinienem brać od przyjaciela zapłaty za pomoc. Zatrzymaj swoje wróżkowe złoto.

Musimy powstrzymać Opal Koboï.

Holly uśmiechnęła się naprawdę ciepło po raz pierwszy od śmierci komendanta, choć w tym uśmiechu błysnęła też stal.

- Kiedy nasza czwórka ruszy za nią w pogoń, Koboï nie będzie miała żadnych szans.



# WRESZCIE INTELIGENTNA

## ROZMOWA

Mierzwa zostawił skradziony prom SKR przed bramą parku rozrywki. Butler bez trudu unieruchomił zainstalowane w parku kamery oraz usunął na wpół przegniły fragment dachu kopuły, żeby umożliwić ucieczkę.

Wkrótce wszyscy znaleźli się na pokładzie promu. Holly włączyła akumulatory i uruchomiła test systemów.

- Coś ty, na bogów, wyprawiał z tym promem, Mierzwa? - spytała, zdumiona odczytami na ekranie. - Komputer mówi, że całą drogę leciałeś na pierwszym biegu.

- To coś ma biegi? - zdziwił się krasnal. - Myślałem, że ta krypa ma automatyczną skrzynię.

- Niektórzy jeźdźcy wolą ręczną. Staromodne, wiem, ale lepiej się panuje nad pojazdem na zakrętach. I jeszcze 250

jedno. Wcale nie musiałeś odstawiać tej sztuczki z gazami na linie. W szafce z uzbrojeniem znalazłbyś mnóstwo granatów ogłuszających.

- To szafki też tu są? Biegi i szafki. Kto by pomyślał.

Butler przeprowadzał właśnie szybkie oględziny stanu zdrowia Artemisa.

- Chyba nic ci nie jest - powiedział, kładąc potężną dłoń na piersi chłopaka. - Holly naprawiła zębra, jak wi-dzę.

Artemis był odrobinę skołowany. Udało mu się wymknąć bezpośredniemu zagrożeniu i teraz wydarzenia mijającego dnia zaczynały dawać o sobie znać. Bo w koń-

cu ile razy jedna osoba może wymknąć się śmierci w ciągu dwudziestu czterech godzin? Bez wątplenia kapitał szczę-

ścia był na wyczerpaniu.

- Powiedz mi, Butler - szepnął, żeby nikt oprócz słu-

żącego go nie usłyszał. - Wszystko to prawda? A może halucynacje? - Nim jeszcze słowa opuściły jego usta, Artemis zdał sobie sprawę, że zadaje bezsensowne pytanie.

Jeśli wszystko wokół było halucynacją, jego ochroniarz też.

- Oddałem złoto, Butler - ciągnął Artemis, wciąż nie mogąc pogodzić się ze swym gestem. - Ja. Oddałem złoto.



Butler uśmiechnął się, o wiele bardziej jak przyjaciel niż ochroniarz.

- Mnie to nie dziwi ani odrobinę. Przed wymazaniem pamięci stawałeś się całkiem bezinteresowny.

Artemis zmarszczył brwi.

251

- No tak. Gdybyś był halucynacją, powiedziałbyś właśnie coś takiego.

Mierzwa, który pilnie podsłuchiwał rozmowę, nie mógł

się powstrzymać od komentarza.

- A powąchałeś pocisk, którym uraczyłem trolle? To też jesteś w stanie uznać za halucynację, Błotniaczku?

Holly uruchomiła silniki.

- Trzymajcie się tam z tyłu - zawołała przez ramię. -

Czas ruszać. - Czujniki wykryły kilka promów przeczesujących pobliskie szyby. Władze są na naszym tropie. Chcę nas zabrać w jakieś miejsce, którego nie ma na oficjalnych mapach.

Pchnęła przepustnicę, łagodnie unosząc prom z ziemi.

Gdyby pojazdu nie wyposażono w iluminatory, pasażerowie nie zorientowaliby się nawet, że wystartowali.

Butler szturchnął Mierzwę łokciem.

- Widziałeś? To się nazywa start. Mam nadzieję, żeś się czegoś nauczył.

Krasnal obraził się nie na żarty.

- Co jeszcze muszę zrobić, żeby uzyskać od was odrobinę należnego szacunku? Wszyscy żyjecie tylko dzięki mnie, a jedyne, co słyszę, to drwiny.

Butler roześmiał się.

- Dobrze już, mały przyjacielu. Proszę o wybaczenie.

Zawdzięczamy ci życie, a ja nigdy tego nie zapominam.

Artemis pilnie przysłuchiwał się wymianie zdań.

252

- Nasuwa mi się wniosek, że wszystko pamiętasz, Butler. Więc jeśli na chwilę przypuściłbym, że ta sytuacja jest prawdziwa, musiałbym też przyjąć, że twoja pamięć zosta-

ła w jakiś sposób pobudzona. Czyli wychodziłoby na to, że zostawiłem dla nas jakąś pamiątkę.

Butler wyjął z kieszeni dysk optyczny.

- Och tak, Artemisie. Na tym dysku była dla mnie wiadomość. Dla siebie też przygotowałeś.

Artemis wziął dysk.

- Nareszcie - powiedział. - Jakaś inteligentna rozmowa.

Artemis natrafił na tyłach promu na małą łazienkę.

Toalety można było używać tylko w sytuacjach kryzysowych, muszlę wykonano ze specjalnego, porowatego tworzywa, które - jak zapewnił go Mierzwa - rozłoży wszelkie zanieczyszczenia, jakie dostaną się do wnętrza. Artemis postanowił przetestować filtr przy innej okazji i usiadł na małej ławeczce pod iluminatorem.

Na ścianie wisiał monitor plazmowy, który zawieszono w kabinie zapewne w celach rekreacyjno-rozrywkowych.

Wystarczy, że wsunie dysk komputerowy do napędu optycznego pod ekranem, i wszystkie wspomnienia ze świata wrózek powrócą do niego. Zupełnie nowy świat.

Dawny świat.

Artemis obracał dysk w dwóch palcach. Psychologicznie rzecz ujmując, jeśli zdecydował się obejrzeć jego zawartość, jakaś część psychiki musiała uznać sytuację za 253

rzeczywistą. A więc uruchomienie dysku groziło spotęgowaniem ewentualnego epizodu psychotycznego. Po-wstrzymanie się zaś mogło doprowadzić do tego, że ziemia pogrąży się w wojnie międzygatunkowej, kiedy światy wrózek i ludzi zderzą się ze sobą.

„Jak postąpiłby ojciec?” - zapytał się w duchu Artemis.

I w odpowiedzi uruchomił dysk.

Na pulpicie pojawiły się dwie trójwymiarowe, animowane ikony w formacie gif - z pewnością dodane przez system operacyjny komputera wrózek. Obie opatrzone nazwami w języku angielskim oraz gnomickim. Artemis uruchomił swój plik, dotykając przejrzystej powłoki plazmowego ekranu. Ikona rozbłysła na pomarańczowo i po chwili okienko pliku rozciągnęło się do rozmiarów pulpi-tu. Artemis zobaczył siebie we Dworze Fowlów, przy biurku w gabinecie.

- Witam! - powiedział Artemis z ekranu. - Ależ się cieszysz, że mnie widzisz. Bez wątplenia będzie to twoja pierwsza inteligentna rozmowa od jakiegoś czasu.

Prawdziwy Artemis uśmiechnął się.

- Zgadza się - odpowiedział.

- Zamilkłem w tym momencie na moment - podjął

Artemis z ekranu - żeby dać ci czas na odpowiedź, czyli -

innymi słowy - żebyś uznał to, co się właśnie dzieje, za rozmowę. Więcej przerw nie będzie, gdyż nie mamy zbyt wiele czasu. Julia jest na dole i stara się odwrócić uwagę kapitan Holly Niedużej, ale elficzka bez wątpienia wkrótce zjawi się po mnie. Niedawno udaliśmy się do Chicago, 254

aby pomówić o interesach z panem Jonem Spiro, który coś mi ukradł. Ceną za pomoc wrózek w tej sprawie jest wymazanie pamięci. Wszystkie wspomnienia z ich świata zostaną bezpowrotnie usunięte, chyba że uda mi się zostawić wiadomość dla mojego przyszłego ja, która zainicjuje przypomnienie. Oto ta wiadomość. Materiał wideo, który obejrzysz za chwilę, zawiera szczegółowe informacje na temat moich związków z Ludem wrózek. Istnieje nadzieja, że informacje te uruchomią na powrót zablokowane połą-

czenia neuronów w twoim mózgu.

Artemis potarł czoło. Mgliste, tajemnicze obrazy rozbłyskiwały w jego umyśle. Najwyraźniej mózg gotów był

do odbudowania zatartych ścieżek. Jedyne, czego potrzebował, to odpowiedni bodziec.

- Na koniec zaś - powiedział Artemis z ekranu -

chciałbym ci, sobie, gorąco życzyć powodzenia. I witam z powrotem.

Następna godzina rozplynęła się w feerii obrazów. Pojawiały się na ekranie i zajmowały wolne miejsca w mó-

zgu Artemisa. Wszystkie, co do jednego, zaczynały czuć się wygodnie z chwilą, gdy Artemis je przyswoił.

„Oczywiście - myślał. - To wszystko wyjaśnia. Zamó-

wilem lustrzane soczewki, żeby zataić przed wrózkami prawdę o tym nagraniu. Zmieniłem datę na nakazie rewizji jaskini Mierzwy Grzebaczka, żeby miał możliwość zwró-

cić mi ten dysk. Butler wygląda starzej, gdyż jest starszy -

uzdrawiająca magia wrózek przywróciła mu życie w Londynie za cenę piętnastu lat”.

Nie wszystkie wspomnienia napawały dumą. „Porwa-

łem kapitan Niedużą. Więziłem Holly. Jak mogłem?” Artemis nie mógł już dłużej wszystkiemu zaprzeczać.

To była prawda. Wszystkie obrazy przewijające się przed jego oczyma były prawdziwe. Wróżki istnieją, a jego los przeplatał się z ich życiem od ponad dwóch lat. Miliony obrazów przepływały wzburzonym nurtem przez świadomość chłopca, odbudowując elektryczne ścieżki w mózgu.

Oszołamiająca, barwna i cudowna wizja mrowiła pod powiekami. Umysł mniej niezwykły niż Artemisa szybko poddałby się z wyczerpania, ale młody Irlandczyk był wniebowzięty.

„Wiem teraz wszystko - myślał. - Już raz wygrałem z Kobi i mogę to zrobić ponownie”. Jego determinację wzmacniał dojmujący smutek. „Komendant Bulwa nie żyje.

Odebrała go Ludowi”.

Artemis wiedział o tym wcześniej, jednakże dopiero teraz nabrało to dla niego sensu.

Zjawiała się jeszcze jedna myśl, bardziej natarczywa niż pozostałe. Zalała umysł chłopca niczym tsunami.

„Mam przyjaciół? - myślał Artemis Fowl Drugi. - Mam przyjaciół”.

Artemis, który wyłonił się z łazienki, był zupełnie inną osobą. Wciąż czuł się mocno nadwreżony, potłuczony i wyczerpany fizycznie. Emocjonalnie natomiast przygotowany na wszystko, co go czekało w przyszłości. Gdyby w tej chwili przyjrzał mu się specjalista od analizy mowy

ciała, spostrzegłby rozluźnione ramiona i otwarte dłonie i wysunął wniosek, że ma do czynienia (psychologicznie rzecz biorąc) z osobą o wiele bardziej otwartą i godną zaufania niż ta, która wchodziła do łazienki godzinę wcze-

śniej.

Prom stał w szybie awaryjnym, z dala od uczęszczanych tras, pasażerowie zaś siedzieli przy stole jadalnym.

Na blacie leżało kilka rozdartych opakowań po racjach żywieniowych SKR. Największa ich ilość piętrzyła się przed Mierzwą Grzebaczkiem.

Krasnal zerknął na Artemisa i natychmiast zauważył

zmianę.

- Widzę, że doprowadziłeś swoją głowę do porządku.

Najwyższa pora - mruknął, podnosząc się z krzesła. - Już od jakiegoś czasu bardzo potrzebuję do toalety.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Mierzwa - powiedział

Artemis, robiąc przejście krasnalowi.

Holly zamarła z torebką soku w połowie drogi do ust.

- Pamiętasz go?

Artemis uśmiechnął się.

- Oczywiście, że tak, Holly. Znamy się przecież od ponad dwóch lat.

Holly poderwała się z krzesła i poklepała Artemisa po ramionach.

- Wspaniale znowu cię widzieć, Artemisie. Jedni bo-gowie wiedzą, jak bardzo potrzeba nam teraz Artemisa Fowla.

- Cóż, Artemis Fowl jest na posterunku, pani kapitan.

- Pamiętasz wszystko?

257

- Wszystko. I przede wszystkim chciałbym przeprosić za tego „konsultanta”. To było bardzo nieładne. Wybacz, proszę.

- Jak to się stało, że sobie przypomniałeś? - zadumała się elficzka. - Tylko mi nie mów, że to wizyta w toalecie odświeżyła ci pamięć.

- Niezupełnie - Artemis podniósł dysk optyczny, któ-

ry trzymał w dłoni. - Dałem to Mierzwie. To mój dziennik wideo. Miał mi go zwrócić, kiedy zostanie zwolniony z więzienia.

Holly potrząsnęła głową.

- Niemożliwe. Mierzwę przeszukiwali profesjona-

łści. Dałeś mu tylko złoty medalion.

Artemis odwrócił dysk tak, by odbiło się w nim światło.

- No jasne - jęknęła Holly, uderzając się dłonią w czoło. - Przekazałeś mu dysk jako medalion. Bardzo sprytne.

Artemis wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, genialne. Na pierwszy rzut oka wydaje się po prostu sprytne, ale oryginalny pomysł

świadczy o czystym geniuszu.

Holly przechyliła głowę.

- Geniusz. Bez dwóch zdań. Możesz mi wierzyć lub nie, ale naprawdę brakowało mi tego chytrego uśmiešku.

Artemis zaczerpnął tchu.

- Przykro mi z powodu Juliusza. Wiem, że różnie wam się układało, ale ja zawsze czułem dla komendanta tylko szacunek i podziw.

258

Holly otarła oczy wierzchem dłoni. Nie odezwała się, kiwnęła tylko głową. Jeżeli Artemis potrzebował jeszcze powodu, by ścigać Opal Koboi, widok tak poruszonej elficzki wystarczył.

Butler pochłonął zawartość polowej racji żywnościowej jednym kęsem.

- Skoro się już poznaliśmy na nowo - powiedział -

przyszedł czas, by spróbować namierzyć Opal Koboi. Ten świat nie jest mały.

Artemis lekceważąco strzepnął palcami.

- Nie ma potrzeby. Wiem dokładnie, gdzie się znajduje nasza niedoszła morderczyni. Jak wszyscy megalomani, ma tendencję do ujawniania się.

Podszedł do plastikowej klawiatury na ścianie i wywo-

łał na ekran mapę Europy.

- Widzę, że wróciła ci też znajomość gnomickiego -

chlipnęła Holly.

- Oczywiście - odrzekł Artemis, powiększając fragment mapy. - Opal ujawniła odrobinę więcej ze swych planów, niż zamierzała. Wypsnęły się jej dwa słowa, choć wystarczyłoby i jedno. Powiedziała, że jako człowiek bę-

dzie się nazywać Belinda Zito. A jeśli chce się zaprowadzić ludzi do Ludu wrózek, czy istnieje lepszy sposób, niż zostać adoptowanym dzieckiem słynnego działacza na rzecz ochrony przyrody,

miliardera Giovanniego Zita?

Holly podeszła do ekranu.

- A gdzie możemy znaleźć pana Zito?

Artemis przebiegł palcami kilka klawiszy, powiększając Sycylię.

259

- Na jego słynnej na cały świat Farmie Ziemi. O tutaj, w prowincji Mesyna - powiedział.

Mierzwa wytknął głowę z toalety. Reszta krasnala pozostała miłosiernie ukryta za drzwiami.

- Dobrze słyszałem, że rozmawiacie o Błotniaku, co się zwie Zito?

Holly obejrzała się na krasnala, a zobaczywszy go, szybko odwróciła się z powrotem.

- Tak. I co z tego? Na bogów, zamknijże te drzwi!

Mierzwa pociągnął drzwi do siebie, pozostawiając tylko niewielką szparę.

- Oglądałem sobie właśnie ludzką telewizję, jak to mają w zwyczaju ludzie w toalecie. W CNN mówią wła-

śnie o jednym takim Zito. Może to ten sam?

Holly pochwyciła leżącego na stole pilota.

- Obyś się mylił - powiedziała. - Ale dałabym sobie rękę uciąć, że to ten sam.

Na ekranie pojawiła się grupa ludzi. Znajdowali się w czymś w rodzaju prowizorycznego laboratorium, wszyscy mieli na sobie białe fartuchy. Jeden mężczyzna zdecydowanie się wyróżniał. Był po czterdziestce, opalony, silny, przystojny, z ciemną czupryną kędzierzawych włosów, opadających na kołnierzyk. Nosił okulary bez oprawek i fartuch laboratoryjny. Pasiasta koszula od Versacego wystawała spod białych klap.

- Giovanni Zito - powiedział Artemis.

- Prawda, że to niewiarygodne? - mówił do reportera Zito. W jego angielszczyźnie słychać było lekki obcy akcent. - Wysyłamy pojazdy na inne planety, a nadal nie 260

wiemy, co się znajduje pod naszymi stopami. Naukowcy są w stanie dostarczyć nam informacji o składzie chemicznym pierścieni Saturna, ale o tym, co dzieje się w sercu naszej planety, nie wiemy po prostu nic.

- Ale przecież wysyłano już wcześniej sondy w głąb Ziemi - sprzeciwił się reporter, usiłując

wypowiedzieć swoją kwestię tak, jakby nie usłyszał jej przed chwilą w słuchawce zatkniętej w uchu.

- To prawda - przytaknął Zito. - Ale jedynie na głę-

bokość co najwyżej piętnastu kilometrów, czyli zaledwie do niespełna połowy najcieńszych miejsc skorupy ziemskiej. Musimy się przedostać aż do zewnętrznych powłok samego jądra, ponad trzy tysiące kilometrów w głąb. Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby udało się ujarzmić prądy ciekłego metalu w zewnętrznych powłokach jądra. W tym płynnym metalu jest dość energii, by zasilać urządzenia ludzkości przez całą wieczność.

Reporter okazał sceptycyzm - a ściślej, polecił mu to naukowiec gadający mu do ucha przez słuchawkę.

- Ale to tylko spekulacje, doktorze Zito. Jest pan pewien, że podróż do wnętrza Ziemi nie jest fantazją?

Czymś, co udać się może tylko na kartkach powieści fan-tastycznonaukowych?

Rysy Giovanniego Zita spowiła na moment chmura zniecierpliwienia.

- To żadne fantazje, sir, zapewniam pana. Żadna fan-tastyczna wyprawa. Wysyłamy na dół bezzałogową 261

sondę, najeżoną czujnikami. Cokolwiek tam jest, odkryje-my to.

Oczy dziennikarza rozszerzyły się w panice, kiedy w słuchawce zabrzmiało ściśle techniczne pytanie. Reporter słuchał przez kilka sekund, powtarzając bezgłośnie wargami usłyszane słowa.

- Doktorze Zito, eee... Ta sonda, którą posyłacie w głąb Ziemi, będzie, jeśli dobrze rozumiem, otoczona setkami milionów ton roztopionego żelaza o temperaturze pięciu i pół tysiąca stopni Celsjusza. Zgadza się pan?

- Całkowicie - potwierdził Zito.

Dziennikarz odczuł widoczną ulgę.

- Zgadza się. Wiedziałem. Tak czy inaczej chciałem powiedzieć, że zgromadzenie takiej ilości żelaza zajmie ładnych parę lat. Więc dlaczego zaprosił pan nas tu dzisiaj?

Zito z podnieceniem klasnął w dłonie.

- Oto najcudowniejszy aspekt przedsięwzięcia. Jak pan wie, nasz projekt był długoterminowy. Planowałem początkowo gromadzić żelazo przez następne dziesięć lat.

Ostatnio jednakże nawierty, wykonane przy użyciu technologii laserowej ujawniły bogate złożo hematytu, rudy żelaza, w dolnych warstwach skorupy ziemskiej, właśnie tu, na Sycylii. Jest to nieprawdopodobnie bogate złożo, a czystość zawartego w nim żelaza może nawet sięgać



osiemdziesięciu pięciu procent. Wystarczy zatem zdetonować kilka ładunków wybuchowych wewnątrz złoża i otrzymać w ten sposób niezbędne płynne żelazo. Uzyska-

łem już od rządu odpowiednie zezwolenia górnicze.

262

Następne pytanie dziennikarz zadał zupełnie samo-dzielnie.

- A kiedy odpalacie ładunki, doktorze?

Giovanni Zito wydobyl z kieszeni fartucha dwa grube cygara.

- Dzisiaj - odpowiedział, podając jedno reporterowi. -

Z dziesięcioletnim wyprzedzeniem. Będziemy świadkami historycznej chwili. - Zito rozsunął zasłony na oknie, odsłaniając widok na rozległą, ogrodzoną przestrzeń. Obszar miał powierzchnię pół mili kwadratowej, w jego centrum wystawał z ziemi skomplikowany rurociąg. Na oczach zgromadzonych spośród rur wygramoliła się załoga inżynierów i co sił w nogach zaczęła się oddalać od otworu w ziemi. Z rury z sykiem wydostawały się spiralne kłęby lotnego chłodziwa. Mężczyźni wsiedli do stojącego nie-opodal wózka golfowego i opuścili ogrodzony teren, by schronić się w betonowym bunkrze tuż za ogrodzeniem.

- Umieściliśmy w strategicznych punktach złoża ładunki nitroglicerynowe o łącznej sile kilku megaton - wyjaśnił Zito. - Gdyby do takiej eksplozji doszło na powierzchni, mielibyśmy trzęsienie ziemi o sile siedmiu stopni w skali Richtera.

Dziennikarz nerwowo przełknął ślinę.

- Naprawdę?

Zito roześmiał się.

- Proszę się nie obawiać. Ładunki zostały starannie ustawione. Siła podmuchu skieruje się do wewnątrz i w dół. Żelazo zamieni się w płyn i zacznie opadać aż do 263

jądra Ziemi, unosząc sondę ze sobą. My nic nie odczuje-my.

- Do wewnątrz i w dół? Jest pan tego pewien?

- Tak jest - odrzekł Zito. - Jesteśmy zupełnie bezpieczni.

Za plecami doktora trzy razy skrzeknął głośnik zawieszony na ścianie.

- Dottore Zito - rozległ się zniekształcony głos. - Teren jest czysty. Wszystko gotowe.

Zito wziął z biurka zdalny detonator czarnego koloru.

- Nadszedł wreszcie ten moment - powiedział rozma-rzonym tonem, po czym spojrział prosto w kamerę.

- To dla ciebie, moja najdroższa Belindo.

Nacisnął przycisk i czekał z szeroko otwartymi oczyma. Pozostałe zgromadzone w pomieszczeniu osoby, jakichś dwunastu naukowców i techników, odwróciło się i zaczęło niecierpliwie studiować odczyty na wskaźnikach i monitorach.

- Mamy eksplozję - obwieścił jeden z nich.

Dziewięć mil pod powierzchnią planety czterdzieści dwa specjalne ładunki wybuchły jednocześnie, zamieniając w płyn sto osiemdziesiąt milionów ton żelaza. Do-mieszki skalne zostały sproszkowane i wchłonięte przez metal. Z cylindrycznego otworu nawiertowego wydobyła się ociężała gąsienica dymu, jednakże nikt ze zgromadzonych nie odczuł najmniejszej wibracji.

- Sonda jest sprawna w stu procentach - powiedział

jeden z techników.

264

Zito wypuścił powietrze.

- To było jedno z naszych ogromnych zmartwień. Co prawda sondę zaprojektowano tak, by działała w trudnych warunkach, jednakże nigdzie wcześniej na świecie nie przeprowadzono podobnej eksplozji. - Zito odwrócił się do innego pracownika. - Mamy jakiś ruch?

Mężczyzna zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi.

- Tak, doktorze Zito. Rejestrujemy ruch pionowy.

Pięć metrów na sekundę, zgodnie z pańskimi hipotezami.

Piekielna mieszanina żelaza i skał pod powierzchnią Ziemi rozpoczęła zapierającą dech w piersi podróż ku jądru planety. Rozciągając się i ściskając, gotując i sycząc, wytapiała sobie drogę przez skały poniżej. Z samego środka roztopionej masy sonda rozmiarów grejpfruta nieustannie przesyłała dane na powierzchnię.

W laboratorium zapanowała euforia. Mężczyźni i kobiety padali sobie w objęcia. Zapalono cygara, strzeliły korki od szampana. Ktoś nawet wyciągnął skrzypce.

- Jesteśmy w drodze! - krzyczał uszczęśliwiony Zito, podając ogień dziennikarzowi. - Człowiek wyruszył w podróż do środka Ziemi. Uwaga, tam w dole!

Holly zatrzymała obraz na monitorze w skradzionym promie SKR. Twarz triumfującego Zita wypełniała cały ekran.

- Uwaga, tam w dole! - powtórzyła ponuro. - Człowiek wyruszył w podróż do środka Ziemi.

Nastroje na pokładzie wahały się od smutku po desperację. Szczególnie ciężko przyjęła to Holly. Znow cała cywilizacja wrózek stała przed zagrożeniem, ale tym razem nie było już komendanta Bulwy, by stawić czoło wyzwaniu. Co więcej, od kiedy jednostki przechwytyjące SKR odcięły im łączność, nie było sposobu, by ostrzec Ogierka.

- Jestem pewien, że on i tak wie - powiedział Artemis. - Ten centaur monitoruje przecież wszystkie ludzkie stacje informacyjne.

- Ale nie wie, że Opal Koboï wspomaga Zita wiedzą wrózek - Holly wskazała na zastygłą na ekranie twarz Zita.

- Przyjrzyj się jego oczom. Ten nieszczęsny człowiek był

tylko raz mesmeryzowany, że jego tęczęwki są praktycznie w strzępach.

Artemis w zamyśleniu podrapał się w szczękę.

- Jak znam Ogierka, śledził ten projekt od samego początku. Z całą pewnością ma w zanadru jakiś plan zapobiegawczy.

- Ma, bez wątpienia. Plan zapobiegawczy wobec po-ronionego projektu, który miał być ukończony za dziesięć lat, a nawet wtedy najpewniej by się nie powiódł.

- Oczywiście - zgodził się Artemis. - W przeciwień-

stwie zaś do schematu prawdopodobnego z punktu widzenia 266

ludzkiej nauki, ten projekt ma wszelkie szanse powodzenia.

Holly ruszyła w stronę kabiny pilota.

- Mam zamiar się ujawnić, nawet jeśli wciąż jestem podejrzana o morderstwo. Na szali jest o wiele więcej niż moja przyszłość.

- Uspokój się - sprzeciwił się Mierzwa. - Dla ciebie uciekłem z więzienia. Nie mam ochoty dać się z powrotem zapuszkować.

Artemis zastąpił jej drogę.

- Poczekaj chwilę, Holly. Pomyśl, jakie konsekwencje będzie miało twoje ujawnienie się.

- Artemis ma rację - dodał Butler. - Zastanów się. Je-

żeli SKR choć trochę przypominają policję ludzi, nie wita-ją chyba zbiegów z otwartymi ramionami. Raczej z szeroko otwartymi drzwiami więziennej celi.

Holly zmusiła się, by stanąć w miejscu i pomyśleć przez chwilę, jednakże było to trudne. Każda sekunda zwłoki dawała monstrualnemu ślimakowi kolejną sekundę na przegryzanie się przez skały w głębi ziemi.

- Jeżeli poddam się Wydziałowi Spraw Wewnętrznych, zamkną mnie w areszcie. Jestem oficerem SKR, więc mogą mnie tam trzymać bez nakazu siedemdziesiąt dwie godziny. Ponieważ ciąży na mnie podejrzenie o morderstwo, ten czas może się wydłużyć do tygodnia. Nawet jeśli rzeczywiście istnieje ktoś, kto jest przekonany o mojej niewinności i domyślił się, że za tym wszystkim stoi Opal Kobi, trzeba będzie minimum ośmiu kolejnych godzin, by otrzymać pozwolenie na operację. Tylko że 267

wszystkie okoliczności wskazują na to, że moja opowieść zostanie uznana za zwykłe wykręty winowajcy. Szczególnie jeśli uwiarygodnić mielibyście ją wy trzej. Bez urazy.

- Nie ma sprawy - powiedział Mierzwa.

Holly usiadła i ukryła twarz w dłoniach.

- Mój świat rozpadł się zupełnie. Wciąż staram się myśleć, że istnieje jakaś droga powrotu, ale sprawy tylko coraz bardziej i bardziej wymykają się spod kontroli.

Artemis położył jej dłoń na ramieniu.

- Odwagi, kapitanie. Co zrobiłby w takiej sytuacji komendant?

Holly odetchnęła głęboko trzy razy, po czym skoczyła na równe nogi. Plecy zeszywniały jej z determinacji.

- Nie próbuj mną manipulować, Artemisie Fowl. Sa-ma podejmuję decyzje. A zresztą, Juliusz sam by się zajął

Opal Kobi. Tak właśnie zamierzam postąpić.

- Doskonale - powiedział Artemis. - W takim razie potrzebna nam strategia.

- Racja. Ja będę pilotować prom, a ty uruchom ten swój wielki mózg i wymyśl jakiś plan.

- Czyli każdy uprawia własną grządkę - powiedział

chłopiec. Usiadł w jednym z foteli, delikatnie rozmasował

skronie opuszkami palców i zaczął myśleć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Farma Ziemi doktora Zita

Prowincja Mesyna, Sycylia

Plan Opal, aby napuścić na siebie ludzi i wróżki, należał do prostych w wykonaniu, choć genialnych w zamyśle.

Zwyczajnie ułatwi pewnemu człowiekowi to, co w swoim mniemaniu sam już robi. Niemal każda duża spółka energetyczna na świecie miała wśród dokumentów projekt sondy, którą można by posłać do jądra Ziemi, jednakże były to plany czysto teoretyczne, zważywszy ilość materiałów wybuchowych niezbędną do przebicia się przez skorupę oraz ilość żelaza potrzebną, by sonda bezpiecznie przebyła drogę przez ziemski płaszcz skalny.

Z listy obiecujących marionetek Opal Koboï wybrała Giovanniego Zita. Z dwóch powodów: Zito dysponował

ogromną fortuną, poza tym dokładnie pod jego ziemią 269

znajdowało się ogromne złożo hematytu wysokiej jakości.

Giovanni Zito był sycylijskim inżynierem, pionierem w dziedzinie alternatywnych źródeł energii. Był również zagorzałym działaczem na rzecz ochrony środowiska naturalnego, szukał takich źródeł energii elektrycznej, które nie wiązały się z krojeniem ładu na pasy albo degradacją przyrody. Wynalazkiem, który przyniósł mu fortunę, był słoneczny młyn Zita, wiatrak z bateriami słonecznymi na skrzydłach, wielokrotnie wydajniejszy od konwencjonalnego.

Sześć tygodni wcześniej Zito powrócił z Genewy, z sympozjum na rzecz ochrony środowiska, na którym wygłosił odczyt dla ministrów Unii Europejskiej. Do swej willi nad Cieśniną Mesyńską dotarł o zachodzie; słoneczne promienie barwiły wodę na pomarańczowo. Zito był wyczerpany. Niełatwo się rozmawia z politykami. Nawet ci, którym istotnie leży na sercu kondycja środowiska, nie byli w stanie uniknąć wpływu tych, którzy mieli w głowach jedynie interes ekonomiczny. Dla tych ostatnich media ukuły przezwisko „brudasy”.

Zito wziął prysznic. Wodę ogrzewały baterie słoneczne zamontowane na dachu posiadłości. Prawdę mówiąc, cała willa była samowystarczalna, jeśli idzie o energię elektryczną. W bateriach słonecznych dość było mocy, by oświetlić i ogrzać dom przez sześć miesięcy. A wszystko bez szkodliwych dla środowiska emisji.

Skończywszy prysznic, Zito opatulił się w miękkim, długim szlafroku i z kieliszkiem bordeaux zapadł się w swój ulubiony fotel.

Pociągnął solidny łyk trunku, życząc sobie w duchu, by spłukał napięcie dobiegającego końca dnia.

Leniwie przebiegł wzrokiem po ścianie, gdzie wisiały oprawione foto-grafie. W większości były to pierwsze strony czasopism wychwalających jego technologiczne innowacje, jednakże ulubione zdjęcie Zita - to, które przyniosło mu sławę -

pochodziło z okładki magazynu „Time”. Na fotografii znacznie młodszy Zito stał na grzbiecie wieloryba, nad nim zaś majaczył groźnie statek wielorybniczy. Nieszczę-

sne stworzenie zawędrowało na płytkie wody i nie mogło się zanurzyć, więc Zito skoczył z pontonu prosto na jego grzbiet, osłaniając zwierzę przed harpunami wielorybni-ków. Ktoś inny w pontonie miał przy sobie aparat i zrobił

zdjęcie, które stało się w mediach ikoną stulecia.

Zito uśmiechnął się. Stare, szalone czasy. Miał właśnie zamknąć oczy i uciąć sobie krótką drzemkę przed kolacją, kiedy zauważył jakiś ruch w ciemnym kącie pokoju. Majaczyła tam jakaś postać, wzrostem sięgająca zaledwie blatu stołu.

Zito wyprostował się w fotelu.

- Kto tam? Czy ktoś tu jest?

Zapaliła się lampa, oświetlając małą dziewczynkę przycupniętą na stołeczku. Trzymała w dłoni sznur od lampy i nie wyglądała wcale ani na przestraszoną, ani zdenerwowaną. Przeciwnie, była spokojna i pewna siebie, tak jakby to Zito był dla niej intruzem.

Giovanni wstał.

- Kim jesteś, malutka? Jak tu trafiłaś?

271

Dziewczynka spojrzała na niego najbardziej niesamo-witymi oczyma, jakie widział w życiu. Głębokie, brunatne oczy. Jak kadzie z płynną czekoladą.

- Jestem tu z twojego powodu, Giovanni - odezwała się głosem tak pięknym, jak jej oczy. W istocie wszystko w niej było przepiękne: porcelanowa cera, delikatne rysy...

i te oczy. Nie sposób się uwolnić od takiego spojrzenia.

Zito spróbował stawić opór czarowi.

- Z mojego powodu? Co masz na myśli, kochanie?

Czy twoja mama jest w pobliżu?

Dziewczynka uśmiechnęła się.

- Nie. Nie jest w pobliżu. Ty jesteś teraz moją rodziną.

Giovanni usiłował zrozumieć tę prostą wypowiedź, lecz nie mógł. A zresztą, czy miało to jakieś znaczenie? Te oczy, ten głos. Tak melodyjny. Symfonia kryształowych dzwoneczków.

Ludzie rozmaicie reagują na czar mesmeryzacji. Większość natychmiast poddaje się hipnotycznemu urokowi, niemniej osoby o silniejszych umysłach trzeba trochę przycisnąć. A im bardziej się je przyciska, tym większe ryzyko uszkodzenia mózgu.

- Jestem twoją rodziną? - powtórzył powoli Zito, jakby niepewny znaczenia każdego wypowiedzanego słowa.

- Tak, człowieku - krzyknęła niecierpliwie Opal, wzmagając czar. - Moją rodziną. Jestem twoją córeczką, Belindą. Adoptowałeś mnie w tajemnicy miesiąc temu.

Dokumenty są w twoim biurze.

272

Oczy Zita zaszły mgłą.

- Adoptowałem? W biurze?

Opal zabębniła paluszkami o abażur lampy. Zapomnia-

ła, że niektórzy ludzie są nad wyraz tępi, zwłaszcza pod wpływem mesmeryzacji. A ten tutaj podobno miał być geniuszem.

- Tak. Zaadoptowałeś. W biurze. Czyżbyś nie pamię-

tał, że kochasz mnie nad życie? Zrobisz absolutnie wszystko dla swojej ukochanej Belindy.

W kąciku oka Zita zaświeciła łza.

- Belinda. Moja mała dziewczynka. Zrobię dla ciebie wszystko, kochanie, cokolwiek zechcesz.

- Tak, tak, tak - powiedziała niecierpliwie Opal. -

Oczywiście, że tak. Właśnie o tym mówiłam. Nie musisz powtarzać wszystkiego, co mówię, tylko dlatego, że cię zamesmeryzowałam. Strasznie to męczące.

Zito dostrzegł w rogu pokoju jeszcze dwie małe postacie. Stworzenia o szpiczastych uszach. Ten fakt zakłócił

niecokolwiek działanie hipnotycznego uroku.

- Coś widzę. Tam. Czy to ludzie?

Opal spojrzała z wściekłością na braci Sielawa. Mieli pozostać poza zasięgiem wzroku mężczyzny. Mesmery-zowanie opornego umysłu, takiego jak u Zita, było przedsięwzięciem wystarczająco delikatnym także i bez zakłó-

ceń.

Opal wzbogaciła głos o dodatkowy ton.

- Nie widzisz ich. Nigdy ich nie widziałeś i nie zobaczysz.

Zito odetchnął z ulgą.

273

- Oczywiście. To dobrze. Nic tam nie ma. Umysł pła-ta figle.

Opal jęknęła. O co chodzi z tą ludzką gramatyką? Wystarczy, że trochę się zdenerwują, i kompletnie o niej zapominają. Umysł płata figle. Też coś.

- A teraz, Giovanni, tatusiu. Chciałabym porozmawiać o twoim następnym projekcie.

- O samochodzie z napędem wodnym?

- Nie, idioto. Nie o samochodzie. O sondzie, którą chcesz wysłać do jądra Ziemi. Wiem, że taką zaprojektowałeś. Całkiem niezły projekt, jak na człowieka, choć muszę wprowadzić pewne zmiany.

- Sonda. Niemożliwe. Nie możemy przez skorupę. Za mało żelaza.

- Nie możemy p r z e b i ć się przez skorupę. M a m y za mało żelaza. Mów poprawnie, na bogów. Nawet bez twojego bełkotu słuchanie mowy Błotnych Ludzi jest wystarczająco nieznośne. Powiem wprost, wy - ludzcy geniusze - zupełnie nie jesteście tacy, za jakich się podajecie.

Przeciążony mózg Zita zdobył się na wysiłek.

- Wybacz mi, najdroższa Belindo. Chciałem tylko powiedzieć, że projekt sondy jest długoterminowy. Trzeba będzie poczekać, aż znajdzie się jakieś praktyczne rozwią-

zanie, żeby zgromadzić żelazo i przebić się przez skorupę ziemską.

Opal spojrzała na otumanionego Sycylijszyka.

- Biedny, słodki, głupiutki tatuś. Przecież wynalazłeś laser wielkiej mocy, żeby się przebić przez skorupę. Naprawdę nie pamiętasz?

274

Po policzku Zita spłynął strumyczek potu.



- Laser wielkiej mocy? Kiedy tak mówisz, chyba...

- A może zgadniesz, na co natrafimy, kiedy już przebijemy się przez skorupę?

Zito zgadł. Jakaś część intelektu wciąż należała do niego.

- Złoże hematytu? Musiałoby być ogromne. Bardzo wysokiej jakości.

Opal powiodła go do okna. Skrzydła elektrowni wiatrowych połyskiwały w świetle gwiazd.

- A jak ci się zdaje, w którym miejscu powinniśmy kopać?

- Wydaje mi się, że powinniśmy kopać pod farmą wiatrową - powiedział Zito, opierając czoło o chłodną szybę.

- Bardzo dobrze, tatusiu. Jeżeli zaczniesz kopać tam, będę najszczęśliwszą córeczką na świecie.

Zito pogładził chochliczkę po włosach.

- Najszczęśliwsza córeczka na świecie - powiedział

sennie. - Belinda, moja mała dziewczynka. Dokumenty w biurze.

- Dokumenty są w biurze - poprawiła Opal. - Jeżeli będziesz się upierał przy tym gaworzeniu, będę cię musia-

ła ukarać.

Nie był to żart.

275

E7, pod Morzem Śródziemnym

Zdążając w stronę powierzchni, Holly musiała się trzymać z dala od uczęszczanych szybów. Ogierek dysponował zestawem czujników, dzięki którym monitorował

cały ruch na trasach komercyjnych oraz policyjnych.

Oznaczało to w praktyce, że musiała lecieć bez świateł, kluczyć awaryjnymi szybami, jednakże gdyby zrobiła inaczej, pluskwy centaury wychwyciłyby prom i Holly zostałaby odeskortowana do Komendy Policji, zanim zdą-

ży wykonać zadanie.

Holly zapuszczała się pomiędzy stalaktyty wielkości drapaczy chmur oraz krateru o spękanych krawędziach, kipiące bioluminescencyjnym owadzym życiem. Pilotowa-

ła bezbłędnie dzięki instynktowi, gdyż myśli Holly wę-

drowały tysiące kilometrów od promu, krążąc wokół wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin. Najwyraź-

niej jej serce na powrót stapiało się z ciałem.

Wszystkie jej dotychczasowe przygody z udziałem Artemisa w porównaniu z obecną sytuacją wydawały się komiksowymi eskapadami. Dotychczas kończyły się nie-zmiennym „a potem żyli długo i szczęśliwie”. Zdarzyło się co prawda kilka groźnych sytuacji, jednakże jak dotąd wszyscy wychodzili cało. Holly obejrzała swój palec wskazujący. U nasady widać było obrączkę bladej blizny, ślad po odcięciu palca, które miało miejsce podczas ark-tycznej przygody. Mogła usunąć bliznę magią albo przykryć prawdziwą obrączką, ale wolała pozostawić ją tak, 276

jak jest - aby móc ją widzieć. Blizna była częścią Holly.

Podobnie jak komendant. Jej zwierzchnik, jej przyjaciel.

Smutek sprawił, że poczuła się pusta, i za chwilę wy-pełnił ją znowu. Przeważające dotąd myśli o zemście rozplynęły się. W tej chwili nawet myśl o wtrąceniu Opal Kobi do zimnej celi nie zapaliłaby w sercu Holly nawet iskierki mściwej radości. Elficzka postanowiła zrobić wszystko, by ochronić Lud przed ludźmi. Dopiero gdy to się uda, przyjdzie czas na poukładanie własnego życia.

Być może trzeba będzie coś niecoś zmienić.

Artemis wezwał wszystkich do przedziału pasażerskiego, kiedy tylko uporał się z pracą na komputerze. Jego

„świeże stare” wspomnienia dostarczały mu autentycznej przyjemności. Palce Artemisa śmigały po gnomickiej klawiaturze, on zaś cieszył się łatwością, z jaką obsługuje platformę wróżek. Napawał się także samą technologią, choć nie była już dlań obca. Młody Irlandczyk czuł ten sam dreszczyk ponownego odkrywania czegoś niezwykle-go, jaki czuje dziecko, kiedy przez przypadek natrafi na dawno zagubioną, ulubioną zabawkę.

W ciągu ostatniej godziny owo ponowne odkrywanie stanowiło główny wątek jego życia. Co prawda obecność takiego głównego wątku przez jedną godzinę nie wydaje się niczym znaczącym, jednakże Artemis miał cały katalog wspomnień domagających się potwierdzenia. Zresztą same wspomnienia były niezwykle poruszające: wskakiwanie do 277

radioaktywnego pociągu w okolicy Murmańska, lot ponad wodami oceanu pod folią kamuflażową SKR. Lecz Artemisa najbardziej interesował spotęgowany skutek przywrócenia tych wspomnień. Czuł dosłownie, że staje się kimś innym. Nie do końca jednostką, którą był wcześniej, ale kimś w pewien sposób podobnym. Nim wróżki wymazały mu pamięć, co było ceną za pomoc w sprawie Jona Spiro, jego osobowość znajdowała się w trakcie przemiany, która mogła się okazać przemianą na lepsze. Do tego stopnia nawet, że był wówczas gotów całkowicie porzucić nielegalną działalność i przelać dziewięćdziesiąt procent ogromnej fortuny Spira na konta Amnesty International.

Ale wymazanie pamięci sprawiło, że powrócił na stare ścieżki. Zjawiło się także na powrót zamiłowanie do czynów przestępczych. Teraz zaś zawisł gdzieś pomiędzy. Nie pragnął wcale krzywdzić niewinnych ani ich okradać, ale zarazem trudno by mu było porzucić kryminalne upodobania. Istnieją przecież ludzie, których okradać należy.

Największą zapewne niespodzianką było pragnienie udzielenia pomocy przyjaciołom z Ludu oraz dotkliwy smutek i poczucie straty po śmierci Juliusza Bulwy. Artemisowi nieobce było poczucie straty; w ciągu swojego życia tracił już i odzyskiwał każdą bliską mu osobę.

Śmierć Juliusza dotknęła go tak bardzo, jak wszystkie poprzednie straty. A chęć, by pomścić komendanta i powstrzymać Opal Kobi, okazała się potężniejsza niż wszystkie przestępcze pokusy, które dotąd odczuwał.

278

Artemis uśmiechnął się do siebie. Wygląda na to, że dobro dostarcza silniejszej motywacji niż zło. Kto by po-myślał?

Pozostali zgromadzili się wokół głównego projektora holograficznego. Holly zaparkowała prom na podłodze szybu awaryjnego, blisko powierzchni ziemi.

Rozmiary przeznaczonego dla wrózek wehikułu zmusiły Butlera do przyklęknięcia.

- No dobrze, Artemisie, co już wiesz? - spytał ochroniarz, próbując złożyć ręce na piersi tak, żeby przy okazji nie znokautować nikogo o mniejszych rozmiarach.

Artemis uruchomił holograficzną animację - przestrzenny obraz obracał się z wolna w środku pomieszczenia. Animacja ukazywała trasę sondy z powierzchni do jądra ziemi. Artemis włączył wskaźnik laserowy i rozpoczął naradę.

- Jak widzicie, odległość dzieląca powierzchnię ziemi od zewnętrznych powłok jądra wynosi dwa tysiące dziewięćset kilometrów.

Animacja zewnętrznych, płynnych powłok jądra planety wirowała i kipiała rozpaloną magmą.

- Ludziom, jak dotąd, nigdy nie udało się wniknąć w skorupę głębiej niż na piętnaście kilometrów. Aby zejść niżej, trzeba użyć nuklearnych głowic bojowych albo ogromnych ilości dynamitu. Eksplozja tej skali mogłaby spowodować duże przesunięcia płyt tektonicznych Ziemi, wywołując trzęsienia i fale tsunami na całym świecie.

Mierzwa, jak zwykle, coś właśnie jadł. Nikt właściwie nie wiedział, co to było, gdyż krasnal opróżnił lodówkę 279

promu godzinę wcześniej. Nikt zresztą nie chciał wiedzieć.

- Nie brzmi to najlepiej - odezwał się.

- To prawda - zgodził się Artemis. - Właśnie dlatego nikt dotąd nie brał się na poważnie do realizacji projektu sondy z płynnym żelazem w charakterze napędu. A przynajmniej do tej pory. Na pomysł ten wpadł po raz pierwszy Nowozelandczyk, profesor David Stevenson. I nawet jeśli jest to koncepcja niepraktyczna, sam pomysł jest doskona-

ły. Otoczyć wzmocnioną sondę setkami milionów ton roztopionego żelaza. Żelazo spłynie szczeliną powstałą podczas wybuchu i zacznie się zbliżać do jądra, zamykając ją za sobą. Sonda dotrze do celu mniej więcej po tygodniu.

Żelazo ulegnie stopniowemu rozkładowi w zewnętrznych powłokach jądra. Jest to zatem projekt akceptowalny eko-logicznie.

Holograficzna projekcja przekształcała słowa Artemisa w obrazy.

- A dlaczego żelazo nie stężeje na powrót? – spytał

Mierzwa.

Artemis uniósł cienką, długą brew.

- Dlaczego nie stężeje? Nie stanie się tak, jeśli tylko złożę rudy będzie odpowiednich rozmiarów.

Holly wstała i weszła w obraz holograficzny, przypatrując się złożu rudy.

- Ogierek musi o tym wiedzieć. Ludzie nie byliby w stanie trzymać tak ogromnego przedsięwzięcia w sekrecie.

- Bez dwóch zdań - rzekł Artemis, otwierając plik kolejnej projekcji holograficznej. - Przeszukałem bazę 280

danych pokładowego komputera i dowiedziałem się, że Ogierek przeprowadził kilka symulacji komputerowych, dotyczących takiego projektu, jakieś osiemdziesiąt lat temu. Doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem pora-dzenia sobie z takim zagrożeniem jest przesyłanie dezinformacji do sondy, która miałaby się znaleźć na dole. Ludzie dowiedzieliby się jedynie, że sonda przemieszcza się kilkaset mil w dół przez rozmaite złoża rud metali nienaj-lepszej jakości, potem zaś, że żelazo niosące sondę stężało.

Bardzo kosztowna porażka.

Symulacja komputerowa ukazała, jak informacje nadawane z Oazy docierają do otoczonej płynnym meta-lem sondy. Na powierzchni gromada ludzi wyglądających jak postacie z kreskówki drapała się w głowę i darła notat-ki.

- Bardzo zabawne - powiedział Artemis. Butler uważ-

nie przypatrywał się hologramowi.

- Zbyt często brałem udział w rozmaitych kampa-niach, by nie wiedzieć, że ta strategia ma poważną lukę, Artemisie - powiedział.

- Mianowicie?

Butler podźwignął się na kolana i przeciągnął palcem wzdłuż trasy sondy na hologramie.

- Na przykład co by się stało, gdyby sonda natrafiła na jakimś etapie podróży na jeden z szybów Ludu? Wystarczyłoby, że żelazo napłynie do szybu, a urządzenie znajdzie się w Oazie w ekspresowym czasie.

Artemisa uradowała niezwykle spostrzegawczość ochroniarza.

281

- Bez wątplenia. Właśnie z tego powodu ponad-dźwiękowy prom bojowy wrózek pozostaje w stanie gotowości dwadzieścia cztery godziny na dobę. Aby w razie potrzeby skierować masę płynnego żelaza w inną stronę.

Wszystkie ludzkie projekty tego typu są monitorowane i jeśli okaże się, że któryś mógłby stanowić zagrożenie, wróżki dokonają szybkiego i skutecznego sabotażu. A gdyby to nie podziałało, jednostka geologiczna SKR zrobi nawiert pod spływającą masą żelaza i zmieni jego kierunek kilkoma odpowiednio ustawionymi ładunkami. Ruda żelaza popłynie powstałą w ten sposób nową drogą, a Oa-za będzie bezpieczna. Rzecz jasna, prom górniczy nie był

jeszcze nigdy w użyciu.

- Jest jeszcze inny problem - dodała Holly. - Musimy uwzględnić wkład Opal Kobi. Nie ma wątpliwości, że pomogła Giovanniemu Zitowi przewiercić się przez skorupę ziemską, zapewne używając w tym celu lasera wró-

zek. Trzeba więc przypuścić, że dokonała też ulepszeń w konstrukcji samej sondy, i że w związku z tym urządzenie będzie odrzucać fałszywe sygnały Ogierka. Chce zatem, by sonda pomogła w ujawnieniu istnienia Ludu. Ale jak?

Artemis uruchomił trzecią animację holograficzną, zamykając dwie pierwsze. Wygenerowany cyfrowo trójwymiarowy obraz przedstawiał Farmę Ziemi Zita oraz skorupę ziemską i ziemski płaszcz pod nią.

- Oto, co sędzę - powiedział. - Zito, z pomocą Opal, rozpuści widoczne tutaj złożę rudy. Płynne żelazo zacznie wsiąkać w stronę jądra ziemi z prędkością pięciu metrów

na sekundę, a ulepszenia Kobi umożliwią niezakłócone odczyty. Ogierek będzie myślał przez cały czas, że jego plan zapobiegawczy zapewnia wróżkom całkowite bezpieczeństwo. Tymczasem na głębokości stu siedemdziesięciu kilometrów masa płynnego żelaza znajdzie się w odległo-

ści pięciu kilometrów od jednego z szybów głównych, E7, którego ujście znajduje się na południu Włoch. Trasa żelaza bieć będzie równoległe do szybu przez następne trzysta kilometrów, potem odległość na powrót wzrośnie. Jeżeli Opal uda się wysadzić przejście pomiędzy tymi dwoma tunelami, żelazo popłynie drogą, na której napotka najmniejszy opór, i wleje się do szybu.

Holly poczuła, że nogi się pod nią uginają.

- A szybem popłynie prosto do Oazy.

- Właśnie - rzekł Artemis. - Ten akurat szyb biegnie skośnie na zachód przez trzy tysiące pięćset kilometrów, zbliżając się do miasta na odległość pięciuset metrów.

Prędkość, którą roztopiona ruda żelaza osiągnie podczas swobodnego spadku, wystarczy, by unicestwić połowę Oazy. To zaś, co pozostanie, czujniki sondy ukażą oczom ludzi.

- Ale mamy przecież bariery przeciwuderzeniowe -

zaoponowała Holly.

Artemis wzruszył ramionami.

- Holly, nie istnieje taka siła na Ziemi czy pod jej powierzchnią, która byłaby zdolna zatrzymać sto milionów ton płynnego hematytu podczas swobodnego spadania.

Wszystko, co znajdzie się na drodze żelaza, zostanie 283

zmiecione w pył. Większość żelaza wejdzie w ruch wirowy i popłynie tunelem, ale reszta nadal będzie opadać prosto w dół. W wystarczającej ilości, by przebić się przez bariery przeciwuderzeniowe.

Towarzysze Artemisa patrzyli, jak na symulacji komputerowej masa roztopionego żelaza forsuje bariery ochronne Oazy, umożliwiając sondzie przechwycenie wszelkich sygnałów elektronicznych emitowanych przez wróżki.

- Należy się spodziewać do pięćdziesięciu procent ofiar wśród ludności miasta - powiedział Artemis. - Prawdopodobnie jednak będzie ich więcej.

- Jakim sposobem Opal może robić to wszystko, nie pozwalając się wychwycić czujnikom Ogierka?

- To proste - odrzekł Artemis. - Zwyczajnie podłoży specjalny ładunek wybuchowy w szybie E7 na głębokości stu siedemdziesięciu kilometrów i zdetonuje go w ostatniej chwili. Dzięki temu, kiedy sensory Ogierka wykryją eksplozję, będzie już za późno, by unieszkodliwić sondę albo zrobić cokolwiek innego.

- Więc trzeba będzie ten ładunek usunąć.

Artemis uśmiechnął się. Gdyby tylko było to takie proste.

- Opal nie podejmie żadnego ryzyka związanego z tym ładunkiem. Gdyby pozostawiła go w ścianie szybu choć na krótki czas, drgania mogłyby go przesunąć albo namierzyłyby go czujniki Ogierka. Urządzenie to będzie bez wątpienia doskonale zamaskowane, ale i tak najmniejsza rysa w powłoce ujawniłaby sygnał tak silny, jak ten 284

nadawany przez satelity. Nie. Opal podłoży ładunek w ostatniej chwili.

Holly pokiwała głową.

- Dobrze. A więc poczekamy, aż go podłoży, i wtedy go rozbiorimy.

- Nic z tego. Jeśli będziemy czekać w szybie, Ogierek nas namierzy. A jeśli tak się stanie, Opal nie wetknie nawet nosa do szybu.

- Brzmi całkiem nieźle, prawda?

- Niezupełnie. Być może realizacja jej planu nastąpi wówczas z kilkugodzinnym opóźnieniem, ale nie zapomi-najmy, że Opal będzie miała do dyspozycji okno wielkości trzystu kilometrów, żeby podłożyć ładunek. Może poczekać, aż SKR nas aresztują, i wciąż będzie miała dość czasu, by doprowadzić swój plan do skutku.

Holly potarła oczy pięściami.

- Nic z tego nie rozumiem. Przecież wszyscy musieli się już chyba dowiedzieć, że Opal uciekła. A z pewnością domyślił się tego Ogierek.

Artemis zacisnął pięść.

- W tym cała tajemnica. Ten jeden szczegół jest kluczem do całej sytuacji. Ogierek z całą pewnością nie wie, że Opal uciekła. Bez wątpienia była pierwszą osobą na liście do sprawdzenia po ucieczce generała Łuskonia.

- Sprawdzono ją. Cały czas była w klinice. W chwili ucieczki Łuskonia Opal była nadal w katatonii. Żadnym sposobem nie mogła tego zaplanować.

- A jednak to zrobiła - zadumał się Artemis. - Więc może w klinice znajduje się sobowtór.

285

- Niemożliwe. Każdego dnia przeprowadza się tam testy DNA.

- Czyli Opal przebywa pod kluczem, wywiad dysponuje jej DNA i przez cały czas je sprawdza, nie wie natomiast nic o aktywności jej mózgu.

- Otóż to. Opal jest w takim stanie od ponad roku.

Artemis myślał w ciszy przez długą chwilę.

- Ciekaw jestem, na jakim etapie rozwoju znajduje się pod ziemią technologia klonowania.

Podszedł prędko do głównego terminalu komputerowego i wywołał z bazy pliki SKR dotyczące tego tematu.

- Dojrzały klon jest dokładnie taki sam jak oryginał, z jednym wyjątkiem. Funkcjonowanie jego mózgu pozwala jedynie na utrzymanie podstawowych funkcji życiowych -

odczytał. - W sprzyjających warunkach wyhodowanie dorosłego klona zajmuje od roku do dwóch. - Artemis odsunął się od ekranu i klasnął w dłonie. - Nic dodać, nic ująć. To właśnie zrobiła. Wprowadziła się w stan śpiączki, żeby nikt nie zauważył wymiany. Godne podziwu.

Holly uderzyła pięścią w otwartą dłoń.

- Więc nawet jeśli nie uda jej się nas zabić, nasze zeznania o ucieczce Opal przypieczętują tylko naszą winę.

- Mówiłem Chiksowi Gryzoniowi, że Opal wróciła -

odezwał się Mierzwa. - Ale to niczego nie zmienia, bo on i tak od początku uważa mnie za winnego.

- Gdyby SKR dowiedziało się, że Opal jest na wolno-

ści - ciągnął młody Irlandczyk - każdy funkcjonariusz 286

spodziewałby się jakiegoś spisku. Ale skoro Opal wciąż przebywa w stanie głębokiej śpiączki...

- Nie ma powodu, by wszczynać alarm. Ta sonda zaś jest co prawda zaskoczeniem, lecz nie sytuacją krytyczną.

Artemis wyłączył projekcję holograficzną.

- Jesteśmy więc zdani tylko na siebie. Musimy wykraść ten ostatni ładunek i zdetonować go nieszkodliwie powyżej miejsca, w którym dwa tunele zaczynają biec równolegle. Co więcej, musimy ujawnić Opal, żeby nie mogła doprowadzić swego planu do końca przy innej okazji. A żeby dokonać obu tych rzeczy, musimy odnaleźć prom Opal.

Mierzwa poczuł się nagle nieswojo.

- Masz zamiar ścigać Opal Koboim? Znowu? Cóż, powodzenia. Tak czy siak, wysadź mnie za najbliższym za-krętem.

Holly zignorowała go.

- Ile mamy czasu?

Na ekranie plazmowym znajdował się kalkulator, jednakże Artemis nie potrzebował z niego



korzystać.

- Ruda żelaza zapada się z prędkością pięciu metrów na sekundę. Czyli siedemnaście i pół kilometra na godzinę. Przy tej prędkości osiągnie wspomniany punkt za dziewięć i pół godziny.

- Licząc od chwili obecnej?

- Nie - sprostował Artemis. - Dziewięć godzin od eksplozji, która miała miejsce prawie dwie godziny temu.

287

Holly ruszyła gwałtownie w stronę kabiny pilota i przypięła się pasem do fotela.

- Siedem i pół godziny, żeby ocalić świat. Nie ma jakiegoś prawa, które dawałoby nam w takim wypadku przynajmniej dwadzieścia cztery?

Artemis usiadł w fotelu drugiego pilota i zapiął pas.

- Nie sądzę, by Opal obchodziły jakieś prawa - powiedział. - Jeszcze jedno. Możesz rozmawiać i pilotować jednocześnie? Muszę się dowiedzieć kilku rzeczy o pro-mach i ładunkach wybuchowych.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### KOŃSKI ZMYŚŁ

Komenda Policji, Oaza

Niższa Kraina

Wszyscy w Komendzie Policji mówili tylko o sondzie Zita. Sprawa odciągnęła nieco funkcjonariuszy od bieżą-

cych wydarzeń. Ofiary w terenie zdarzają się w SKR nieczęsto. Aż tu ni stąd, ni zowąd dwójka funkcjonariuszy traci życie podczas jednej zmiany. Ogierkowi niełatwo było pogodzić się z tą stratą, bołała go zwłaszcza śmierć Holly Niedużej. Wystarczająco ciężko jest przyjąć śmierć przyjaciela podczas służby, a jeśli w dodatku tego przyjaciela spotyka niesłuszny zarzut o morderstwo, staje się to nie do zniesienia. Ogierek nie potrafił przełknąć myśli, iż Lud może zapamiętać Holly jako morderczynię bez skrupułów. Kapitan Nieduża był niewinna. Co więcej, była bohaterką udekorowaną wieloma odznaczeniami i zasłuży-

ła na taką właśnie pamięć.

289

Na ścianie w pokoju Ogierka obudził się ekran komunikacyjny; to zgłaszał się jeden z asystentów technicznych centaura z placówki w zewnętrznym biurze. Szpiczaste uszy elfa drżały z podniecenia.

- Sonda zeszła na głębokość stu kilometrów. Nie mogę uwierzyć, że ludziom udało się dotrzeć aż tak daleko.

Ogierek również nie mógł uwierzyć. Teoretycznie rzecz biorąc, miały minąć dekady, nim ludziom udało się wynaleźć na tyle skomplikowany laser, by nakłuć skorupę ziemską, nie zamieniając przy okazji połowy kontynentu w pogorzelnisko. Najwyraźniej jednak Giovanni Zito wyprzedził znacznie teorię i wynalazł laser, nie troszcząc się zbytnio o kalkulacje Ogierka.

Ogierek żałował nieomal, że musi zniweczyć projekt Zita. Sycylińczyk był jedną z największych nadziei rodzaju ludzkiego. Plan ujarzmienia mocy zewnętrznych powłok jądra ziemskiego był dobry, jednakże jego ceną okazałoby się ujawnienie wróżek, a tyle nie można było zapłacić.

- Nie spuszcza jej z oka - powiedział, usilnie udając zainteresowanie. - Zwłaszcza kiedy wejdzie na tor równoległy do szybu E7. Nie spodziewam się żadnych problemów, ale miej oczy otwarte, tak na wszelki wypadek.

- Tak jest, sir. Ach, kapitan Gryzoń z powierzchni czeka na połączenie na linii drugiej.

W oczach centaura zapaliła się słaba isierka zainteresowania. Gryzoń? Duszek pozwolił Mierzwie Grzebacz-kowi wykraść prom SKR. Mierzwa uciekł z więzienia 290

tego samego dnia, kiedy jego przyjaciele ponieśli śmierć.

Zbieg okoliczności? Może. A może nie.

Ogierek otworzył okienko linii drugiej. Zobaczył na nim klatkę piersiową Gryzonia.

Westchnął.

- Chix! Znowu się uniosłeś. Zejdź na ziemię, żebym mógł cię widzieć.

- Przepraszam - powiedział Chix, osiadając na podłodze. - Jestem trochę roztrzęsiony. Komendant Wodorost zrobił mi straszną przeprawę.

- Czego chcesz, Chix? Żebym cię przytulił i dał ci buzi? Mam inne sprawy na głowie.

Skrzydła Gryzonia zatrzepotały. Pozostawanie stopami na ziemi przychodziło mu z wielkim trudem.

- Mam dla ciebie wiadomość od Mierzwy Grzebaczka.

Ogierek zwalczył pokusę, by zarzeć. Bez wątpienia Mierzwa miał mu do przekazania jakieś niezwykle sekrety.

- Słucham zatem. Powiedz, co też nasz przyjaciel ze śmierdzącą gębą o mnie myśli.

- Ale zostanie to między nami, dobra? Nie chcę, by przenieśli mnie z obecnego stanowiska na powierzchnię z powodu rozchwiania psychicznego.

- Tak, Chix, nikomu nie powiem. Każdy ma prawo do chwilowego rozstroju emocjonalnego. Zwłaszcza dzisiaj.

- Ale to naprawdę niedorzeczne. Nie uwierzyłem w to ani przez chwilę - Chix spróbował kaszłać porozumie-wawczo.

291

Ogierek podniósł głos.

- Co jest niedorzeczne? W co nie uwierzyłeś? Gadaj, Chix, albo przyjdę do ciebie łączem komunikacyjnymi to wyduszę.

- Jesteśmy bezpieczni?

- Tak! - wrzasnął centaur. - Jesteśmy bezpieczni. Gadaj. Co za wiadomość miał dla mnie Mierzwa?

Chix zaczerpnął głęboko powietrza i wypuszczał je z płuc wraz z każdym wypowiedzianym słowem.

- Opal Koboï wróciła.

Śmiech Ogierka zaczął się gdzieś w okolicy kopyt, stopniowo narastał i robił się coraz głośniejszy, aż wybuchnął z wielką siłą prosto z ust.

- Opal wróciła! Koboï wróciła! Teraz wszystko rozumiem. Mierzwa przekonał cię, żebyś pozwolił mu uprowadzić prom. Pograł na twoim strachu przed Opal Koboï, a ty to kupiłeś. Opal wróciła, chyba pękne.

- To właśnie powiedział - rzekł sucho Chix. - Nie widzę powodu do śmiechu. Plujesz na ekran. Ja mam uczucia, wiesz?

Śmiech Ogierka ucichł. W rzeczywistości i tak nie był

prawdziwy, stanowił raczej wybuch tłumionych emocji.

Głównie smutku, z lekką domieszką frustracji.

- Okej, Chix. Nie winię cię za to. Mierzwa wywodził

już w pole sprytniejsze duszki od ciebie.

Uświadomienie sobie, że został obrażony, zabrało Chiksowi dobrą chwilę.

- Mógł mówić prawdę - zachnął się. - A ty możesz się mylić. I s t n i e j e taka możliwość, gdybyś nie wiedział.

Opal Koboï mogła wyprowadzić cię w pole.

Ogierek otworzył jeszcze jedno okienko na ściennym monitorze.

- Nie, Gryzoń, taka możliwość nie istnieje. Opal nie mogła wrócić, gdyż właśnie w tej chwili na nią patrzę.

Strumień danych diagnostycznych z kliniki Argona dowodził, że Opal pozostaje w śpiączce, podwieszona w swej uprzęży. Minutę wcześniej pobrano też od niej próbkę DNA i poddano testowi.

Rozdrażnienie Chiksa wyparowało.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął. – Mierzwa mó-

wił tak szczerze. Naprawdę uwierzyłem, że Holly jest w niebezpieczeństwie.

Ogon Ogierka drgnął.

- Co takiego? Mierzwa powiedział, że Holly jest w niebezpieczeństwie? Jak mógł to powiedzieć, skoro Holly nie żyje?

- Wiem - powiedział markotnie Chix. - Wymyślił

jeszcze kilka innych rzeczy, żeby zrobić mnie w konia, jak sądzę. Bez urazy.

To miało sens. Opal mogła wrobić Holly w morderstwo Juliusza. Taka okrutna zagrywka była całkiem w jej stylu.

Gdyby tylko nie wisiała wciąż w swojej uprzęży w klinice.

DNA nigdy nie kłamie.

Chix zastukał w jakiś przedmiot w pobliżu ekranu, że-by zwrócić na siebie uwagę Ogierka.

- Słuchaj, Ogierek, nie zapomnij, co mi obiecałeś. Ta rozmowa zostanie między nami. Nie ma potrzeby, żeby ktoś jeszcze się dowiedział, że okpił mnie ten krasnal.

Skończyłbym, zeszkrobując resztki curry z nornicy ze ścian policyjnej stołówki.

Ogierek bezwiednie zamknął okienko.

- Tak, niech ci będzie. Między nami. Zgoda.

Opal przebywa ciągle pod kluczem. Nie ma wątpliwo-

ści. Z całą pewnością nie mogła uciec. Gdyby tak było, ta sonda mogłaby się okazać o wiele większym zagrożeniem, niż na to wygląda. Nie mogła uciec. Nie było takiej możliwości.

Jednakże paranoiczna cząstka natury Ogierka jakoś nie chciała się z tym pogodzić. Mógłby, po prostu dla pewno-

ści, przeprowadzić kilka dodatkowych testów. Uzyskałby przecież upoważnienie, jednakże, gdyby się pomylił, nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Jeśli natomiast okaże się, że miał rację, nikt się nie będzie troszczył o kilka dodatkowych godzin czasu komputerowego.

Centaur przeszukał szybko szpiegowską bazę danych i znalazł materiał wideo nagrany w tunelu wejściowym do szybu, w którym Juliusz poniósł śmierć. Był tam pewien szczegół, który Ogierek chciał sprawdzić.

Nieoznakowany szyb,

trzy mile pod powierzchnią ziemi

Południe Włoch

Skradziony prom szybko wznosił się ku powierzchni.

Holly pilotowała z taką prędkością, jak mogła, żeby nie spalić skrzyni biegów i nie rozbić pojazdu o ścianę szybu.

294

Być może czas był w tej sprawie kwestią kluczową, niemniej niecodzienna załoga na niewiele by się komukolwiek przydała, gdyby trzeba ją było zeszkrobywać ze ściany na podobieństwo przypieczonego pasztetu.

- Tych starych rupieci używa się tylko podczas zmian warty - wyjaśniła Holly. - Ten na przykład SKR kupiło z drugiej ręki na aukcji dóbr skonfiskowanych. Jest podrasowany, żeby unikać promów władz celnych. Należał kiedyś do przemytnika curry.

Artemis pociągnął nosem. Słaba, żółtawa woń wciąż była wyczuwalna w kokpicie.

- Po co przemycać curry?

- Ostre curry jest w Oazie nielegalne. Żyjemy pod ziemią, więc musimy bardzo zważać na emisje, jeżeli chwytasz, o co mi chodzi.

Artemis chwycił i postanowił nie kontynuować dociekań na ten temat.

- Musimy zlokalizować prom Opal, zanim znajdziemy się na powierzchni, ujawniając swoją

pozycję.

Holly zatrzymała wehikuł obok małego jeziora. Podmuch silników zmarszczył połyskliwą powierzchnię.

- Wydawało mi się, że ci wspominałam, Artemisie, że jej prom jest zamaskowany. Nic go nie wykryje. Nie ma-my tu wystarczająco wrażliwych czujników, żeby ją przy-szpilić. Opal i jej duszki-podnóżki mogą jeść kolację w swoim pojeździe za następnym zakrętem, a nasz komputer pokładowy nie poinformuje nas o tym.

295

Artemis nachylił się w stronę tablic rozdzielczych i przestudiował odczyty.

- Podchodzisz do problemu od niewłaściwej strony, Holly. Trzeba się dowiedzieć, gdzie jej prom nie ma.

Artemis uruchomił kilka skanerów, aby w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów przeczesać okolicę w po-szukiwaniu pewnych gazów.

- Sądzę, że możemy założyć, że ten słabo wykrywalny prom znajduje się bardzo blisko E7. Najprawdopodobniej tuż przy samej gardzieli, ale niezależnie od tego i tak mamy mnóstwo powodów, żeby się kryć, zwłaszcza że jesteśmy zdani tylko na nasze oczy.

- Właśnie mi o to chodziło. Ale mów dalej, jestem pewna, że do czegoś zmierzasz.

- A więc właśnie skorzystałem z ograniczonych czujników tego proma, żeby przeczesać szyb, którym lecimy, jakieś osiemdziesiąt kilometrów w górę i w dół.

- Czego szukałeś? - spytała z rozdrażnieniem Holly. -

Dziury w powietrzu?

Artemis uśmiechnął się.

- Otóż to. Widzisz, zwyczajną przestrzeń wypełniają rozmaite gazy: tlen, wodór, i tak dalej; lecz słabo wykrywalny prom nie pozwoli wykryć obecności żadnego z nich w obrębie sylwetki pojazdu. Wystarczy zatem, że natrafimy na kawałek przestrzeni pozbawionej zwyczajowej mieszanki gazów...

- A poznamy pozycję zamaskowanego proma - powiedziała Holly.

- Bingo.

296

Komputer szybko dokonał skanowania i wyświetlił na ekranie model okolicy. Wielobarwne wiry reprezentowały zawarte w powietrzu substancje lotne.

Artemis kazał komputerowi szukać anomalii. System wykrył trzy, w tym fragment przestrzeni nasycony w nie-naturalnie wysokim stopniu tlenkiem węgla.

- To prawdopodobnie lotnisko. Wysokie natężenie tlenu węgla świadczy o obecności spalin.

Druga anomalia obejmowała znaczny teren ze śladowymi ilościami substancji lotnych w ogóle.

- Próżnia. Zapewne tutaj jest elektrownia komputerowa - wydedukował Artemis.

Jako trzecią anomalię komputer wskazał niewielki fragment przestrzeni u wlotu szybu E7, która najwyraźniej nie zawierała żadnych gazów w ogóle.

- To ona. Rozmiar się zgadza. Prom Koboï znajduje się na północ od wlotu do szybu.

- Dobra robota - oznajmiła Holly, lekko szturchając go w ramię. - Lecimy tam.

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że Ogierek nas namierzy, kiedy tylko wetkniemy nos do głównego systemu szybów?

Holly dała silnikom kilka sekund na rozgrzanie.

- Za późno, żeby się tym martwić. Ponad tysiąc kilometrów dzieli nas od Oazy. Do czasu, kiedy tu dotrą, zdą-

żymy już zostać bohaterami. Albo bandytami.

- Bandytami już chyba jesteśmy - zauważył Artemis.

- Prawda - zgodziła się Holly. - Ale niedługo możemy być bandytami, których nikt nie ściga.

297

Komenda Policji

Niższa Kraina

Opal Koboï wróciła. Czy to możliwe? Myśl ta nie da-wała spokoju uporządkowanemu umysłowi Ogierka, roz-bijając każdy łańcuch dedukcyjny, który centaur próbował

ułożyć. Nie zagna spokoju, dopóki w jakiś sposób nie zwe-ryfikuje słów Mierzwy.

Przede wszystkim należało raz jeszcze obejrzeć materiał wideo nagrany w szybie E37. Gdyby przypuścić, że Koboï istotnie powróciła do życia, mnóstwo szczegółów znalazłoby wyjaśnienie. Po pierwsze, dziwna mgła poja-wiająca się na wszystkich kasetach okazałaby się rezulta-tem świadomego działania, mającym na celu ukrycie jakichś faktów, nie zaś zwykłą interferencją. Utrata sygnału dźwiękowego mogła być także sprawką Koboï, gdyż w ten sposób nikt z zewnątrz nie był się w stanie dowiedzieć, co zaszło pomiędzy Holly i Juliuszem w tunelu. A tragiczna w skutkach

eksplozja byłaby dziełem Koboi, nie Holly.

Możliwość ta nappełniła Ogierka jakimś strasznym rodzajem spokoju, lecz centaur nie chciał jeszcze niczego przesądzać. Nie bez dowodu.

Ogierek obejrzał nagranie, stosując kilka rozmaitych filtrów obrazu. Bez rezultatu. Dziwacznie rozmyty fragment materiału wideo nie dał się wyostrzyć, skopiować ani przesunąć. Już to było niecodzienne. Gdyby niewyraźny fragment był skutkiem błędu komputera, Ogierek mógłby coś z nim zrobić. Tymczasem nieregularna plama tkwiła 298

w miejscu, stawiając opór wszelkim wysiłkom centaura.

„Dobrze. Może zabezpieczyłaś się przed nowoczesną techniką - pomyślał Ogierek. - Ale czy pamiętałaś o wy-próbowanych, mniej nowoczesnych metodach?” Ogierek przewinął materiał do momentu tuż sprzed eksplozji. Rozmyta plama zmieniła się w klatkę piersiową Juliusza, na którą komendant chyba rzeczywiście niekiedy spoglądał. Czy znajdował się tam jakiś ładunek wybuchowy? Jeśli tak było, musiał to być ładunek ze zdalnym de-tonatorem. A sygnał zagłuszający nadawany był zapewne tym samym pilotem. Sygnał uruchamiający zapalnik musiał być zatem silniejszy od wszystkich innych emitowanych przez urządzenie, łącznie z sygnałem zagłuszającym.

Oznaczało to, że prawdopodobnie tysięczne części sekundy przed eksplozją przedmiot znajdujący się na piersi Juliusza stanie się widoczny. Był to zbyt krótki czas, by oko wróżki zdołało coś uchwycić, jednakże oko kamery nadawało się do tego w zupełności.

Ogierek przewinął nagranie do przodu, do momentu eksplozji, i klatka po klatce zaczął je cofać. Wstrząśnięty patrzył, jak ciało przyjaciela składa się na powrót w jedno na odwróconym filmie. Starał się to zignorować, skupiając się na zadaniu. Pomarańczowe kwiaty płomieni skurczyły się do białych pączków, te zaś zbiegły się w jednym miejscu, tworząc małe, pomarańczowe słońce. Zaraz potem, na jednej tylko klatce, coś się pojawiło. Ogierek zrazu nie zwrócił na to uwagi, ale po chwili wywołał tę klatkę na 299

powrót. Jest! Na klatce piersiowej Juliusza, dokładnie w miejscu rozmazanej plamy. Jakieś urządzenie.

Ogierek pośpiesznie uruchomił program powiększają-

cy. Do klatki Juliusza przymocowana była metalowymi mackami kostka o boku trzydziestu centymetrów. Kamera utrzymała ją na jednej, jedynej klatce, widać ją było na ekranie przez niespełną tysięczną część sekundy, zrozumiałe więc, że fakt ten umknął uwagi dochodzeniowców.

Na przedniej ścianie tajemniczej skrzynki znajdował się ekran plazmowy. Ktoś komunikował się z komendantem na chwilę przed jego śmiercią. Ktoś, kto nie chciał być usłyszany, stąd zagłuszacz dźwięku. Na nieszczęście na ekranie nie było nic widać, gdyż sygnał uruchamiający detonator dezaktywował urządzenie zagłuszające, ale odciął też jednocześnie sygnał wideo.

„Wiem, kto za tym stoi - pomyślał Ogierek. - Opal Koboi wróciła na scenę”. Potrzeba było jednak



dowodu. Sło-wo centaury było niemal tyle samo warte dla Przywry Popędka, co zaprzeczenie krasnala, jakoby właśnie wypu-

ścił gazy.

Ogierek zerknął na okienko z danymi diagnostycznymi z Kliniki Ż. Argona. Chochliczka ciągle tam była, pogrą-

żona w głębokiej śpiączce. Wszystko na to wskazywało.

„Jak ci się to udało? Jakim sposobem zamieniłaś się miejscami z inną wróżką?”

Chirurgia plastyczna nie działałaby wiele. Nie da się z jej pomocą zmienić DNA. Ogierek otworzył szufladę w 300

biurku i wydobyl sprzęt, przypominający dwie małe kuchenne przepychaczki do zlewu.

Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Trzeba zapytać samą Opal.

Doktor Argon za nic nie chciał udostępnić Ogierkowi swej najlepszej pacjentki, gdy centaur dotarł na miejsce.

- Panienska Koboim znajduje się w stanie głębokiej katatonii - powiedział opryskliwie. - Skąd wiadomo, jaki wpływ na jej psychikę może mieć zastosowanie pańskiego urządzenia? Bardzo trudno jest wytłumaczyć zwyczajnej wróżce, jakie niszczące skutki może wyrzucić na umysł

dochodzącej do zdrowia pacjentki taki przyrząd.

Ogierek zarżał.

- Nie miał pan jakoś obaw, wpuszczając na salę ekipy telewizyjne. Zapewne płacą lepiej niż SKR. Naprawdę mam nadzieję, że nie uważa pan Opal za swą własność, doktorze. Chochliczka jest więźniem stanu i w każdej chwili mogę kazać ją przenieść do więzienia stanowego.

- Pięć minut, nie więcej - rzekł Żywisław Argon, wstukując kod na klawiaturze obok drzwi.

Ogierek przebiegł klusem obok niego i brzęknął swoją walizką o blat stołu. Opal zakołysała się delikatnie, kiedy dotarł do niej podmuch powietrza z otwartych drzwi. Bo pacjentka rzeczywiście wyglądała jak Opal. Z tak niewielkiej odległości, widząc ją jak na dłoni, Ogierek nie założyłby 301

się, że nie ma do czynienia ze swą dawną konkurentką. Z

tą samą Opal Koboim, która walczyła z nim o każdą nagrodę na uniwersytecie. Tą samą Opal, której niemal udało się zrzucić na centaury winę za rebelię goblinów.

- Ściągnij ją na dół - rozkazał.

Argon ustawił pryczę pod uprzężą, narzekając przy każdej wykonywanej czynności.

- Powiniennem unikać wysiłku fizycznego - jęczał. -

Biodro mnie boli. Nikt nie wie, jak bardzo cierpię. Nikt.

Nawet czarownicy nie są w stanie mi pomóc.

- Nie ma pan sanitariuszy, żeby robili takie rzeczy?

- W zasadzie mam - odrzekł Argon, obniżając uprząż.

- Ale moi stróże mają wychodne. W dodatku obaj. W normalnej sytuacji nie zgodziłbym się na to, ale wśród chochlików trudno znaleźć dobrych sanitariuszy.

Ogierek zastrzygł uszami.

- Chochlików? Pańscy stróże są chochlikami?

- Tak. Jesteśmy z nich bardzo dumni - to taki mały sukces kliniki. Są bliźniętami. Rzecz jasna, traktują mnie z najwyższym szacunkiem.

Ogierkowi drżały ręce, kiedy rozpakowywał sprzęt.

Wszystko zaczęło się składać w całość. Najpierw Chix, potem to dziwne urządzenie na piersi Juliusza, a teraz te dwa chochliki na wychodnym. Brakowało tylko jeszcze jednego elementu układanki.

- Co to za urządzenie? - spytał bojaźliwie Argon. -

Czy na pewno pacjentce to nie zaszkodzi?

302

Ogierek odchylił głowę nieprzytomnej chochliczki do tyłu.

- Proszę się nie obawiać, doktorze Argon. To retimager. Chcę się tylko przyjrzeć jej gałkom ocznym.

Uniósł jedną po drugiej powieki chochliczki, dopasowując końcówki retimagera do kształtu oczodołów.

- Każdy obraz zostawia ślad na tęczówce. Mikroskopijne odkształcenia, które można powiększyć, wzmocnić i odczytać.

- Wiem, do czego służy retimager - krzyknął Argon. -

Tak się składa, że czytam niekiedy czasopisma naukowe.

A więc chce się pan dowiedzieć, co widziała Opal, zanim zapadła w śpiączkę. Co pan przez to osiągnie?

Ogierek podłączył przewody retimagera do komputera w ścianie.

- Zaraz się przekonamy - powiedział, starając się, by zabrzmiało to bardziej tajemniczo niż desperacko.

Uruchomił program retimagera. Na ekranie plazmowym pojawiły się dwa ciemne obrazy.

- Lewe i prawe oko - wyjaśnił Ogierek, stukając w klawiaturę do chwili, kiedy obrazy się pokryły. Była to z pewnością czyjaś głowa, widziana pod pewnym kątem, jednakże zbyt ciemna, by dało się ją rozpoznać.

- Ooch, cóż za znakomita technologia - parsknął Argon z sarkazmem. - Może powinienem wezwać ekipy telewizyjne? Albo upaść na kolana i wznosić modły do bo-gów?

Ogierek zlekceważył go.

- Rozjaśnij i wzmocnij - powiedział do komputera.

303

Komputer wygenerował odpowiedni pędzel, którym rozjaśnił i wyostrzył obraz.

- Mamy tu chochlika - mruknął Ogierek. - Ale szczegółów wciąż zbyt mało - podrapał się w szczękę.  
- Porów-naj ten obraz z pacjentką Koboï Opal - powiedział do komputera.

W oddzielnym okienku pojawiła się głowa Opal Koboï, zaczęła zmieniać rozmiar i obracać się, aż ustawiła się pod tym samym kątem, co głowa tajemniczego chochlika z retimagera. Oba obrazy natychmiast zaczęły się pokrywać mrowiem czerwonych strzałek, wskazujących identyczne punkty. Po kilku chwilach przestrzeń pomiędzy okienkami wypełniła się całkowicie czerwonymi liniami.

- Czy na obrazach jest ta sama osoba? - spytał Ogierek.

- Potwierdzam - odpowiedział komputer. - Próg błędu wynosi zero przecinek pięć dziesiątych procent.

Ogierek uruchomił drukarkę.

- Tyle wystarczy.

Argon jak we śnie podszedł do ekranu. Jego twarz bladła w miarę, jak uświadamiał sobie konsekwencje tego, co widzi.

- Widziała się z boku - szepnął. - To znaczy...

- Że są dwie Opal Koboi - dokończył Ogierek. - Jedna, ta prawdziwa, uciekła. A druga, ta skorupa tutaj, jest...

- Klonem.

- Otóż to - powiedział Ogierek, wyjmując wydruk z drukarki. - Poleciała się sklonować, a potem pańscy stróże wyprowadzili ją stąd pod pańskim nosem.

304

- O rany.

- „O rany” nie jest zbyt odpowiednie. Może to wła-

ściwa chwila, żeby wezwać ekipy telewizyjne albo wznosić modły do bogów.

Argon wybrał drugą opcję, rzucając się na podłogę. Je-go marzenia o sławie i bogactwie wyparowały wszystkie naraz. Było to za dużo do zniesienia.

Ogierek przeskoczył nad nim i pogalopował prosto do Komendy Policji.

E7, na południu Włoch

Opal Koboi znosiła oczekiwanie z coraz większym trudem. Ostatnią kroplę cierpliwości spożytkowała podczas pobytu w Klinice Argona. Teraz każde jej życzenie po-winno od razu się spełnić. Niestety sto milionów ton płynnego hematytu zagłębiało się w Ziemię ze ślimaczą prędkością pięciu metrów na sekundę, nie troszcząc się najwyraźniej o zdanie chochliczki w tej sprawie.

Opal postanowiła umilić sobie czas oczekiwania obejrzeniem śmierci Holly Niedużej. Myślała sobie, że kim ona jest, ta niedorzeczna kapitan z włosami na jeża i słod-kimi usteczkami? Opal przyjrzała się własnemu odbiciu w gładkiej powierzchni. Prawdziwa piękność! Taką twarz warto uwiecznić na walucie. Całkiem możliwe, że wkrótce tak się stanie.

- Mervall! - krzyknęła. - Przynieś mi dysk z Jedenastoma Cudami. Potrzeba mi trochę rozrywki.

305

- Natychmiast, panienko Koboi - powiedział Merv. -

Czy mam najpierw dokończyć przygotowanie kolacji czy przerwać i przynieść dysk od razu?

Opal przewróciła oczami do własnego odbicia.

- A co przed chwilą powiedziałam?

- Że mam przynieść dysk.

- A zatem, mój najdroższy Mervallu, co twoim zdaniem powinieneś zrobić?

- Sądzę, że powinienem przynieść dysk - odpowiedział Merv.

- Genialne, Mervall. Po prostu genialne.

Merv wyszedł z przedziału kuchennego i wyjął dysk z odtwarzacza. Film znajdował się również na twardym dysku komputera, ale panienska Koboi życzyła sobie wypalać ulubione kawałki na dyskach optycznych. W końcu mogła potrzebować rozrywki w rozmaitych sytuacjach. W

jej kolekcji znajdował się reportaż, na którym uwieczniła załamanie nerwowe ojca, atak na Komendę Policji oraz minę Ogierka, wybałuszającego oczy do ekranu w sali technicznej SKR.

Merv podał jej dysk.

- A teraz... - powiedziała maleńka chochliczka.

Merv przez chwilę nie wiedział, o co chodzi, lecz zaraz sobie przypomniał. Jedno z najnowszych rozporządzeń Opal brzmiało, że bracia Sielawa powinni się kłaniać, kiedy znajdują się w pobliżu swej pani. Chochlik przełknął

upokorzenie i skłonił się nisko.

- Lepiej. Nie kazałam ci przypadkiem przygotować kolacji?

306

Merv wycofał się, bijąc pokłony. W ciągu ostatnich kilku godzin dość często musiał przełykać upokorzenia.

Opal nie była zadowolona z poziomu ich usług i uważała, że bracia Sielawa nie traktują jej z należnym szacunkiem, więc sporządziła listę reguł. Pośród wyszczególnionych przez nią dyrektyw znajdowało się wspomniane wcześniej bicie pokłonów, zakaz patrzenia Opal prosto w oczy, nakaz puszczenia wiatrów poza promem oraz zakaz głośnego myślenia w promieniu trzech metrów od pracodawczyni.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Opal niskim, drżącym głosem. - Widzę, jakie myśli kotłują ci się w głowie. W tej chwili akurat nie możesz wyjść z podziwu nad moją urodą.

- Niebawem - sapnął Merv, zastanawiając się jednocześnie zdradziecko, czy aby jego szefowej nie zaczęło zdrowo odbijać. Perspektywa zapanowania nad światem i zmiana gatunku sprawiały, że Opal coraz bardziej odrywa-

ła się od rzeczywistości. On i Merv opuściliby ją już dawno, gdyby nie obietnica, że kiedy Opal będzie rządzić światem, braciom Sielawa przypadnie w udziale Barbados.

Ta obietnica oraz fakt, że gdyby ją porzucili, Opal Koboi bez namysłu wpisałaby ich na swoją listę

zemsty.

Merv umknął do kuchni i powrócił do przygotowywania posiłku dla panienki Koboï, starając się nie dotykać jedzenia. Była to jeszcze jedna nowa reguła. W tym samym czasie Scant siedział w luku towarowym, sprawdzając mechanizmy detonatorów w dwóch ostatnich ładunkach 307

wybuchowych. Do wyznaczonego zadania wystarczy jeden, drugi był zapasowy. Bomby miały rozmiary melonów, choć w chwili eksplozji zdolne były narobić znacznie większych szkód. Scant upewnił się, czy magnetyczne główce zapalnika tkwią mocno w obudowie. Były to zwyczajne górnicze iskrowniki z odbiornikiem, który po odebraniu sygnału posyłał w środek ładunku impuls neutro-nowy.

Scant mrugnął do brata, którego zobaczył w otwartych drzwiach kuchni.

Merv bezgłośnie popukał się w czoło. Scant pokiwał ze zmęczeniem głową. Braci coraz bardziej drażniło skandaliczne zachowanie Opal. Trzymała ich na miejscu jedynie perspektywa wygrzewania się na plaży na Barbados z pina colada w szklankach.

Tymczasem Opal, nieczuła na rosnące w jej obozie niezadowolenie, wsunęła dysk optyczny do multinapędu.

Technologia może zaoferować wiele niezwykłych rzeczy, ale najwspanialszą jest bez wątpienia możliwość obejrzenia śmierci wroga w kryształowych barwach i kwadrofonicznym dźwięku. Na ekranie otworzyło się kilka okienek odtwarzacza wideo z nagraniami osobnych kamer zainstalowanych pod kopułą parku rozrywki.

Opal przypatrywała się z zachwytem, jak Holly i Artemis wskakują do wody, a stado złaknionych trolli następuje im na pięty. Z jej ust wyrwał się okrzyk podziwu, gdy wynurzyli się na powrót i schronili na wysepce ze ścierwem. Maleńkie serce chochliczki zaczęło bić żywiej, gdy Holly i Artemis rozpoczęli wspinaczkę po rusztowaniu.

308

Miała właśnie przywołać Mervalla i posłać go po porcję czekoladowych trufli ze skrytki pod podłogą, gdy nagle obraz ze wszystkich kamer zrobił się czarny.

- Mervall! - zaskrzeczała, nastawiając maleńkie pa-luszki. - Scant! Do mnie.

Bracia Sielawa wpadli do saloniku z wyciągniętą bronią.

- Tak, panienko Koboï? - odezwał się Scant, delikatnie układając ładunki wybuchowe na pokrytej futrem pod-

łodze saloniku.

Opal zakryła twarz dłońmi.

- Nie patrzeć na mnie! - rozkazała.

Scant spuścił wzrok.

- Przepraszam. Zakaz kontaktu wzrokowego. Zapomniałem.

- Przestań to myśleć!

- Tak jest, panienko Koboï. Przepraszam, panienko Koboï - Scant nie miał najmniejszego pojęcia, co powinien myśleć zamiast tego, co myślał, więc starał się nie myśleć w ogóle.

Opal skrzyżowała ręce i zabębniła palcami po przedramieniu.

- Coś poszło nie tak - powiedziała, a jej głos lekko drżał. - Nasze kamery w świątyni Artemis najwyraźniej przestały działać.

Merv przewinął materiał wideo do ostatniego obrazu.

Trolle biegły za Artemisem i Holly po sklepieniu świątyni.

309

- Wygląda na to, że mamy ich z głowy, panienko Koboï.

- No - zgodził się Scant. - Nie mogli się z tego wykaraskać.

Opal odchrząknęła.

- Po pierwsze, „no” nie jest poprawną odpowiedzią na pytanie. Nie życzę sobie, by odpowiadano mi w slangu. To nowa zasada. Po drugie, raz już uznałam Artemisa Fowla za martwego, i w rezultacie spędziłam rok w śpiączce.

Musimy przyjąć, że Fowl i Nieduża przeżyli i właśnie podążają naszym śladem.

- Z całym szacunkiem, panienko Koboï - powiedział

Merv do swoich stóp. - Nasz prom jest zamaskowany, nie zostawia śladu.

- Kretyn - skwitowała jego wypowiedź Opal. - Zostawiliśmy ślad we wszystkich nadziemnych stacjach telewizyjnych, podobnie jak pod ziemią. Nawet gdyby Artemis Fowl nie był geniuszem, domyśliłby się, że to ja stoję za sondą Zita. Musimy natychmiast podłożyć ostatni ładunek. Na jakiej głębokości znajduje się sonda?

Scant dopomógł sobie odczytem z komputera.

- Stu czterdziestu dwóch kilometrów. Od optymalnego miejsca eksplozji dzieli nas półtorej godziny.

Opal przechadzała się przez kilka chwil po pokładzie.

- Nie wychwyciliśmy żadnego połączenia z Komendą Policji, więc jeśli nawet żyją, są zdani na siebie. Najlepiej nie ryzykować. Podłożymy ładunek teraz i będziemy go 310

pilnować. Sprawdź jeszcze raz obudowy, Scant. A ty, Me-rv, przeprowadź test systemów promu. Nawet jeden jon nie ma prawa wydostać się poza kadłub.

Bliźniacy wycofali się, bijąc pokłony. Zrobią, co im polecono, choć bez wątpienia szefowa zachowuje się trochę paranoicznie.

- Słyszałam, co myślisz - wrzasnęła Opal. - Nie zachowuję się paranoicznie!

Merv schronił się za stalową przegrodą, żeby ukryć swe fale mózgowy. Czy panienska Koboï naprawdę potrafi przechwycić jego myśli? A może to znowu tylko parano-ja? W końcu ludzie cierpiący na paranoję zazwyczaj sądzą, że wszyscy wokół uznają ich za paranoików. Merv wytknął głowę zza przegrody i dla upewnienia wymierzył w Opal myśl.

„Holly Nieduża jest ładniejsza od ciebie” - pomyślał

najgłośniejsz jak umiał. Zdradziecka myśl, bez wątpienia taka, którą Opal musiała wychwycić od razu, jeśli istotnie potrafiła czytać w myślach.

Opal utkwiała w nim spojrzenie.

- Merv?

- Tak, panienska Koboï?

- Patrzysz prosto na mnie. Bardzo źle mi to działa na skórę.

- Przepraszam, panienska Koboï - rzekł Merv, odwracając oczy. Przypadkiem zerknął przez szybę kabiny w stronę wlotu do szybu. Dokładnie w chwili, by dostrzec prom SKR wylatujący z holograficznego nawisu skalnego, 311

pod którym kryły się wrota do przystani promowej.

- Uhm, mamy problem, panienska Koboï – wskazał na szybę.

Prom uniósł się dziesięć metrów i zawisł pośród wło-skiego krajobrazu. Załoga bez wątpienia czegoś wypatry-wała.

- Znaleźli nas - wyszeptała Opal ze zgrozą. Zdławiła jednak panikę i dokonała szybkiej analizy sytuacji. - To prom transportowy, a nie jednostka pościgowa - zauważy-

ła i przeszła szybkim krokiem do kokpitu.

Bliźniacy szli za nią krok w krok.



- Musimy przypuścić, że na pokładzie znajduje się Artemis Fowl i Holly Nieduża. Nie mają uzbrojenia ani prostych skanerów. W takim świetle jesteśmy praktycznie niewidoczni nawet dla nieuzbrojonego oka. Są ślepi.

- Może ich zestrzelić? - spytał ochoczo młodszy z braci Sielawa. Przydałoby się wreszcie trochę obiecannej agresji.

- Nie - odrzekła Opal. - Impuls plazmowy pozwoliłby nas namierzyć satelitom policyjnym wrózek i ludzi. Sie-dzimy cicho. Wyłączcie wszystko. Nawet moduł podtrzy-mywania życia. Nie wiem, jak udało im się dotrzeć tak blisko, ale odkryć nasze położenie mogą tylko w jeden sposób - jeśli na nas wpadną. A jeśli to nastąpi, ich mały wehikuł rozpadnie się jak domek z kart.

Bracia Sielawa niezwłocznie wykonali polecenie, wy-

łączając wszystkie systemy promu.

312

- Świetnie - szepnęła Opal, przykładając szczupły pa-luszek do ust. Przypatrywali się promowi przez kilka minut w ciszy, póki chochliczka nie postanowiła jej przerwać.

- Niech ten z was, który właśnie puszcza wiatry, natychmiast przestanie, bo będę musiała wymyślić dla niego stosowną karę.

- To nie ja - odpowiedzieli jednocześnie bracia Sielawa. Żaden z nich nie miał ochoty się dowiedzieć, jaka jest stosowna kara za puszczenie wiatrów.

E7, dziesięć minut wcześniej

Holly wyprowadziła prom SKR ze szczególnie niebezpiecznego pomostu przyszybowego i wleciała do E7.

Niemal natychmiast na konsoli rozbłysły dwa czerwone, pulsujące sygnały dźwiękowe.

- Zegar tyka - poinformowała. - Właśnie uruchomili-

śmy dwa czujniki Ogierka. Nasza obecność zostanie po-wiązana z sondą i za chwilę będziemy mieli ogon.

- Ile mamy czasu? - spytał Artemis. Holly szybko ob-liczyła w pamięci.

- Jeśli wyślą naddźwiękowy prom bojowy, mniej niż pół godziny.

- Doskonale - skwitował Artemis, usatysfakcjonowa-ny.

- Naprawdę bardzo się cieszę - jęknął Mierzwa. -

Choć naddźwiękowy prom SKR nie jest najczęściej mile 313

widziany wśród włamywaczy. Wyznajemy ogólną zasadę, że dużo lepsze są promy poddźwiękowe.

Holly przywarła wehikułem do skalistego nawisu w ścianie szybu.

- Wycofujesz się, Mierzwa? Czy tylko zrzędzisz, jak zwykle?

Krasnal poruszył szczękami, przygotowując je do oczekującego go zadania.

- Wydaje mi się, że mam prawo do małego zrzędzenia. Dlaczego wasze plany zawsze zakładają, że to ja się narażam, a wy w tym czasie czekacie na pokładzie promu lub w innym bezpiecznym miejscu?

Artemis wręczył mu torebkę chłodzącą.

- Dlatego, że jesteś jedyną osobą, która jest w stanie tego dokonać, Mierzwa. Sam jeden możesz udaremnić cały plan Kobi.

Trudno powiedzieć, by Mierzwa był zachwycony.

- Nie jestem zachwycony - powiedział. - Lepiej dla was, gdyby przyznali mi za to medal. I gdybym dostał

trochę prawdziwego złota. Nie jakieś tam pozłacane komputerowe dyski.

Holly popchnęła go w stronę wjazdu w sterburcie.

- Mierzwa, jeśli nie zamkną mnie w więzieniu na resztę życia, zaczynam kampanię na rzecz przyznania ci największego medalu, jaki się znajdzie w zestawie SKR.

- Oraz amnestii na wszystkie przeszłe i przyszłe przestępstwa?

Holly otworzyła wjazd.

314

- Na przeszłe, być może. Na przyszłe nie ma mowy.

Ale nie mogę ci nic zagwarantować. Nie jestem ostatnio na topie w Komendzie Policji.

Mierzwa włożył torebkę pod koszulę.

- Okej. Może dostanę duży medal i amnestię. Zgoda.

- Krasnal postawił jedną stopę na płaskiej kamiennej powierzchni na zewnątrz. Wiatr tunelowy zaraz w nią uderzył, chcąc porwać go ze sobą w otchłań.

- Spotkamy się za dwadzieścia minut.

Artemis podał krasnalowi małą krótkofalówkę z szafki SKR.

- Działaj zgodnie z planem - krzyknął wśród ryku wiatru. - Nie zapomnij zostawić krótkofalówki. Ukradnij tylko to, co powinienes. Nic innego.

- Nic innego - powtórzył Mierzwa z niezbyt szczęśliwym wyrazem twarzy. Bo w sumie kto mógł się spodziewać, jakie bogactwa zgromadziła Opal na pokładzie swego promu. - Chyba że coś samo się napatoczy.

- Nic innego - powiedział Artemis z naciskiem.

- Jesteś pewien, że zdołasz się tam dostać?

Uśmiech Mierzwy odsłonił dwa rzędy prostokątnych siekaczy.

- Mogę. Zadbajcie tylko, by nie włączyli zasilania i patrzyli w inną stronę.

Butler zważył w dłoni torbę ze swoimi zabawkami, któ-

rą przywiózł ze sobą z Dworu Fowlów.

- Nie obawiaj się, Mierzwa. Będą patrzeć w inną stronę. Gwarantuję ci.

315

Komenda Policji

Niższa Kraina

Wszyscy wysocy rangą funkcjonariusze zgromadzili się w pomieszczeniu operacyjnym i oglądali transmitowane na bieżąco wiadomości o postępach sondy, kiedy na salę wpadł Ogierek.

- Musimy porozmawiać - wyrzucił z siebie.

- Cisza - syknął przewodniczący Rady Cahartez. -

Nałóż sobie curry.

Przewodniczący Cahartez był właścicielem floty cięża-rówek, rozwożących curry po Oazie. Jego specjalnością było curry z nornicy. Najwyraźniej to właśnie on zorganizował catering na to małe posiedzenie.

Ogierek nawet nie spojrzał w stronę bufetu. Pochwyił

pilota, który leżał na fotelu przewodniczącego, i odciął

dźwięk.

- Mamy poważne kłopoty, panie i panowie. Opal Koboi zdołała uciec i prawdopodobnie to ona stoi za sondą Zita.

Obrotowy fotel z wysokim oparciem zwrócił się w jego stronę. Siedział w nim Przywra Popędek.

- Opal Koboi? Niebawem. Zorganizowała to wszystko telepatycznie, jak rozumiem.

- Nie. Co robisz na tym miejscu? To fotel komendanta. Prawdziwego, a nie głównodowodzącego Spraw We-wnętrznych.

Przywra poklepał złote żołądziejki, wpięte w klapę munduru.

316

- Dostałem awans.

Ogierek zbladł.

- Jesteś nowym komendantem Rozpoznania?

Uśmiech Popędka rozjaśniłby nawet zupełnie ciemny pokój.

- Owszem. Rada uznała, że Rozpoznanie wymknęło się ostatnio trochę spod kontroli. Uważają - i muszę przyznać, że się z tym zgadzam - że Rozpoznanie potrzeba twardej ręki. Oczywiście nie opuszczę stanowiska w Wydziale Wewnętrznym, dopóki nie znajdzie się godny zastępca.

Ogierek spochmurniał. Nie było czasu na coś takiego.

Nie teraz. Musiał otrzymać pozwolenie na start naddźwię-

kowego promu najszybciej, jak się da.

- W porządku, Przywra, panie komendancie. Na moje sprzeciwy przyjdzie czas potem. Teraz musimy wszyscy razem poradzić sobie z sytuacją bezpośredniego zagrożenia.

Wszyscy nadstawili uszu. Choć nikt, nie licząc komendant skrzydłowej Vinyáyi, nie uczynił tego ze zbytnim entuzjazmem. Vinyáya zawsze była gorącą zwolenniczką Juliusza Bulwy i z całą pewnością nie głosowała na Popędka.

- Co to za sytuacja, Ogierek? - spytała.

Ogierek wsunął dysk optyczny do multinapędu.

- W klinice Argona znajduje się klon, a nie Opal Koboi.

- Macie na to dowody? - chciał wiedzieć Przywra.

Ogierek podświetlił okienko na ekranie.

- Przeskanowałem jej źrenice i odkryłem, że ostatnią osobą, którą widział klon z kliniki, była Opal Kobi. Bez wątpienia podczas ucieczki.

Przywry nie przekonało to wcale.

- Nigdy nie ufałem waszym zabaweczkom, Ogierek.

Ten twój retimager nie dostarcza dowodów akceptowa-nych na sali sądowej.

- Nie jesteśmy na sali sądowej, Przywra - odrzekł

przez zaciśnięte zęby Ogierek. - Jeśli przyjmiemy, że Opal zdołała uciec, wydarzenia ostatnich dni nabiorą zupełnie nowego wymiaru. Wyłania się pewien schemat. Łuskoń nie żyje, z kliniki zniknęła dwójka chochlików-sanitariuszy, Juliusz został zamordowany i podejrzenie padło na Holly. Następnie, zaledwie kilka godzin później, ludzie wysyłają na dół sondę, na dziesięć lat przed spodziewanym terminem ukończenia projektu. Wszystko to sprawka Kobi. W naszym kierunku wysłano sondę, a my oglądamy to w PPTV... i obzeramy się śmierdzącym curry z nornicy.

- Sprzeciwiam się tym obelżywym uwagom pod adre-sem curry - powiedział mocno dotknięty Cahartez. - Jeśli chodzi o resztę, to wiem, do czego zmierzasz, Ogierek.

Przywra skoczył na równe nogi.

- Oto do czego! Ogierek połączył kropki, które nie istnieją. Próbuje po prostu zrehabilitować swoją nieżyjącą przyjaciółkę, kapitan Niedużą.

- Możliwe, że Holly żyje! - krzyknął Ogierek. - I pró-

buje przeszkodzić Opal Kobi.

Przywra przewrócił oczyma.

- Ale jej wykres diagnostyczny powiedział nam co innego, centaurze. Zniszczyliśmy zdalnie jej kask. Byłem przy tym, o ile dobrze sobie przypominam.

W drzwiach ukazała się głowa jednego z asystentów laboratoryjnych Ogierka.

- Przyniosłem walizkę, sir - wydyszał. - Najszybciej, jak mogłem.

- Dobra robota, Roob - powiedział Ogierek, chwytając walizkę z rąk asystenta i odwracając ją tak, żeby wszyscy widzieli. - Wyposażyłem Holly i Juliusza w mundury nowej generacji. Prototypy. Z zainstalowanymi bioczujni-kami i naprowadzaczami. Niepodłączonymi do głównej sieci SKR. Nie przyszło mi wcześniej do głowy, żeby je sprawdzić. Możliwe, że kask Holly uległ zniszczeniu, a jej

mundur wciąż działa.

- Co mówią czujniki tych strojów, Ogierek? - spytała Vinyáya.

Centaur niemal bał się sprawdzać. Jeżeli okaże się, że wykres danych diagnostycznych jest płaski, w pewnym sensie ponownie straci Holly. Policzył do trzech i zerknął

na niewielki ekranik wmontowany w walizkę. Na wyświetlaczu widniały dwa wykresy. Jeden płaski. Juliusza. Drugi natomiast aktywny na wszystkich polach.

- Holly żyje! - zakrzyknął centaur, hałaśliwie całując komendant Vinyáye w policzek. - Żyje i ma się całkiem dobrze, nie licząc podwyższonego ciśnienia krwi i niemal całkowitego braku magii.

319

- Gdzie ona jest? - spytała Vinyáya z uśmiechem.

Ogierek powiększył fragment ekranu, na którym widniały współrzędne lokalizacji Holly.

- Leci w górę szybem E7. Promem, który uprowadził

Mierzwa Grzebaczek, jeśli się nie mylę.

Przywra był zachwycony.

- Pozwólcie, że powiem wprost. Podejrzana o morderstwo Holly Nieduża znajduje się na pokładzie skradzionego promu w bezpośredniej bliskości sondy Zita?

- Zgadza się.

- A zatem jest również pierwszą podejrzaną o wszelkie ewentualne problemy, które wynikną w związku z tą sondą.

Ogierek poczuł wielką pokusę, by dać Przywrze kop-niaka, lecz zwalczył ją dla dobra Holly.

- Proszę tylko, Przywra, żebyś dał mi zezwolenie na start naddźwiękowego promu w celu zbadania sytuacji.

Jeżeli się nie mylę, twoje pierwsze posunięcie na stanowisku komendanta okaże się zażegnaniem katastrofy.

- A jeśli się mylisz, Ogierek? A najprawdopodobniej tak jest rzeczywiście?

- Jeśli się mylę, schwytasz publicznego wroga numer jeden, kapitan Holly Niedużą.

Przywra pogładził kozią bródkę. Nie mógł przegrać w takich okolicznościach.

- Doskonale. Wysyłamy prom. Ile czasu zajmą przygotowania?

Ogierek wyjął z kieszeni telefon i uderzył w klawisz.

320

- Majorze Wodorost - powiedział do słuchawki. -

Mamy zielone światło. Ruszaj! - Ogierek uśmiechnął się do Popędka. - Wprowadziłem majora w sytuację, kiedy do was jechałem. Byłem pewien, że przychyli się pan do moich sugestii. Komendanci zazwyczaj to czynią.

Przywra zmarszczył brwi.

- Nie spoufalajcie się ze mną, kucyku. Nie liczcie, że to początek cudownej przyjaźni. Wysłałem prom, gdyż jest to jedyne i najlepsze rozwiązanie. Jeżeli w jakiś sposób próbujecie mną manipulować albo naginać prawdę, przez następne pięć lat nie wyjdziecie z sali przesłuchań.

A potem was zwolnię.

Ogierek zignorował go. Będzie jeszcze mnóstwo czasu na wymianę gróźb. Teraz musiał się skupić na poczynaniach promu. Już raz przeżył śmierć Holly i nie miał zamiaru przechodzić przez to ponownie.

E7

Mierzwa Grzebaczek mógł zrobić karierę sportową ja-ko lekkoatleta. Miał szczęki oraz wyposażenie przetwarzające stworzone do sprintu tunelowego, a nawet do podziemnego maratonu. Nie brakowało mu wrodzonych zdolności, lecz chęci. Przez kilka miesięcy ćwiczył nawet na uniwersytecie, jednakże surowy reżim treningów i diety nie bardzo mu odpowiadał.

Mierzwa pamiętał jeszcze pewną wieczorną rozmowę z uniwersyteckim trenerem sprintu tunelowego.

321

„Szczęki to ty masz, Grzebaczek - przyznał stary krasnal. - I zad też masz, bez dwóch zdań. Jeszcze nie spotka-

łem nikogo, kto wypuszczałby bąble tak szybko, jak ty.

Ale brakuje ci serca, a to jest właśnie w sporcie najważ-

niejsze”.

Może stary krasnal miał rację? Mierzwa nigdy nie miał

dość serca, by się poświęcać bezinteresownie. Sportowe kopanie tuneli to zadanie dla samotnika, i nie da się na nim wiele zarobić. Zwłaszcza że stacje telewizyjne niespecjalnie interesują się dyscyplinami etnicznymi. A bez reklamy sportowiec nie może liczyć na wysokie gaże. Mierzwa

uznał, że aby zarobić, może spożytkować swój talent inaczej, przechodząc na ciemną stronę prawa. Może kiedy uciuła trochę złota, krasnalowe samice będą chętniej odpowiadać na jego telefony.

I oto teraz, łamiąc wszystkie swoje zasady, przygotowywał się do włamania na pokład promu najeżonego czujnikami zaawansowanej technologii wrózek, którego załogę stanowili uzbrojeni wrogowie. W dodatku robił to tylko po to, żeby pomóc komuś innemu. Ze wszystkich pojazdów na powierzchni planety lub pod nią Artemis chciał się oczywiście dostać na pokład najbardziej zaawansowanego technologicznie promu, jaki kiedykolwiek powstał. Każdy centymetr kwadratowy powłoki zamaskowanego wehikułu mógł kryć laser bojowy, czujniki ruchu, sensory ciężaru i kto wie co jeszcze. A jednak alarmy nie sprawiają zazwyczaj kłopotów, jeśli się ich nie uruchomi, a właśnie na to liczył Mierzwa.

322

Krasnal zamachał na pożegnanie mniej więcej w kierunku promu transportowego, na wypadek gdyby ktokolwiek jeszcze na niego patrzył, zszedł ze skalnego nawisu i przyłgął bezpiecznie do ściany szybu. Krasnale nie przepadają za wysokością, a przebywanie pod powierzchnią ziemi niespecjalnie pomaga na lęk wysokości.

Mierzwa zatopił palce w żyłę miękkiej gliny, biegnącej w poprzek kamiennej ściany. Był w domu. Każde miejsce na ziemi było dla niego domem, jeśli tylko była tam glina.

Mierzwa poczuł, że spływa na niego spokój. Był bezpieczny - przynajmniej na razie.

Krasnal zdjął szczęki z zawiasów z dubeltowym trza-skiem, który sprawiał nieodmiennie, że wszystkie inne czujące istoty niemiłosiernie się krzywiły. Odpiął klapkę na siedzeniu i wgryzł się w żyłę. Miażdżące zęby odgryza-

ły całe kubły gliny ze ściany szybu. W jednej chwili powstał tunel. Mierzwa wczołgał się do środka, zamykając wydrążenie za sobą przetworzoną gliną, wydalaną z drugiego końca.

Po jakichś sześciu kęsach jeden z jego włosów, który był zarazem mikroskopijną anteną sonaru, wykrył pobliską półkę skalną. Mierzwa skorygował kurs. Zamaskowany wehikuł nie będzie po prostu stał na skale. Był to najnowszy model, a zatem wyposażony w trzpień zasilający. Z

kadłuba pojazdu wysuwały się teleskopowo pręty, wwiercające się na głębokość piętnastu metrów w podłoże, i dostarczały akumulatorom promu energii wprost z Ziemi.

Najczystszej możliwej energii.

323

Pręty zasilające lekko wibrują, pobierając energię, i właśnie te wibracje Mierzwa obrał sobie za drogowskaz.

Potrzebował niespełna pięciu minut miarowego przeżuwania, żeby wydostać się na półkę skalną i dotrzeć do głowi-cy pręta zasilającego. Wibracje zdążyły już spulchnić grunt, więc nie było dla



Mierzwy żadnym problemem wydrążyć niewielką jaskinię dla siebie. Pokrywszy jej ściany śliną, usiadł i czekał.

Holly przeprowadziła prom SKR przez ciasny port, otwierając wrota doku swoim kodem Rozpoznania. Nikt w Komendzie Policji nie zatroszczył się o to, żeby go zmienić. Najwyraźniej uważali ją za zmarłą.

Kiedy wylatywali z holograficznego nawisu skalnego, nad włoskim krajobrazem rozrastała się warstwa czarnych chmur deszczowych. Czerwonawą glinę pokrywała cienka powłoka szronu, południowy wiatr uniósł nieco ogon promu.

- Nie możemy tu wisieć zbyt długo - powiedziała Holly, zamykając przepustnicę na tyle, by pojazd zawisł w powietrzu. - To prom transportowy. Nie mamy osłon i uzbrojenia.

- Nie ma takiej potrzeby - rzekł Artemis. - Rozpocznij przeczesywanie terenu zgodnie ze wzorem szachownicy, jakbyś nie była pewna, w którym miejscu znajduje się zamaskowany prom.

Holly wpisała do komputera pokładowego kilka współrzędnych.

- Jesteś geniuszem.

324

Artemis odwrócił się do Butlera. Służący siedział po tu-recku w przejściu pomiędzy fotelami promu.

- A teraz, stary przyjacielu, zadbaj o to, by Opal patrzyła w naszą stronę.

- Robi się - powiedział Butler, przybliżając się do bocznych drzwi. Rozsunął je, naciskając guzik. Prom drgnął lekko, kiedy ciśnienie w kabinie wyrównywało się z tym na zewnątrz, i znieruchomiał.

Butler rozpiął torbę z bronią i wyjął garść metalowych kul, nie większych od piłek tenisowych. Odciągnął do tyłu bezpiecznik na jednej z piłek i kciukiem wcisnął guzik pod spodem. Guzik zaczął się podnosić do pierwotnej pozycji.

- Za dziesięć sekund przycisk podniesie się do końca.

Wtedy nastąpi połączenie.

- Dziękuję za wykład - powiedział sucho Artemis. -

Zdaje się, że to już zaraz.

Butler uśmiechnął się i wyrzucił metalową kulę na ze-wnątrz. Pięć sekund później kula eksplodowała, wrywając w ziemi poniżej niewielki krater. Zygzakowate linie pęknięć otoczyły krawędź krateru, czyniąc go podobnym do czarnego kwiatu.

- Założę się, że Opal nie spuszcza z nas oczu - powiedział Butler, odbezpieczając kolejny granat.

- Wkrótce także inni przyłecą popatrzeć. Wybuchy zazwyczaj nie pozostają niezauważone. Jesteśmy tu, co prawda, względnie odizolowani. Najbliższa wioska leży szesnaście kilometrów stąd. Jeśli będziemy mieli szczę-

ście, możemy liczyć na dziesięć minut spokoju. Przesuń 325

nas w następne pole szachownicy, Holly. Ale nie za blisko nich, nie chcemy ich wystraszyć.

Piętnaście metrów pod ziemią Mierzwa Grzebaczek czekał w swojej jaskini własnej roboty, obserwując koń-

cówkę pręta zasilającego. W chwili, gdy ten przestał wibrować, krasnal zaczął przedzierać się w górę przez warstwy luźnej gliny. Teleskopowy pręt był ciepły, rozgrzała go energia, którą transportował do akumulatorów promu.

Mierzwa pomagał nim sobie w swojej podróży, podciągając się do góry kawałek po kawałku. Ziemia, którą pochłaniał, dzięki prętowi była nasycona powietrzem, i krasnal był zadowolony z dodatkowego powietrza, które dostawa-

ło mu się do trzewi. Bezzwłocznie przetwarzał je w wiatry, używając ich odrzutu, by szybciej znaleźć się na górze.

Zdwoił tempo, przepompowując glinę i powietrze przez swój układ trawienny. Uwagę Opal da się odwracać jedynie na tyle długo, żeby się nie zorientowała, iż nastąpiła dywersja. Pręt robił się coraz grubszy, w miarę jak Mierzwa zbliżał się do promu. Wreszcie oczom krasnala ukazała się gumowa uszczelka pod spodem kadłuba pojazdu, który stał na trzech wysuwanych podporach pół metra nad ziemią. Gdyby prom się uniósł, gumowa uszczelka zostałaby przykryta metalową osłoną, ale na szczęście w tej chwili nie leciał i wszystkie czujniki były wyłączone.

Mierzwa wygramolił się ze swojego tunelu i umieścił

szczęki na powrót na zawiasach. Czekala go delikatna 326

roboty i musiał całkowicie panować nad zębami. Guma nie jest polecanym składnikiem krasnalowej diety, więc powinien się starać jej nie połykać. Na wpół strawiona guma mogła mu zatkać wnętrzności tak samo skutecznie, jak beczka kleju.

Niełatwo było ugryźć. Trudno o uchwyt. Mierzwa rozpląszczył policzek na pręcie zasilającym i cal po calu przesunął się do góry, póki jego siekacze nie znalazły oparcia na metalowej uszczelce. Zaczął wiercić otwór w litej gumie, zataczając szczękami niewielkie koła, póki jeden z jego górnych zębów nie przebił się na drugą stronę. Wtedy Mierzwa zacisnął szczęki i zaczął poszerzać rozdarcie do chwili, gdy w gumie ukazał się otwór wielkości dziesięciu centymetrów. Teraz Mierzwa mógł już wcisnąć szczęki do środka. Odrywał grube kawały gumy, nie zapominając natychmiast ich wypluć.

W niespełna pół minuty krasnal wygryzł trzydziesto-centymetrowy, okrągły otwór. Wystarczy, żeby

się precyzyjnie. Ktoś nieobeznany z krasnalami mógłby się założyć, że Mierzwa nigdy w życiu nie wcisnąłby swego krępego, dobrze odżywionego ciała w tak wąską szczelinę, jednakże przegrałby zakład. Krasnale przez całe milenia uciekały z rozmaitych zamkniętych przestrzeni, wykształcając przy okazji zdolność do przeciskania się przez jeszcze węższe otwory.

Mierzwa wciągnął brzuch i zaczął się przeciskać przez otwór głową do przodu. Cieszył się, że znajduje się poza zasięgiem słabego, porannego słonecznego blasku. Słońce jest kolejną rzeczą, za którą krasnale nie przepadają; po 327

kilku minutach spędzonych w pełnym blasku skóra krasnala czerwienieje jak gotowany homar. Mierzwa precyzyjnie

się obok pręta zasilającego do maszynowni promu. Większość miejsca w pomieszczeniu zajmowały płaskie baterie oraz generator wodorowy. Powyżej znajdował się właz, który prowadził zapewne do ładowni. Na całej długości pomieszczenia wisiały świetliste przewody, spowijając je mdłą, zielonkawą poświatą. Gdyby nastąpił najmniejszy wyciek z generatora, zmieniłyby kolor na fioletowy. Przewody świetlne działały mimo odłączenia zasilania, gdyż światło pochodziło od pewnego gatunku alg ze specjalnej hodowli. Mierzwa nie wiedział o tym, rzecz jasna, ale pomyślał, że ich blask bardzo przypomina luminescencję jego własnej śliny, i to skojarzenie sprawiło, że poczuł się rozluźniony. Jak się okazało, odrobinę za bardzo, gdyż niewielki bąbelek gazu zdołał uciec przez kłapkę w jego portkach. Całe szczęście, że nikt nie zauważył...

Może minutę później usłyszał nad sobą głos Opal.

- Niech ten z was, który właśnie puszcza wiatry, natychmiast przestanie, bo będę musiała wymyślić dla niego stosowną karę.

Oj, pomyślał Mierzwa pełen poczucia winy. W krasnalich kręgach uważa się niemal za zbrodnię pozwolić, by ktoś inny uznany został za sprawcę twoich bąbelków powietrza. Mierzwa odruchowo miał już podnieść dłoń, by się przyznać, ale na szczęście instynkt przetrwania okazał

się silniejszy niż sumienie.

328

Chwilę później nadszedł sygnał. Trudny do przegapienia. Eksplozja obróciła promem o dwadzieścia stopni.

Czas zrobić następny ruch, pokładając zaufanie w Artemisie. Oby Błotniaczek się nie mylił, kiedy mówił, że nie sposób nie patrzeć na eksplozję.

Mierzwa ciemieniem uniósł odrobinę właz. Niemal się spodziewał, że za chwilę ktoś postawi stopę na kłapie, jednak ładownia była pełna. Mierzwa otworzył właz na oścież i wczuł się do niewielkiego pomieszczenia.

Znajdowało się tutaj mnóstwo nader interesujących rzeczy.

Skrzynki ze sztabkami złota, pudełka z perspeksu wypeł-

nione ludzkimi pieniędzmi oraz manekiny obwieszane antyczną biżuterią. Bez wątpienia Opal nie miała zamiaru stać się człowiekiem biednym. Mierzwa pochwycił jeden diamentowy kolczyk z najbliższego popiersia. Jak mówił

Artemis? Ma nie kraść nic innego? I co z tego, że tak mó-

wił? Jeden kolczyk nie spowoduje opóźnień.

Mierzwa wrzucił diament wielkości gołębiego jaja do ust i przełknął. Odzyska go później, kiedy będzie sam. Do tego czasu przechowa go w ścianie żołądka, a klejnot, kiedy już wydostanie się na zewnątrz, będzie jeszcze bardziej lśniący niż teraz.

Kolejna eksplozja zatrzęsała podłogą pod stopami krasnala, każąc mu ruszyć się z miejsca. Mierzwa podszedł do niedomkniętych drzwi ładowni. Kolejnym pomieszczeniem okazał się przedział pasażerski, cały obity pluszem -

dokładnie tak, jak mówiła Holly. Wargi Mierzwy uniosły się na widok pokrytych futrem foteli. Odrażające. Za 329

przedziałem pasażerskim widać było kabinę pilota. Opal i dwójka jej przyjaciół byli dobrze widoczni. Wyglądali z napięciem przez przednią szybę pojazdu. Nie wydawali najmniejszych dźwięków, nie odzywali się ani słowem.

Dokładnie tak, jak przewidział Artemis.

Mierzwa opadł na kolana i zaczął się czołgać po dywanie saloniku. Znalazł się całkowicie na widoku. Gdyby któryś z chochlików się odwrócił, krasnal zostałby zdybany na samym środku dywanu i mógłby się ukryć co najwyżej za uroczym uśmiechem.

„Idź dalej i nie myśl o tym - powiedział sobie Mierzwa.

- Jeśli Opal cię złapie, udasz, że zablądziłeś, masz amnezję albo właśnie przebudziłeś się ze śpiączki. Może okaże współczucie, podaruje ci trochę złota i odeśle do domu. O

tak, jasne”.

Pod kolanem Mierzwy coś lekko trzasnęło. Krasnal zamarł, ale chochliki nie zareagowały na dźwięk. Zapewne było to wieko skrzynki grabieżczej, ulubionej kryjówki Opal. Mierzwa ominął starannie to miejsce. Ostatnią rzeczą, której teraz sobie życzył, były kolejne trzaśnięcia.

Na fotelu, na wysokości nosa krasnala, leżały dwa ładunki wybuchowe. Mierzwa nie mógł uwierzyć własnym oczom. Mniej niż metr od niego. To był ten fragment planu, w którym trzeba było liczyć na szczęście. Gdyby jeden z braci Sielawa włożył je sobie pod pachę albo gdyby ich było więcej, niż można unieść, musieliby dokonać abordażu na pojazd Opal i modlić się, by udało im się obezwładnić

załogę. Ale oto były, niemal się prosząc o to, by je zwę-

dzić. Kiedy przychodziło do decydującego momentu w rabunku, Mierzwa często obdarzał w myśli głosem przedmioty, które zamierzał ukraść. Wiedział, że jest to nieco zwariowany zwyczaj, ale zbyt często bywał sam i czasem musiał z kimś pogadać.

„Proszę cię, mały przystojniaku - powiedziała pierwsza bomba zmysłowym falsetem. - Czekam. Nie podoba mi się w tym miejscu. Zabierz mnie stąd”.

„Bardzo chętnie, madame - pomyślał Mierzwa, wyjmując zza koszuli torbę. - Zabiorę panią ze sobą, ale nie odda-limy się stąd zbytnio”.

„Mnie też - powiedziała druga bomba. - Ja też nie chcę tu zostać”.

„Nie obawiajcie się, drogie panie. Tam, gdzie idziemy, będzie wam bardzo wygodnie”.

Kiedy minutę później Mierzwa przeciskał się przez rozdartą gumową uszczelkę, ładunki nie leżały już na fotelu. Zamiast nich spoczywała tam mała, przenośna krótkofalówka.

Trójka chochlików siedziała cichutko w kabynie zamaskowanego promu. Jedno z nich skupiało całą uwagę na unoszącym się dwieście metrów od ich dziobu promie transportowym. Pozostała dwójka skupiała całą uwagę na tym, żeby nie puszczać wiatrów i nie myśleć o tym, żeby nie puszczać wiatrów.

331

Boczne wejście transportowca otworzyło się, jakiś przedmiot błyskał w porannym świetle i poleciał w stronę ziemi. Kilka sekund później ów przedmiot eksplodował, wstrząsając amortyzatorami zamaskowanego promu.

Bracia Sielawa wydali z siebie długie westchnienie, a Opal wytargała ich obu za uszy.

Koboi się nie martwiła. Szukali jej. Strzelali w ciemno albo niemal w ciemno. Możliwe, że za trzydzieści minut zrobi się na tyle widno, żeby dostrzec jej wehikuł gołym okiem, ale do tego czasu zdąży się on wtopić w wiejski krajobraz dzięki powłokom kadłuba, wykonanym z maskującego minerału i folii kamuflażowej. Fowl zapewne odgadł, gdzie się znajdują, ponieważ w pobliżu tego szybu przebiegała trasa sondy. Ale musiał się zadowolić jedynie przybliżeniem. Oczywiście byłoby rozkosznie strącić go z nieba, jednakże impulsy plazmowe nie uszłyby uwagi skanerów satelitarnych Ogierka - byłoby to równoznaczne z wyłączeniem wszystkich osłon.

Wyjęła ze schowka elektroniczną tabliczkę i świetlnym piórem napisała na niej wiadomość.

Zachowujcie się cicho i spokojnie. Nawet jeśli któryś z tych granatów nas trafi, nie zdoła przebić kadłuba.

Mervall wziął od niej tabliczkę. Może powinniśmy odlecieć? Niedługo zjawią się Błotni Ludzie.

Opal odpisała. Drogi Mervallu, proszę, nie zaczynaj znowu z tym myśleniem - rozboli cię głowa. Czekamy, aż oni odlecą. Z takiego dystansu mogliby usłyszeć nasze silniki, gdybyśmy je włączyli.

112

Zamaskowanym promem wstrząsnęła kolejna eksplozja. Opal poczuła, jak z czoła spływa jej strumyczek potu.

To było niedorzeczne, przecież się nie poci - a z całą pewnością nie w takiej sytuacji! Za pięć minut zjawią się ludzie, żeby zobaczyć, co się dzieje, taką już mają naturę.

Poczeka zatem pięć minut, a potem spróbuje się prześlizgnąć obok promu SKR, a jeśli to się nie uda, zestrzeli go i zmierzy się z naddźwiękowym promem, który na pewno przyślą z dołu.

Z promu transportowego posypały się kolejne granaty, jednakże teraz upadały nieco dalej i fale uderzeniowe zaledwie wprawiały kadłub promu Opal w drganie. Ciągnęło się to jeszcze przez dwie lub trzy minuty, nie zagrażając w najmniejszym stopniu Opal ani braciom Sielawa, po czym nagle właz promu SKR zamknięto i wehikuł odleciał, zagłębiając się na powrót w szybie.

- Hmm - odezwała się Opal. - Zaskakujące.

- Może skończyła im się amunicja - podsunął Merv, choć zdawał sobie sprawę, że Opal ukarze go za wyrażanie własnych opinii.

- Tak myślisz, Mervallu? Skończyły im się granaty, więc postanowili po prostu nas zostawić w spokoju? Naprawdę sobie uroiłeś, że to może być prawda, ty kretyńska namiastko myślącej istoty? Nie masz chyba w ogóle pła-tów czołowych!

- Ja tak tylko trochę grałem adwokata diabła - mruknął słabo Merv.

Opal podniosła się z fotela i machnęła dłonią na braci Sielawa.

333

- Po prostu się zamknijcie. Muszę porozmawiać ze sobą przez chwilę - zbliżyła twarz do szyby kokpitu. - Co tam się dzieje? Lecieli naszym tropem aż do szybu, potem dali ten pokaz fajerwerków i odlecieli. Tak po prostu. Dlaczego? Dlaczego? - potarła skronie małymi piąstkami. -

Myśl. - Raptem coś się jej przypomniało. - Zeszłego wieczora z szybu El ukradziono prom. Słyszeliśmy to na pa-

śmie policyjnym. Kto ukradł ten prom?

Scant wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jakiś krasnal. Czy to ważne?

- Zgadza się. Krasnal. A czy nie był to ten sam krasnal, który wcześniej był zamieszany w aferę z udziałem Artemisa Fowla? Czy to nie ten sam, o którym mówiono, że pomógł Juliuszowi włamać się do Laboratoriów Koboï?

- Plotki. Nie ma na to dowodów.

Opal odwróciła się do Scanta.

- Może nie ma ich dlatego, że ten krasnal jest sprytny, w przeciwieństwie do ciebie. Może nie chciał, by go złapano. - Chochliczka umilkła na chwilę, żeby zebrać myśli.

- Więc mają krasnala włamywacza, prom i granaty. Nieduża musiała wiedzieć, że te żalosne sztuczne ognie nie przebiją nam kadłuba, więc po co je rzucali? Chyba że...

Prawda uderzyła ją jak pięścią w żołądek.

- Och nie - jęknęła. - Dla odwrócenia uwagi. Siedzieliśmy tu jak głupcy, przyglądając się ich kanonadzie. A przez ten czas...

334

Odepchnęła Scanta i pognęła do saloniku.

- Ładunki! - wrzasnęła. - Gdzie one są?

Scant podszedł do fotela, na których je pozostawił.

- Proszę się nie obawiać, panienko Koboï, są dokładnie... - i urwał, gdyż reszta zdania utkwiała mu w krtani. -

Ach, eee, były dokładnie w tym miejscu. Na fotelu.

Opal podniosła małą krótkofalówkę.

- Bawią się ze mną! Powiedz mi, że ten zapasowy był gdzie indziej.

- Nie - odrzekł nieszczęśliwym głosem Scant. - Były razem.

Merv precyzyjnie przesunął się obok niego i wszedł do ładowni.

- Przedział silnika jest otwarty! - Wsunął głowę w otwarty właz. Jego głos stłumiły nieco panele podłogowe.

- Ktoś rozdarł uszczelkę pręta zasilającego. Są ślady stóp.

Ktoś wszedł tędy na pokład.

Opal odrzuciła głowę i zawyła. Dusila to w sobie i tak wystarczająco długo jak na taką małą istotkę. Wreszcie skończyło jej się powietrze.

- Za nimi - sapnęła, kiedy znów mogła oddychać. -

Zmodyfikowałam te ładunki tak, że nie da się ich rozbroić.

Wciąż możemy je zdetonować. Przynajmniej zniszczę swoich wrogów.

- Tak, panienko Koboi - odezwali się jednocześnie Scant i Merv.

- Nie patrzeć na mnie! - ryknęła Opal.

Bracia Sielawa umknęli do kokpitu, próbując kłaniać się w biegu, nie patrzeć jej w oczy, nie myśleć o niczym 335

nieodpowiednim i, przede wszystkim, nie puszczać wiatrów.

Mierzwa czekał w wyznaczonym miejscu na przylot promu transportowego. Butler otworzył włącznik i za kołnierz wciągnął krasnała do środka.

- Masz? - spytał Artemis niecierpliwie.

Mierzwa podał mu wypchaną torbę.

- Mam. I uprzedzając twoje pytanie, zostawiłem krótkofalówkę.

- A więc wszystko zgodnie z planem?

- Całkowicie - odpowiedział Mierzwa, zapominając wspomnieć o diamencie spoczywającym w jego żołądku.

- Doskonale - powiedział Artemis i ruszył do kabiny.

- Leć - zawołał, stuknąwszy w zagłówek fotela. Holly od jakiegoś czasu już grzała silniki, utrzymując prom w miejscu za pomocą hamulca.

- Już nas nie ma - powiedziała, zwalniając hamulec i dodając gazu do oporu. Prom SKR wystrzelił ze skalnej półki jak z procy.

Nogi Artemisa oderwały się od podłogi, uniosły i zaczęły trzepotać jak rękawy do pomiaru wiatru. Reszta po-szłaby w ich ślady, gdyby nie przytrzymał się zagłówka.

- Ile mamy czasu? - spytała Holly ściśniętymi siłą grawitacji ustami.

Artemis przyciągnął się i usiadł w fotelu pasażera.



- Parę minut. Ruda żelaza osiągnie głębokość stu siedemdziesięciu kilometrów dokładnie za kwadrans. Opal lada moment wyruszy za nami w pościg.

Holly otarła się prawie o ścianę szybu, przeprowadza-jąc prom pomiędzy dwoma skalnymi wieżami. Dolny odcinek E7 nie był zbyt kręty, lecz ten, którym obecnie lecieli, miał kształt korkociągu, który zagłębiał się w skorupę ziemską, podążając za pęknięciami w płytach tektonicznych.

- Sądysz, że to zadziała, Artemisie? - spytała Holly.

Artemis rozważył pytanie.

- Brałem pod uwagę osiem planów i ten jest najlepszy. Daje nam sześćdziesiąt cztery procent prawdopodobieństwa sukcesu. Najważniejsza sprawa to jak najdłużej odwracać uwagę Opal. To twoje zadanie, Holly. Jesteś gotowa?

Holly zacisnęła palce na drążku sterowniczym.

- Nie obawiaj się. Nieczęsto ma się okazję, żeby sobie naprawdę polatać. Opal będzie tak zaprzątnięta pościgiem, że nawet przez chwilę nie będzie miała możliwości zastanowić się nad niczym innym.

Artemis wyjrzał przez szybę. Lecieli prosto w dół, w stronę środka Ziemi. Na tej głębokości i przy takiej prędkości pojawiały się już fluktuacje pola grawitacyjnego, więc zostali praktycznie przykuci do foteli, pasy bezpieczeństwa uciskały nieprzyjemnie. Czerń szybu spowiła ich jak smoła, którą rozjaśniał jedynie wąski stożek światła przednich reflektorów promu. Olbrzymie formacje skalne pojawiały się przed nimi i znikaly, pędząc niekiedy prosto

na nich. Holly jednakże w jakiś sposób unikała zderzeń, nie naciskając nawet hamulca. Ikona przedstawiająca anomalie gazową, która była faktycznie promem Opal, zaczęła się przesuwać po ekranie plazmowym.

- Ruszyli w pościg - powiedziała Holly, zerkając ką-

tem oka na ekran.

Żołądek Artemisa ścisnęły mdłości wywołane szaleń-  
czym lotem, niepokojem, zmęczeniem i rozbawieniem.

- Świetnie - powiedział, w zasadzie do siebie. - Wy-

ścigi rozpoczęte.

Merv wprowadził zamaskowany prom do gardzieli szybu. Scant zajmował się resztą oprzyrządowania, a Opal zajmowała się wydawaniem rozkazów oraz zrzędzeniem.

- Mamy już sygnał ładunków? - zapiszczała.

„Ten głos mnie coraz bardziej denerwuje” - pomyślał

Scant, ale niezbyt głośno.

- Nie - odpowiedział. - Jeszcze nie. Musieli wlecieć do szybu. Ich tarcze ochronne blokują sygnał. Trzeba pod-lecieć bliżej albo spróbować uruchomić detonator. Może się udać.

Pisk Opal stał się jeszcze bardziej przenikliwy.

- Nie! Nie odpalimy ładunków, dopóki ich prom nie znajdzie się na głębokości stu sześciu mil. Jeżeli zrobimy to teraz, ruda żelaza nie zmieni kierunku. A ta idiotyczna krótkofalówka? Mamy coś na niej?

338

- Nie - powiedział Scant. - Jeżeli jest druga, musi być wyłączona.

- Zawsze możemy wrócić do laboratorium Zita - powiedział Merv. - Mamy tam z tuzin zapasowych ładunków.

Opal wychyliła się z fotela i zaczęła okładać Merva maleńkimi piąstkami.

- Idiota. Kretyn. Półgłówek. Urządziliście sobie za-wody w głupocie? O to chodzi? Jeżeli wrócimy teraz do laboratorium polowego, ruda żelaza znajdzie się zbyt gę-

boko, zanim zdążymy wrócić. Nie wspominając już o tym, że kapitan Nieduża będzie miała czas, żeby opowiedzieć SKR własną wersję wydarzeń, co skończy się co najmniej dochodzeniem. Musimy ich dogonić i zdetonować ładunki.

Nawet jeśli nie uda się tego zrobić na właściwej głęboko-

ści, przynajmniej zniszczymy niewygodnych świadków.

Oprogramowanie nawigacyjne zamaskowanego promu korzystało z odczytów z czujników zbliżeniowych, co oznaczało, że Opal i jej towarzysze nie muszą się martwić uderzeniem w ścianę szybu lub stalaktyt.

- Kiedy będą w naszym zasięgu? - szczeknęła Opal.

Szczerze mówiąc, bardziej przypominało to skomlenie.

Merv wykonał kilka szybkich obliczeń.

- Za trzy minuty. Nie więcej.

- Na jakiej będą wtedy głębokości?

Kilka dodatkowych obliczeń.

- Dwustu pięćdziesięciu kilometrów.

339

Opal podrapała się po nosie.

- Powinno się udać. Zakładając, że mają oba ładunki, eksplozja powinna wyrwać wystarczającą dziurę w ścianie szybu, nawet jeśli ładunki nie będą ustawione zgodnie z naszym pomysłem. To nasza jedyna możliwość. Jeśli się nie uda, zyskamy przynajmniej czas, żeby się przegrupować. Kiedy tylko wejdą w zasięg, wysyłamy sygnał do detonatorów. Ciągły. Może nam się poszczęści.

Merv otworzył plastikową klapkę, osłaniającą przycisk detonujący. Pozostało jeszcze kilka sekund.

Wnętrznosci Artemisa usiłowały wydostać się na zewnątrz przez gardło.

- Ten rupieć krzyczy o nowe żyroskopy - powiedział.

Holly niedostrzegalnie skinęła głową, zbyt zajęta pokonywaniem szczególnie zdradliwego odcinka szybu.

Artemis zerknął na odczyty na tablicy.

- Jesteśmy na głębokości stu sześćdziesięciu dziewięciu kilometrów. Opal spróbuje detonować. Zbliża się bardzo szybko.

Mierzwa wetknął głowę przez drzwi do przedziału pasażerskiego.

- Czy naprawdę musimy się tak trząść? Sporo zjadłem ostatnio.

- Już niedługo - powiedział Artemis. - Jesteśmy prawie na miejscu. Powiedz Butlerowi, żeby otworzył torbę.

340

- Okej. Jesteś pewien, że Opal zrobi to, czego oczekujemy?

Artemis uśmiechnął się uspokajająco.

- Oczywiście, że tak. Taka jest ludzka natura, a Opal jest teraz człowiekiem. Zapomniałeś? Teraz, Holly. Stój.

Mervall postukał w ekran.

- Op.... panienko Koboi, nie uwierzy panienka. Przez usta Opal przemknął leciutki uśmiech.

- Nie mów. Zatrzymali się.

Merv pokiwał głową z niedowierzaniem.

- Tak, wiszą na głębokości stu dwudziestu czterech mil. Dlaczego?

- Nie ma sensu ci tego wyjaśniać, Mervall. Nadawaj dalej sygnał detonujący, ale zwolnij. Nie chciałabym się znaleźć zbyt blisko, kiedy będziemy mieli połączenie.

Opal zabębniła palcami w krótkofalówkę pozostawioną przez krasnalą. Za kilka sekund będzie po wszystkim. Na urządzeniu zapaliła się czerwona lampka, krótkofalówka zawibrowała lekko. Opal uśmiechnęła się i otworzyła wieczko przykrywające wyświetlacz.

Na maleńkim ekraniku pojawiła się blada twarz Artemisa. Usiłował się uśmiechnąć, ale nie wyszło mu to zbyt naturalnie.

- Opal. Daję ci ostatnią szansę, żeby się poddać. Roz-broiliśmy twoje ładunki, a siły SKR są już w drodze. Dla własnego dobra powinnaś się poddać kapitan Niedużej, inaczej zostaniesz zestrzelona.

341

Opal klasnęła w dłonie.

- Brawo, paniczu Fowl, cóż za urocza opowiadka. A może powiesz mi prawdę, dla odmiany? Wiecie już, że ładunków nie da się rozbroić. A skoro mogę teraz z wami rozmawiać przez tę krótkofalówkę, sygnał detonujący wkrótce przebiję się przez wasze osłony. Nie możecie wyrzucić ładunków z pokładu, bo wybuchną w szybie, dokładnie jak planowałam. A jeśli to zrobicie, pošlę za waszym promem kilka rakiet naprowadzanych termicznie.

Jeśli będziecie uciekać dalej, będę was ścigać i sygnał

detonujący was dopadnie, zanim zdążycie dotrzeć do pro-stego odcinka szybu. A z SKR nie mogliście nawiązać kontaktu, bo gdyby wam się udało, przechwyciłabym transmisję. Więc twoim jedynym wyjściem jest ten żaloszny stek kłamstw. Próbujesz mnie po prostu unieruchomić do czasu, aż ruda żelaza zejdzie zbyt głęboko.

- A zatem nie chcesz się poddać?

Opal udała, że się zastanawia, poklepując szczękę wy-malowanym paznokciem.

- No nie. Nie chcę. Myślę, że powalczę do końca, mimo wszystko. A tak przy okazji, nie patrz prosto na ekran. Źle mi to robi na cerę.

Artemis westchnął teatralnie.

- Dobrze zatem, skoro musimy lecieć dalej, to przynajmniej nie będziemy tego robić o pustych żołądkach.

Były to dość niezwykle słowa jak na kogoś, komu zostało kilka sekund życia. Zwłaszcza że ten ktoś

był człowiekiem.

342

- O pustych żołądkach?

- Tak - odrzekł Artemis. - Mierzwie udało się wynieść coś z twojego promu.

Artemis podniósł małą czekoladową kulkę i pomachał

nią do ekranu.

- Moje trufle - sapnęła Opal. - Ukradliście moje trufle. To podłe, po prostu podłe.

Artemis wrzucił sobie czekoladową kulkę do ust i zaczął powoli żuć.

- Rzeczywiście są boskie. Rozumiem, dlaczego tak bardzo brakowało ci ich podczas pobytu w klinice. Bę-

dziemy musieli się bardzo postarać, żeby zjeść je wszystkie, zanim eksplozja rozerwie nas na strzępy.

Opal fuknęła jak kot.

- Zabicie was tak po prostu to jeszcze mało. - Odwró-

ciła się do Merva. - Mamy sygnał?

- Jeszcze nie, panienko Kobo. Ale wkrótce będziemy mieli. Jeśli możemy się z nimi komunikować, nie potrwa to długo.

Na ekraniku pojawiła się twarz Holly z policzkiem wy-pchanym truflą, którą właśnie włożyła do ust.

- Naprawdę rozpływają się w ustach, Opal. Ostatnia wieczerza przeklętej załogi.

Opal postukała w ekran paznokciem.

- Udało ci się ujść z życiem dwa razy, Nieduża. Trzeciego razu nie będzie, mogę ci to zagwarantować.

Holly roześmiała się.

- Powinnaś zobaczyć Mierzwę. Wsypuje w siebie twoje czekoladki jak węgiel.

343

Opal ogarnęła wściekłość.

- Jest sygnał? - Nawet teraz, o sekundy od eksplozji, jeszcze z niej kpili.

- Jeszcze nie. Ale zaraz będzie.

- Nadawaj przez cały czas. Nie waż się zdejmować palca z tego przycisku.

Opal rozpięła pasy i pobiegła do saloniku. Mierzwa nie mógł chyba wynieść ze sobą wszystkich truflí. Niósł przecież ładunki. Z całą pewnością została jeszcze garść cze-koladek, którymi będzie się mogła delektować, kiedy Oaza ulegnie zniszczeniu.

Uklęka i wsunęła dłoń pod dywan, żeby otworzyć ukryty przedział. Pokrywa odskoczyła i ukazała jej oczom swoją zawartość.

W środku nie było ani jednej truflí. Zamiast tego zobaczyła dwa ładunki. Przez jedną sekundę Opal nie mogła zrozumieć, co się stało. Potem prawda dotarła do niej z przerażającą wyrazistością. Artemis w ogóle nie ukradł

ładunków, powiedział tylko krasnalowi, żeby przeniósł je w inne miejsce. Dopóki znajdowały się w zamkniętej ko-mórcze, nie można ich było zauważyć ani zdetonować.

Dopóki pokrywa pozostawała zamknięta. A ona sama ją otworzyła. Artemis ją przechytrzył i sprawił, że sama przypieczętowała swój los.

Krew odpłynęła z twarzy chochliczki.

- Mervall - wrzasnęła. - Sygnał!

- Proszę się nie obawiać, panienko Koboí - krzyknął

chochlik z kokpitu. - Mamy kontakt! Nic już nie powstrzyma eksplozji.

344

Na wyświetlaczach ładunków pojawiły się zielone cy-ferki odliczania. Dwadzieścia sekund. Standardowy czas odpalenia ładunków górniczych.

Opal rzuciła się do kokpitu. Okpili ją! Całkowicie. Ładunki wybuchną na głębokości stu dwudziestu kilometrów, bezużytecznie. Jej zamaskowany prom zostanie zniszczony, a jego resztki wpadną w ręce SKR. Przynajmniej w teorii. Jednakże Opal Koboí nie należała do wrózek, które nie zostawiają sobie furtki na każdą ewentualność.

Chochliczka usiadła w fotelu i zapięła pas.

- Lepiej się zapnijcie - warknęła do braci Sielawa. -

Zawiodłam się na was. Czeka was za to więzienie.

Merv i Scant ledwo zdążyli zapiąć sprzączki pasków bezpieczeństwa. Opal uruchomiła mechanizm katapultują-

cy ukryty pod fotelami. Natychmiast otoczyły ich dwa bąble przeciwwuderzeniowego żeluz i zostali wystrzeleni w kapsułach przez otwory w kadłubie.

Bąble żelowe nie mają źródła zasilania, poruszają się tylko dzięki sile wyrzutu. Żel jest ognioodporny, wytrzymuje silne uderzenia i zamyka w środku dość tlenu na pół

godziny płytkiego oddychania. Merv i Scant pomknęli w czarną przestrzeń, by po chwili rozpląszczyć się na jednej ze ścian szybu. Żel przywarł do skalnej powierzchni, unieruchamiając braci Sielawa tysiące kilometrów od ich do-mu.

Opal tymczasem w pośpiechu wstukiwała kody do komputera pokładowego. Pozostało jej mniej niż dziesięć sekund na dokonanie ostatniego aktu przemocy. Nawet jeśli Artemis Fowl zwyciężył ją tym razem, nie będzie żył

dość długo, by się tym cieszyć.

345

Opal aktywowała i odpaliła dwie naprowadzane termicznie rakiety plazmowe, po czym się katapultowała.

Jednakże nie w kapsule żelowej. Uwzględniła bowiem w projekcie promu luksusową wersję kapsuły dla siebie.

Oczywiście pojedynczą. Szczerze mówiąc, Opal nie troszczyła się w ogóle o braci Sielawa. Nie mogli się jej na nic przydać.

Otworzyła szeroko przepustnicę, ignorując przepisy bezpieczeństwa. Bo w końcu kogo mógł obchodzić zgnieciony kadłub jej promu? Za chwilę i tak niewiele z niego zostanie. Kapsuła mknęła w stronę powierzchni z prędko-

ścią pięciuset mil na godzinę. Dość szybko, choć nie na tyle, by umknąć fali uderzeniowej, wywołanej eksplozją obu ładunków.

Zamaskowany prom eksplodował w oślepiającym błysku wielokolorowego światła. Holly przytuliła się promem SKR do ściany szybu, kryjąc się przed deszczem złomu.

Gdy przeszły fale uderzeniowe, obecni na pokładzie zgromadzili się w milczeniu przed ekranem komputera, czekając na wyniki skanowania wnętrza szybu powyżej.

Wreszcie na monitorze pojawiły się trzy czerwone punkty.

Dwa nieruchome, a jeden mknący w stronę powierzchni.

- Udało im się - westchnął Artemis. - Założę się, że ta ruchoma kropka to Opal. Powinniśmy za nią polecieć.

- Powinniśmy - zgodziła się Holly, choć nie tak szczęśliwym tonem, jak należałoby oczekiwać. - Ale nie możemy.

346

Artemis wychwycił zmianę w tonie jej głosu.

- Dlaczego? Co się stało?

- To - powiedziała Holly, wskazując na ekran. Pojawiły się na nim dwie kolejne kropki i zaczęły zbliżać się do ich promu z zatrważającą prędkością. Komputer zidentyfikował je jako rakiety i odnalazł odpowiedni model w bazie danych.

- Naprowadzane termicznie pociski plazmowe. Wychwyciły już ciepło naszych silników.

Mierzwa pokiwał głową.

- Ta Kobi to naprawdę wredna chochliczka. Nie po-puści do samego końca.

Artemis wpatrywał się w ekran, jakby potrafił unieszkodliwić pociski siłą woli.

- Powinienem był to przewidzieć.

Potężna głowa Butlera pojawiła się za jego pryncypa-  
łem.

- Mamy jakieś termiczne wabiki, żeby odciągnąć rakiety?

- To wehikuł transportowy - odpowiedziała Holly. -

Dobrze, że mamy tarcze.

- Rakiety podążają za naszym wzorcem cieplnym?

- Tak - odpowiedziała Holly w nadziei, że ochroniarz ma jakiś pomysł.

- Czy jest jakiś sposób, żeby zmienić nasz wzorzec?

Wtedy w umyśle Holly pojawił się pomysł. Było to rozwiązanie tak ekstremalne, że nie odważyła się nawet podzielić nim z resztą obecnych na pokładzie.

- Jest taki sposób - powiedziała i wyłączyła silniki.

347

Prom runął w czarną czeluść szybu jak kamień. Holly starała się manewrować używając samych lotek, ale bez doładowania wychodziło to tak, jakby sterowała kotwicą.



Nie było czasu na panikę. Można się było tylko czegoś chwycić i starać się utrzymać posiłek w żołądku.

Holly zacisnęła zęby, przełykając strach, który próbo-wał przecisnąć się na zewnątrz, kiedy walczyła z drażkiem sterowym. Jeśli uda jej się odpowiednio ustawić lotki, przynajmniej nie rozbiją się o ścianę szybu. Była w tym nikła pociecha.

Przebiegła wzrokiem odczyty na ekranie. Temperatura rdzenia reaktora zaczęła opadać, ale czy wystarczająco szybko? Ten odcinek szybu był w miarę prosty, ale czterdzieści osiem kilometrów dalej znajdował się załom, o który roztrzaskają się jak mucha o czoło biegnącego słonia.

Butler przeczołgał się na tył wehikułu, chwytając po drodze dwie gaśnice i wyjmując z nich zawlecзки. Po chwili cisnął gaśnice do przedziału silnikowego i zamknął

prędko właz. Przez okienko we włazie przypatrywał się, jak gaśnice wirują w powietrzu, pokrywając reaktor lodowatą pianą.

Temperatura rdzenia opadła jeszcze odrobinę.

Rakiety były coraz bliżej.

Holly otworzyła na oścież wszystkie przewody wentylacyjne, zalewając prom falą zimnego powietrza. Temperatura opadła znowu.

- No, dalej - powiedziała zaciśniętymi ustami. - Jeszcze parę stopni.

348

Pędzili wciąż w dół, w ciemność. Prom zaczął się prze-chylać na sterburtę. Jeszcze chwila i roztrzaska się o za-

łom, który rósł w oczach przed nimi. Palec Holly zawisł

nad przyciskiem zapłonu. Musi odczekać do ostatniej chwili.

Temperatura silników opadła jeszcze trochę. Były to urządzenia zaprojektowane z myślą o ekonomicznym wy-datkowaniu energii. Nieużywane, natychmiast odprowadzały nadwyżkę ciepła do akumulatorów układu podtrzy-mywania życia. Pociski wciąż utrzymywały kurs.

Załom pojawił się w świetle reflektorów. Był ogromny, cały z twardej, bezlitosnej skały. Jeżeli prom w niego uderzy, złoży się jak blaszana puszka.

Artemis odezwał się z trudem przez zaciśnięte zęby:

- Nie działa. Silniki.

- Jeszcze chwila - odpowiedziała Holly.

Lotki wpadły teraz w wibrację, pojazdem wstrząsnęła turbulencja. Pociski pojawiły się w tylnym iluminatorze, przed przednią szybą, znów z tyłu.

Skąła była już bardzo blisko. Zbyt blisko. Jeśli Holly odczeka jeszcze choćby sekundę, nie będzie czasu na skuteczny manewr. Uderzyła przycisk zapłonu w ostatniej milisekundzie. Brzuch kadłuba otarł się o załom, krzesząc snopy iskier. Prom uniósł się i zawisł w czarnej otchłani.

Rakiety były bardzo blisko.

Temperatura silników ciągle opadała. Będzie się zmniejszać jeszcze przez pół minuty, nim się nagrzeją turbiny. Czy to wystarczy? Holly przekazała obraz z 349

rufowej kamery na ekran. Zbliżały się. Nieubłagane, cią-

gnąc za sobą purpurowe wstęgi spalin. Za trzy sekundy uderzą. Dwie.

Pociski straciły kontakt i zboczyły z kursu. Jedna przeleciała nad, druga pod kadłubem promu.

- Udało się - westchnął Artemis, wypuszczając oddech, który - jak się okazało - wstrzymywał.

- Dobra robota, żołnierzu - uśmiechnął się Butler i potarł nos czuprynę Holly.

Mierzwa wytknął głowę z przedziału pasażerskiego.

Jego twarz była lekko zielonkawa.

- Zdarzył mi się niewielki wypadek - poskarżył się.

Nikt nie zapytał o szczegóły.

- Nie cieszymy się zbyt wcześnie - powiedziała Holly, przyglądając się instrumentom. - Te rakiety powinny wybuchnąć w zetknięciu ze ścianami szyby, tymczasem nic się nie stało. Powód może być tylko jeden.

- Namierzyły inny cel - dopowiedział Butler.

Na ekranie plazmowym pojawiła się czerwona kropka.

Rakiety pędziły prosto w jej stronę.

- Otóż to. To jest naddźwiękowy prom SKR, który, z ich punktu widzenia, właśnie zaatakowaliśmy.

Za sterami bojowego promu SKR siedział major Kłopot Wodorost. Pojazd jak srebrna igła pędził szybem z prędko-

ścią przekraczającą trzykrotnie prędkość dźwięku.

Zwierzchnicy niezwykle rzadko zezwalali na naddźwię-

kowe loty, gdyż mogły one spowodować osunięcia się skał

350

i, w rzadkich wypadkach, zostać wykryte przez ludzkie sejsmografy.

Wnętrze pojazdu wypełniał żel przeciwuderzeniowy, gdyż jeśli go nie było, wibracje towarzyszące lotowi połamałyby kości załodze. Major Wodorost unosił się w żelu, w zmodyfikowanym kombinezonie pilota. Układ sterujący pojazdu był podłączony bezpośrednio do jego rękawic, a obraz wideo pojawiał się na wyświetlaczu w kasku.

Ogierek utrzymywał z nim ciągły kontakt z Komendy Policji.

- Skradziony wehikuł wrócił właśnie do szybu - poinformował Kłopot. - Unosi się na głębokości dwustu kilometrów.

- Mam go - zawołał Wodorost, odnajdując kropkę na radarze. Serce zabiło mu mocniej. Możliwe, że Holly wciąż żyje i znajduje się na pokładzie tego promu. A jeśli naprawdę tak jest, major zrobi wszystko, co w jego mocy, by bezpiecznie wróciła do domu.

Na wyświetlaczu rozbłysło białe, żółte i pomarańczowe światło.

- Mieliśmy jakąś eksplozję. Czy to ten skradziony prom?

- Nie, Wodorost. Pojawiła się znikąd. Nic tam nie by-

ło. Uważaj na śmieci.

Na ekranie ukazała się plątanina żółtych linii - gorące metalowe odłamki mknęły w stronę jądra Ziemi. Wodorost uruchomił lasery na dziobie pojazdu, przygotowując się na wszystko, co mogło go jeszcze czekać po drodze. Nie żeby 351

jego jednostce mogło cokolwiek zagrozić - szyb w tym miejscu był nie mniej szeroki niż miasto średniej wielko-

ści. Promień rozrzutu odłamków nie mógł przekraczać mili. Było dość miejsca, aby bezpiecznie zejść im z drogi.

Chyba że jakieś odłamki ruszą za nim w pościg. Dwie żółte linie skierowały się w jego stronę. Komputer pokładowy wykonał szybkie skanowanie. Oba wyposażone były w układ napędowy i naprowadzający. Pociski.

- Zostałem zaatakowany - powiedział do mikrofonu. -

Nadlatują dwie rakiety.

Czy to możliwe, że strzelała do niego Holly? Czyżby prawdą było to, co twierdził Popędek? Może

rzeczywiście przeszła na stronę zła?

Wodorost wykonał ruch ręką i dotknął wirtualnego ekranu. Przywołał wzorce obu rakiet i zaprogramował

system celowniczy. Kiedy tylko znajdą się w zasięgu, komputer zniszczy je za pomocą laserów pokładowych.

Kłopot przesunął się na środek szybu, aby dać laserom możliwie najdłuższą linię dogodnego strzału. Lasery były skuteczne jedynie w linii prostej.

Trzy minuty później rakiety wyskoczyły zza zakrętu szybu. Kłopot ledwie na nie zerknął, kiedy komputer posłał dwa szybkie impulsy, strącając pociski. Major wleciał

prosto w falę uderzeniową, nie odnosząc żadnych obrażeń dzięki wypełniającemu kabinę żelowi.

Na ekranie w jego przyłbicy pojawiło się kolejne okienko. Był to nowo mianowany komendant Przywra Popędek.

352

- Majorze, udzielam zezwolenia na odpowiedź ognio-wą. Możecie użyć wszelkiego dostępnego uzbrojenia.

Kłopot jęknął.

- Ale, Komendancie, na pokładzie może być Holly.

Przywra podniósł rękę, ucinając wszelkie sprzeciwy.

- Kapitan Nieduża jasno pokazała nam swoje inten-cje. Możecie strzelać.

Ogierek nie mógł usiedzieć cicho.

- Wstrzymaj ogień, Kłopot. Wiesz dobrze, że to nie Holly stoi za tym wszystkim. To Opal Kobi w jakiś sposób posłała te rakiety.

Popędek uderzył pięścią w biurko.

- Jak możesz być tak ślepy na fakty, osiołku? Co jeszcze musi zrobić Nieduża, żeby cię przekonać, że jest zdrajczynią? Wysłać wiadomość pocztą elektroniczną?

Zamordowała swojego zwierzchnika, połączyła siły z kryminalistą, a teraz otworzyła ogień do promu SKR. Zestrzelić!

- Nie! - nie ustępował Ogierek. - Nie wygląda to dobrze, bez dwóch zdań. Ale musi być inne wyjaśnienie.

Dajmy Holly szansę na przedstawienie jej wersji wydarzeń.

Popędek był bliski apopleksji.

- Zamknijcie jadaczkę, Ogierek! Kto wam dał upoważnienie do wydawania rozkazów taktycznych? Jesteście cywil, wyłączcie się natychmiast!

- Kłopot, posłuchaj mnie - zaczął Ogierek, ale tylko tyle zdołał powiedzieć, zanim przerwał mu Przywra.

353

- Dość - powiedział, starając się uspokoić. - Dostali-

ście rozkaz, majorze. Ognia.

Skradziony prom znajdował się już w polu widzenia.

Kłopot powiększył jego obraz w przyłbicy i natychmiast zauważył trzy rzeczy. Po pierwsze, wehikułowi brakowało masztu komunikacyjnego. Po drugie, był to prom transportowy, nieprzystosowany do odpalania rakiet. Po trzecie, w kokpicie znajdowała się Holly Nieduża, z pobladłą i zacię-

tą twarzą.

- Komendancie Popędek - powiedział. - Wydaje się, że mamy tu nadzwyczajne okoliczności.

- Ognia, powiedziałem! - ryknął Przywra. - Jestem twoim zwierzchnikiem!

- Tak jest, sir - powiedział Kłopot i strzelił.

Holly wpatrywała się w ekran radaru, śledząc z zapartym tchem lot rakiet Opal. Jej palce zacisnęły się na draż-

ku tak mocno, że aż jęknęła guma. Nie rozluźniła uchwytu, póki smukły jak igła pojazd bojowy nie zniszczył rakiet i nie przebił się przez deszcz odłamków.

- Nie ma problemu - powiedziała z uśmiechem i radosnym błyskiem w oku.

- On nie ma - poprawił Artemis. - Ale my chyba tak.

Prom bojowy uniósł się na wysokość ich kadłuba, smukły i groźny, zalewając ich światłem tuzina reflektorów. Holly zmrużyła oczy, żeby zobaczyć, kto pilotuje jednostkę. W dziobie promu naddźwiękowego otworzyła się tuba i pojawił się w niej metalowy stożek.

354

- Niedobrze - mruknął Mierzwa. - Będą do nas strzelać.

Lecz, co dziwne, Holly uśmiechnęła się. „To dobrze -

pomyślała. - Ktoś tam na dole jeszcze mnie lubi”.

Przewód komunikacyjny wystrzelony z dziobu promu bojowego błyskawicznie pokonał odległość dzielącą oba pojazdy i wgryzł się sztywnym, ostrym końcem w kadłub skradzionego promu. Końcówka otworzyła się, upadając z brzękiem na podłogę. W środku znajdował się głośnik w kształcie stożka.

W pomieszczeniu rozległ się głos Kłopoty Wodorosta.

- Kapitan Nieduża, otrzymałem rozkaz, by was zestrzelić. Rozkaz, którego - jak dotąd, nie wykonałem. Lepiej zacznij gadać i powiedz dość, żeby uratować swoją i moją karierę.

Więc Holly zaczęła mówić. Opowiedziała Kłopotowi wszystko w największym skrócie: w jaki sposób Opal Kobi udało się nadzorować całą aferę i jak mogą ją odnaleźć.

- To wystarczy, żebyś na razie została przy życiu -

powiedział Wodorost. - Choć oficjalnie ty i pozostałe obecne na pokładzie osoby są aresztowane, dopóki nie odnajdziemy Opal Kobi.

Artemis odchrząknęła.

- Nie sądzę, by pańska jurysdykcja obejmowała ludzi, majorze. Aresztowanie mnie i mojego towarzysza byłoby nielegalne.

355

Kłopot westchnął. Przez głośnik zabrzmiało to tak, jakby ktoś przeciągnął papierem ściernym po desce.

- Niech zgadnę. Artemis Fowl, tak? Powinienem się być domyślić. Całkiem z was zgrana drużyna. Dobrze, powiedzmy, że będziecie gośćmi SKR, jeśli to cię bardziej uszczęśliwi. W szybie znajduje się już oddział Odzysku.

Zajmie się Opal i jej współnikami. Wy wracacie ze mną do Oazy.

Holly chciała się sprzeciwić. Chciała schwytać Opal osobiście. Chciała mieć tę przyjemność i widzieć, jak za jadowitą chochliczką zatraskują się drzwi najgorszej celi.

Jednakże jej pozycja była już wystarczająco niepewna, więc zdecydowała, że tym razem usłucha rozkazu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

E7, Oaza

Gdy dolecieli do Oazy, na pokład promu wpadł oddział

funkcjonariuszy SKR, aby aresztować podejrzanych. Policja rozbiegła się po pokładzie, wykrzykując głośno rozkazy, ale w chwilę później dostrzegła Butlera. Animusz funkcjonariuszy wyparował jak woda deszczowa z roz-grzanej autostrady. Powiedziano im, że ów człowiek jest duży. Ale był nawet większy, niż im powiedziano. Wręcz monstrualny. Jak góra.

Butler uśmiechnął się przepaszająco.

- Nie obawiajcie się, małe wróżki. Robię podobne wrażenie także na większości ludzi.

Policja wydała z siebie zbiorowe westchnienie ulgi, gdy Butler zgodził się wyjść dobrowolnie. Zapewne uda-

łoby się go obezwładnić, gdyby wdał się w walkę, ale po-tężny Błotniak mógł się na kogoś przewrócić.

357

Jeńców umieszczono w poczekalni portu promowego, wyprasząc przy tym kilku pomrukujących groźnie adwokatów i wróżek biznesu. Zapewniono im bardzo cywili-zowane warunki: dobre jedzenie, czyste ubrania dla wszystkich poza Butlerem, i rozrywkę. Niemniej znajdowali się pod strażą.

Pół godziny później do poczekalni wparował Ogierek.

- Holly! - powiedział, otaczając elficzkę włochatym ramieniem. - Tak się cieszę, że żyjesz!

- Ja też, Ogierek - uśmiechnęła się Holly.

- Nie zaszkodziłoby małe „cześć” - rzekł kwaśno Mierzwa. - Jak się masz, Mierzwa? Dawnośmy się nie widzieli, Mierzwa. Oto medal dla ciebie, Mierzwa.

- Och, no dobra - powiedział Ogierek, otaczając drugim włochatym ramieniem równie włochatego krasnala. -

Cieszę się, że i ciebie widzę, Mierzwa, choć zatopiłeś jedną z moich łodzi podwodnych. Nie, medalu nie będzie.

- Gdybym nie zatopił łodzi - wyklócał się Mierzwa -

twoje kości zostałyby pogrzebane pod setkami milionów ton stopionego żelaza.

- Trafna uwaga - przystał centaur. - Wspomniałbym o tym podczas przesłuchania. - Odwrócił się do Artemisa. -

Widzę, że udało ci się przechytryć wymazywanie pamięci.

Artemis uśmiechnął się.

- Co wszystkim nam wyszło na dobre.

- Bez wątplenia. Drugi raz nie popełnię takiego błędu przy wymazywaniu pamięci. - Ujął dłoń Artemisa i ciepło 358

uściskał. - Jesteś przyjacielem Ludu. Ty też, Butler.

Ochroniarz siedział w kucki na sofie, z łokciami na kolanach.

- Wynagrodzicie mi to budując pokój, w którym będę mógł stać.

- Przykro mi z tego powodu - rzekł Ogierek przepaszająco. - Nie dysponujemy pomieszczeniami dla ludzi twoich rozmiarów. Przywra chce, żebyście pozostali tutaj, dopóki nie potwierdzi się wasza opowieść.

- Jak wszystko wygląda? - spytała Holly.

Ogierek wyjął aktówkę zza koszuli.

- Co prawda nie wolno mi w tej chwili tutaj przebywać, ale pomyślałem, że chcielibyście odświeżyć sobie obraz sytuacji.

Pozostali stłoczyli się wokół stołu, Ogierek zaś rozłożył

na blacie raporty.

- Znaleźliśmy braci Sielawa na ścianie szybu. Śpiewają jak robaki gnojowe - tyle jeśli idzie o lojalność względem pracodawczyni. Biegli zgromadzili wystarczającą ilość kawałków zamaskowanego promu, by potwierdzić jego istnienie.

Holly klasnęła w dłonie.

- A więc jesteśmy w domu.

- To jeszcze nie wszystko - poprawił ją Artemis. -

Mogliśmy dokonać wszystkiego bez udziału Opal. Bracia Sielawa mogą składać fałszywe zeznania, żeby nas chronić. Złapaliście ją?



Ogierek zacisnął pięść.

359

- Cóż. Tak i nie. Jej kapsuła ratunkowa zadziałała podczas eksplozji, więc mogliśmy ją namierzyć. Ale gdy dotarliśmy na miejsce katastrofy na powierzchni, Opal już nie było. Przeprowadziliśmy skanowanie cieplne okolicy i wyizolowaliśmy odciski stóp Opal. Śladem doszliśmy do małego, wiejskiego gospodarstwa w regionie winiarskim niedaleko Bari. Obserwujemy ją obecnie z satelitów, ale trzeba będzie trochę czasu, żeby zaplanować przechwycenie. Jest nasza i już nam nie umknie. Choć może to z tydzień potrwać.

Twarz Holly pociemniała z wściekłości.

- Lepiej niech się tym tygodniem cieszy, bo jest najlepszy z nadchodzących tygodni jej życia.

Niedaleko Bari

Kapsuła Opal Koboï leżała na ziemi. Ze strzaskanego generatora wyciekały gąsienice plazmy. Opal dobrze wiedziała, że plazma to dla Ogierka ślad równie dobry, jak strzałki narysowane na ziemi. Musiała możliwie najszybciej oddalić się od kapsuły i znaleźć miejsce, w którym będzie mogła się zaszyć, a potem poszuka sposobu dostę-

pu do swych funduszy.

Opuściła port promowy i udało jej się przelecieć jeszcze prawie szesnaście kilometrów, zanim silniki odmówiły wszelkiej współpracy, i musiała opaść na teren winnicy.

Gdy Opal wygrzebała się z kapsuły, zobaczyła przed sobą 360

wysoką, opaloną kobietę lat mniej więcej czterdziestu, czekającą z łopata i wyrazem wściekłości na twarzy.

- To moja winorośl - odezwała się po włosku. - Winorośl to moje życie. Czemu rozbijasz się tutaj swoim samo-lotem i niszczysz wszystko, co posiadam?

Opal zastanowiła się szybko.

- Gdzie jest reszta rodziny? - spytała. - Twój mąż?

Kobieta zdmuchnęła kosmyk włosów, który opadł jej na oczy.

- Nie mam rodziny. Ani męża. Sama prowadzę tę winnicę. Jestem ostatnia z rodu. Ta winorośl znaczy dla mnie więcej niż całe moje życie, a już z całą pewnością znacznie więcej niż twoje.

- Nie jesteś sama - odezwała się Opal tonem nasyconym hipnotycznym mesmeryzmem wróżek. - Teraz masz mnie. Jestem Belinda, twoja córka.

„Czemu nie? - rozumowała. - Skoro już raz pracowa-

łam..”

- Bel-linda - powtórzyła powoli kobieta. - Mam cór-kę?

- Tak - potwierdziła Opal. - Belinę. Pamiętasz przecież. Razem pracujemy w winnicy. Pomagam ci wyrabiać wino.

- Pomagasz mi?

Opal jęknęła. Ludziom zawsze trzeba powtarzać dwa razy.

- Tak - powiedziała z ledwo skrywanym zniecierpli-wieniem. - Pomagam ci. Pracuję razem z tobą.

Oczy kobiety raptem się rozjaśniły.

361

- Belinda. Masz zamiar tak sobie stać? Bierz łopatę i posprzątaj ten bałagan. Robi się późno. Kiedy skończysz tutaj, musisz przygotować kolację.

Serce Opal zamarło. Praca fizyczna? Na pewno nie.

Takie rzeczy wykonują inni ludzie.

- Po dłuższym namyśle - powiedziała, podkreślając si-

łę mesmeryczną do maksimum - przypomniało ci się, że jestem twoją rozpieszczoną córką, Belindą. Nigdy nie pozwalałaś mi pracować w obawie o moje gładkie dłonie.

Oszczędzasz mnie, żebym bogato wyszła za męż.

Powinno wystarczyć. Poukrywa się u tej kobiety przez kilka godzin, a potem ucieknie do miasta. Na drodze Opal stanęła jednak niespodzianka.

- Cała Belinda - powiedziała kobieta. – Zawsze z gło-wą w chmurach. A teraz zabieraj się do tej łopaty, dziewczyno, bo pójdziesz spać bez kolacji.

Policzki Opal spłonęły czerwienią.

- Nie słyszałaś, co mówię, jędzo? Nie będę pracować fizycznie. Ty będziesz mi służyć. To cel twojego życia.

Włoszka podeszła do swej małej córeczki.

- Posłuchaj mnie uważnie, Belindo. Staram się nie słyszeć tych jadowitych słów z twoich ust, ale to trudne.

Obie pracujemy w winnicy, tak było zawsze. Bierz tę łopatę albo zamknę cię w twoim pokoju na klucz z setką ziemniaków do obierania, a żadnym do jedzenia.

Opal była wstrząśnięta. Nie mogła pojąć, co się stało.

Nawet ludzie o silnych umysłach miękli wobec mesmery-zmu. Co się tutaj działo?

362

Prosta odpowiedź brzmiała, że Opal okazała się zbyt zapobiegliwa, jeśli idzie o własne dobro. Wszczepiając ludzki gruczoł przysadkowy we własną czaszkę, skutecznie się ucłowieczyła. Stopniowo ludzki hormon wzrostu wypierał z jej organizmu magię. A Opal miała pecha, gdyż zużyła ostatnią kroplę w celu przekonania tej kobiety, że ta jest jej matką. W tej chwili nie miała już magii i stała się praktycznie więźniem w winnicy Włoszki. Co więcej, zmuszano ją do pracy, a to było doprawdy chyba jeszcze gorsze niż śpiączka.

- Ruszaj się! - krzyknęła na nią kobieta. - Zapowiada-ją deszcz, a mamy mnóstwo roboty.

Opal wzięła łopatę i oparła ostrze na spieczonej ziemi.

Łopata była wyższa od niej, a uchwyt miała brudny i chropowaty.

- Co mam z tą łopatą robić?

- Wbijaj ją w ziemię i kop kanał nawadniający po-między tymi dwiema pergolami. A po kolacji masz uprać ręcznie rzeczy, które będę nosić w tym tygodniu. Te czerwone, wiesz, jak się do tego zabrać - kobieta wykrzywiła się, pozostawiając Opal w stanie tak samo opłakany jak ubrania.

Włoszka przyniosła drugą łopatę i zaczęła kopać obok Opal.

- Nie rób takiej miny, Belindo. Praca wyrabia charakter. Jeszcze kilka lat i sama się przekonasz.

Opal odwróciła łopatę i zadała ziemi żalospny cios, któ-

ry ledwo podniósł prawie niewidoczny skrawek gliny.

Dłonie chochliczki już wcześniej spierzchły od trzymania 363

narzędzia. Godzina wystarczy, by pokryły się masą zadrapań i pęcherzy. Może zjawią się SKR i zabiorą ją stąd.

Życzenie Opal miało się spełnić - ale dopiero tydzień później, a do tego czasu jej paznokcie były połamane i brązowe, a skóra chropowata od blizn. Obrala niezliczoną ilość ziemniaków i biegła na każde skinienie swojej nowej matki. Opal stwierdziła też ze zgrozą, że jej przybrana opiekunka hoduje świnię oraz że czyszczenie chlewu to jeden z najwyraźniej nieskończonej listy jej obowiązków.

Kiedy wreszcie zjawił się po nią oddział Odzysku, niemal się ucieszyła z jego przybycia.

Oaza

Ceremonia przetworzenia Juliusza Bulwy odbyła się nazajutrz po przybyciu Holly i Artemisa do Oazy. Na uroczystości pogrzebowej zjawili się wszyscy najwyżsi rangą funkcjonariusze. Wszyscy z wyjątkiem kapitan Holly Niedużej. Komendant Popędek odmówił jej wstępu na ceremonię, nawet pod uzbrojoną strażą. Trybunał prowadzący dochodzenie nie podjął jeszcze decyzji, a Holly do jej zapadnięcia nadal była podejrzana o morderstwo.

Usiadła zatem w poczekalni i oglądała uroczystość pogrzebową na wielkim ekranie. Ze wszystkich świństw, które wyrządził jej Przywra, to było najgorsze. Juliusz Bulwa był jej najbliższym przyjacielem, a ona siedziała tutaj i oglądała przetworzenie na monitorze, podczas gdy 364

wszyscy ważniejsi funkcjonariusze gromadzili się w sali pogrzebowej, spoglądając ze smutkiem w kamery.

Ukryła twarz w dłoniach, kiedy pustą urnę opuszczono do zdobionej, kamiennej kadzi kompostowej. Po sześciu miesiącach każda tkanka i kość uległaby w niej całkowitemu rozkładowi, a produkty rozkładu posłużyły do użyź-

nienia ziemi.

Spomiędzy palców Holly zaczęły płynąć łzy.

Artemis usiadł obok dziewczyny i delikatnie położył jej dłoń na ramieniu.

- Juliusz byłby z ciebie dumny. Oaza wciąż tutaj jest dzięki tobie i temu, co zrobiłaś.

Holly pociągnęła nosem.

- Może i tak. A może gdybym była odrobinę sprytniejsza, Juliusz też by tu był.

- Może, choć mnie się tak nie wydaje. Przemyślałem tamtą sytuację i moim zdaniem bez dodatkowych informacji z szybu nie sposób było uciec.

Dłonie Holly opadły.

- Dziękuję, Artemisie. Miło, że tak mówisz. A ty nie masz zamiaru trochę odpuścić?

Artemisa szczerze stropiło to pytanie.

- No nie wiem, naprawdę. Połowa mnie chce pozostać przestępcą, a ta druga być normalnym nastolatkiem.

Czuję się, jakbym miał dwie skłócone ze sobą osobowości i głowę pełną wspomnień, które nie należą jeszcze naprawdę do mnie. To dziwne uczucie, nie wiedzieć, kim się dokładnie jest.

- Nie martw się, Błotniaku - powiedziała Holly. - Bę-

dę mieć na ciebie oko, aby się upewnić, czy nie zboczyłeś przypadkiem z dobrej drogi.

- Nie obawiaj się. Moi rodzice i ochroniarz przez cały czas nic innego nie próbują robić.

- A więc może już czas, żeby im na to pozwolić?

Drzwi poczekalni rozsunęły się i do środka wbiegł pod-ekscytowanym kłusem Ogierek, a za nim komendant Po-pędek oraz kilku podkomendnych. Przywra z całą pewno-

ścią nie czułby się w tym pomieszczeniu tak swobodnie jak centaur, więc przyprowadził ze sobą kilku dodatkowych funkcjonariuszy, na wypadek gdyby Butler się z jakichś powodów zdenerwował.

Ogierek chwycił Holly za ramiona.

- Oczyszczono cię z zarzutów! - zawołał rozpromieniony. - Trybunał głosował za twoją niewinnością. Siedem głosów przeciw jednemu.

Holly jęknęła, spoglądając na Przywrę.

- Niech zgadnę, kto głosował przeciwko mnie.

Ten zeszywniał.

- Cały czas jestem waszym zwierchnikiem, Nieduża.

Chcę, żeby ten fakt znalazł odzwierciedlenie w waszej postawie. Tym razem udało się wam wymigać od zarzutów, ale bądźcie pewni, będę was miał pod lupą.

Mierzwa strzelił palcami przed nosem Ogierka.

- Hej, kucyku. A co ze mną? Jestem wolnym krasnałem?

- Hm. No więc Trybunał postanowił postawić ci zarzut kradzieży pojazdu.

- Co takiego? - wyrzucił z siebie Mierzwa. - Po tym, jak ocaliłem całe miasto?

- Jednakże - ciągnął centaur - biorąc pod uwagę sprawę, której się przysłużyłeś, zdecydowali się zarzut uchylić. Przykro mi, ale medalu nie będzie.

Mierzwa poklepał go po grzbiecie.

- Nie mogłeś tego powiedzieć tak po prostu, co? Musiałeś przeciągać strunę, jak zwykle?

Holly wciąż patrzyła na Przywrę spode łba.

- Proszę mi pozwolić przytoczyć, co Juliusz powiedział mi na krótko przed śmiercią - powiedziała.

- Ależ proszę - rzekł Popędek głosem ociekającym sarkazmem. - Wszystko, co mówicie, jest dla mnie wprost fascynujące.

- Juliusz powiedział mniej więcej tyle, że moja praca polega na służbie dla dobra Ludu, więc powinnam się starać pełnić tę służbę najlepiej jak umiem.

- Mądry elf. Mam nadzieję, że nie zamierzasz lekceważyć tych słów.

Holly oderwała odznakę SKR z ramienia.

- Nie zamierzam. Jeżeli pan będzie mi przez całą służbę patrzył przez ramię, nie będę w stanie pomóc nikomu. Dlatego postanowiłam zająć się tym na własną rękę.

- Rzuciła odznakę na stół. - Odchodzę.

Przywra kaszlnął.

- Jeżeli to blef, to nieskuteczny. Uradowałbym się, gdybyś odeszła.

- Holly, nie rób tego - błagał Ogierek. - Służby cię potrzebują. Ja też.

Holly poklepała go po boku.

367

- Oskarżyli mnie o zamordowanie Juliusza. Jak mogłabym zostać? Nie martw się, staruszk. Nie będę daleko.

- Skinęła na Mierzwę. - Idziesz zemną?

- Kto, ja?

Holly wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Jesteś teraz wolnym krasnałem, a każdy prywatny detektyw potrzebuje partnera. Kogoś, kto ma kontakty pod ziemią.

Mierzwa wypiął pierś.

- Mierzwa Grzebaczek, prywatny detektyw. Podoba mi się. Hej, ale nie będę chłopcem na posyłki, co? Bo tych często posyła się do diabła!

- Nie. Będziesz moim równoprawnym partnerem.

Cokolwiek robimy, dzielimy się równo po połowie.

Następnie Holly odwróciła się do Artemisa.

- Znowu nam się udało, Błotniaczkę. Znowu ocalili-

śmy świat, a przynajmniej powstrzymaliśmy dwa światy przed zderzeniem.

Artemis skinął głową.

- Nie robi się to wcale łatwiejsze. Może teraz kolejna kogoś innego.

Holly wesoło szturchnęła go w ramię.

- Ale kto będzie to robił w takim stylu? - powiedziała, po czym nachyliła się i szepnęła mu coś do ucha. - Bę-

dziemy w kontakcie. Kto wie, może będziesz zaintereso-wany pracą konsultanta?

Artemis uniósł jedną brew i lekko skinął głową. Holly taka odpowiedź w zupełności wystarczyła.

368

Butler zazwyczaj wstawał, aby się pożegnać, ale przy tej okazji musiał to zrobić na klęczkach. Holly zniknęła niemal całkowicie w jego ramionach.

- Do następnego kryzysu - powiedziała.

- No, chyba że po prostu do nas wpadniesz - odpowiedział.

- Trudniej mi będzie teraz załatwić wizę. Jestem cy-wilem.

- Jesteś pewna swojej decyzji?

Holly zmarszczyła czoło.

- Nie. Jestem w rozterce - powiedziała i wskazała głową Artemisa. - Ale kto nie jest?

Artemis obrzucił Popędka swym najbardziej pogardli-wym spojrzeniem.

- Komendancie, moje gratulacje. Właśnie udało się panu pozbyć najlepszego funkcjonariusza SKR.

- Słuchaj no, człowieku - zaczął Przywra, ale gdy usłyszał warknięcie Butlera, słowa uwięzły mu w krtani.

Gnom schował się szybko za wyższego od siebie strażni-ka.

- Posłać ich do domu. Natychmiast.

Funkcjonariusze wyjęli broń ręczną i wypalili.

Tabletka ze środkiem obezwładniającym przyłgnęła do szyi Artemisa i natychmiast się rozpuściła. Do Butlera funkcjonariusze strzelili dla pewności cztery razy.

Artemis słyszał jeszcze protesty Holly, choć jej postać rozpływała mu się jak na obrazie. Jak na Urowadzeniu.

369

- Nie było takiej potrzeby, Przywra - powiedziała, chwytając Artemisa za łokieć. - I tak widzieli już szyb.

Mógłby pan przytomnych odstawić ich na górę.

Głos Popędka brzmiał tak, jakby dobiegał z dna studni.

- Nie mam zamiaru podejmować niepotrzebnego ryzyka, kapitan, to znaczy, panno Nieduża. Ludzie z natury są skorzy do przemocy, zwłaszcza kiedy się ich transportuje.

Artemis poczuł na swej klatce piersiowej dłoń Holly.

Pod marynarką. Dziewczyna wsunęła mu coś do kieszeni.

Zapytać jednak nie mógł, gdyż język nie słuchał jego poleceń. Mógł jedynie oddychać ustami. Usłyszał za sobą głucho uderzenie.

„Padł Butler - domyślił się. - Zostałem tylko ja”.

I wtedy Artemis też padł.

Dwór Fowlów

Artemis stopniowo wracał do przytomności. Czuł się rześki i wypoczęty, wszystkie wspomnienia były na miejscu. A może jednak nie? Skąd miał wiedzieć?

Otworzył oczy i zobaczył fresk na suficie. Znajdował

się w swoim własnym pokoju.

Przez kilka chwil się nie poruszał. Nie dlatego, by nie mógł, lecz dlatego, że leżenie w tym miejscu wydało mu się nieskończenie luksusowe. Nie ściagały go żadne chochliczki, trolle nie szły jego śladem, nie osądzały go 370

trybunały wróżek. Mógł sobie zwyczajnie leżeć i myśleć, czyli oddawać się ulubionemu zajęciu.

Artemisa Fowla czekała wielka decyzja. Jaki kierunek wybierze w tej chwili jego życie? Zależało to



od niego. Nie mógł winić okoliczności, nie czuł też żadnej presji. Był

sobą i tylko sobą, i był dość inteligentny, żeby zdać sobie z tego sprawę.

Samotne przestępcze życie nie pociągało go już tak całkowicie. Nie chciał, by ktoś stał się ofiarą jego działań.

Ale z drugiej strony wciąż czuł jakiś dreszczyk związany z wykonaniem znakomitego planu. Pociągało go to. Może istnieje sposób, żeby połączyć przestępczy geniusz z nowo odkrytym poczuciem moralności? Niektórzy ludzie zasługują, żeby ich okradać. Mogłby zostać współczesnym Robin Hoodem: odbierać bogatym i dawać ubogim. A przynajmniej odbierać bogatym. Jeden krok na raz.

Poczuł wibrację w kieszeni marynarki. Włożył rękę do środka i wyjął komunikator wrózek. Jeden z dwóch, które zabrali z promu Opal Koboï. Artemisowi przyszło na myśl mgliste wspomnienie Holly wsuwającej mu coś do kieszeni marynarki, tuż zanim stracił przytomność. Bez wątpienia chciała być z nim w kontakcie.

Artemis wstał, otworzył urządzenie i na ekranie zobaczył uśmiechniętą twarz Holly.

- A więc dotarłeś szczęśliwie do domu. Przepraszam za środki usypiające. Przywra to świnia.

- Zapomnijmy o tym. Nic złego się nie stało.

371

- Zmieniłeś się. Dawno, dawno temu Artemis Fowl uknułby zemstę.

- Dawno, dawno temu.

Holly rozejrzała się wokół siebie na ekranie.

- Słuchaj, nie mogę długo rozmawiać. Musiałam wpiąć piracki wzmacniacz w to urządzenie tylko po to, by złapać sygnał. Ta rozmowa kosztuje mnie fortunę. Chcę cię prosić o przysługę.

Artemis jęknął.

- Nikt nigdy nie dzwoni do mnie, żeby powiedzieć cześć.

- Następnym razem. Obiecuję.

- Trzymam cię za słowo. Co to za przysługa?

- Mierzwa i ja mamy pierwszego klienta. To dystrybutor dzieł sztuki, któremu skradziono obraz. Nie znam się na tym zbyt, więc pomyślałam, że zapytam eksperta.

Artemis uśmiechnął się.

- Sądzę, że mam jakieś doświadczenie w dziedzinie kradzionych dzieł sztuki. Opowiedz, co zaszło.

- Oto cała rzecz. Nie ma sposobu, żeby wejść na wystawę albo z niej wyjść bez wykrycia. A obraz po prostu zniknął. Nawet najlepsi czarownicy nie dysponują taką magią.

Artemis usłyszał odgłos kroków na schodach.

- Poczekaj chwilę, Holly. Ktoś nadchodzi.

Butler wpadł do pokoju z wyciągniętą bronią.

- Właśnie się zbudziłem - powiedział. – Wszystko w porządku?

372

- W porządku - odrzekł Artemis. - Możesz to odłożyć.

- Niemal miałem nadzieję, że jeszcze zobaczę Popęd-ka, żeby móc go trochę nastraszyć. - Butler podszedł do okna i rozsunął zasłony. - Samochód nadjeżdża aleją.

Twoi rodzice wrócili z uzdrowiska. Lepiej uzgodnijmy wersje zdarzeń. Czemu wróciliśmy z Niemiec do domu?

Artemis zastanowił się krótko.

- Powiemy po prostu, że tęskniłem za domem. Chcia-

łem być znowu synkiem rodziców. To wystarczająco bliskie prawdy.

Butler uśmiechnął się.

- Podoba mi się ta wymówka. Mam nadzieję, że nie będziesz jej później używał.

- Nie mam takiego zamiaru.

Butler podniósł zwinięte w rulon płótno.

- A co z tym? Czy już postanowiłeś, co z nim zrobisz?

Artemis wziął od niego Uprowadzenie i rozłożył przed sobą na łóżku. Obraz był naprawdę piękny.

- Tak, stary przyjacielu. Postanowiłem zrobić to, co powinienem. A teraz, czy mógłbyś zatrzymać moich rodziców przy drzwiach? Mam telefon.

Butler skinął głową i zbiegł ze schodów, po trzy stopnie naraz.

Artemis na powrót podniósł komunikator.

- W porządku Holly, zajmijmy się twoim problemem.

Czy wzięłaś pod uwagę fakt, że obraz, którego szukasz, może być ciągle w tym samym pomieszczeniu, gdyż złodziej po prostu przełożył go w inne miejsce?

373

- To była pierwsza rzecz, o której pomyślałam. No już, Artemisie. Podobno jesteś geniuszem. Użyj swego mózgu.

Artemis podrapał się w szczękę. Zauważył, że trudno mu się skoncentrować. Doszedł go chrzęst opon na pod-jeździe, a potem roześmiany głos matki wysiadającej z samochodu.

- Arty? - zawołała. - Zejdź na dół. Musimy cię zobaczyć.

- Złaź na dół, Arty, chłopcze - wołał ojciec. - Przywi-taj nas w domu.

Artemis zdał sobie sprawę, że się uśmiecha.

- Holly, czy możesz zadzwonić później? Jestem teraz zajęty.

Holly udała, że jęczy.

- Okej. Za pięć godzin, i dobrze by było, gdybyś miał

wtedy dla mnie jakieś sugestie.

- Nie obawiaj się, będę miał. Oraz rachunek za kon-sultację.

- Pewne sprawy nie zmieniają się nigdy - powiedziała Holly i rozłączyła się.

Artemis schował pośpiesznie komunikator do sejfu w swoim pokoju i wybiegł na schody. Matka stała na dole z szeroko rozpostartymi ramionami.

# EPILOG

Artykuł z „Irish Timesa”

Eugene Driscoll, wiadomości kulturalne

W minionym tygodniu świat sztuki oszalał ze szczę-

ścia na wieść o odnalezieniu zaginionego arcydzieła Pascala Hervégo, francuskiego mistrza impresjonizmu. Istnienie obrazu Urowadzenie (olej na płótnie) zostało potwierdzone przez władze paryskiego Luwru, gdy obraz trafił do galerii. Anonimowy darczyńca, prawdopodobnie miłośnik sztuki, wysłał

bezcenne arcydzieło zwyczajnie pocztą. Autentyczność płótna potwierdziło sześciu niezależnych ekspertów.

Rzecznik prasowy Luwru ogłosił, że obraz pozostanie w ekspozycji przez następny miesiąc. Po raz pierwszy zatem od niemal stu lat każdy miłośnik sztuki będzie mógł nacieszyć oczy dziełem Herv-

égo. Być może jednak najbardziej prowokacyjnym aspektem całej sprawy jest wiadomość, która nadeszła razem z Urowadzeniem. Zawierała ona trzy słowa - ciąg dalszy nastąpi.

375

Czy istnieje gdzieś jakaś osoba, która chce zwracać zaginione lub skradzione dzieła sztuki ludziom? Jeżeli tak, drzyjcie, kolekcjonerzy. Wasze drogocenne arcydzieła nigdzie nie będą bezpieczne. Autor niniejszego artykułu czeka z zapartym tchem. Ciąg dalszy nastąpi. Miłośnicy sztuki z całego świata z całą pewnością na to liczą!

# SPIS RZECZY

## Prolog

7

Rozdział pierwszy

Ktoś całkowicie opętany

11

Rozdział drugi

Urowadzenie

36

Rozdział trzeci

O włos od śmierci

61

Rozdział czwarty

Karkołomna ucieczka

104

Rozdział piąty

Poznajmy sąsiadów

133

Rozdział szósty

Paskudne stado trolli

159

Rozdział siódmy

Świątynia Artemis

187

Rozdział ósmy

Wreszcie inteligentna rozmowa

250

Rozdział dziewiąty

Córeczka tatusia

269

Rozdział dziesiąty

Koński zmysł

289

Rozdział jedenasty

Ostatnie pożegnanie

357

Epilog

375

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)